

ŚMIERTELNA ODYSEJA  
Kontynuacja W OTCHŁANI



# MILION SŁOŃC BETH REVIS

Bestseller „New York Timesa”

Wydawnictwo Dolnośląskie

BETH REVIS

# MILION SŁOŃC

Przełożyli z angielskiego

Marta Kisiel-Małecka i Łukasz Małecki



*Michał Anioł powiedział:*

*„W każdym kamieniu tkwi rzeźba,  
a odkrycie jej to zadanie rzeźbiarza”.*

*Dedykuję tę książkę Merrilee za to, że dostarczyła mi kamienia,  
oraz Benowi i Gillian za to, że użyczyli mi dłuta.*

**DEI GRATIA**

– Łatwo nie będzie – wymamrotałem, wpatrując się w masywne metalowe drzwi, które prowadziły do maszynowni na Poziomie Sternika. Mój wzrok przyciągnęło blade odbicie. Zobaczyłem w nim oczy Najstarszego, tak ciemne jak wtedy, gdy umierał; usta Oriona wykrzywione w złośliwym półuśmiechu, kiedy napawał się śmiercią Najstarszego. Gdzieś pod sklonowanymi rysami twarzy i pod wspomnieniem Najstarszych, którzy żyli przede mną, musiało się kryć coś, co było wyłącznie moje, jedyne w swoim rodzaju – coś, czego nie dało się powielić w laboratorium dwa poziomy poniżej.

A przynajmniej lubiłem tak myśleć.

Przeciągnąłem kciukiem po skanerze biometrycznym i drzwi podniosły się, zabierając ze sobą obraz twarzy, która nigdy nie należała do mnie.

Gdy tylko wszedłem do środka, owionęła mnie wyraźnie mechaniczna woń, mieszanina metalu, smaru i spalenizny. Ściany drżały w rytm stłumionego pulsu silnika, który napędzał statek. *Wrrr-szast-wrrr-szast...* Ten dźwięk kiedyś wydawał mi się piękny.

Sternicy pierwszego szczebla stali na baczność, oczekując mojej wizyty. Maszynownia była zwykle zatłoczona – wprost tętniła życiem, kiedy rozbiegani inżynierowie próbowali odnaleźć przyczynę defektu reaktora prędkiego chłodzonego ołowiem. Jednak dzisiaj poprosiłem o prywatne spotkanie z dziesięcioma najlepszymi z najlepszych, z najwyższymi stopniem oficerami na statku. Nad nimi stałem już tylko ja.

Czułem się przy nich jak niechluj. Włosy miałem zbyt długie i zmierzwione i chociaż już dawno powinienem był zutilizować moje ubrania, przynajmniej pasowały do ciemnych tunik i starannie wyprasowanych spodni sterników. Sternicy nie nosili mundurów – nie nosił ich nikt na statku – ale Pierwsza Sterniczka Marae wymagała schludności od swoich ludzi, a w szczególności od sterników pierwszego szczebla, którzy tak jak ona upodobali sobie ciemne kolory strojów.

Marae pochodziła z pokolenia dwudziestolatków i była zaledwie kilka lat starsza ode mnie. Mimo to w kącikach jej oczu pojawiły się już pierwsze zmarszczki, a usta wyglądały na wiecznie wykrzywione w podkówkę. Na jej równiutko przyciętych włosach stolarz mógłby sprawdzić dokładność poziomicy. Amy twierdziła, że wszyscy obywatele „Błogosławionego” wyglądają tak samo. Wziąwszy pod uwagę, że byliśmy monoetniczni, musiała mieć sporo racji, ale Marae nie dało się z nikim pomylić. Nikt też nie ośmieliłby się pomyśleć na jej widok, że pełni funkcję mniej ważną od Pierwszego Sternika.

– Najstarszy – rzuciła na powitanie.

– Przecież już ci mówiłem, mów do mnie po prostu Starszy.

Nachmurzyła się jeszcze bardziej. Ludzie zaczęli nazywać mnie Najstarszym, gdy tylko przejąłem jego obowiązki. Zawsze wiedziałem, że pewnego dnia nim zostanę, ale nawet nie marzyłem, że nastąpi to tak szybko. Tak czy inaczej, urodziłem się, by sprawować tę funkcję. Byłem nią. I choćbym nawet tego w sobie nie dostrzegwał, nieustannie przypominała mi o tym postawa stojących na baczność sterników i oczekiwanie Marae, aż przemówię.

Tylko że... ja po prostu nie chciałem odziedziczyć tego tytułu. Ktoś nazwał mnie Najstarszym przy Amy, a ona natychmiast zmrużyła oczy i zamarła – co prawda tylko na krótką chwilę, lecz wystarczająco długą, żebym zdał sobie z czegoś sprawę. Nie zniósłbym, gdyby znów spojrziała na mnie jak na Najstarszego.

– Mogę być przecież Najstarszym nawet ze starym imieniem.

Marae nie wyglądała na przekonaną, ale nie zamierzała się kłócić.

Pozostali sternicy pierwszego szczebla przyglądali mi się uważnie, czekając.

Przypominali posągi, nieruchomi, wyprostowani, z twarzami skierowanymi w moją stronę. Wiedziałem, że część tego perfekcjonizmu zawdzięczali silnej ręce Marae w roli Pierwszej Sterniczki, ale reszta pochodziła z przeszłości – z czasów, gdy żył poprzedni Najstarszy, który wymagał od wszystkich takiej samej dyscypliny.

Wiedziałem też, że w ich niewzruszonym posłuszeństwie nie ma ani odrobiny mnie. Odchrząknąłem.

– Sternicy pierwszego szczebla, przyszedłem tutaj, żeby porozmawiać z wami o silniku. – Przelknąłem, czując w ustach suchość i kwaśny posmak. Nie patrzyłem na sterników, nie tak naprawdę – tylko udawałem. Wiedziałem, że widok ich twarzy – starszych, bardziej doświadczonych – sprawi, iż stracę zimną krew.

Pomyślałem o Amy. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, nie potrafiłem oderwać oczu od jej jasnych, ognistych włosów wijących się jak pasma atramentu w wodzie i od skóry tak przezroczystej jak lód, w którym została zamrożona. Teraz, przywołując jej obraz, widziałem jednak zaciśnięte w determinacji szczęki. Amy zawsze wydawała mi się wyższa, kiedy wpadała w złość.

Wziąłem głęboki oddech i podszedłem do Marae. Patrzyła mi prosto w oczy, wyprostowana jak tyczka, z pobielającymi ustami. Zatrzymałem się tuż przed nią, by poczuła się nieswojo, ale nawet nie mrugnęła, kiedy położyłem ręce na jej ramionach i pchnąłem mocno. Wpadła na znajdujący się za nią panel sterowania. Na twarzach pozostałych sterników pojawiła się cała gama emocji. Druga Sterniczka Shelby wyglądała na zdezorientowaną, Dziewiąty Sternik Buck zmrużył powieki i zaciśnął zęby, a Trzeci Sternik Haile szepnął coś do ucha Szóstej Sterniczki Jodee.

Ale Marae nie zareagowała. Oto świadectwo, jak bardzo różniła się od wszystkich innych ludzi lecących na pokładzie „Błogosławionego”. Nie kwestionowała moich decyzji nawet wtedy, gdy ją popychałem.

– Dlaczego się nie przewróciłaś? – zapytałem.

Marae odepchnęła się od panelu.

– Krawędź panelu zatrzymała mój upadek – odparła bezbarwnym głosem, choć wydawało mi się, że za jej słowami kryje się nieufność.

– Upadałabyś dalej, gdyby coś cię nie zatrzymało. Pierwsza zasada dynamiki. – Zamknąłem na chwilę oczy, by przypomnieć sobie słowa, których uczyłem się na pamięć przed tym spotkaniem. – Na Sol-Ziemi żył pewien naukowiec. Isaac Newton. – Prawie połamałem sobie język na tym imieniu, nie mając pewności, jak powinienem wymawiać słowo z podwójnym „a”. W moim wykonaniu zabrzmiało jak „isszaak” – z pewnością nieprawidłowo, ale nie było to teraz istotne.

Zresztą stojący przede mną sternicy i tak doskonale wiedzieli, o kogo chodzi. Shelby zerknęła nerwowo – raz, drugi i trzeci – w stronę nienaturalnie znieruchomiałej niczym maska twarzy Marae. Kamienna postawa sterników pierwszego szczebla powoli topniała.

Zdusiłem cisnący mi się na usta gorzki uśmiech. Wyglądało na to, że właśnie tak działałem na ludzi – burzyłem idealny porządek, który z takim trudem wypracował Najstarszy.

– Ten Newton sformułował kilka zasad dynamiki, które na pierwszy rzut oka wydają się gzyfowo<sup>[1]</sup> oczywiste, ale... – Pokręciłem głową, wciąż nie mogąc się nadziwić, jak proste były te prawa. Jak to możliwe, że sam nie wpadłem na nie wcześniej? Ani Najstarszy? Jak to się stało, że Najstarszy uczył mnie podstaw wszystkich nauk, a nigdy nawet nie wspomniał o zasadach dynamiki Newtona? A może wiedział o nich, lecz z jakichś powodów wolał zachować te informacje dla siebie? – Moją uwagę zwrócił przede wszystkim fragment o inercji.

– Zacząłem przechadzać się po pomieszczeniu – to jeden z nawyków, który przejąłem od Amy. Przejąłem ich dużo więcej, łącznie z tendencją, by wszystko kwestionować. **W s z y s t k o.**

U podstaw moich słów leżała obawa, którą dotychczas bałem się nazwać. Aż do tej chwili – do chwili, gdy stanąłem przed szeregiem sterników, słysząc za plecami szum tracącego moc silnika.

Przymknąłem na chwilę powieki i ujrzałem w ciemności Harleya, mojego najlepszego przyjaciela. A za nim pustkę kosmosu, kiedy włąz otworzył się, a próżnia porwała jego ciało. Zobaczyłem niewyraźny uśmiech igrający na jego ustach. Tuż przed śmiercią.

– W przestrzeni kosmicznej nie działają żadne zewnętrzne siły – mój głos ledwie dało się słyszeć poprzez miarowe *wrrr-szast-wrrr-szast* silnika.

Nie było żadnej siły, która mogłaby zatrzymać Harleya przed wypadnięciem ze śluzy spustowej trzy miesiące temu. A teraz, gdy znalazł się w próżni, nie było żadnej siły, która mogłaby spowolnić jego wieczną wędrówkę ku gwiazdom.

Sternicy gapili się na mnie, czekając. Marae zmrużyła oczy – sygnał, że nie podda się tak łatwo. Będę musiał wyciągnąć z niej prawdę siłą.

– Najstarszy powiedział mi, że wydajność silnika spada z powodu usterki. Że mamy opóźnienie wynoszące setki lat. Że musimy naprawić silnik, bo inaczej nigdy nie dotrzemy na Centauri-Ziemię.

Odwróciłem się i spojrzałem na reaktor, jakby to on mógł mi udzielić wszystkich niezbędnych odpowiedzi.

– Ale my wcale go nie potrzebujemy, zgadza się? Nie potrzebujemy paliwa. Po osiągnięciu maksymalnej prędkości wystarczyłoby po prostu wyłączyć silnik. W przestrzeni kosmicznej nie ma tarcia ani grawitacji – statek leciałby przez kosmos aż do chwili, gdy dotarlibyśmy na nową planetę.

– Teoretycznie tak – odparła Marae. Nie potrafiłem stwierdzić, co kryło się za ostrożnością pobrzmiwającą w jej głosie – niepewność co do teorii czy raczej co do moich intencji.

– Jeśli silnik nie działa – nawet jeśli nie działał od wielu dekad – to problemem powinna być raczej zbyt duża prędkość. Możliwe, że po prostu przemkniemy obok Centauri-Ziemi. – Teraz w mój głos wkradło się wahanie. To, co mówiłem, przeczyło wszystkiemu, co wiedziałem, a przynajmniej wydawało mi się, że wiem. Jednak od śmierci Najstarszego pilnie studiowałem problem usterki i nie potrafiłem powiązać informacji, których mi udzielił, z treścią sol-ziemskich książek. – Na gzyfa, nasz kłopot polega na tym, że w końcu zderzymy się z Centauri-Ziemią, bo nie będziemy w stanie wyhamować, a nie na bezcelowym dryfowaniu w kosmosie. **Z g a d z a s i ę?**

Nagle odniosłem wrażenie, że silnik ma oczy i obserwuje mnie w napięciu.

Miny sterników zdradziły mi prawdę. Wszyscy, wszyscy co do jednego wiedzieli, że problem silnika nie leżał w paliwie ani w przyspieszeniu. Byli tego świadomi od samego początku i nie usłyszeli ode mnie nic nowego. To przecież oczywiste, że sternicy pierwszego szczebla znali fizykę Newtona. Musieli znać. Doskonale zdawali sobie sprawę, że słowa Najstarszego o spadającej wydajności paliwa i dryfowaniu w kosmosie nie miały żadnego związku z rzeczywistością.

A ja byłem gzyfowym głupcem, wątpiąc w coś równie oczywistego.

– Co tu się dzieje? – zapytałem. Zażenowanie stało się pożywką dla mojego gniewu. – Czy silnik ma w ogóle jakąkolwiek usterkę? Związaną z paliwem?

Oczy sterników zwróciły się w stronę przełożonej, ale Marae obserwowała mnie

w milczeniu.

– Dlaczego Najstarszy mnie okłamał? – Poczulem, że za chwilę stracę panowanie nad sobą. Sam nie miałem pojęcia, czego się spodziewałem. Że poradzę sobie z wielką zagadką i sternicy rzucą się, by rozwiązać problem? Sam nie wiedziałem... Nigdy nie myślałem, co będzie, kiedy już powiem im o moich wątpliwościach – o tym, że prawa fizyki przeczą wyjaśnieniom Najstarszego. Nigdy nie myślałem, że powiem im to, co właśnie powiedziałem, a oni skierują uwagę na Pierwszą Sterniczkę zamiast na mnie.

– Najstarszy okłamał cię – odparła spokojnie Marae – ponieważ my go okłamaliśmy.

Kropla wody rozprysła się na metalowej podłodze.

Wciąż zaciskałam powieki, ignorując chłód i zamiast tego skupiając się na ciemności przed oczami.

– Jadę samochodem długą, pustą autostradą – powiedziałam. Mój głos odbił się echem od wysokich zaokrąglonych ścian z metalu. – Szyby są opuszczone. Muzyka gra. Głośno. – Usiłowałam przypomnieć sobie szczegóły. – Tak głośno, że czuję, jak wibrują drzwiczki samochodu. Tak głośno, że obraz we wstecznym lusterku jest rozmazany, bo ono też wibruje. A ja – dodałam z wciąż zamkniętymi oczami – wystawiam rękę za okno. Z dłonią na płask. Jakbym leciała.

Kolejna kropla spadła z pluskiem, tym razem na moją gołą stopę, posyłając falę dreszczy od palców aż do korzonków włosów.

– Jadę samochodem. Tego mi dzisiaj brakuje najbardziej – wyszeptałam. Moje oczy otworzyły się z trzepotem powiek. Ręce, które uniosłam niemądrze, kiedy wyobrażałam sobie jazdę autostradą, opadły wzdłuż ciała.

Nie było już żadnych samochodów. Żadnych nieskończonych autostrad.

Tylko to.

Dwie roztopiające się komory kriogeniczne na statku kosmicznym, który każdego dnia wydaje się coraz mniejszy.

*Kap. Plusk.*

Igrałam z ogniem, wiedziałam o tym. Czy raczej z lodem. Powinnam wsunąć rodziców z powrotem do ich komór, zanim stopią się jeszcze bardziej.

Ale nie zrobiłam tego.

Bawiłam się łańcuszkiem z krzyżykiem, jednym z kilku przedmiotów, które pozostały mi z Ziemi. Siedziałam na podłodze poziomego kriogenicznego, gapiąc się na zamrożonych rodziców i przypominając sobie, za czym jeszcze tęskniłam. I to był jedyny rodzaj modlitwy, na jaki potrafiłam się zdobyć.

Starszy zakpił sobie kiedyś z tych moich modlitw. Zwymyślanie go za to zajęło mi dobrą godzinę. Pod koniec unióśł ze śmiechem ręce i stwierdził, że mogę sobie wierzyć, w co tylko chcę, skoro zamierzam trzymać się tego tak kurczowo. Cała ironia w tym, że wszystko, kim niegdyś byłam, w tym również to, w co wierzyłam, teraz wymykało mi się z rąk.

Kiedyś życie było prostsze. Łatwiejsze. Wszystko było zaplanowane. Rodzice i ja zostaniemy zamrożeni. Obudzimy się po trzystu latach. Planeta będzie już na nas czekała.

Z całego planu wyszło właściwie tylko jedno – zostaliśmy zamrożeni. Ale potem ktoś mnie obudził przed czasem – nie. Nie. O n mnie obudził przed czasem. Starszy. Nie wolno mi o tym zapomnieć. Nigdy, przenigdy nie wolno mi zapomnieć, że jestem tu z jego winy. Nie mogę pozwolić na to, żeby trzy wspólnie spędzone miesiące wymazały życie, które mi odebrał.

Przez chwilę myślałam o twarzy Starszego – nie tej przystojnej i szlachetnej, którą znałam teraz, tylko rozmazanej i rozmytej, jak wtedy, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy, kiedy pochylał się nad moim nagim drżącym ciałem. A potem wyciągnął mnie z mojej szklanej trumny. Przypomniałam sobie jego ciepły głos, to, jak mówił, że wszystko będzie dobrze.

Co za kłamca.

Tyle że... to nieprawda, co nie? Spośród wszystkich ludzi na statku, wliczając w to nawet zamrożone ciała moich rodziców, jedynie Starszy ukazał mi niezafałszowaną rzeczywistość i czekał, aż ją przyjmę do wiadomości.



Niewyraźny obraz Starszego w moich myślach wyostrzył się. Już nie widziałam go przez pryzmat płynu kriogenicznego, tylko deszczu. Tamtej nocy na Poziomie Żywiciela, kiedy ze zraszaczy w suficie na nasze głowy spadł „deszcz” tak rzęsy, że kwiaty ugięły się pod jego ciężarem, kiedy wciąż byłam przerażona i niepewna. Krople wody spływały z włosów Starszego po wysokich kościach policzkowych, by zatrzymać się na jego pełnych wargach...

Potrząsnęłam głową. Nie mogłam go nienawidzić. Ale nie mogłam też... Cóż. Tak czy siak, nie mogłam go nienawidzić.

A kogo mogłam? Oriona.

Objęłam kolana ramionami i spojrzałam na zamrożone twarze rodziców. Najgorsze w zbyt wczesnej pobudce, bez rodziców, na statku tak pokręconym jak ten, było to, że mijające dni wypełniał jedynie czas i żal.

Nie wiedziałam już, kim tutaj jestem. Bez rodziców nie byłam córką. Bez Ziemi nie czułam się człowiekiem. Potrzebowałam czegoś. Czegoś, co znowu nadałoby mi sens. Czegoś, co by mnie definiowało.

Spadła kolejna kropla.

Odkąd się obudziłam, minęło dziewięćdziesiąt osiem dni. Ponad trzy miesiące. Tymczasem pięćdziesiąt lat, które miało nas dzielić od lądowania, stanęło pod jednym wielkim znakiem zapytania. Czy w ogóle wylądujemy?

To pytanie sprowadzało mnie tutaj każdego dnia. Nakazywało otwierać komory kriogeniczne rodziców i wpatrywać się w ich zamrożone ciała. Czy kiedykolwiek wylądujemy? Jeżeli nasz statek naprawdę zagubił się w kosmosie, bez szans na to, że kiedykolwiek dotrzemy do nowej planety... Mogłabym obudzić rodziców.

Tylko że... Obiecałam Starszemu, że tego nie zrobię. Miesiąc temu zapytałam, jaki sens ma utrzymywanie ich w stanie zamrożenia? Skoro nigdy nie wylądujemy, dlaczego po prostu ich nie obudzić?

Kiedy wzrok Starszego napotkał mój, dostrzegłam w jego oczach współczucie i smutek.  
– Statek wylądaje.

Dopiero po chwili zrozumiałam, co miał na myśli. Statek wylądaje. Ale my nie. Dlatego zamierzałam dotrzymać słowa, które dałam jemu i moim rodzicom. Nie obudzę ich. Nie zrobię tego, póki istnieje nadzieja, że ich sen o dotarciu do nowego świata się spełni.

Na razie byłam gotowa zadowolić się tą nadzieją. Ale co za następnych dziewięćdziesiąt osiem dni? Może wtedy będzie mi już obojętne, czy statek dotrze do celu. Może wtedy nie zabraknie mi odwagi, żeby nacisnąć guzik reanimacji i pozwolić, by komory kriogeniczne się roztopiły.

Pochyliłam się, tak że moje oczy znalazły się na tej samej wysokości co oczy ojca, mimo że jego były zamknięte i skryte za grubą na kilka cali warstwą niebiesko nakrapianego lodu. Przesunęłam palcem wzdłuż szyby komory kriogenicznej, kreśląc kontur ciała. Zamglone od ciepła pomieszczenia szkło wygładziło się pod moim dotykiem, odsłaniając lśniący zarys twarzy mojego ojca. Przeniknął mnie chłód i na ułamek sekundy powróciłam do tamtej chwili, gdy czułam zimno, zanim przestałam czuć cokolwiek.

Nie potrafiłam sobie przypomnieć, jak wyglądał mój ojciec, kiedy się uśmiechał. Wiedziałam, że jego twarz może się poruszyć, oczy mogą się zmrużyć, a wargi wygiąć w uśmiechu. Ale nie umiałam sobie tego przypomnieć ani wyobrazić, gdy patrzyłam przez lód.

Ten człowiek nie wyglądał jak mój ojciec. Mój ojciec był pełen życia, a ten... nie. Mój ojciec pewnie krył się gdzieś tam, ale...

Ja go nie widziałam.

Komory kriogeniczne z głuchym łomotem wróciły na swoje miejsce, a ja z hukiem

zamknęłam za nimi drzwiczki.

Wstałam powoli, niepewna, dokąd teraz pójść. Za komorami kriogenicznymi, na tyłach tego poziomu, był korytarz pełen zamkniętych drzwi. Tylko jedne z nich się otwierały – te z czerwoną smugą farby w pobliżu panelu – lecz za nimi znajdowało się okno z widokiem na gwiazdy.

Kiedyś często tam chodziłam, bo dzięki gwiazdom czułam się jak normalny człowiek. A teraz wydawało mi się, że jestem dziwaczką, za którą mnie uważali prawie wszyscy na pokładzie. Bo nikt poza mną tak naprawdę za nimi nie tęsknił. Spośród dwóch tysięcy iluś tam ludzi na tym statku nikt poza mną nie miał pojęcia, co to znaczy leżeć w ogródku na trawie i wyciągać rękę, by pochwycić świetliki latające leniwie pośród gwiazd. Nikt poza mną nie wiedział, że dzień powinien gasnąć i przechodzić w noc, a nie włączać się i wyłączać za pomocą pstryczka. Nikt poza mną nigdy nie otworzył oczu tak szeroko, jak to tylko możliwe, i wciąż nie widział nic oprócz niebios.

Nie chciałam już patrzeć na gwiazdy.

Zanim opuściłam poziom kriogeniczny, upewniłam się, że drzwiczki komór moich rodziców są dobrze zamknięte. Na drzwiczkach komory ojca wciąż widniał ślad litery X. Przesunęłam po nim palcami. Zostawił go Orion, zaznaczając w ten sposób swoją kolejną ofiarę.

Odwróciłam się, spoglądając w stronę laboratorium genetycznego naprzeciwko windy. Tam spoczywało zamrożone ciało Oriona.

Mogłabym go obudzić. Nie wystarczyłoby nacisnąć guzik reanimacji, jak w przypadku moich rodziców, ale mogłabym to zrobić. Starszy pokazał mi, czym różniły się te komory kriogeniczne; pokazał mi regulator czasowy, w którym zaprogramowano przebudzenie Oriona, i kolejność, w jakiej należało uruchomić przyciski. Mogłabym go obudzić, a kiedy wróciłby już do życia, mogłabym zadać mu pytanie, które dręczyło mnie za każdym razem, kiedy patrzyłam poprzez lód na jego wybałuszone oczy.

D l a c z e g o?

Dlaczego zamordował tamtych zamrożonych? Dlaczego zaznaczył mojego ojca jako kolejną ofiarę?

Lecz co ważniejsze, dlaczego zaczął zabijać już teraz?

Orion mógł wierzyć, że zamrożony personel wojskowy zmusi urodzonych na statku ludzi, by zostali żołnierzami lub niewolnikami... ale dlaczego zaczął ich odłączać, kiedy do lądowania pozostało jeszcze tyle czasu?

Ukrywał się przed Najstarszym przez całe lata, zanim Starszy mnie obudził. I mógłby ukrywać się dalej, gdyby nie zaczął mordować.

Więc tak naprawdę nie powinnam pytać dlaczego, tylko...

Dlaczego t e r a z?

## STARSZY

Wpatrywałem się w Marae z rozdziawionymi ustami.

– Słucham?! Jak to, okłamaliście?

Marae ściągnęła łopatki, prostując się jeszcze bardziej, przez co wydawała mi się wyższa niż w rzeczywistości. Uciekłem wzrokiem w stronę twarzy pozostałych sterników, ale ona patrzyła wprost na mnie. Nie potrzebowała ich zapewnień, by pamiętać, kim była i w co wierzyła.

– Musisz zrozumieć, Najsta... Starszy – poprawiła się. – Naprawianie silnika nie jest głównym obowiązkiem sterników.

– Oczywiście, że jest! – rzuciłem podniesionym tonem, czując wzbierający gniew i oburzenie. – Ten gzyfowy silnik to najważniejszy element „Błogosławionego”...

Marae pokręciła głową.

– Silnik to tylko c z ę ś ć statku. A my powinniśmy zajmować się c a ł o ś c i ą.

Czekałem na jej wyjaśnienia, nieustannie świadomy głośnego szumu i warkotu, który dolatywał z tyłu – puls serca statku.

– Na pewno zdążyłeś zauważyć, że silnik to nie jedyny problem „Błogosławionego” – powiedziała, marszcząc brwi. – Trudno nazwać ten statek nowym. Uczyłeś się już o zasadach dynamiki, ale czy słyszałeś kiedykolwiek o entropii?

– O entropii...? – Spojrzałem na pozostałych sterników pierwszego szczebla.

Przyglądali mi się w oczekiwaniu, ale ja nie miałem dla nich odpowiedzi, którą chcieli usłyszeć.

– Wszystko nieustannie zmierza ku chaosowi. Ku stanowi nieuporządkowania, rozpadu i zniszczenia. Starszy – dodała z naciskiem Marae i tym razem nie zająknęła się przy moim imieniu. – „Błogosławiony” to stary statek. I zaczyna się rozpadać.

Chciałem zaprzeczyć, ale nie mogłem. *Wrrr-szast-wrrr-szast* silnika brzmiało niczym odgłos klekotu śmierci odbijający się od ścian pomieszczenia. Kiedy jednak zamknąłem oczy, nie słyszałem dźwięków z maszynowni i nie czułem woni rozgrzanego smaru. Słyszałem, jak dwa tysiące dwieście dziewięćdziesięcioro ośmiu ludzi łączywie chwyta powietrze, i czułem tyle samo rozkładających się ciał.

Właśnie tak kruche było życie na statku pokoleniowym – ciężar naszego istnienia spoczywał na barkach zepsutego silnika.

Trzy miesiące wcześniej Najstarszy powiedział mi, że moja rola polega na zajmowaniu się ludźmi. Ludźmi, nie statkiem. Ale... zajmowanie się statkiem to także rodzaj opieki nad wszystkimi obywatelami. Za plecami sterników znajdowały się główne panele sterowania, monitorujące przydział energii do różnych funkcji statku. Gdybym zniszczył ten, nie mielibyśmy czym oddychać. Jeśli tamten, w rurach nie płynęłaby woda; ten obok – na zawsze zgasłoby światło; jeszcze inny – i przestałyby działać czujniki grawitacyjne. Serca statku nie stanowił sam silnik – było nim całe to pomieszczenie, każde urządzenie tętniące życiem nie mniej istotnym niż dwa tysiące dwieście dziewięćdziesięcioro ośmiu ludzi, którzy znajdowali się na tym poziomie i niżej, pod nami.

Marae wyciągnęła rękę, a Druga Sterniczka Shelby odruchowo podała jej plastplej, na którym już widniały odpowiednie informacje. Marae przeciągnęła palcem po wyświetlaczu, by przesunąć raport, po czym wręczyła mi plastplej.

– Tylko w ubiegłym tygodniu musieliśmy przeprowadzić aż dwie generalne naprawy zbiornika fuzji inercyjnej lampy solarnej. Wskaźniki wydajności gleby znajdują się poniżej oczekiwanego poziomu, a system irygacyjny wciąż przecieka. W ciągu ostatniego roku

żywności ledwie wystarczało dla naszej populacji, już wkrótce będziemy musieli liczyć się z niedoborami, a w poprzednich dwóch miesiącach wyraźnie zmalała efektywność pracy. Dbanie o sprawność tego statku nie jest prostym zadaniem.

– Ale silnik... – zacząłem, wpatrując się w wyświetlacz wypełniony wykresami ze skierowanymi w dół strzałkami i zbyt krótkimi słupkami.

– Do gzyfa z silnikiem! – krzyknęła Marae. Opanowanie sterników znowu przysło jak mydlana bańka – wszyscy patrzyli na nią w zdumieniu, nie mogąc uwierzyć, że zakłęła. Marae odetchnęła i przycisnęła palcami nasadę nosa. – Przepraszam, *sir*...

– Wszystko w porządku – wymamrotałem, bo wiedziałem, że Pierwsza Sterniczka nie powie nic więcej, dopóki tego nie usłyszysz.

– Nasze obowiązki, Starszy, są jasno określone – ciągnęła, połykając końcówki wyrazów. Wkładała wiele wysiłku w zapanowanie nad gniewem. – Najpierw statek, później planeta. Jeśli musimy wybierać pomiędzy polepszeniem jakości życia na statku a naprawą silnika, żeby szybciej dotrzeć na Centauri-Ziemię, z a w s z e decydujemy się na to pierwsze.

Zacisnąłem ręce na plastpleju, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Marae rzadko pokazywała uczucia i nigdy nie traciła kontroli nad sobą. Nie byłem przyzwyczajony do widoku emocji na jej twarzy – zwykle było z niej wyłącznie opanowanie.

– Na pewno moglibyśmy pozwolić sobie na jakieś wyrzeczenia, by przywrócić silnikowi sprawność...

– Najpierw statek, później planeta – powtórzyła Marae. – Taki jest nasz priorytet od czasów Plagi, kiedy powołano do życia funkcję sternika.

Nie zamierzałem tak łatwo dać za wygraną.

– Przecież to było... – próbowałem policzyć, ile lat temu, ale historię „Błogosławionego” zaciemniało zbyt wiele kłamstw i fidusa – ...przed wieloma pokoleniami. Nawet jeśli statek jest priorytetem, to przez tak długi czas musieliście znaleźć jakiś sposób, by ulepszyć silnik i dowieźć nas do nowej planety.

Marae najwyraźniej nie zamierzała nic powiedzieć, a ja wyczułem w jej milczeniu jakąś mroczną tajemnicę.

– Co przede mną ukrywasz? – rzuciłem nieznośnym sprzeciwu tonem.

Po raz pierwszy odwróciła się do swoich podwładnych, szukając w ich twarzach poparcia. Shelby skinęła głową, choć tak lekko, że o mały włos przeoczyłbym ten ruch.

– Wszystko zaczęło się, zanim jeszcze otrzymałam tytuł Pierwszej Sterniczki.

Pierwszym Sternikiem był wówczas mężczyzna o imieniu Devyn. – Marae ponownie obejrzała się na Shelby. – Informacje na temat stanu silnika zawsze miały charakter... selektywny.

Co oznaczało, że prawdę znali tylko nieliczni. Im mniej ludzi, tym lepiej.

– Byłam wtedy uczennicą – ciągnęła Marae – i pamiętam, że Starszy... poprzedni Starszy, ten przed tobą...

– Orion – przypomniałem jej.

Kiwnęła głową.

– Najstarszy zlecił mi jakieś prace konserwacyjne. Po powrocie Orion nie złożył mi jednak sprawozdania. Udał się prosto do Devyna. Nie wiem, co mu powiedział, ale jego słowa... miały na Devyna ogromny wpływ. Nagle wstrzymano wiele badań.

– Sternicy zastrajkowali? – zapytałem z niedowierzaniem. Ze wszystkich obywateli „Błogosławionego” właśnie oni wydawali się najbardziej lojalni. Nie wiem, z czego to wynikało – może z faktu, że ufaliśmy im, chociaż nie przyjmowali fidusa? Może zostali zmodyfikowani genetycznie w taki sposób, by zawsze wykazywać się posłuszeństwem, a może po prostu, tak

jak Doktorkowi i kilku innym osobom, odpowiadał im system rządów Najstarszego? Tak czy inaczej, niezależnie od przyczyny lojalność Sterników nie podlegała dyskusji.

– Nie, nie strajkowali. Nie tak jak tkacze w zeszłym tygodniu. Wykonywali wszystkie swoje prace, po prostu przestali się zajmować badaniami silnika.

– A co się stało, że znów je podjęli? – Zdawałem sobie sprawę z obecności pozostałych sterników w maszynowni – z ich milczenia i postawy, która wprawiała mnie w zakłopotanie – ale skupiałem całą uwagę na Marae.

– Starszy umarł – odpowiedziała krótko Pierwsza Sterniczka.

Miała na myśli Oriona. Jeszcze będąc Starszym, Orion upozorował własną śmierć, żeby uniknąć groźby prawdziwej śmierci z ręki Najstarszego.

– Po tym wydarzeniu – mówiła dalej Marae – Pierwszy Sternik Devyn wznowił badania nad silnikiem, tyle że trzymał je w jeszcze większej tajemnicy niż wcześniej. Mniej sterników miało dostęp do silnika, a Devyn nie był do końca... ehm... szczery z Najstarszym.

Po przejęciu jego obowiązków pracowałam dalej tak, jak mnie uczył, ale zaczęłam dostrzegać pewne nieprawidłowości.

– Nieprawidłowości?

Znów skinęła głową.

– Pewne rzeczy się nie zgadzały. Niektóre z usterek silnika wydawały się nowe – jakby ktoś spowodował je celowo, i to całkiem niedawno. Wszystkie protokoły z dawnych badań zniknęły. Prawdopodobnie zostały zniszczone, bo nigdy nie udało nam się ich odnaleźć.

A zatem Devyn celowo wprowadzał Marae w błąd... Orion powiedział mu coś, co całkowicie go zmieniło – i to do tego stopnia, że zaczął ukrywać ważne informacje przed innymi sternikami i Najstarszym. Orion stwierdził kiedyś, że „Błogosławiony” leci na autopilocie i nie potrzebuje nas, by dotrzeć na Centauri-Ziemię. Tylko dlatego mówił to właśnie on, skoro najlepiej z nas wszystkich zdawał sobie sprawę, że problemy z silnikiem sięgają znacznie głębiej, niż ktokolwiek przypuszczał?

– Najstarszy też zaczął coś podejrzewać – myślałem na głos.

Marae wpatrywała się w swoje dłonie.

– Rola Najstarszego polega na opiekowaniu się ludźmi, a sterników – na opiekowaniu się statkiem. Ale tak, masz rację. Zanim... zanim zginął, chyba zrozumiał, że coś jest nie w porządku.

Przetarłem twarz obiema rękami, próbując sobie przypomnieć, gdzie słyszałem te słowa po raz pierwszy. W ostatnich tygodniach przed śmiercią Najstarszy spędzał coraz więcej i więcej czasu na Poziomie Sternika.

Kiedy zaczęły się te problemy? Najstarszy upominał mnie, że powinienem skupiać się na ludziach, ale przecież nie mogliśmy być jedynymi Najstarszymi, którzy zrozumieli, że nie wolno nam ignorować kwestii silnika. Co się stało z naszymi poprzednikami? Wszystkie wątpliwości prowadziły do tak zwanej Plagi – to tam łączyły się wątki, tam miały swój początek kłamstwa, tam narodził się fidus. Gdzieś pomiędzy Plagą a dniem dzisiejszym prawda zaginęła i my wszyscy: ja, Najstarszy, sternicy, reszta mieszkańców statku – zarówno ci karmieni fidusem, jak i pozostali – ślepo wierzyliśmy w to, co mówili nam inni.

– Wystarczy – wymamrotałem, opuszczając ręce. – Wystarczy tych kłamstw. Musimy wreszcie skończyć ze starym porządkiem rzeczy. Co d o k ł a d n i e dzieje się z silnikiem? Jeśli to nie kwestia wydajności paliwa, to na czym polega problem? Lecimy zbyt szybko? A może zbyt wolno? No mówcie!

Zrezygnowana Marae przygarbiła się.

– Nie lecimy ani za szybko, ani za wolno. – Nagle zdałem sobie sprawę, że była

smutna, i zobaczyłem w jej oczach prawdziwą troskę. – Nie lecimy w ogóle.

Wróciwszy do swojego pokoju w Szpitalu, sprawdziłam na plastpleju godzinę. Szlag. Było później, niż sądziłam. Z dnia na dzień spędzałam na poziomie kriogenicznym coraz więcej czasu. Początkowo zamierzałam tam biegać, ale potem dałam sobie spokój. Teraz chodziłam tam tylko po to, by zmuszać się do wspomnienia jednej rzeczy z Ziemi, za którą tęskniłam – tak szczegółowo, jak tylko byłam w stanie. A na koniec zmuszałam się do pożegnania z rodzicami. Za każdym razem.

Lampa solarna włączyła się, rozświetlając cały Poziom Żywiciela. Choć jedyne okno w moim pokoju zasłaniała metalowa roleta, pasmo światła przecięło podłogę.

Oficjalnie nadszedł poranek. Świetnie.

Uderzyłam dłonią w przycisk na ścianie. *Pik!* Po kilku chwilach otworzyły się metalowe drzwiczki i w pokoju rozszedł się powiew pary.

– I co, to wszystko? – mruknęłam do leżącego w środku ciastka. Wyjęłam je. Posiłki ze ściany nigdy nie grzeszyły smakiem, ale po raz pierwszy ciastko było tak małe. Przygnębiająco płaskie. Mieściło się w mojej dłoni – dwa kęsy i już po śniadaniu.

Ktoś zapukał do drzwi. Choć były zamknięte, ogarnęła mnie irracjonalna panika.

– Amy?

– Doktor? – Otworzyłam drzwi. Powitała mnie jego poważna twarz.

– Chciałem sprawdzić, jak się masz – powiedział, wchodząc do środka.

– W porządku – odparłam natychmiast. Doktorek kilkakrotnie proponował, że da mi jasnyniebieskie medplasty. Twierdził, że to „na nerwy”, ale nie zamierzałam zawracać sobie nimi głowy. Nie ufałam tym małym plasterkom, które wydzielał pacjentom zamiast tabletek. Nie ufałam żadnym lekcom przygotowanym na statku, gdzie kiedyś wytwarzano fidusa.

– Nie to mam na myśli. – Doktorek lekceważąco machnął ręką. – Chodziło mi... no cóż. Hm. Martwię się o... o twoje bezpieczeństwo.

– Moje bezpieczeństwo? – Opadłam na niepościelone łóżko. Doktorek rzucił okiem w stronę stojącego przy biurku jedyne krzesła w pokoju, ale nie usiadł. Na oparciu wisiała kurtka, blat zagracały plastpleje i książki, które podkradłam z Sali Nagrań. Pewnie nie usiadłby nigdzie bez antyseptycznej chusteczki i lizolu.

Nie żeby był tu w ogóle jakiś lizol.

Doktorek przyjął dziwną pozycję; trzymał ręce blisko ciała, przesadnie prostując plecy.

Ale na jego twarzy malowała się powaga.

– Z pewnością zauważyłaś, że wzrasta... Cóż, nie ulega wątpliwości, że w organizmach ludzi nie ma już śladu fidusa. Teraz zostało nam... Chwilowo statek nie jest zbyt bezpiecznym miejscem, zwłaszcza dla kogoś, kto...

– Dla kogoś, kto wygląda tak jak ja? – zapytałam, przerzucając długie rude włosy przez ramię.

Doktorek drgnął, jak gdyby moje włosy były wykrzychaną w kościele klątwą.

– Tak.

Żadna nowość – jako jedyna pasażerka „Błogosławionego” nie urodziłam się na pokładzie. Podczas gdy w imię etnicznej jednorodności u mieszkańców statku za pomocą genetycznych manipulacji wyeliminowano wszelki indywidualizm, ja miałam bardzo bladą skórę, jasnozielone oczy i rude włosy, które podkreślały moją odmienność. Poprzedni przywódca, Najstarszy, nieszczególnie mi się przysłużył, informując mieszkańców, że jestem nieudanym eksperymentem genetycznym. W najlepszym razie większość z nich miała mnie za dziwadło.

W najgorszym winili mnie za to, że wszystko się waliło.

Przed trzema tygodniami jak zwykle poszłam rano pobiegać. Zatrzymałam się w pobliżu kurzej fermy, żeby popatrzeć na kurczaczki. Na zewnątrz wyszedł farmer z karmą – potężny mężczyzna o rękach tak grubych jak moje nogi. Postawił wiadro na ziemi i po prostu... po prostu zaczął się na mnie gapić. A potem podszedł do bramy i wziął łopatę. Sprawdzał jej ciężar, przesunął palcem po długiej lśniącej krawędzi. Wtedy zerwałam się biegiem, zerkając za siebie przez ramię. Patrzył za mną, z łopatą w dłoni, póki nie zniknęłam mu z oczu.

Od tamtej pory nie biegałam.

– Nie jestem głupia – oznajmiłam Doktorkowi, podnosząc się z łóżka. – Wiem, że ostatnio sprawy nie wyglądają różowo.

Otworzyłam szafę i wyciągnęłam z niej długi kawałek brązowej tkaniny. Materiał był cienki i nieco rozciągliwy. Począwszy od lewego ucha, zaczęłam owijać go wokół czoła, następnie pod burzą rudych włosów i znów dookoła głowy, coraz wyżej, aż wreszcie ukryłam ją całkowicie pod ciemną tkaniną. Kiedy skończyłam, upięłam włosy w kok i związałam rogi materiału w węzeł. Później chwyciłam kurtkę z oparcia krzesła i włożyłam ją, naciągając kaptur na głowę. Wreszcie wsunęłam łańcuszek z krzyżykiem za koszulkę, żeby nikt go nie zobaczył.

– Daleko mu do ideału – stwierdziłam, podczas gdy Doktorek uważnie oglądał moje przebranie – ale jeśli będę trzymać głowę nisko, a dłonie w kieszeniach, nikt nie zauważy, że jestem inna, chyba że podejdziesz naprawdę blisko. – A ja nie zamierzałam do nikogo się zbliżać.

Doktorek pokiwał głową.

– Cieszę się, że o tym pomyślałaś. Jestem... cóż, jestem pod wrażeniem.

Przewróciłam oczami.

– Ale nie sądzę, żeby to wystarczyło – dodał.

Zsunęłam kaptur z twarzy i spojrzałam na Doktorka, celowo chcąc przyciągnąć jego spojrzenie.

– N i e b ę d ę tkwiła tu wiecznie pozamykana na cztery spusty. Wiem, pańskim zdaniem to niebezpieczne, ale nie dam się uwięzić jeszcze bardziej niż teraz. Nie może mnie pan tu trzymać.

Doktorek pokręcił głową.

– Nie. Masz rację. Nie mogę. Sądzę jednak, że potrzebujesz... – Jego dłoń powędrowała do szyi, gdzie wszczepiono mu pod skórę bezprzewodowy komunikator.

– Nie! – Kolejna z wielu kłótni na ten sam temat. Doktorek – Starszy zresztą też – nie rozumiał, dlaczego nie pozwalałam wszczepić sobie wi-komu. Wiedziałam, że Starszy tego chce, bo się o mnie troszczy i martwi. W zasadzie byłoby miło móc pogadać, kiedy tylko nasłaby mnie ochota. Wystarczyłoby dotknąć guzika, a potem pojechać grawiszybem na poziom Starszego, zakomować do niego albo sprawdzić, w której części statku się znajduje.

Wi-kom to komórka doskonała, dzięki niej człowiek jest zawsze podłączony do sieci. Zawsze uwiązany do tego statku – statku, który nie był moim domem. Nie zamierzałam pozwolić, by wszczepiono mi wi-kom, ani dać się zamknąć w tym pokoju. Wi-komy były zbyt... zbyt... zbyt niezmiernie. Po prostu nie mogłam pozwolić, żeby podłączyli mnie kablem do statku, żeby mnie otworzyli i wszczepili coś niezmiernie do mojego ciała, pod skórę, żeby igrali z moim mózgiem. Nie mogłam.

Doktorek sięgnął do kieszeni i wyjął z niej coś płynnym ruchem, kontrastującym z jego zazwyczaj sztywnym sposobem bycia. Wyciągnął to coś w moim kierunku.

– To jest... – urwał. – To jest wyjątkowy wi-kom.



Zmusiłam się, by spojrzeć na przedmiot w jego dłoni – maleńki przycisk, nie większy niż dziesięciocentówka, z trzema kablami wystającymi z każdej strony. W zwykłym wi-komie przycisk krył się pod skórą, za lewym uchem, kable zagłębiały się w ciało. Lecz Doktorek splótł je, tworząc bransoletę. Wzdłuż czerwonego kabla biegł maleńki napis, tak maleńki, że ledwo mogłam go dostrzec.

– Daj mi swoją dłoń.

Posłusznie uniosłam rękę, ale zaraz potem zawahałam się i przyciągnęłam ją do siebie. Nie zdażyłam nawet zaprotestować, kiedy Doktorek chwycił mnie za nadgarstek i wsunął na przegub bransoletę. Zaciśnął ją szybko – na tyle luźno, żeby nie zatrzymywała krążenia, lecz jednocześnie na tyle mocno, żebym jej nie zdjęła. Zanim zdołałam odezwać się choć słowem, zabezpieczył kable metalowym paskiem.

– Musisz podnieść go do ust, żeby coś powiedzieć – wyjaśnił – a potem przystawić do ucha, żeby usłyszeć odpowiedź. W środku znajduje się wzmacniacz. – Wskazał czarną siateczkę wokół przycisku. Całe to ustrojstwo było mniejsze niż słuchawki, które nosiłam, gdy szłam biegać przed lekcjami, ale najwyraźniej o dużo potężniejszej mocy. Doktorek wysłał do mnie żądanie połączenia i urządzenie piknęło wystarczająco głośno, by dźwięk doleciał z nadgarstka do moich uszu. Zaintrygowana uniosłam dłoń do ucha i usłyszałam elektroniczny głosik:

– Żądanie połączenia: Doktor.

– Pan to zrobił? – zapytałam z podziwem.

Doktorek zawahał się. Był tak nienaturalnie skrępowany i zdenerwowany, że przestałam gapić się na bransoletę i zamiast tego spojrzałam mu w twarz.

– Nie – odpowiedział w końcu. – Nie zrobiłem. Znalazłem.

– Gdzie? – Strach wił się moimi żyłami jak robaki przez błoto.

– W Sali Nagrań.

Spojrzałam z odrazą na wi-kom na mojej ręce. Potrafiłam myśleć tylko o podobnej do pajęczej sieci zaognionej bliźnie, która szpeciła szyję Oriona tuż pod lewym uchem. Wyobrażałam sobie, jak kable oplatające teraz mój nadgarstek są wyrwane z jego ciała, całe we krwi.

– Należał do niego? – syknęłam.

Doktorek przytaknął.

– Znalazłem ten wi-kom wśród jego rzeczy. Sam go przerobił. Nie wiem, po co go zatrzymał, nawet jeśli... ale urządzenie działa bez zarzutu. – Doktorek urwał. Nie sądziłam, że to w ogóle możliwe, lecz kiedy spojrzał mi w oczy, wydawał się jeszcze bardziej nieswój. – Był też... list. On zrobił ten wi-kom specjalnie dla ciebie.

– Dla mnie? – Zerknęłam na urządzenie na moim nadgarstku.

– Napisał, że obawia się o twoje bezpieczeństwo. Podejrzewał, że coś mu się stanie, a system Najstarszych upadnie. I miał rację.

Nie wiedziałam, co zrobić z tą informacją. Orion, który próbował zamordować mojego ojca, który zamordował innych ludzi z Ziemi, bezradnych, zamrożonych i bezbronnych, ten sam Orion martwił się o mnie tak bardzo, że przerobił swój wi-kom... Dziwaczne uczucie, po części wdzięczność, po części wstręt, kłębiło się w moim umyśle.

– Nie żebym w ogóle chciała mieć wi-kom, ale nie mógłbyś po prostu zrobić mi drugiego? Nowego? Takiego, którego nikt nie nosił pod skórą?

– Nasze zasoby nie są nieograniczone. Spodziewamy się więcej dzieci, niż mamy gotowych wi-komów, a sternicy z trudem produkują kolejne. Poza tym nie mogę zaprogramować używanego wi-komu dla dziecka. Istnieje duże prawdopodobieństwo,

że z biegiem czasu urządzenie się zużyje.

Zacęłam bawić się metalowym zapięciem, usiłując zdjąć to cholerstwo.

Dłoń Doktora drgnęła, lecz nie próbował mnie powstrzymać. Zamiast tego powiedział:

– Amy, wi-kom jest ci potrzebny. Albo bierzesz ten, albo wszczepimy ci inny.

– Nie zmusi mnie pan...

– Nie, ale Starszy może. Obaj jesteśmy zgodni, o czym sama wiesz, że musisz mieć możliwość wezwania pomocy, jeśli...

Moja dłoń zastygła w bezruchu. Jeśli.

Niech to gzyf. Doktorek miał rację.

Przytaknął, zadowolony, że nie planowałam zerwać i wyrzucić bransolety.

– Dobrze. Chciałem tylko ci to dać. Odezwij się, jeśli... jeśli będziesz czegoś potrzebowała. – Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Ja jednak nawet nie drgnęłam, tak jak wtedy, gdy leżałam w szklanej trumnie, a lód powoli zatrzymywał moje bijące serce.

Gzyf to jedno z i c h słów.

Nie byłam jedną z nich.

Nie byłam jedną z nich nawet z wi-komem na nadgarstku.

Nie byłam.

Nie byłam.

## STARSZY

Minęła długa chwila, zanim znaczenie słów Marae dotarło do mnie w pełni.

– Zatrzymaliśmy się?

Szukałem na twarzach sterników jakiejś wskazówki, że to nieprawda, ale ponuro zaciśnięte szczęki Marae stanowiły dla mnie wystarczający dowód jej szczerości.

Niech to gzyf. I jak miałem powiedzieć o tym Amy?

– A kiedy konkretnie przestaliśmy lecieć? – zapytałem podniesionym tonem. Zachowywałem się jak rozzłoszczone dziecko, ale nic nie mogłem na to poradzić.

– Nie jesteśmy pewni. Jakiś czas temu. Może nawet podczas Plagi. – Marae przygryzła wargę.

– Nie było żadnej Plagi – odparłem z rozpędu. Już o tym wiedziała – po prostu przyzwyczała się do nazywania tego dawnego buntu Plagą, utrwalając kłamstwo, na którym bazował cały system władzy Najstarszych.

Puls serca statku nie milknął nawet na chwilę. *Wrrr-szast-wrrr-szast.*

– Ale jak to możliwe, że się zatrzymaliśmy? Przecież silnik ciągle pracuje. – Nawet ja sam słyszałem, że mój głos wprost ociekał desperacją. Teraz to dziecko nie potrafiło uwierzyć, że bajki o wrózkach nie były prawdziwe.

– Tak naprawdę musimy rozdysponowywać energię, odkąd powstał system Najstarszych. Potrzebujemy jej, by zasilić wewnętrzne funkcje statku. Sama lampa solarna nie świeci już tak mocno jak kiedyś.

Zmusiłem się, by spojrzeć Marae w oczy.

– Więc gdzie tak naprawdę jesteśmy?

Potrząsnęła głową, zdezorientowana moim pytaniem.

– To znaczy?

– Jak daleko od nas jest Centauri-Ziemia? Jeśli zatrzymaliśmy się... tak dawno temu, to nasze szacunki co do daty lądowania muszą być co najmniej... niedokładne. A więc gdzie teraz jesteśmy?

– Nie wiemy – odparła Marae. – W tej chwili nie mamy czasu martwić się lądowaniem. Musimy zadbać o to, by „Błogosławiony” przetrwać.

Władczy ton jej głosu – sposób, w jaki to ona wydawała rozkaz m n i e – sprawił, że poczułem, jakby ktoś wbił mi szpilę w kręgosłup.

– Oto, co zrobimy – wycedziłem. – Jeden ze sterników pierwszego szczebla zostanie przydzielony do nawigacji. Tylko i wyłącznie. Jeśli dowiemy się, jaka odległość dzieli nas od celu, będziemy mogli ocenić, do jakiego stanu musimy doprowadzić silnik. Może wystarczy rozpędzić statek choć trochę, by dowlókł się na Centauri-Ziemie. A może konieczne okaże się rozpatrzenie bardziej drastycznych metod. – Podniosłem głowę, patrząc Marae prosto w oczy. – Tak czy inaczej, poświęćmy lądowaniu więcej uwagi.

Druga Sterniczka Shelby już otwierała usta, by coś powiedzieć, ale Marae uciszyła ją machnięciem ręki.

– Zajmę się tym osobiście – obiecała – najpierw jednak to m y chcielibyśmy złożyć wniosek.

Sposób, w jaki to powiedziała, kazał mi sądzić, że jej wniosek to raczej żądanie, ale mimo to kiwnąłem głową.

– Chcemy, żeby żywiciela znów dostawali fidusa.

Wsunąłem dłoń do kieszeni. Przez głowę przemknęło mi pytanie, czy Marae wie, że noszę przy sobie kable z maszyny do produkcji fidusa – od dnia, gdy Amy je wyrwała.

– Nie – rzuciłem zdecydowanie, zarówno do nich, jak i do siebie.  
– Naprawę da się przeprowadzić stosunkowo łatwo – ciągnęła tymczasem Marae. –  
Druga Sterniczka Shelby wykonała już nawet wstępny raport z uszkodzeń...

Wyciągnęła rękę, a Shelby natychmiast podała jej kolejny plastplej, na którym już jarzył się odpowiedni schemat.

Spojrzałem na wyświetlacz. Rzeczywiście, naprawa była banalnie prosta. Prosta naprawa – i proste rozwiązanie... Wystarczyła odrobina fidusa, może nawet mniej niż pompował do wody Najstarszy, by rozwiązać wiele konfliktów, które nagle wybuchnęły. Ludzie wróciliby do pracy, nie wszczynając awantur.

– Nie – powtórzyłem twardo, ale przyciszonym głosem. – Nie będziemy używać pomp.  
– Nie musimy rozprowadzać fidusa przez pompy. Doktor przygotował nowe medplasty, które zawierają mieszankę...

– Nikt nie potrzebuje fidusa – uciąłem jej rozważania.

Zacisnęła usta, po czym przesunęła palcem po górnej części plastpleja. Diagram zniknął, a zamiast niego pojawił się wykres liniowy.

– W pierwszym tygodniu po odstawieniu fidusa produkcja spadła o dziesięć procent. W tej chwili znajduje się już na poziomie trzydziestu procent poniżej normy i nic nie wskazuje na to, by miała nagle wzrosnąć. – Chciała podać mi plastplej, ale go nie chwyciłem. – Zapasy żywności osiągnęły alarmująco niski poziom, a to tylko największy z naszych problemów. Kończą się nam także inne niezbędne rzeczy, na przykład odzież.

Chciałem coś powiedzieć, jednak Marae nie dała mi dojść do słowa.

– Mamy na pokładzie statku przestępczość – kontynuowała beznamiętnym tonem. – Nigdy wcześniej jej nie było. Przemoc domowa, kradzieże, akty wandalizmu. Z fidusem...

Na to czekałem. Wątpliwości. Ufała lekowi bardziej niż mnie.

– Ja się zajmę ludźmi – odparłem niewzruszenie – a ty zajmij się statkiem.

– Ale Naj... ale Starszy. – Położyła mi szczupłą dłoń na ramieniu. – Po co robić z tego powodu tyle zamieszania? Ci ludzie są tylko robotnikami. Nie muszą być niczym więcej.

– Rozumiem, co masz na myśli. – Złapałem za krawędzie plastpleja.

Nie zamierzałem jej tłumaczyć, że wszystko to zdążyłem już wcześniej przemyśleć.

Ani dlaczego nosiłem przy sobie kable z maszyny do produkcji fidusa.

– Tak naprawdę potrzeba nam sił policyjnych – stwierdziłem. – Takich, jakie mieli na Sol-Ziemi. Będą mi niezbędni ludzie, którym mogę ufać, żeby wszystko przebiegało gładko.

Marae wyprostowała się.

– Siły pouliizyjne?

Tym razem to ja przeciągnąłem palcem po wyświetlaczu i zacząłem stukać w plastplej. Po chwili podałem Marae artykuł na temat policji i nauk społecznych. Przejrzała go pobieżnie, po czym oddała plastplej Shelby.

– Generalnie potrzebuję ludzi, którzy pomogą mi wymóc na mieszkańcach posłuszeństwo wobec prawa, powstrzymać ich przed popełnianiem przestępstw. Jeśli pojawią się jakieś kłopoty, nie dam sobie rady bez wsparcia.

– Sternicy zawsze uznawali zwierzchność Najstarszych. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by nowy system nie upadł. W takim stopniu, w jakim będzie to konieczne.

Chciała przez to powiedzieć: możemy spróbować użyć policji zamiast fidusa. Nie ufałem na tyle ani jej słowom, ani własnej pewności siebie, by zapytać, co zrobi, jeśli mój pomysł okaże się chybiony.

Znałem sterników pierwszego szczebla lepiej niż większość ludzi żyjących

na „Błogosławionym”, choć zaczęliśmy pracować razem dopiero po śmierci Najstarszego, parę miesięcy temu. Potrafiłem czytać w ich twarzach jak w otwartej księdze. Haile, Jodee i Tailor przytakiwali razem z Marae, gotowi przyjąć nową rolę. Prestyn, Brittnie, Buck, a nawet Druga Sterniczka Shelby wyglądali na ostrożniejszych. Wiedziałem jednak, że pójdą za Marae, nawet gdyby nie chcieli iść za mną. Mimo że Pierwsza Sterniczka czasami próbowała rozstawiać mnie po kątach, tak naprawdę nigdy nie zapomniała, jaką pełniłem funkcję – nawet jeśli nie chciałem przyjąć oficjalnego tytułu.

Mogło się udać.

Gdy tylko to pomyślałem, Shelby wydała okrzyk zaskoczenia. Odwróciliśmy się w jej stronę. Trzymała w rękach plastplej, którego przed chwilą używaliśmy. W pierwszej chwili chciała go oddać Marae, ale szybko zrozumiała swój błąd i przekazała go mnie. Sternicy złamali idealny szyk i stłoczyli się wokół mnie, kiedy czytałem wielkie litery migoczące na czarnym wyświetlaczu:

ODRZUĆCIE UCISK SYSTEMU NAJSTARSZYCH

NIE MA PRZYWÓDCY

SAMI RZĄDŹCIE SWOIM ŻYCIEM

– Ktoś włamał się do sieci plastplejów – warknęła Marae, przenosząc na mnie wściekłe spojrzenie. – Czy właśnie do takich rzeczy potrzebujesz sił pouliizyjnych?

– Tak... – W moim głosie brakowało jej pasji. Według wiadomości wyświetlonej na plastpleju byłem nikim i po raz pierwszy od śmierci Najstarszego zacząłem się zastanawiać, czy ten, kto to napisał, przypadkiem nie miał racji.

Marae wyrwała mi plastplej z rąk i spróbowała go wygasić pociągnięciem dłoni. W tej samej chwili ostatnie cztery słowa – SAMI RZĄDŹCIE SWOIM ŻYCIEM – powiększyły się, zajmując całą szerokość wyświetlacza.

– Niech to gzyf...

Po raz drugi tego dnia usłyszałem, jak Marae przeklina, chociaż nigdy wcześniej tego przy mnie nie robiła.

Sternicy ścisnęli się bliżej plastpleja. Wyglądali na zaniepokojonych – Haile i Jodee rozmawiali szeptem, a Brittnie odruchowo sięgnęła do przycisku wi-komu. Shelby bezgłośnie poruszała ustami, czytając wiadomość raz za razem.

– Uspokójcie się – syknęła Marae, a ja natychmiast przeniosłem na nią swoją uwagę – podobnie jak wszyscy sternicy pierwszego szczebla. – To będzie nasze pierwsze zadanie jako sił pouliizyjnych. Nie możemy zawieść Starszego.

Podążyła plastplej Czwartemu Sternikowi Prestynowi.

– To nie będzie takie proste – mruknął Prestyn po chwili. – Zaraz przekażę mojej grupie, żeby zajęła się usunięciem tego robaka.

Marae kiwnęła energicznie głową, a Prestyn ruszył do drzwi, już wyszczekując rozkazy do wi-komu.

– Sprawdzę wszystkie kanały bezpieczeństwa – rzuciła Druga Sterniczka Shelby.

– Musimy poświęcić więcej uwagi badaniom nad metodami zwiększenia bezpieczeństwa w sieci plastplejów – dodała Marae. Pozostali sternicy zaczęli się rozchodzić, a zgiełk krzątający zagłuszał coraz mniej wyraźny szum pracującego silnika.

Marae dotknęła mojego ramienia i odciągnęła mnie na bok. Wciąż widziałem na wyświetlaczu wyraźne białe litery, które układały się w drwiące ze mnie słowa.

- Co zamierzasz zrobić, Starszy? – zapytała.  
Spojrzałem jej w oczy.
- Sam chciałbym to wiedzieć.

Wi-kom miał połączyć mnie ze statkiem, ale przez niego czułam się tylko jeszcze bardziej odłączona od przeszłości. Mimo to... Był mi potrzebny, tak jak mówił Doktorek. Ponieważ nie czułam się bezpiecznie.

Moja dłoń zacisnęła się na nadgarstku. Siniaki już dawno zniknęły, lecz kiedyś chwyciły mnie tam obce dłonie i zmusiły, żebym położyła się na ziemi.

Rozluźniłam palce i wciągnęłam wielki haust powietrza. Nie mogłam dopuścić do siebie tych wspomnień. Nie mogłam na to pozwolić.

Zamiast tego zerknęłam na wi-kom. Wyobraziłam sobie, jak splecione kable wiją się, rozłączając, wsuwając pod skórę, zagrzebując w ciele. Nosiłam coś, co kiedyś znajdowało się wewnątrz innego człowieka. Jakbym nosiła naszyjnik z zębów albo kolczyki z paznokci u nóg. Co gorsza, tym innym człowiekiem był Orion. Marzyłam tylko o tym, żeby zerwać jego wi-kom z ręki i zniszczyć... lecz coś mnie powstrzymywało.

Przynajmniej teraz mogłam się skontaktować ze Starszym. Przez ostatnie tygodnie widywałam go coraz rzadziej – a rozumiałam, serio, wiedziałam, że był zajęty. Ale... Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Cieszyłam się na myśl, że z nim pogadam.

Uruchomiłam przycisk wi-komu i wypowiedziałam imię Starszego. Podniosłam urządzenie do ucha, czekając, aż usłyszę głos. *Pik!*

– Kom-link odrzucony – oznajmił miły żeński głos.

Cóż, mogłabym z nim pogadać. Gdyby odbierał.

Przyjrzałam się wi-komowi – wzdłuż kabli biegł drobny czarny napis. Nie zauważyłabym go, gdybym nie oglądała urządzenia z tak bliskiej odległości. Wcisnęłam palec między splecione kable, oddzielając czerwony od pozostałych, żeby lepiej zobaczyć litery.

Jedno zdanie, trzy słowa powtarzające się w kółko: *Porzućcie wszelką nadzieję*.

W pierwszej chwili zaczęłam się zastanawiać, jakim sposobem Doktorek tego nie zauważył. Mówił, że oczyścił wi-kom. Ale to pewnie kolejne świadectwo tego, jak bardzo niezrównoważony – czyli, mówiąc wprost, szurnięty – był Orion. Nie zdziwiłabym się, gdyby Doktorek zauważył wiadomość i mimo to dał mi wi-kom – napisane słowa nie miały wpływu na działanie tego durnego ustrojstwa. Doktorka bardziej obchodziła praktyczność niż jakieś pozostałości obłądu Oriona wplecione w to urządzenie.

Poza tym słowa były trafne. Jeżeli czegoś mi zabrakło, to nadziei. Zupełnie jakby Orion zostawił tę wiadomość dla mnie.

I wtedy zdałam sobie sprawę, że tak właśnie było.

Doktorek wspominał, że do wi-komu załączono list. Na swój sposób był to mój spadek.

Myśli wirowały w mojej głowie. Orion nie musiał mi mówić, że na pokładzie „Błogosławionego” nie ma dla mnie nadziei. Sama do tego doszłam. Ale... może chciał przez to powiedzieć coś więcej... Wiedziałam, skąd pochodziły te słowa. Według mojej nauczycielki angielskiego z dziesiątej klasy, pani Parker, był to jeden z najsłynniejszych literackich cytatów – obok Rhetta Butlera, którego nic to nie obchodzi, i Hamleta roztrząsającego, czy być, czy może jednak nie być. „Porzućcie wszelką nadzieję” to słowa wypisane nad wrotami Piekła w *Boskiej komedii* Dantego.

Doktorek nie mógł tego wiedzieć, ponieważ dostęp do książek był zakazany, odkąd Starszy przejął władzę nad „Błogosławionym”. Spośród wszystkich pasażerów chyba jako jedyna znałam ziemską literaturę.

To znaczy wszystkich z wyjątkiem Oriona, który spędził większość życia ukryty w Sali

Nagrań, za towarzystwo mając tylko słowa i fikcyjnych bohaterów.

Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że to nie były przypadkowe słowa, które Orion gdzieś sobie nagryzmołił. „Porzućcie wszelką nadzieję” to konkretna fraza z konkretnej książki, zapisana na wi-komie pozostawionym konkretnie dla mnie.

Może za bardzo się wczytywałam. To pewnie nic takiego. Ale miałam już dość „niczego”, byłam gotowa na „coś”. Cokolwiek. Wolałam pójść do Sali Nagrań i sprawdzić cytaty w *Boskiej komedii*, niż tkwić dalej w pokoju i gapić się na ściany. Zapięłam kurtkę aż po samą szyję i ruszyłam do windy. Byłam podekscytowana, moje nogi aż się rwały do biegu... Jednak gdy znalazłam się na zewnątrz, przypomniałam sobie, że bieganiem tylko zwrócę na siebie uwagę, dlatego szłam z pochyloną głową i naciągniętym kapturem. Wspinając się po schodach do Sali Nagrań, z przyzwyczajenia podniosłam wzrok. We wnęce przy drzwiach wisiał portret Starszego, jedno z ostatnich dzieł Harleya. Od wielu dni nie udało mi się bardziej zbliżyć do Starszego; z biegiem czasu kierowanie „Błogosławionym” pochłaniało go coraz mocniej. Pod wieloma względami tkwił w gorszym więzieniu niż ja.

Namalowany Starszy spoglądał z Sali na swoje królestwo. Skręciłam, podążając ścieżką wyznaczoną przez jego namalowane oczy.

Na krótką chwilę oślepił mnie blask lampy solarnej. Pograżona przez ułamek sekundy w ciemności, zdałam sobie sprawę z czegoś, o czym wcześniej nie miałam pojęcia: nie potrzebowałam wzroku, by poruszać się po każdym calu Poziomu Żywiciela. Nawet z zamkniętymi oczami wciąż widziałam pofałdowane pola na idealnie podzielonych polach. Znałam szczegółowo deseny kolorów przyczep tworzących Miasto na dalekim krańcu statku i wiedziałam, w którym miejscu metalowych niebios znajdowały się nity spajające dach, tak wysoko, że nie byłam w stanie ich dostrzec. Mogłabym przywołać z pamięci kształt każdej malowanej chmury.

Próbowałam przypomnieć sobie, jak wyglądał mój dom w Kolorado, ale wymykały mi się niektóre szczegóły. Okienne – były czerwone jak cegła czy jak wino? Jakie kwiaty zasadziła mama na trawniku przed domem?

Znałam „Błogosławionego” lepiej, niż pamiętałam Ziemię.

– Zejdź mi z drogi, dziwołagu. – Zwalista kobieta trąciła mnie ramieniem, wychodząc z Sali Nagrań. Musiałam wyglądać jeszcze dziwniej niż zwykle. Sterczałam jak słup soli w wejściu, ubrana w kurtkę, podczas gdy inni nosili krótkie rękawy.

Młody mężczyzna, smukły i wysoki, gapił się na mnie otwarcie, podążając za kobietą w stronę ścieżki prowadzącej do Szpitala. Naciągnęłam kaptur głębiej. Schodząc z ostatniego stopnia, mężczyzna odwrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć. Coś w jego wzroku sprawiło, że obróciwszy się na pięcie, prędko weszłam do środka.

„Błogosławiony” nie tylko zastąpił Ziemię w moim umyśle; zastąpił mi dom.

A zamieszkiwali go ludzie, którzy za nieruchomym wzrokiem ciemnych oczu kryli również ciemne myśli.

Potrząsnęłam głową, chcąc wyrzucić z niej zarówno dawny dom, jak i nieznanego. Zajmowanie się obiema tymi sprawami to tylko strata czasu.

Wewnątrz Sali Nagrań panowała ciemność i cisza. Przebywający w niej ludzie ignorowali mnie, choć nie robiliby tego na zewnątrz, gdzie sztuczne słońce świeciło na moją bladą skórę i rude włosy wystające spod szala. Skupiali się na informacjach, które widzieli i przyswajali po raz pierwszy w życiu. Nie na mnie.

Dlatego lubiłam tu przychodzić.

Przy każdym z zawieszonych na ścianach olbrzymich cyfrowych monitorów tłoczyli się



ludzie. Choć Starszy otworzył Salę Nagrań dla wszystkich na pokładzie, większość żywicieli poprzestawała na przeglądaniu plastplejów – o ile w ogóle tu przychodzili. Nieliczni ośmielali się pójść do dalszych pomieszczeń pełnych książek; mało kto wędrował na pierwsze czy drugie piętro, żeby obejrzyć galerię.

Każdy ze ściennych plastplejów był oznaczony innym tematem. HISTORIA, ROLNICTWO i NAUKA cieszyły się największą popularnością. Grupa licząca niemal tuzin osób spoglądała na diagram reaktora nuklearnego na plastpleju naukowym i spierała się cicho o jakiś szczegół.

Najmniej popularny był plastplej LITERATURA. Zaledwie garstka młodych kobiet przeglądała kopię *Romea i Julii* Szekspira. Przebijały się przez warstwę językową z większym trudem niż moi koledzy w dziewiątej klasie. Zastanawiałam się jednak, co będzie, gdy już przebrną przez wszystkie te „azaliże”, „cóżże” i „Czy szanowny pan gra nam na nosie” – odejdą z myślą, że tak właśnie wygląda miłość? Rozważałam, czy nie przystanąć i nie opowiedzieć im o debacie, jaką urządziliśmy w klasie, kiedy dowodziłam, że *Romeo i Julia* tak naprawdę się nie kochali. W dziewiątej klasie byłam bardzo pewna siebie – wygrałam debatę (i nagrodę w postaci zwolnienia z pracy domowej) i atakowałam stronę przeciwną z taką żarliwością, że wywołałam poruszenie wśród całej klasy. Lecz teraz... teraz nie potrafiłam sobie przypomnieć ani jednego argumentu żadnej ze stron i nie wiedziałam, co powiedzieć tym młodym kobietom. Jak mogłabym dowiedzieć, że *Romeo i Julia* nie opisuje prawdziwej miłości, ludziom, którzy nie mieli pojęcia, czym naprawdę jest miłość? Tym bardziej że sama nie wiedziałam, czym naprawdę jest miłość – wiedziałam jedynie, czym nie jest.

Naraz wszystkie plastpleje na ścianach zgasty.

– Hej! – krzyknęła jedna z dziewczyn czytających Szekspira.

– Co się dzieje? – warknął tęgi mężczyzna przy plastpleju rolniczym.

Olbrzymie słowa złożone z jaskrawych białych liter zaczęły przesuwają się przez pociemniałe ekrany, wypełniając salę powtarzającym się zdaniem:

SAMI RZĄDZCIE SWOIM ŻYCIEM

Otworzyłam szerzej oczy i naciągnęłam kaptur jeszcze głębiej na twarz, tak mocno, że szwy z tyłu naprężyły się. Podczas gdy pozostali byli pochłonięci czytaniem słów i głowieniem się, jakim sposobem rozbłysły na ich plastplejach, pospiesznie udałam się na tył sali, w kierunku bibliotek. Coś takiego musiało się w końcu stać. Starszy spędzał cały swój wolny czas ze mną w Sali Nagrań, czytając o siłach obywatelskich i policyjnych, lecz według mnie tak naprawdę nie rozumiał, że niektórzy ludzie chcą się buntować tylko dlatego, iż po raz pierwszy w życiu mogą.

– Czyja to sprawka? – Przez szemranie tłumu przebił się męski głos. Nieufny, może nawet przestraszony, ale też agresywny, jakby jego właściciel chciał znaleźć i ukarać tego, kto włamał się do sieci plastplejów.

– Co to znaczy? – zapytała stojąca niedaleko mnie kobieta. Jej koleżanka wybałuszyła oczy ze strachu i gwałtownie potrząsnęła głową; jej włosy smagnęły ją po policzkach.

Kobieta przy plastpleju naukowym zaczęła pukać w ekran, próbując usunąć z niego wiadomość. Jej starania nie przyniosły jednak żadnego skutku, na co zgromadzony wokół niej tłum zareagował niespokojnym szeptem. Najwyraźniej ten, kto włamał się do plastplejów, wykonał dobrą robotę.

– Najstarszy musi to naprawić – stwierdził pierwszy mężczyzna. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że miał na myśli Starszego. Wiele osób stojących wokół mężczyzny pokiwało głowami, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Plastpleje działały, dopóki nie przyszło to dziwadło – powiedziała głośno i wyraźnie jedna z kobiet, które czytały *Romea i Julię*. Zaczęła szukać mnie w tłumie przy wejściu. Schyliwszy głowę, pobiegłam do sali na tyłach.

Wstrzymywałam oddech, dopóki nie znalazłam się w dziale z beletrystyką. Drzwi zamknęły się za mną automatycznie. Nie miały zamka – jak prawie wszystkie drzwi na statku – ale liczyłam, że wystarczy tu przeczekać, by ludzie przy wejściu zapomnieli o swoim gniewie i o mnie.

Sala z beletrystyką była mniejsza niż pozostałe pomieszczenia na tym piętrze – najwyraźniej budowniczcy statku uznali, że historia czy nauka są ważniejsze niż powieści. Szkoda, że nie wyglądała bardziej jak moja domowa biblioteka, z wielkimi pluszowymi poduchami do siedzenia na podłodze, ciemnym dywanem, plakatami ze słynnymi autorami na ścianach i przykurzonymi kwadratowymi okienkami, przez które sączyło się światło słońca. Tymczasem pomieszczenie z beletrystyką przypominało wszystkie pozostałe – było zimne, sterylne, zbyt czyste, jak szpitalna sala z książkami zamiast łóżek, białymi kafelkami na podłodze, surowymi ścianami i stołem ze srebrzystego metalu.

Choć wszędzie lśniło czystością, znad tomów unosiła się woń kurzu i starych papierów. Książki stały w porządku alfabetycznym, bez względu na tematykę. Chaucer przed Agathą Christie, J.K. Rowling przed Dr. Seusem i Szekspirem. Dotarłszy do końca rzędu, spojrzałam na następny i zobaczyłam nieczytelne tytuły, niektóre w językach, których się domyślałam – francuskim, niemieckim, hiszpańskim – innych zaś nawet nie próbowałam rozszyfrowywać. Chińskie? Koreańskie? Japońskie?

Mogłabym się tu zgubić, musiałam jednak sprawdzić, czy Orion naprawdę zostawił dla mnie wskazówkę zapisaną w cytacie na kablu od wi-komu. Zostałam na chwilę baśnie i poezję – braci Grimm i Goethego – i ruszyłam do pierwszego regału, przesuując palcem po nierównych grzbietach książek. Przeglądałam tytuły: *Wędrówka Pielgrzyma*, *Gra Endera*, *Pulapka na myszy*, aż w końcu znalazłam ten, którego szukałam.

Dante Alighieri, *Piekieł*, pierwsza część *Boskiej komedii*, ustawiona tuż obok cienkiego tomiku sonetów Szekspira. Ironia losu – wiersze miłosne obok poematu o piekle. Wyciągnęłam zbiór i rzuciłam na metalowy stół w pobliżu drzwi, żeby odłożyć go potem pod literę S, po czym chwyciłam Dantego.

Już sam tytuł przywołał wspomnienie zajęć z literatury angielskiej z panią Parker. Czulałam twarde siedzisko szkolnej ławki. Przypomniałam sobie, jak śmiałyśmy się z Ryanem i Mikiem podczas pracy nad końcowym referatem.

Zabawne, książka o piekle nasunęła mi myśl o domu.

Kiedy zdjęłam *Piekieł* z półki, coś się z niego wyślizgnęło i sfrunęło na podłogę. Schyliłam się, żeby to podnieść – cienki jak papier prostokątny arkusz czarnego plastiku, o rozmiarach mniej więcej otwartej dłoni. W dotyku przypominał plastplej, był jednak mniejszy, a w jednym rogu znajdował się wypukły, twardszy występ wielkości paznokcia. Wsunęłam go do kieszeni. Starszy pewnie będzie wiedział, co to takiego. Wstałam i ponownie sięgnęłam po Dantego.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Ujrzałam w przelocie przerażoną kobietą twarz – oczy szeroko rozwarte ze strachu, wzburzone ciemne włosy. Dziewczyna minęła mnie pędem i dopadłszy ostatniego regału na odległym końcu sali, schowała się za nim.

Podbiegłam i padłam na kolana tuż obok niej. Była roztrzęsiona.

– Co się stało? – zapytałam, wyciągając rękę. Wreszcie mogłam dobrze się przyjrzeć i dotarło do mnie, że znam tę kobietę. To była Victria, przyjaciółka Harleya i Starszego. Dziewczyna, która pisała, chyba opowiadania albo powieści. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy,

opowiadałam jej o nieskończonym ziemskim niebie, a ona splunęła mi w twarz, potępiając na oczach wszystkich.

Cofnęła gwałtownie rękę. Pot spływał jej po twarzy i ramionach, dyszała ciężko.

– Luthe... Luthor. On...

O n.

To on. To właśnie on przed trzema miesiącami przytrzymał mnie leżącą na ziemi, to on wykorzystał Gody jako wymówkę i próbował mnie zgwałcić. Był taki jak Harley i Starszy – świadomy otaczającego go świata, bez otepiałego umysł fidusa. Wiedział doskonale, co robi, kiedy rzucił mnie na ziemię i naparł na mnie całym ciałem. Kiedy patrzył, jak nadzieja znikła z moich oczu. Kiedy przestałam się bronić.

Mówił, że ma na imię Luthe, lecz Victoria powiedziała o nim Luthor. Jak Lex Luthor, największy wróg Supermana, tylko że wyczyny łysego superzłoczyńcy wydawały się śmieszne w porównaniu ze złem, jakie kryło się pod skórą tego Luthora. Wtedy zdałam sobie sprawę – Luthe to zdrobnienie. Tak nazywali go przyjaciele. Pomysł, że miałabym tak o nim mówić, napęlił mnie obrzydzeniem. Nie chciałam myśleć o nim tak, jak jego przyjaciele.

Drzwi znów się otworzyły. Victoria zaskomliła cicho, chowając twarz. Zerwałam się.

Stał w wejściu, rozglądając się po pomieszczeniu.

Wyłowił mnie wzrokiem.

I uśmiechnął się. Powoli...

Uwodzicielsko.

## STARSZY

Drzwi były zamknięte. Tak jak je zostawiłem.

Po... po tym wszystkim...

Po tym, jak zamroziliśmy Oriona.

Po tym, jak Amy poznała prawdę.

Po tym, jak umarł Najstarszy.

A ja patrzyłem.

Patrzyłem, jak umierał.

Po tym wszystkim dowlokłem się z powrotem na Poziom Strażnika. Pusty, głuchy Poziom Strażnika. Włamałem się do kwatery Najstarszego i znalazłem tam jego zapas alkoholu. Przez bite dwa dni byłem pijany, a przez następne dwa wymiotowałem, aż w końcu wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi na klucz – jedno z niewielu, które miały zamek.

A na koniec zastawiłem je stołem.

Teraz odsunąłem ten stół tak gwałtownie, że przewrócił się i uderzył krawędzią blatu o metalową posadzkę.

Kiedyś Poziom Strażnika wydawał mi się zbyt wielki, wystarczająco duży, by pomieścić na stojąco wszystkich pasażerów statku i karmić ich kłamstwami, podczas gdy oni gapili się w sufit i wzdychali do żarówek, które nazywali gwiazdami.

Gdy mieszkałem tu razem z Najstarszym, otaczająca nas przestrzeń wypełniona pustką i ciszą wydawała się po prostu ogromna. Teraz zostałem sam, a Poziom Strażnika sprawiał wrażenie klaustrofobicznie małego.

Zapisał wi-kom. Z irytacją wcisnąłem przycisk, by odrzucić połączenie.

I zanim zdążyłem wybić sobie z głowy ten pomysł, zanim zdążyłem odejść i obiecać sobie, że wrócę tutaj później...

Otworzyłem drzwi kwatery Najstarszego.

Cząsteczki kurzu tańczyły w smudze światła, gdy wszedłem do środka. Odetchnąłem głęboko, spodziewając się, że poczuję piżmowy zapach mydła, którego używał Najstarszy, ale odór pleśni zdominował wszystkie pozostałe wonie. Stopy kleiły mi się do podłogi. Tuż za progiem leżała przewrócona butelka; pusta – wszystko się wylało. Ślad, który znaczył moją obecność w miejscu, gdzie mieszkał Najstarszy.

Pokój był brudny i zagracony, ale to Najstarszy nie dbał o porządek. Najwyraźniej nie ścielił łóżka – w jego nogach leżał zwinięty w rulon koc – a spod ramy wystawała sterta zmiętych ubrań. Brudny talerz z wysuszonymi okruszkami został porzucony niebezpiecznie blisko stolika nocnego.

Poczułem się tu jak intruz, włóczęga, który wkroczył na prywatny teren, ale zaraz potem przypomniałem sobie, że formalnie rzecz biorąc, to ja jestem teraz Najstarszym i mam większe prawo do tego pokoju niż nieboszczyk.

Dostrzegłem na biurku pozostałości modelu silnika. Podniosłem niewielki rdzeń reaktora zrobiony z żywicy i ostrożnie starłem z niego kurz. Po raz pierwszy widziałem ten gzyfowy gadżet, gdy Najstarszy postanowił go przede mną ukryć. Zważyłem model w dłoni. Najstarszy już wtedy wiedział, że coś jest nie w porządku. Gdyby od razu wyznał mi prawdę, być może wspólnymi siłami znaleźlibyśmy rozwiązanie problemu. Gdyby wszyscy byli gzyfowo szczerzy, prawdopodobnie chodzilibyśmy już po powierzchni Centauri-Ziemi!

Rzuciłem modelem przez pokój. Rozbił się o ścianę nad łóżkiem, a fragmenty żywicy spadły na poduszkę – wciąż zapadniętą w miejscu, gdzie Najstarszy kładł głowę.

Szlag.

Przetarłem dłońmi twarz.

Szlag.

Wiadomość wpuszczona przez hakera do systemu plastplejów i entuzjazm Marae, by utworzyć pierwsze siły policyjne, pomogły mi wyprzeć z umysłu ważniejszą prawdę.

My nigdzie nie lecieliśmy.

My się zatrzymaliśmy.

Patrząc na zniszczone elementy modelu silnika, nagle coś zrozumiałem. Niczego im nie powiem. Nie ma mowy. Dotychczas nawet nie przeszłoby mi przez myśl, że dam się wplątać w pajęczynę kłamstw, którą Najstarszy utkał na „Błogosławionym”, ale ja po prostu nie mogłem im powiedzieć. Przyznać się, że nie lecimy już nawet zbyt wolno – że stoimy w miejscu? Jeśli odstawienie fidusa wystarczyło, by w sieci plastplejów pojawiły się nawoływania do rewolucji, to po takiej wiadomości ludzie rozerwaliby statek na strzępy. Własnymi zębami przegryźliby metal ścian i dali się połknąć ciemności kosmosu.

Tak jak Harley.

Przesunąłem palcami po włosach, zahaczając o kołtuny. Co ja tu robię? Nawet jeśli Najstarszy podejrzewał, że statek się zatrzymał, to na pewno nie ukrył klucza do rozwiązania zagadki silnika w swojej sypialni.

Plastplej na biurku Najstarszego zamigotał. Wyraźne białe słowa zbledły i stopiły się z czarnym tłem. Usłyszałem sygnał restartu, a po chwili na wyświetlaczu pojawił się zwykły ekran startowy. Nie byłem pewien, co zrobiła Marae i pozostali sternicy pierwszego szczebla, ale najważniejsze, że zrobili to skutecznie. Wiadomość hakera znikła.

Znów zgłosił się mój wi-kom.

Już chciałem odebrać połączenie, gdy raptem coś przyciągnęło moją uwagę – dodatkowe drzwi. Uciszyłem pisk w lewym uchu i ruszyłem w ich stronę, przestępując nad stertą brudnych ubrań. Skąd się tu wzięły dodatkowe drzwi? Oczywiście były także te, które prowadziły do łazienki, ale tych tutaj nigdy wcześniej nie widziałem. Wchodziłem do kwatery Najstarszego tylko dwukrotnie i za każdym razem byłem skupiony na poszukiwaniach czegoś innego: najpierw modelu silnika, a później – alkoholu.

Podłoga pod tajemniczymi drzwiami była wytarta i mieniła się tęczowo. Najstarszy musiał z nich często korzystać. Ręka mi drżała, gdy sięgnąłem w stronę staromodnej klamki – była zrobiona z sol-ziemskiego metalu. Nie chciała się przekręcić, ale wystarczyło pociągnąć i drzwi ustąpiły. Zajrzałem zaciekawiony do środka.

Schówek.

Na pokładzie „Błogosławionego” schowki należały do rzadkości. Większość sypialni była wyposażona w zwykłe szafy, choć musiałem przyznać, że spodziewałem się czegoś więcej. Rozczarowany, zacząłem się odwracać, ale wtedy dostrzegłem coś kątem oka. Z pudła leżącego na podłodze schowka wystawał kawałek szmaty. Miała nietypowy, zielononiebieski kolor, którego wspomnienie mieszkło w najgłębszych zakamarkach mojej duszy.

Wciągnąłem powietrze w płuca i na chwilę przestałem oddychać, a gdy sięgnąłem w stronę pudła, moje ręce były jak odretwiąte.

Wprowadzając się na Poziom Strażnika, miałem ze sobą tylko jedną rzecz – koc. Nieduży poplamiony wytarty kawałek materiału w kropki. W nietypowym, zielononiebieskim odcieniu.

Ten koc był najstarszym przedmiotem, jaki kiedykolwiek posiadałem. Kiedyś wydawało mi się, że dostałem go po rodzicach. Jak każdy Starszy, nie mogłem ich poznać, ponieważ nie umiałbym traktować ich w sposób bezstronny. A przynajmniej tak twierdził Najstarszy. W rzeczywistości byłem klonem – nikt mnie nie urodził, zostałem wyprodukowany.

Najstarszy prznosił mnie od rodziny do rodziny, póki nie skończyłem dwunastu lat. Sześć miesięcy z pasterzami, sześć z rzeźnikami, sześć z farmerami soi.

Przez te przeprowadzki nigdy nie wiedziałem, która z tych rodzin była moja.

Mój był tylko koc.

W moim najwcześniejszym wspomnieniu ukrywałem się pod tym kocem, gdy powiedziano mi, że czeka mnie kolejna przeprowadzka. Nie pamiętałem już, u której rodziny wtedy mieszkałem ani do której później trafiłem, ale nakryłem się kocem i myślałem, że może, może kiedy byłem całkiem malutki, owijała mnie w niego mama – p r a w d z i w a mama – i przytulała do piersi.

Kilka dni po przybyciu na Poziom Strażnika wdałem się z Najstarszym w sprzeczkę, a on nazwał mnie niemożliwym, rozpieszczonym dzieckiem. Wparowałem do swojego pokoju i zacząłem tłuc pięścią w ścianę, przy okazji zrzucając wszystko z półki, aż nagle zauważyłem zielononiebieski koc – symbol mojego dzieciństwa.

Chciałem rozdrzeć go na pół, ale nie potrafiłem, więc wrzuciłem go do zsypu.

Najstarszemu w jakiś sposób udało się uratować koc. Przez wiele lat trzymał go w swojej kwaterze. Przycisnąłem teraz materiał do twarzy, wspominając, kim był ten człowiek, a kim tak naprawdę nigdy nie był.

Na wieszaku w schowku wisiała tylko jedna rzecz – toga, którą Najstarszy wkładał wyłącznie podczas ważnych okazji. Sięgnąłem po nią, wrzuciwszy koc z powrotem do pudła. Była cięższa, niż się spodziewałem, i bez wątpienia wełniana. Zanim Najstarszy podjął się mojego szkolenia, gręplowałem wełnę i tkąłem z niej tyle razy, że z łatwością rozpoznałem woskowo-chropowatą fakturę materiału. Na całej długości i szerokości togi biegły ozdobne hafty. W górnej części igrały gwiazdy, wzdłuż dolnego brzegu ciągnęły się kłosa, a pomiędzy nimi widniała linia nieskończonego horyzontu.

Zapięcie ustąpiło pod moimi palcami, więc wślizgnąłem się w ceremonialny strój Najstarszego. Ciężar togi przygniótł mi ramiona, sprawił, że zacząłem się garbić. Kraj szaty, za długiej o cal albo nawet dwa, leżał na podłodze, a moja pierś była zbyt wąska, by wypełnić obszerne wnętrze. Gwiazdy zapadły się wokół mojej sylwetki.

Wyglądałem idiotycznie.

Ściągnąłem togę i powiesiłem ją w schowku.

Musiałam się stamtąd wydostać. Musiałam wyjść. Natychmiast. Nie mogłam tam zostać. Nie z nim. Uciec, musiałam uciec. Natychmiast. N a t y c h m i a s t. Tylko dokąd? Przekroczył próg i w okamgnieniu już stał przy mnie. Podszedł blisko, tak blisko, że czułam, jak żar jego ciała parzy moją skórę. Kiedy nabrałam powietrza do płuc, żeby krzyknąć, wciągnęłam też jego oddech. Luthor podniósł rękę i krzyk zamarł w moim gardle. Dusił mnie, zapierał dech.

Luthor zrzucił mi kaptur z twarzy. Chwycił za kasztanowy szal owinięty wokół mojej głowy, a ja szarpnęłam się do tyłu i włosy spłynęły mi na ramiona. Regał za mną był jak nieustępliwa ściana. Dłoń Luthora prześlizgnęła się obok mojej twarzy i złapała za włosy. Szarpnął mocno, przyciągając mnie do siebie. Walczyłam z jego chwytem. Nieważne, czy wyrwie mi włosy, nie zamierzałam pozwolić, żeby mnie kontrolował. Sięgnęłam za siebie i chwyciłam za grzbiety dwóch książek. Gdy Luthor owinął sobie moje włosy wokół dłoni, zmuszając, żebym na niego spojrzała, uderzyłam go w skronie.

– Aaaaaach! – wydał z siebie nieludzki ryk bólu i chwycił się oburącz za głowę. Potok przekleństw – część znałam, części nie – popłynął w ślad za mną, gdy cisnęłam książki na podłogę i umknęłam przed jego ręką.

– Chodź! – krzyknęłam do Victrii, która wciąż kryła się za ostatnim regałem. Wyszła zza niego, a ja złapałam ją za nadgarstek i pociągnęłam, wybiegając w kierunku sali.

Luthor prędko ruszył za nami, miałyśmy jednak wystarczającą przewagę, by dotrzeć do zatłoczonego westybulu, zanim nas dogonił. Dopiero tam się zatrzymałam. Wiadomość, która jeszcze przed chwilą wypełniała wszystkie ekrany, znikła i teraz plastpleje pracowały normalnie. Niska kobieta w nieskazitelnym nakrochmalonym ciemnym stroju, jakie preferowali sternicy, stała przy plastpleju naukowym, pogrążona w rozmowie z grupą, która wcześniej dyskutowała nad schematami silnika. Kilka osób, zaskoczonych naszym nagłym wtargnięciem, podniosło wzrok, lecz większość w ogóle nie zwróciła na nas uwagi.

Luthor stanął w wejściu do sali, zaciskając dłonie na framugach i nie odrywając od nas spojrzenia. Teraz nie mógł nic zrobić. Nie w obecności tych wszystkich ludzi. Było już po Godach, po fidusie. Nie miał żadnej wymówki.

Victria wyrwała dłoń z mojego uścisku.

– Dzięki – mruknęła, choć bardziej przypominało to warknięcie.

– Hej! – głos Luthora odbił się echem od ścian pomieszczenia. Większość ludzi odwróciła się w jego stronę, ale Victria pochyliła nisko głowę i pospieszyła do wyjścia, porzucając mnie pośrodku sali. Puściwszy framugę, Luthor ruszył w moją stronę.

– Myślisz, że możesz tak po prostu mnie zostawić? – krzyknął.

– Wiem, że mogę – odparłam i zdążyłam nawet zrobić kilka kroków w stronę drzwi, zanim chwycił mnie za łokieć i odwrócił.

Rozejrzałam się po sali. Wszyscy na nas patrzyli. Kilka osób podeszło bliżej. Sądząc po niepokoju w ich oczach, byli bliscy ruszenia mi z pomocą. Mimo to – wahali się. Ponieważ on był jednym z nich. A ja nie.

– Wszystko się zmieniło – syknęłam, szarpnięciem uwalniając rękę. – Wydaje ci się, że możesz sobie wziąć, co tylko chcesz, ale się mylisz.

Cofnęłam się szybko, zdecydowana uciec, zanim Luthor tknąłby mnie chociaż palcem. Rozległ się jego śmiech, obrzydliwy dźwięk, od którego dreszcz przebiegł mi wzdłuż kręgosłupa.

– To prawda, wszystko się zmieniło! – krzyknął. – Nie mamy już przywódcy!

Odwróciłam się na pięcie.

– Przywódcą jest Starszy! – Mój głos, wysoki i donośny, wydobył się z mojego gardła jak wściekły skrzek. Nie potrafiłam wyrzucić z głowy słów, które rozbrzły na plastplejach.

Luthor parsknął pogardliwie.

– Myślisz, że ten chłopiec mnie powstrzyma? Że powstrzyma kogokolwiek z nas? – Rozpostarł szeroko ramiona, wskazując cały tłum, który przyglądał się z zainteresowaniem naszej kłótni pośrodku pogrążonego w ciszy westybulu. – Możemy robić, co nam się żywnie podoba – powiedział Luthor cicho, tak że jego słowa dotarły tylko do moich uszu. Uśmiechnął się szeroko i rozejrzał, a potem podniósł głos aż do potężnego ryku: – Możemy robić, co nam się żywnie podoba!

Widziałam to w twarzach otaczających nas ludzi.

Świadomość, że to, co powiedział Luthor, było prawdą.



## STARSZY

- Starszy? – usłyszałem, gdy zamknęły się za mną drzwi kwatery Najstarszego.
- Co jest, do gzyfa? – wymamrotałem, spoglądając na prawo i lewo. Tylko ja miałem wstęp na ten poziom.
- Przy framudze wejścia do Centrum Edukacyjnego błysnęły rude włosy.
- Amy? – rzuciłem zaskoczony, ruszając pospiesznie w jej stronę.
- Uśmiechnęła się – niezbyt szeroko, unosząc kąciki ust tak nieznacznie, że uśmiech nie sięgnął jej oczu.
- Miałam nadzieję, że cię tu znajdę.
- Jak... jak się tu dostałaś?
- Przeszła z Centrum Edukacyjnego do Wielkiej Sali i uniosła lewą rękę.
- Doktorek ci to dał – stwierdziłem z entuzjazmem, oglądając wi-kom oplatający jej nadgarstek.
- Przytaknęła.
- Pomyślałam sobie... Kiedyś należał do Oriona, więc doszłam do wniosku, że pewnie udzieli mi dostępu na Poziom Strażnika, i... – Wzruszyła ramionami. – No i miałam rację. Próbowalam do ciebie zakomować, ale nie odbierałaś. A może zrobiłam coś złe?
- Nie. Musiałem odrzucić kilka połączeń.
- Amy szturchnęła mnie lekko w ramię.
- Ignorujesz m n i e?
- Nie potrafiłbym, nawet gdybym chciał – odparłem.
- Znów się uśmiechnęła, lecz i tym razem nieznaczna krzywizna ust nie rozjaśniła tak naprawdę jej twarzy. Staliśmy kilka stóp od siebie – ona bliżej drzwi Centrum Edukacyjnego, ja mniej więcej na środku Wielkiej Sali. Milczenie wypełniło dzielącą nas przestrzeń w niemalże namacalny sposób, wprawiając mnie w zakłopotanie. Amy wyciągnęła łańcuszek spod koszulki i zaczęła obracać krzyżyk w palcach.
- Co się stało? – zapytałem.
- Nic – odpowiedziała natychmiast, puszczając wisiorek.
- Zmrużyłem oczy, ale pozwoliłem chwili przeminąć.
- Dawno się nie widzieliśmy – stwierdziła w końcu Amy. Stała nieruchomo w miejscu, więc zrobiłem kilka kroków w jej stronę. Włożyła jedną rękę do kieszeni, a ja przez chwilę miałem wrażenie, że chce stamtąd coś wyciągnąć.
- Musiałem zająć się problemami w Mieście, a potem... na Poziomie Sternika.
- Teraz moja kolej na zadawanie pytań. – Wyjęła rękę z kieszeni. – Co się dzieje? Widziałeś wiadomość, która wyświetliła się na plastplejach?
- Tak – burknąłem. – Sternikom udało się usunąć robaka, tyle że... – Machnąłem ręką. Chciałem to zrobić nonszalancko, ale nawet ja zauważyłem, ile było w tym geście rozgoryczenia. – Co się stało, to się nie odstanie. Poprosiłem Marae i sterników pierwszego szczebla, żeby służyli mi jako siły policyjne.
- Świetnie! – rzuciła Amy tak zapalczywie, że przyjrzałem się jej badawczo. – Chodzi o to, że... Po prostu cieszę się, że wreszcie podjąłeś decyzję. O zorganizowaniu sił policyjnych – dodała szybko na widok mojego spojrzenia.
- Trzeba to było zrobić parę miesięcy temu – odparłem.
- Czekałem na jej reakcję. Ręce jej drgnęły, jakby chciała wyciągnąć je w moją stronę, ale w końcu tego nie zrobiła.
- Ciągle coś przede mną ukrywasz – szepnęła.

A ty przede mną, pomyślałem. Widziałem jednak nieustępliwość w jej oczach. Nie zamierzała mi powiedzieć, co ją dręczyło. Zamiast więc pytać, wyznałem jej prawdę. O silniku. O kłamstwach. O tym, że stoimy w miejscu i że nikt nie wie, gdzie w tej chwili się znajdujemy. Zdradziłem jej wszystko, czego nie chciałem zdradzić nikomu innemu.

– Nie możemy im nic mówić – dodałem. – Jeśli żywicieli się dowiedzą...

Amy przygryzła wargę, ale nie zaprzeczyła. Na razie.

Przezesłem palcami włosy, jakbym chciał wyrwać odpowiedź wraz z cebulkami.

– Stoimy od dawna, a statek nie będzie działać wiecznie. „Błogosławiony” powoli zaczyna się rozpadać.

Dopiero teraz, kiedy powiedziałem to głośno, uświadomiłem sobie prawdę. Zobaczyłem nasze problemy tak, jak nie widziałem ich wcześniej, ujrzałem ich prawdziwe znaczenie. Spadająca produkcja żywności, mimo że pompowaliśmy w pola tyle nawozów i środków odżywczych, ile tylko się dało. Marae miała rację – większość ludzi nie pracowała już tak wydajnie jak wtedy, gdy Najstarszy poił ich fidusem, ale nawet brak produktywności żywicieli nie tłumaczył, dlaczego plony z takim trudem przebijały się przez glebę.

A tego roku, gdy tak często padał deszcz – czy naprawdę był to eksperyment, czy po prostu doszło do uszkodzenia systemu irygacyjnego? A chemiczny substytut mięsa, pojawiający się w ściennych dozownikach przynajmniej dwa razy w tygodniu – naprawdę stanowił udoskonalone źródło energii czy tylko najlepszy z możliwych surogatów, jaki naukowcy razem z Doktorciem potrafili wymyślić wobec topniejącej liczebności trzody?

Wreszcie zaczynałem rozumieć, dlaczego Najstarszy był taki... zdesperowany.

Przypomniałem sobie odgłos silnika, który kierował wyprodukowaną energię do zastępczych funkcji statku. To *wrrr* i *szast* nie brzmiało zbyt dobrze...

Kiedy skończyłem mówić, zdałem sobie sprawę, że Amy milczy jak zaklęta.

– Amy? – zapytałem cicho.

Spojrzała mi w oczy.

– Czy to oznacza... że mogę obudzić rodziców?

– Co? Nie! – parsknąłem.

– Ale... skoro i tak nie wylądujemy... jeśli nie ma żadnej nadziei, że wylądujemy, to dlaczego nie?

– Możemy wylądować! Do gzyfa, daj mi szansę rozwiązać ten problem.

– A jeśli właśnie jeden z zamrożonych mógłby nam pomóc? Są tam też naukowcy i inżynierowie...

– Amy, nie. Nie. Moi ludzie dadzą sobie radę.

Wymamrotała coś pod nosem, ale nie zrozumiałem słów.

– Słucham?

– Nie wygląda na to, żeby radzili sobie zbyt dobrze. Do cholery, Starszy, kiedy ten silnik przestał działać? Jeszcze przed twoimi narodzinami! Czyli dziesiątki lat temu, a może nawet wcześniej!

– Nie muszę tego słuchać – warknąłem. – Nie od ciebie! Nie muszę ciągle wysłuchiwać, co powinienem robić albo że nie jestem wystarczająco dobry, żeby sobie poradzić!

– Nie twierdzę, że nie dajesz sobie rady! – Amy ciskała we mnie słowami. – Sugerowałam tylko, że ktoś z Ziemi prawdopodobnie mógłby naprawić usterkę!

– Sugerowałeś, że musimy obudzić twoich rodziców.

– Tu wcale nie chodzi o nich!

– Ależ tak, tobie z a w s z e chodzi o nich! Nie możemy odmrozić twoich

rodziców tylko dlatego, że jesteś małą, wystraszoną dziewczynką!

Amy spojrzała na mnie bykiem, a jej twarz oblał rumieniec gniewu.

– Może gdybyś wreszcie przyznał, że nie jesteś aż tak doskonały, by poradzić sobie z k a ż d y m problemem na tym pieprzonym statku, wreszcie zauważyłbyś, że pod twoimi stopami leżą ludzie, którzy naprawdę mogą ci pomóc!

Wiedziałem, że powiedziała to w zdenerwowaniu – że nie umiałem sobie ze wszystkim poradzić. Mimo to jej słowa sprawiły mi ból, jak gorący nóż przecinający moją pierś.

– A nie przyszło ci nigdy do głowy, że to przez c i e b i e mamy połowę tych problemów? Że mógłbym zrobić coś więcej, gdybym nie musiał ciągle niańczyć dziwołaga!

Gdy tylko te słowa wyszły z moich ust, pożałowałem, że nie mogę ich chwycić i rozgnieść w dłoni. Ale nie mogłem.

Stało się.

Nazwałem Amy dziwołagiem, choć przysięgałem sobie, że nigdy tego nie zrobię.

Ja, jedyna osoba na statku, która tak do niej nie mówiła.

Aż do teraz.

Amy odwróciła gwałtownie głowę, jakby słowa uderzyły ją w policzek. Obróciła się na pięcie i ruszyła w pośpiechu do Centrum Edukacyjnego i grawiszybu, by uciec jak najdalej ode mnie.

– Amy! – krzyknąłem, biegnąc za nią. Pochyliła głowę, a rozkołysane włosy zasłoniły jej twarz. Przemknęła przez wejście. Złapałem ją mocno za łokieć i pociągnąłem z powrotem do Wielkiej Sali. Wyrwała się z uścisku, ale przynajmniej przestała uciekać.

– Przepraszam – powiedziałem szybko. – Nie myślę w ten sposób. Przepraszam. Naprawdę przepraszam. – Podniosłem rękę, ale Amy wzdrygnęła się, więc ją cofnąłem.

Nie chciała spojrzeć mi w oczy.

– Masz rację – wymamrotała po chwili, mrugając gwałtownie. Spojrzała na sztuczne gwiazdy na suficie Wielkiej Sali.

– Nie, nie mam. Przepraszam, nie jesteś dziwołagiem. Nie jesteś.

Pokręciła głową.

– Nie o to chodzi. Masz rację... że jestem wystraszoną dziewczynką.

Przekręciła wi-kom, zostawiając czerwony ślad na nadgarstku. Nie pierwszy raz widziałem, jak Amy niespodziewanie milkła i odpływała. Zdarzało się, że rozmawialiśmy, a ona nagle wyłączała się, wycofywała w głąb siebie, by wrócić do rzeczywistości dopiero po kilku chwilach. Zawsze sądziłem, że ma to jakiś związek ze mną – że pamiętała o mojej zdradzie albo że powiedziałem coś, co przywołało wspomnienie przeszłości, której nie mogła już odzyskać. Ale teraz zacząłem się zastanawiać, czy nie było innego powodu.

– Co się stało? – zapytałem cicho. Z mojego głosu znikło zacierzewienie, zastąpiła je szczerą troską.

Amy podskoczyła, gdy usłyszała pytanie.

– Czy ktoś zrobił ci krzywdę? Groził ci?

Przysunąłem się bliżej. Chciałem chwycić jej dłoń i przyciągnąć ją do siebie, ale Amy była zimna i nieruchoma jak posąg.

Co miałam powiedzieć? Że wciąż snią mi się koszmary o czymś, co stało się przed trzema miesiącami? Jak żałośnie by to zabrzmiało? Jeśli miałam coś do powiedzenia, trzeba było powiedzieć to wtedy. Tyle że w tamtym czasie wszystko nagle stało się ważniejsze – śmierć Harleya i Najstarszego, schwytywanie Oriona, wyeliminowanie fidusa. Ponad dwa tysiące osób miało swoje problemy i czekało, aż Starszy znajdzie rozwiązanie. Jak mogłabym obciążyć go jeszcze własnym? Gdybym potrafiła komukolwiek o tym powiedzieć, padłoby na niego – lecz nie potrafiłam. Nie dlatego, że minęły trzy miesiące, że zajmował się całym statkiem albo że bałam się, czy mi uwierzy.

Chodziło o to, że kiedy to się stało, nie on mnie uratował.

A skoro nie mógł mnie uratować wtedy, to jak miał mnie uratować teraz?

– Mogłbym cię ochronić – rzekł Starszy, przysuwając się bliżej, lecz nie patrząc mi w oczy. – Mogłabyś ze mną zamieszkać... – Umilkł.

Staliśmy tak blisko siebie, że prawie się dotykaliśmy. Wystarczyłoby, żebym wyciągnęła rękę. Ale żadne z nas ani drgnęło.

– Nie potrzebuję – odparłam odruchowo. Miałam wszystko pod kontrolą. Nie musiałam uciekać ani się chować. Nie zamierzałam pozwolić, by Luthor zmienił mnie w oglupiałe dziecko.

Nie chciałam też, by Starszy uwierzył, że musi się o mnie zatroszczyć. Bo gdyby doszedł do takiego wniosku, zacząłby również sądzić, że liczyłam na więcej.

Zacząłam chodzić tam i z powrotem, ale ściany wydawały się przez to jeszcze bliższe.

Starszy zmierzwił włosy palcami.

– Nie musisz tu zostawać tylko ze względu na bezpieczeństwo – odezwał się w końcu. – Mogłabyś zostać... z jeszcze innych względów.

– Nie – wyszeptałam. Wiedziałam, co zamierzał powiedzieć, i obawiałam się tego. Nie mogłam... nie byłam gotowa... nie... nie wiedziałam. Sama nie miałam pojęcia, czego chcę, wiedziałam jednak, że nie chcę usłyszeć tego, co zamierzał powiedzieć, tak samo jak wiedziałam, że i tak to powie.

Chwycił mnie za ramiona, nie ze złością, jak wcześniej, lecz w delikatny, łagodny sposób, który zapraszał, żebym podeszła bliżej. Ani drgnęłam.

– Amy... ja... – Starszy opuścił wzrok, wziął głęboki oddech. – Zależy mi na tobie. Chciałbym, żebyś zechciała tu zostać. – Unikał mojego spojrzenia. – Ze mną.

Puścił mnie i uniósł rękę, by odgarnąć mi włosy z twarzy. Nie mogłam nic na to poradzić; zamknęłam oczy i przytuliłam twarz do jego dłoni, czując ciepłą szorstkość palców Starszego na swojej skórze. Jego oddech zadrżał.

Postąpiłam krok bliżej.

Podniosłam głowę. Chciał uchwycić mój wzrok, tak jak wtedy, gdy pocałował mnie po raz pierwszy w strugach deszczu.

– Czego szukasz?

Nie odpowiedział.

Nie musiał.

Wiedziałam, czego pragnął.

To było nieuczciwe.

– Jesteśmy jedynymi nastolatkami na całym statku, ale to jeszcze nie znaczy, że muszę cię kochać. Dlaczego nie mogę mieć wyboru? Opcji?

Starszy cofnął się, dotknięty.

– Słuchaj, nie chodzi o to, że cię nie lubię – dodałam szybko, wyciągając rękę w jego stronę. Odsunął się gwałtownie. – Tylko o to, że...

– Że co? – warknął.

Tylko czy gdybym była na Ziemi, a nie na tym przeklętym statku, gdybym spotkała Starszego w szkole, w klubie albo na randce w ciemno, gdybym mogła wybierać między Starszym a dowolnym chłopakiem... Czy wtedy bym go kochała?

Czy on kochałby mnie?

Miłość nie jest miłością, jeśli nie ma się wyboru.

– Nie chcę być z tobą tylko dlatego, że nie ma nikogo innego, z kim mogłabym być.

– Ale...  
Ale jej już nie było.

Następnego ranka poszłam prosto do rodziców. Patrzyłam na ich zlodowaciałe twarze, dopóki nie zaczęły mnie boleć oczy. Wtedy zacisnęłam mocno powieki. Lecz bez względu na to, czy ich widziałam, czy nie, prawda pozostawała ta sama. Byli zamrożeni. Ja nie. A „Błogosławiony” się zatrzymał.

Staął w miejscu.

Wyparłam tę myśl i zaczęłam się zastanawiać, co powiem rodzicom. Szukałam jakiegoś wspomnienia, którego mi brakowało. Jednak nie mogłam się skupić. Westchnąwszy, wstałam i z trzaskiem wsunęłam komory kriogeniczne rodziców z powrotem na miejsce. Od czasu mojej kłótni ze Starszym wszystko było nie tak, a ja nie mogłam rozpamiętywać ich i naszej przeszłości w nieskończoność.

Dziwne, na Ziemi słyszałam o wiele gorsze wyzwiska niż dziwołag. Ale tutaj to słowo miało inne znaczenie, a wykrzywane przez jedną z nielicznych osób, którym ufałam, także inaczej bolało.

Prostując się, poczułam, że coś wpija mi się z boku w udo. Sięgnęłam do kieszeni i wyciągnęłam prostokąt z czarnego plastiku, który znalazłam poprzedniego dnia w Sali Nagrań. O mało nie pokazałam go Starszemu, ale... nie mogłam. Gdy dotarłam na Poziom Strażnika, chciałam po prostu z nim być, bez złowieszczych przesłań Oriona, które by nas rozpraszały. A potem chciałam już tylko uciec.

Czarny prostokąt przypominał miniaturowy plastplej, przeciągnęłam więc palcami wzdłuż górnej krawędzi. Pośrodku ekranu rozbłysło okienko, w poprzek którego przemknęły słowa: DOSTĘP OGRANICZONY.

Podniosłam wzrok. Bezwiednie ruszyłam między komorami kriogenicznymi w stronę laboratorium genetycznego, mieszczącego się na odległym końcu poziomu. Za jego drzwiami znajdowały się kadzie z materiałem genetycznym, który Doktorek i Najstarszy wykorzystywali do manipulowania ciężami podczas Godów, a także pompa wodna służąca do rozprowadzania fidusa... i Orion. To, co z niego zostało. Zamrożona skorupa, taka jak moi rodzice.

Przesunęłam kciukiem po skanerze biometrycznym drzwi do laboratorium i weszłam do środka. Obok komory kriogenicznej znajdującej się blisko drzwi ktoś postawił krzesło, przodem do okienka z grubego szkła, niczym ksiądz chcący porozmawiać z obłożnie chorym. Kopniakiem usunęłam je z drogi, by stanąć twarzą w twarz z mężczyzną za szkłem.

Orion.

– N i e n a w i d z ę c i ę – wysyczałam.

Jego oczy wybałuszyły się, palce zgięły w szpony, lecz nie mógł mnie dosięgnąć. Nie mógł odpowiedzieć, nie mógł mrugnąć, nie mógł nawet się ruszyć. Był zamrożony, równie dobrze mógłby nie żyć.

Mimo to go nienawidziłam.

Tak wyglądała kara Oriona. Za morderstwa zamrożonych i za śmierć Najstarszego. Kiedy – jeśli – statek wyląduje i pozostali zamrożeni się obudzą, osądzą Oriona za jego czyny i postąpią z nim wedle uznania. Taki wyrok wydał Starszy, wciskając guzik i uruchamiając procedurę zamrażania. Zdawałam sobie jednak sprawę – i to lepiej niż ktokolwiek inny na całym statku – że prawdziwą karą było samo zamrożenie. Mój umysł pamiętał, co to znaczy spać bez snu. Moje ciało przypominało sobie, że mięśnie nie mogły się ruszyć. Moje serce nigdy nie zapomni, jak to jest tonąć w upływającym czasie i na powrót się z niego wynurzać, nigdy nie wiedząc, czy minął rok czy sto lat; nie zapomni, jak to jest zadrećcać się myślą, że dusza została na wieczność uwięziona w lodzie.

Wiedziałam, jaka tortura kryła się za lodem.

Za szybą komory kriogenicznej zobaczyłam popękane naczynia krwionośne w oczach Oriona. Wyobraziłam sobie, jak wygląda moje odbicie w jego źrenicach, ale przecież nic nie widział. Jego dłoń była przyciśnięta do szyby. Na chwilę przytknęłam do niej swoją – ciepłą i żywą. A potem spojrzałam mu w oczy i natychmiast ją oderwałam.

W drugiej ręce wciąż trzymałam mały plastplej, który znalazłam w Sali Nagrań. Zerknęłam na ślad mojej dłoni na szkle tuż przed twarzą Oriona i znów na okienko na ekranie z przecinającymi je słowami: DOSTĘP OGRANICZONY. Pewne informacje w sieci plastplejów były zastrzeżone – odblokowywał je odcisk kciuka Starszego, tak jak niektóre skanery biometryczne. Wątpiłam, żeby mój odcisk wystarczył, ale...

Przycisnęłam kciuk do okienka.

Cały ekran rozblysnął.

I wtedy spojrzałam prosto w twarz Oriona.

<<OTWIERAM KANAŁ VIDEO>>

Orion na ekranie był dokładnie taki, jakim go zapamiętałam, zanim został zamrożony: rozczochrane ciemne włosy, którym przydałby się bliższy kontakt z wodą, dziwnie łagodne oczy – biorąc pod uwagę, jak szybko zabijał – i beztrocki, przyjazny łuk warg, który zaprzeczał zmarszczkom na twarzy. Siedział u stóp schodów tak wielkich, że ciągnęły się za nim daleko poza pole widzenia, coraz wyżej i wyżej. Nigdy dotąd nie widziałam tych schodów i ta myśl przyniosła mi osobliwe pocieszenie. Ucieszyłam się, że wciąż nie znam wszystkich zakamarków „Błogosławionego”.

Obraz zakołysał się, kiedy Orion poprawiał kamerę.

JEŚLI TO OGLĄDASZ, TO ZNACZY, ŻE COŚ POSZŁO NIE TAK.

Rzuciłam okiem na zamrożonego Oriona. Jasne, coś poszło nie tak. Statek się zatrzymał, Starszy ukrywał przed wszystkimi prawdę, a ja nie miałam pojęcia, jak długo jeszcze zdołamy przetrwać.

MAM NADZIEJĘ, ŻE NIKT NIGDY TEGO NIE ZOBACZY. MAM NADZIEJĘ, ŻE WSZYSTKO POSZŁO ZGODNIE Z PLANEM, ŻE STARSZY SIĘ DO MNIE PRZYŁĄCZYŁ, ŻE WSPÓLNIE POKONALIŚMY NAJSTARSZEGO I ZAPOCZĄTKOWALIŚMY NOWY SYSTEM RZĄDÓW NA „BŁOGOSŁAWIONYM”, OPARTY NIE NA TYRANII, ALE NA WSPÓLPRACY.

Westchnął ciężko.

NIESTETY NIE MAM PEWNOŚCI, CZY STARSZY JEST PO MOJEJ STRONIE.

WIEM, ŻE NAJSTARSZY NIE JEST, A GRA TOCZY SIĘ O ZBYT WYSOKĄ STAWKĘ, ŻEBYM MÓGŁ ZOSTAWIĆ COŚ PRZYPADKOWI. POTRZEBNY MI KTOŚ W REZERWIE. AMY – CHODZI WŁAŚNIE O CIEBIE.

Odwrócił się w moją stronę, jak gdyby wiedział, że będę nieco po lewej. Jego oczy świdrowały mnie na wylot.

MAM NADZIEJĘ, ŻE STARSZY JEST PRZYWÓDCĄ, JAKIEGO POTRZEBUJĘ – TO ZNACZY, JAKIEGO POTRZEBUJE TEN STATEK. JEŚLI NIM NIE JEST, A JA... CÓŻ, JEŚLI JA NIE MOGĘ POMÓC, TO ZNACZY, ŻE ZOSTAŁO PO MNIE JEDYNNIE TO NAGRANIE I NADZIEJA, ŻE TY, OSOBA Z SOL-ZIEMI, BĘDZIESZ WIEDZIAŁA, CO TRZEBA ZROBIĆ. NIE MOGĘ POWIERZYĆ TYCH INFORMACJI LUDZIOM URODZONYM NA STATKU. ZA MAŁO WIEDZĄ. NIE ZDOŁAJĄ PODJAĆ DECYZJI, BO ZNAJĄ TYLKO STATEK. LECZ TY, AMY, ZNASZ I STATEK, I PLANETĘ. MOŻESZ BYĆ OBIEKTYWNA. ROZPOZNASZ WIĘKSZE ZŁO. KIEDY JUŻ BĘDZIESZ WIEDZIAŁA TO, CO JA, A CO NAJSTARSZY PRÓBOWAŁ UTRZYMAĆ W TAJEMNICY, WTEDY



BĘDZIESZ TEŻ WIEDZIAŁA, CO NALEŻY ZROBIĆ.

Przyjrzałam się zamrożonemu, nieruchomemu Orionowi, po czym przesunęłam wzrok z powrotem na ekran.

AMY, BĘDZIESZ MUSIAŁA DOKONAĆ WYBORU. JUŻ WKRÓTCE. ROZEJRZYJ SIĘ. SYSTEM NAJSTARSZYCH UMIERA OD POKOLEŃ. NIE BYŁEM PIERWSZYM STARSZYM, KTÓRY SIĘ ZBUNTOWAŁ, A STARSZY NIE BĘDZIE OSTATNIM. NAJSTARSI TRACĄ WŁADZĘ, KTÓRĄ DOTĄD MIELI. STATEK UMIERA. DOSTRZEGASZ TO, PRAWDA? DOSTRZEGASZ RDZĘ. DOSTRZEGASZ, ŻE LAMPA SOLARNA NIE ŚWIECI JUŻ TAK JASNO JAK KIEDYŚ. ŻE ZBIORY WSCHODZĄ WOLNIEJ... O ILE W OGÓLE WSCHODZĄ. ŻE TYLKO DZIĘKI FIDUSOWI LUDZIE SĄ SPOKOJNI I POSŁUSZNI. ZNAM STARSZEGO. WIEM, ŻE SPRÓBUJE RZĄDZIĆ BEZ FIDUSA. TYMCZASEM NIE MA WIĘKSZEGO NIEBEZPIECZEŃSTWA. KIEDY ŻYWCIELE SIĘ OD NIEGO UWOLNIĄ, KIEDY SIĘ ZORIENTUJĄ, CO SIĘ DZIEJE Z ICH ŚWIATEM – WTEDY BĘDZIESZ MIAŁA NA GŁOWIE PRAWDZIWY BUNT.

Pomyślałam, jak głos Luthora rozbrzmiewał w Sali Nagrań, donośny i wściekły.  
*Możemy robić, co nam się żywnie podoba!*

„BŁOGOSŁAWIONY” JUŻ DŁUGO NIE POCIĄGNIE. NIE ZAPROJEKTOWANO GO, BY PRZETRWAŁ CAŁĄ WIECZNOŚĆ. TO CUD, ŻE WYTRZYMAŁ AŻ TYLE. WŁAŚNIE W TYM RZECZ – WŁAŚNIE DLATEGO JESTEŚ MI POTRZEBNA, AMY, DLATEGO MUSISZ DOKONAĆ WYBORU, KTÓREGO JA, BEZ WZGLĘDU NA POWÓD, NIE MOGĘ JUŻ DOKONAĆ. WIEM, ŻE MNIE NIENAWIDZISZ, MUSISZ MNIE NIENAWIDZIĆ.

Orion pochylił się, jego twarz wypełniła cały ekran.

ALE CZY KIEDYKOLWIEK ZADAŁAŚ SOBIE PYTANIE, DLACZEGO WYŁĄCZAŁEM ZAMROŻONYCH WŁAŚNIE TERAZ?

Drżąc, wciągnęłam powietrze do płuc; zapomniałam o oddychaniu.

DLACZEGO PO PROSTU NIE ZACZEKAŁEM I NIE POZWOLIŁEM, ŻEBY JAKIEŚ POKOLENIE PRZYSZŁOŚCI ZAŁATWIŁO SPRAWĘ?

Choć Orion był na ekranie, a nie siedział tuż obok, niepokój w jego głosie rozchodził się głęboko w moim ciele, w każdej mojej kości.

ZBLIŻA SIĘ PORA WYBORU! BARDZO WAŻNEGO. A TY – TY MUSISZ WYBRAĆ ZA WSZYSTKICH.

Urwał na długą chwilę.

NIE MOGĘ CI JEDNAK POWIEDZIEĆ, NA CZYM TEN WYBÓR BĘDZIE POLEGAŁ. MUSISZ TO ODKRYĆ SAMA.

Przejechał włosy palcami, dokładnie tak samo jak Starszy, kiedy się czymś martwił.

ODKRYCIE PRAWDY ZAJĘŁO MI WIELE LAT, ZAAKCEPTOWANIE JEJ DRUGIE TYLE. KIEDY CIĘ SPOTKAŁEM... WIEM, ŻE MNIE NIENAWIDZISZ, BO POZWOLIŁEM UMRZEĆ LUDZIOM Z SOL-ZIEMI...

Pozwolił im umrzeć? Zrobił znacznie więcej. Wyrwał ich z komór kriogenicznych i przyglądał się, jak umierają. To spora różnica. Zamordował ich.

Zmrużyłam powieki i jego twarz na ekranie zmieniła się w plamę. Zerknęłam na prawdziwego Oriona, zamrożonego za szkłem komory kriogenicznej. Nie masz pojęcia, jak bardzo cię nienawidzę, pomyślałam. Mogłabym go obarczyć winą za wszystko, co zepsuło się w moim życiu.

AMY, JESTEŚ WYJĄTKOWA. POCHODZISZ Z SOL-ZIEMI. ALE NIE MASZ PLANU, JAK POZOSTALI... JAK TWOI RODZICE. NIE PRZYBYŁAŚ TU Z MISJĄ. TY –

I TYLKO TY – BĘDZIESZ W STANIE ROZSTRZYGNĄĆ, JAKIEGO WYBORU NALEŻY DOKONAĆ, O ILE UZNASZ, ŻE GRA JEST WARTA ŚWIECZKI. NIKOMU INNEMU NIE MOGĘ ZAUFAC W TEJ KWESTII, NAWET STARSZEMU CZY TYM, KTÓRYCH KIEDYŚ NAZYWAŁEM PRZYJACIÓŁMI. UKRYJĘ WSKAZÓWKI TAK, ŻEBYŚ TYLKO TY, CZŁOWIEK Z SOL-ZIEMI, ZDOŁAŁA JE ZNALEŹĆ. NIE UFAJ NIKOMU, AMY. ANI STARSZEMU, ANI DOKTORKOWI, ANI NIKOMU Z MOJEJ PRZESZŁOŚCI. ONI POCHODZĄ Z „BŁOGOSŁAWIONEGO”, A NIE Z SOL-ZIEMI. NIE BĘDĄ WIEDZIELI – NIE MOGĄ WIEDZIEĆ – ŻE JEST JAKIŚ WYBÓR.

Nie spodobał mi się sposób, w jaki Orion powiedział, żebym nie ufała Starszemu. Ani trochę. Ale... wróciłam myślami do minionego dnia i do tego, jak ukryłam przed Starszym swoje najmroczniejsze tajemnice. Robiłam to, czego oczekiwał ode mnie Orion, jeszcze zanim zdążył mnie o to poprosić, i trochę się za to nienawidziłam.

MUSISZ ZACZAĆ OD PIERWSZEGO FRAGMENTU UKŁADANKI. POSŁUCHAJ. JUŻ CI GO DAŁEM. ZNAJDŹ GO, AMY. ZNAJDŹ WSZYSTKIE WSKAZÓWKI, KTÓRE CI ZOSTAWIŁEM. A JA MUSZĘ WIERZYĆ, ŻE KIEDY JUŻ JE ZNAJDZIESZ, DOKONASZ WŁAŚCIWEGO WYBORU.

Spojrzał za siebie, a potem znów na mnie.

NIE ZOSTAŁO CI ZBYT WIELE CZASU.

<<ZAMYKAM KANAŁ VIDEO>>

Czułem samotność.

Nie chodziło o to, że czułem się samotny; czułem samotność w taki sam sposób, w jaki czułem koc przykrywający moje ciało, pierze w poduszce pod głową albo zawiązany wokół mojego pasa cienki sznurek przytrzymujący spodnie. Czułem samotność, jakby była czymś namacalnym, jakby sączyła się przez każdą szparę poziomą niczym mgła spowijająca pole, docierając do najbardziej niedostępnych zakamarków kwatery i nie znajdując żadnego życia oprócz tego pulsującego we mnie. To uczucie było bardzo zimne.

Kiedy wreszcie wstałem z łóżka, zależało mi tylko na jednym – żeby pójść do Amy i domagać się wybaczenia. Może przynajmniej wrócilibyśmy do tego, co było przed naszą kłótnią, nawet jeśli łączyła nas tylko trudna przyjaźń przeplatana długimi okresami milczenia. Musiałem wymyślić, jak naprawić silnik – jeśli w ogóle się dało – ale nie mogłem tego zrobić, dopóki nie naprawię tego, co popsułem między mną i Amy.

Tak ślepo uwierzyłem w słuszność mojego pomysłu, że dopiero w połowie drogi grawiszybem na Poziom Żywiciela przypomniałem sobie, co zobaczyłem w jej oczach, zanim odeszła poprzedniego dnia – gniew, urazę i smutek – i zdałem sobie sprawę, że prawdopodobnie Amy w ogóle nie chce mnie oglądać. Lampa solarna włączyła się w chwili, gdy moje stopy dotknęły podestu pod grawiszybem. Ruszyłem ścieżką. Poranna mgła rozplywała się w powietrzu na moich oczach.

Zamiast skierować kroki do pokoju Amy w Szpitalu, skręciłem w lewo, do Sali Nagrań. Może powinienem zanieść Marae parę książek o siłach policyjnych i wychowaniu obywatelskim, żeby lepiej zrozumiała, jak powinna zorganizować nowe obowiązki sterników? A w każdym razie właśnie to sobie wmawiałem. Tak naprawdę przerażało mnie spotkanie z Amy, bo wiedziałem, że wciąż będzie na mnie wściekła. Miała do tego pełne prawo.

Wchodząc do Sali Nagrań, z zaskoczeniem stwierdziłem, że nie jestem sam. Ludzie tłoczyli się w westybulu, a największa grupa stała pod plastplejem naukowym. Druga Sterniczka Shelby wskazywała generator na schemacie budowy silnika statku, wygłaszając wykład do zgromadzonych u jej stóp słuchaczy. Spojrzała na mnie i kiwnęła głową. Wiedziałem, że Shelby – za pozwoleniem moim i Marae – zorganizowała zajęcia dla żywicieli zainteresowanych technicznymi aspektami statku, ale nie miałem bladego pojęcia, że jej wykłady zaczynały się kwadrans po zapaleniu lampy solarnej.

Zawahałem się, zanim skręciłem w korytarz prowadzący do sal z książkami. Czy wysiłki Shelby nie były daremne? Silnik nie działał, nawet jeśli sternicy nie do końca zdawali sobie z tego sprawę. Do gzyfa, nikt nie wiedział, jaki dystans dzieli nas od Centauri-Ziemi. Co z tego, że ci żywiciele jakimś cudem zgromadzą wystarczającą wiedzę, by wprawić statek w ruch, jeśli i tak nie dotrą na planetę za swojego życia?

Jedna z żywicielek słuchających Shelby głąskała się po brzuchu powolnym, okrężnym ruchem. Była w trzecim miesiącu ciąży, ale tunika ukrywała lekko zaokrąglony brzusek. Ruch jej ręki, choć nieświadomy, przypomniał mi, jaki był sens tych wszystkich starań. Shelby nie prowadziła zajęć, by rozwiązać problem silnika, lecz po to, by dać ludziom nadzieję.

Jedyna rzecz, którą Najstarszy robił tak, jak należy. To prawda, okłamywał nas, ale na koniec dał nam dobry powód, żebyśmy się nie poddawali.

I właśnie tego wszystkim brakowało.

Wszedłem na palcach do korytarza, zmierzając w stronę sal z książkami, i pchnąłem z impetem drzwi pomieszczenia, w którym znajdowały się prace na temat społeczeństwa i wychowania obywatelskiego.

– Co jest?! – krzyknął ktoś ze środka.

Serce podskoczyło mi do gardła.

– Aleś mnie nastraszył – parsknąłem, siadając na krześle przy stoliku Bartiego.

Bartie wybuchnął tak gromkim śmiechem, że nie potrafił złapać oddechu, by mi odpowiedzieć. Przez chwilę czułem się tak jak za dawnych dni. Bartie był moim przyjacielem, odkąd zamieszkałem w Szpitalu na rok przed przenosinami na Poziom Strażnika z Najstarszym. Mieliśmy całą paczkę, do której należeli Harley, Bartie, Victria, Kayleigh i ja. Dziękowałem moim szczęśliwym gwiazdom, że wreszcie znalazłem przyjaciół.

Spędzaliśmy całe dni w Szpitalu albo w przyszpitalnym ogrodzie. Harley malował, podczas gdy Bartie grał na gitarze, a Victria pisała. Kayleigh nieustannie biegała tam i z powrotem, eksperymentując ze wszystkim. Zrobiła metalową rozpórkę do płótna, która prawie ucięła Harleyowi palce, a innym razem próbowała rozgryźć sol-ziemski schemat gitary elektrycznej, która o mały włos poraziłaby Bartiego prądem.

Tamte czasy kojarzyły mi się wyłącznie ze śmiechem i radością.

Teraz uśmiech spłynął mi z twarzy, a radość Bartiego pierzchła. Nawet nie musiałem na niego patrzeć, by wiedzieć, że myślimy o tym samym. Po śmierci Kayleigh wszystko się zmieniło. Kayleigh była klejem, który spajał naszą przyjaźń; kiedy znikła, nic już nie zostało. Harley pogrążył się w mroku, z którego wyszedł tylko dzięki lekom Doktora. Zanim jednak zdążył do siebie, ja przeniosłem się na Poziom Strażnika, a zarówno Bartie, jak i Victria odeszli w swoją stronę. Victria spędzała czas w Sali Nagrań z Orionem, a jedyną przyjaciółką Bartiego, o ile wiedziałem, była muzyka.

– Co słyhać? – zapytałem, pochylając się do niego.

Wzruszył ramionami. Otaczały go stosy grubych książek, wszystkie wyglądały jednak jak tomiska poświęcone prawu, a nie dzieła o muzyce.

– Zdziwiłem się, że przyszedłeś tutaj bez Amy – powiedział.

– To dlatego, że... po prostu... – Westchnąłem głośno, przeczesując palcami włosy.

Spędziliśmy z Amy mnóstwo czasu w Sali Nagrań, właśnie w tym pomieszczeniu, opracowując plan utworzenia sił policyjnych. Zdawałem sobie sprawę, że po moim wyznaniu, że to ja ją rozmroziłem, zachowywała wobec mnie dystans i nie potrafiła mi w pełni zaufać, ale przynajmniej nie wzdygała się na mój widok i uśmiechała z większą swobodą.

Aż do chwili, gdy nazwałem ją dziwołagiem.

Niech to gzyf.

– Wszystko w porządku? – zapytał Bartie. Zobaczyłem na jego twarzy szczerą troskę.

– Tak – wymamrotałem. – To tylko... chodzi o Amy...

Zmarszczył brwi.

– Mamy na tym statku większe problemy niż jakiś dziwołag z Sol-Ziemi.

– Nie nazywaj jej dziwołagiem! – warknąłem, podrywając głowę tak gwałtownie, że usłyszałem trzask kości.

Bartie odchylił się i podrzucił w górę ręce – w geście obrony albo lekceważenia.

– Chciałem ci tylko zwrócić uwagę, że mamy teraz większe zmartwienia.

Zmrużyłem oczy, starając się odczytać tytuł książki, którą Bartie tak pilnie studiował.

Na okładce widniał portret kobiety o skórze jeszcze bledszej niż Amy i ubranej w suknię tak szeroką, że pewnie nie zmieściłaby się w drzwiach. *Historia rewolucji francuskiej*.

– Po co to czytasz? – zapytałem. Chciałem się zaśmiać w miły, przyjazny sposób, ale z moich ust wyszedł dźwięk, który zabrzmiał jak zniekształcone parsknięcie. Spojrzałem na Bartiego inaczej, czujniej niż zwykle. Czasy, gdy chodziliśmy z Kayleigh i Victrią do Sali Nagrań, by ścigać się na fotelach bujanych po ganku, dawno minęły.

A rewolucja francuska zupełnie mi do Bartiego nie pasowała.

Zainteresował go ten dziwo... Powstrzymałem się przed tym, by choć p o m y ś l e ć to słowo. Zainteresowała go ta nietypowa kobieta na okładce czy raczej gilotyna ścinająca królowi głowę? Odpędziłem te wątpliwości. Zaczynałem popadać w paranoję.

– Jedzenie – wyjaśnił Bartie.

– Jedzenie?

Kiwnął głową i przysunął do mnie książkę, po czym chwycił inny, cieńszy tomik oprawiony w zieloną skórę.

– Pomyślałem, że to było... ciekawe. Ten fragment, że trzeba dać im ciastka, skoro są głodni. Zastanawiałem się, czy rewolucja by wybuchnęła, gdyby nie mieli problemu z brakiem żywności.

– Może buntowali się przeciwko takim sukniom – mruknąłem, wskazując połączenie jedwabi wylewających się spod spódnicy kobiety. Znów siłłem się na dowcip, ale Bartiemu wcale nie było do śmiechu. Mnie zresztą też nie. Przed oczami miałem czerwony wykres, który pokazała mi Marae – ten ukazujący spadek produkcji żywności. Kiedy pozostali uświadomią sobie, jak szybko topnieją nasze zapasy i że statek stoi w miejscu w pustce kosmosu – co nastąpi już niebawem – ile minie czasu, zanim, tak jak ludzie z książki Bartiego, zamienią narzędzia w broń i zaprotestują?

Bartie nie odpowiedział; w milczeniu wertował zieloną książkę. Jego oczy nie przesuwały się jednak wzdłuż wersów, a ja uznałem, że czeka, aż coś powiem albo zrobię. Nie byłem już pewien, czy moje przeczucia nie wynikały tylko z paranoi.

– Coś musi się zmienić, i to szybko – stwierdził Bartie, nie odrywając wzroku od kartek. – Niepokoje narastają od miesięcy, odkąd ich zmieniłeś.

– Ja nie... – zacząłem w odruchu obronnym, choć w jego głosie wcale nie usłyszałem oskarżenia. – To znaczy... chyba w jakiś sposób ich zmieniłem, ale zmieniłem ich z p o w r o t e m, żeby byli tacy, jak powinni. Tacy, jakimi naprawdę są.

Nie wyglądał na przekonanego.

– Tak czy inaczej, są inni. Z dnia na dzień coraz gorsi.

*Pierwsza przyczyna niezgody, przypomniałem sobie, to różnice.*

Bartie przewrócił stronę książki.

– Ktoś musi coś zrobić.

*Druga przyczyna niezgody to brak silnego, centralnego przywódcy.*

A on myślał, że co ja niby cały czas robiłem? Niech to szlag, od rana do wieczora biegałem po statku, rozwiązując różne problemy! Jak nie strajk w jednej dzielnicy, to narzekania w drugiej – a każdy kolejny problem był gorszy od poprzedniego.

Bartie zgromił mnie wzrokiem. Tym razem nie miałem wątpliwości – jego oczy płonęły pogardą i gniewem, choć głos wciąż brzmiał łagodnie.

– Dlaczego jeszcze nie wkroczyłeś? Dlaczego nie zaprowadziłeś porządku? Może i Najstarszy był oszustem, ale przynajmniej nie trzeba było się martwić, czy przeżyje się kolejny dzień.

– Robię, co mogę – zaprotestowałem.

– Za mało! – słowa Bartiego zadudniły w sali, wwiercając się w moje uszy.

Bez namysłu uderzyłem pięścią w stół. Bartie zastygł, ale jego zdumienie pozwoliło mi opanować wybuch. Pokręciłem głową. Wzdłuż mojej ręki rozchodził się ból.

– Co czytasz? – warknąłem.

– Co?

– Co za gzyfowe bzdury czytasz?

Spojrzeliliśmy sobie w oczy i nasza złość wyparowała. W końcu byliśmy przyjaciółmi, nawet bez Harleya. Teraz, kiedy statek nie sprawiał wrażenia zbyt przyjaznego miejsca, mogliśmy przynajmniej uchwycić się naszej przeszłości.

Bartie podniósł zieloną książeczkę, by pokazać mi tytuł. *Państwo Platona*.

– Czytałem to w zeszłym roku – powiedziałem. – Pokręcone jak jasny gzyf. Ten fragment o jaskini nie miał żadnego sensu.

Wzruszył ramionami.

– Ja dotarłem do części o arystokracji.

Wymówił to słowo jak „aristokrazja”. Najstarszy uczył mnie, że powinno się to czytać „arystakrahsaa”, ale pewnie wszystko mu się pomieszało. Zresztą, co za różnica?

Znałem fragment, o którym mówił Bartie – to właśnie on stanowił główny punkt lekcji, którą przygotował dla mnie kiedyś Najstarszy. Zasadniczo jego przesłanie leżało u podstawy całego systemu Najstarszych.

– Arystokrata to człowiek, który narodził się, by rządzić – wyrecytowałem. – Ktoś z wrodzonym talentem do kierowania innymi ludźmi.

Bartie nie mógł myśleć o tym samym, co ja – że urodziłem się, by kierować ludźmi, bo ktoś zanurzył mój embrion w kadzi pełnej innych genetycznie udoskonalonych klonów z odpowiednio zmodyfikowanym DNA, które gwarantowało cechy przywódcze.

– Ale nawet Platon twierdzi, że idealne arystokratyczne państwo jest narażone na rozkład – powiedział Bartie.

Słowo „rozkład” skojarzyło mi się z pojęciem entropii, o którym wspomniała Marae – z jej stwierdzeniem, że wszystko wymyka się spod kontroli. Łącznie ze mną.

– Najstarszy jest jak arystokrata – dodał po chwili Bartie. Zapomniał o książce i teraz szukał mojego wzroku, jakby chciał, żebym dostrzegł w jego słowach głębsze znaczenie. Oderwałem się od myśli o silniku i kłamstwach Marae, by powrócić do rozmowy.

– Ale system Najstarszych nie ulega rozkładowi. Działa. Naprawdę działa.

– Jeszcze nie jesteś Najstarszym – wytknął mi Bartie. – Nadal jesteś tylko Starszym. Pokręciłem głową.

– Wyłącznie z imienia. Mogę rządzić, nie przyjmując tytułu.

– Od tych tytułów dostaję mętliku w głowie. – Podniósł *Państwo*, zamknął je i wpatrzył się w okładkę. – Ta książka mówi o arystokracji i tyranii jak o dwóch różnych rzeczach, ale ja nie widzę między nimi różnicy. Istnieją jednak inne formy rządów.

– Co masz na myśli? – zapytałem ostrożnie.

Bartie wstał, a ja razem z nim.

– Nie musisz być w tym sam – powiedział. – Spójrz na sytuację realistycznie. Nawet jeśli jesteś jedynym arystokratą na pokładzie, jedynym przywódcą, to masz dopiero szesnaście lat. Być może kiedyś zostaniesz wspaniałym przywódcą...

– Kiedyś? – warknąłem.

Wzruszył ramionami.

– Ludzie cię jeszcze nie szanują. Może za pięć, dziesięć lat...

– Ludzie szanują mnie za to, kim jestem!

Bartie cisnął książkę na stół, aż zadźwięczał metalowy blat. Ruszył do drzwi i szturchnął mnie ramieniem, przechodząc obok.

– Dałeś nam możliwość samodzielnego myślenia, wybierania, czego chcemy – ściszył głos niemal do szeptu. – Szanuję to. Ale musisz zrozumieć, że, choćby teoretycznie, moglibyśmy nie chcieć ciebie jako przywódcy, gdybyśmy się nad tym zastanowili.

Podniósł ze stołu dwie książki: *Historię rewolucji francuskiej* i poradnik z sali naukowej *Systemy komunikacyjne – strona techniczna. Państwo* zostawił, po czym w milczeniu wyszedł z sali. Kiedy jednak zamknęły się drzwi, miałem wrażenie, że w ciszy, którą po sobie zostawił, krążyło mnóstwo słów.

*Ostatnia przyczyna niezgody. Indywidualne myślenie.*

Bartie nie miał pojęcia, że od trzech miesięcy nie przespałem spokojnie choćby jednej nocy. Że robiłem wszystko, co się dało, by statek pełen wściekłych, targanych namiętnościami, półświadomych ludzi nie rozpadł się na kawałki. I że teraz, jakby tego wszystkiego było mało, musiałem się martwić jeszcze o silnik. Ale Bartie dostrzegał wyłącznie moją porażkę. Nic więcej.

Wiedziałem, że jeśli nie poradzę sobie bez fidusa, właśnie to będą widzieć.

Porażkę.

Porażkę, że zwróciłem im życie i nie zdołałem ich uratować przed nimi samymi.

Gdy wyszedłem na zewnątrz, musiałem kilka razy zamrugać, żeby przyzwyczaić oczy do blasku lampy solarnej. Wszystko wydawało się tutaj spokojniejsze i bardziej nieruchome – niemal pełne czci. Sala Nagrań nie była głośna, ale ostatnio rzadko bywała też cicha.

Coś przyciągnęło mój wzrok. Obróciłem się powoli.

Na honorowym miejscu obok wejścia do Sali Nagrań wisiał mój portret i zarazem jeden z ostatnich obrazów Harleya.

Ktoś pociął go na kawałki.

Jakby przeciągnął przez płótno szponami ostrymi niczym noże. Pięć długich rozcięć biegło wzdłuż twarzy i piersi, a poszarpane włókna i odpryski farby przypominały krawędzie krwawiącej rany. Tło mojej postaci na obrazie – odbicie pól i farm „Błogosławionego” – było praktycznie nietknięte. Ktokolwiek to zrobił, bardzo się przyłożył, aby zniszczyć tylko moją postać, nie uszkadzając pozostałych części obrazu.

A przecież wszystko było w porządku, kiedy jakiś czas temu wchodziłem do środka. Wandal czekał na idealny moment – chciał się upewnić, że zobaczą jego dzieło. Chciał mi dać do zrozumienia, że zrobił to, kiedy znajdowałem się w pobliżu.

Zmusiłem się do odwrócenia głowy od obrazu. Przepatrzyłem ścieżkę i pobliskie pola. Nikogo. Sprawca uciekł... albo po prostu wślizgnął się do Sali Nagrań, by zniknąć w tłumie i obserwować mnie, gdy wychodziłem na zewnątrz.

Krażyłam tam i z powrotem po swoim pokoju i nie mogłam przestać. Orion zostawił wskazówki – dla mnie? Najwyraźniej chodziło o coś ważnego, o kwestię życia lub śmierci. Może o umierający statek? O zatrzymane silniki?

I jakim sposobem Orion zdołał mi już dostarczyć pierwszą wskazówkę?

Zatrzymałam się i zaczęłam wpatrywać w ścianę, w listę, którą na niej namalowałam. Minęły trzy miesiące, odkąd Starszy powstrzymał Oriona przed mordowaniem zamrożonych wojskowych. Wcześniej usiłowałam zidentyfikować mordercę, malując listę ofiar na ścianie pokoju. Przesunęłam wzrokiem po literach nakreślonych byle jak, tak grubą warstwą farby, że ich krawędzie rzucały na białe tło ściany maleńkie cienie. Wąskie strugi, które spłynęły z czarnych kropli, zaschły i przypominały palce wiedzmy wyciągające się w kierunku podłogi. Jedna z nich była dłuższa i szersza niż pozostałe. Przecinała przykurzony bluszcz, namalowany dawno temu przez Harleya dla jego dziewczyny, do której należał ten pokój.

Czarne gryzmoły na brudnej ścianie. To wszystko, co dał mi Orion, nie licząc ciała jego ofiar.

Zamknęłam oczy i odetchnęłam głęboko, przypominając sobie, jak pachniała farba, gdy zanurzałam w niej pędzel Harleya.

Farba.

Harley.

Właśnie to dał mi Orion. Tylko to. Ostatni obraz Harleya. Kiedy Harley był na poziomie kriogenicznym, łącząc fragmenty przewodów, żeby otworzyć śluzę i zginąć w próżni kosmosu, przekazał swój ostatni ukończony obraz Orionowi – a ten dał go mnie. Po śmierci Harleya byłam zbyt przybita, żeby na niego patrzeć, i poprosiłam Starszego, by zaniósł go do pokoju Harleya.

Tam też musiał się wciąż znajdować... Wypadłam z pokoju i pobiegłam korytarzem. Bez trudu trafiłam do celu – tworzące tęczę smugi kolorów prowadziły prosto do właściwych drzwi.

W pokoju Harleya unosił się zapach kurzu i terpentyny, błędów przeszłości. Okienne żaluzje kierowały strumień sztucznego słońca na dawno już uschniętą roślinkę w donicy własnego wyrobu. Plamy kurzu lśniły w smugach światła.

Miałam wrażenie, że wchodząc do środka, zakłócam spokój tego miejsca. Moja dłoń zatrzymała się na framudze, kciuk wciąż spoczywał na skanerze biometrycznym.

Powoli przekroczyłam próg, nie puszczając framugi, nie kwapiąc się do skoku na główkę prosto w przeszłość Harleya. Moje palce oderwały się od ściany i przesunęły do ustawionej pod nią komody, pozostawiając cztery lśniące ślady w kurzu, który zalegał na samej górze. Gromadził się tam od trzech miesięcy czy dłużej? Nigdy nie widziałam Harleya w jego pokoju, tylko raz zobaczyłam, jak z niego wychodził, gdy akurat przechodziłam korytarzem. Teraz nie potrafiłam go sobie wyobrazić w tym miejscu. Było zbyt małe, zbyt ciasne. Bardziej przypominało składzik niż dom.

Lecz Harley był artystą, prawdziwym artystą, a jego składzik miał większą wartość niż jakikolwiek muzealny eksponat. Pod ścianą piętrzyły się obrazy. Przejrzałam jeden rząd, zwrócony ku środkowi pokoju. Pierwszy przedstawiał same rozpryski farby i czarnego tuszu, chyba nieudany eksperyment. Drugi – karpia koi podobnego do rybki, którą Harley namalował też dla mnie, ale bardziej kreskówkowego i mniej realistycznego, w jaśniejszych barwach, które byłyby pastelami, gdyby nie gryzły się tak bardzo.

Ostatni obraz stał przodem do ściany, lecz jeszcze zanim go odwróciłam, dostrzegłam



rozdarcia w płótnie, postrzępione brzegi z prującymi się nićmi.

Portret dziewczyny. Na ustach gościł uśmiech, ale w ciemnych załzawionych oczach nie było po nim śladu. Wyglądała, jak gdyby właśnie wyszła z wanny albo basenu; jej włosy ociekały wodą, krople spływały po twarzy, pozostawiając ciemne smugi.

Obraz zniszczono w gniewie – rozdarcia były postrzępione i nierówne. Ktoś – Harley? – usiłował go później naprawić, ale nikt nie mógł już poskładać twarzy ze strzępów.

Kayleigh, to musiała być ona. Przesunęłam palcami po grubej farbie, którą namalowano włosy. Dziewczyna, którą Harley stracił, przez którą stracił samego siebie.

Nagle poczułam się jak intruz bezczeszczący sanktuarium. Nieważne, że Harley nie żył – pokój wciąż należał do niego, a ja tu nie pasowałam.

Przyszłam po obraz. Powinnam go wziąć i wyjść. Rozejrzałam się po pokoju, szukając należącego do mnie płótna. Tam, pod oknem – czarne, czarne niebo. Srebrzystobiałe drobiny gwiazd. Pomarańczowo-złoty karp koi pływający wokół jego kostki. Harley.

Idąc pospiesznie przez pokój, trąciłam biodrem linijkę, która leżała na skraju stołu, i rozsypałam ułożone na niej w stertę papiery. Rzuciłam się na kolana, usiłując zebrać jak najwięcej. Widziałam szkice – dziewczyna pływająca, dziewczyna unosząca się na wodzie, pusty staw pełen ryb spoczywających brzuchami do góry – i choć miałam ochotę przestać się spieszyć i przyjrzeć, naprawdę przyjrzeć rysunkom, to czułam, że nie powinnam, że nie wolno mi ich nawet dotykać.

– A ty co tu robisz? – syknął głos w wejściu, potwierdzając moje obawy. Poczułam się jeszcze bardziej nie na miejscu, a zdenerwowanie ścisnęło mi żołądek.

Spojrzałam w górę. Światło z korytarza otaczało konturem sylwetkę Victrii. Gdy weszła do środka, cień opadł na nią jak koc.

– No? – Gniewne zniecierpliwienie w jej głosie mówiło mi, że cokolwiek zaszło między nami w bibliotece, teraz nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że naruszyłam świętość pokoju jednego z jej przyjaciół.

Trzymała tomik w skórzanej oprawie, ściskając go tak kurczowo, że zbieleły jej kłykie. Nie potrafiłam zrozumieć tej dziewczyny – nienawidziła mnie za opowieści o niebie, ignorowała fakt, że ocaliłam ją przed Luthorem, gardziła mną za samą obecność w pokoju Harleya.

– Nie powinno cię tu być – wypaliła.

– Wiem... ja...

Victria przeszła przez pokój i wyrwała papiery z mojej dłoni, chwytając je tak mocno, że cienkie kartki zmięły się, a kilka podarło.

– To nie twoje!

Zmrużyłam powieki.

– Ale t o tak. – Przyciągnęłam obraz do siebie. Był mój.

– Nieważne. – Zaczęła ostrożnie zbierać rozrzucone rysunki Harleya. Nie mogła mi dać wyraźniejszego sygnału, że mam już sobie iść.

Ruszyłam do wyjścia, taszcząc ze sobą obraz. Gdy odwróciłam się w drzwiach, Victria mnie ignorowała. Ułożyła papiery na stole i właśnie wygładzała jeden z nich. Zerknęłam ponad jej ramieniem, żeby zobaczyć szkic. To chyba miał być Starszy, wyglądał jednak dorosłej, a na jego grafitowych ustach błędził uśmiezek, którego nigdy u niego nie widziałam. To dziwne, że obraz Harleya był aż tak przekłamany.

Victria nie zauważyła, że podeszłam bliżej. Po raz pierwszy zobaczyłam na jej twarzy tęsknotę. Wcześniej taka tęsknota lśniła w oczach Harleya, gdy opowiadał o Kayleigh.

– Victria?

Podskoczyła, gwałtownym ruchem przesuając szkic Starszego na drugi koniec stołu.

– Masz już swój obraz, zabieraj się stąd!

Przyjrzałam się jej twarzy. Zerknęła jeszcze raz na stół i rysunek, zdradzając skrywaną miłość.

Wyszłam bez słowa.

Dopiero gdy znalazłam się z powrotem w swoim pokoju i zanurzyłam pędzel w gęstej białej farbie, zdałam sobie sprawę, że szkic wcale nie przedstawiał Starszego. Zmarszczki w kącikach oczu, krzywy uśmiech – to musiał być Orion.

## STARSZY

Gdy wyszedłem z Sali Nagrań, zakomował do mnie Doktorek.

- Gdzie jesteś? – zapytał.
- Przy Sali Nagrań.
- Świetnie. Przyjdź pod ścianę koło ogrodu.
- Po co?
- Nie mogę ci teraz tego wyjaśnić. Po prostu przyjdź.
- Ale... chciałem najpierw porozmawiać...
- Z Amy? – rzucił gwałtownie.

Tak, właśnie z Amy. Wybuch Bartiego i pocięty obraz przypomniały mi bardzo dotkliwie, jak niewielu było na tym statku ludzi, którzy nie życzyli mi porażki. Musiałem ją przeprosić – drugi raz – za nazwanie jej dziwołagiem. Chciałem jej powiedzieć, że dostanie ode mnie wszystko, czego potrzebuje, by wreszcie mogła poczuć się na „Błogosławionym” bezpiecznie. Chciałem powiedzieć, że zastanowię się nad obudzeniem jej rodziców, jeśli tylko w taki sposób mogłem z powrotem przywołać uśmiech na jej twarzy. I chociaż wiedziałem, że tej ostatniej rzeczy tak naprawdę nie mogłem powiedzieć, chciałem spojrzeć jej w oczy i dać do zrozumienia, że zrobiłbym to, gdyby tylko było to możliwe.

Moje milczenie okazało się wystarczającą odpowiedzią dla Doktora.

– Starszy, to twój obowiązek. Nie możesz decydować, kiedy jesteś Najstarszym, a kiedy nie. Jesteś nim zawsze. Nawet jeśli nie chcesz przyjąć tytułu.

Tylko czekałem na to, aż mnie zwymyśla.

– Dobrze. Zaraz tam będę – westchnąłem.

Praktykantka Doktora, dziewczyna o imieniu Kit, czekała na mnie w ogrodzie. Doktor nie chciał brać sobie ucznia, ale miał już swoje lata i wkrótce mógł potrzebować zastępstwa, więc wierciłem mu o to dziurę w brzuchu. Ze wszystkich pielęgniarek, które się zgłosiły, Kit była najlepsza. Niekoniecznie jeśli chodziło o zagadnienia medyczne – Doktor nieustannie narzekał, że zbyt wolno się uczy – lecz najlepsza w kontaktach z ludźmi, a ja uznałem, że Doktorowi przyda się ktoś bardziej „ludzki” u boku. Nie tryskał entuzjazmem, gdy poinformowałem go o moim wyborze, ale też nie protestował.

– Dziękuję – powiedziała Kit. – Po prostu nie wiedzieliśmy, co zrobić.

– Co się stało? – zapytałem, ruszając za nią ścieżką obok krzaków hortensji i stawu, w stronę metalowej ściany za ogrodem.

Doktor kucnął na ziemi, przynajmniej raz nie zwracając uwagi na brud i trawę, która z pewnością plamiła mu dłonie.

Przed ścianą klęczała jakaś kobieta. Przypominała mi trochę zdjęcia z Sol-Ziemi, na których widziałem ludzi podczas modlitwy – pochylona, opierała się rękami o ziemię z dłońmi skierowanymi do przodu, a jej głowa spoczywała na metalowej ścianie.

– Nie chce wstać – wyjaśnił Doktor.

Przykucnąłem obok nieznajomej.

– Co jej się stało?

– Po prostu nie chce wstać. – Pokręcił głową.

Położyłem rękę na jej plecach. Nawet nie drgnęła, jakby nie zdawała sobie sprawy z mojej obecności. Przesunąłem rękę wyżej, w stronę ramienia, chwyciłem i delikatnie pociągnąłem. Przechyliła się do tyłu, siadając na stopach.

Znałem ją.

Staralem się poznać wszystkich ludzi mieszkających na statku, ale to niemożliwe. Było ich zbyt wielu i choćbym nie wiadomo jak się starał, po prostu nie dawałem rady.

Ale tę kobietę znałem.

Miała na imię Evalee i pracowała w Mieście, w dzielnicy pakowaczy żywności. Jako dziecko mieszkałem przez pewien czas z jej rodziną – nie pamiętałem dokładnie kiedy. Wydawało mi się, że nie przyjmowała fidusa, kiedy z nimi byłem, ale później – gdy złożyłem im wizytę przed przeprowadzką na Poziom Strażnika – na pewno tak. Mimo to zawsze była dla mnie dobra. Nałożyła mi maść na rękę, gdy poparzyłem się podczas nauki puszkowania fasoli szparagowej, nie zwracając uwagi na mój płacz, choć byłem już wystarczająco duży, by nie robić zamieszania z powodu małego poparzenia.

– Evie – odezwałem się. – To ja, Starszy. Co się stało?

Spojrzała na mnie, ale jej oczy były tak martwe, jakby wciąż brała fidusa. Nie, jeszcze bardziej martwe. Podniosła rękę i zaczęła drapać metalową ścianę.

– Nie ma wyjścia... – wyszeptła.

Dopiero wtedy powoli odwróciła głowę do ściany. Jak dziecko opadające na poduszkę oparła twarz o chłodny metal. Paznokcie drapały ścianę tak cicho, że ledwie to słyszałem. Drugą ręką uderzyła w ziemię i rozwarła pięść.

Doktorek przyglądał się nam z ponurym wyrazem twarzy.

– Co jej się stało? – powtórzyłem.

Zacisnął usta i odetchnął ciężko przez nos, zanim odpowiedział:

– Jest jedną z pacjentek cierpiących na depresję. Wczoraj zaginęła. Wydaje mi się, że chodziła wzdłuż ściany, dopóki nie upadła z wycieńczenia.

Zerknąłem na stopy Evie. Były upstrzone brązoworudymi plamami nawet na podbiciu, a pod paznokciami widniały ciemne linie zaschniętego błota.

– Co możemy zrobić? – zapytałem. Jednak tak naprawdę dręczyły mnie inne wątpliwości. Czy wszyscy zareagują podobnie, kiedy dowiedzą się, że statek stoi w miejscu? Zawsze wydawało mi się, że najgorsze, co może nas spotkać, to bunt, ale od patrzenia na obojętność i pustkę Evie sam czułem się wydrążony w środku. Co byłoby lepsze – rozerwać statek na strzępy czy w ciszy drapać ściany aż do ostatniego tchnienia?

Doktorek zerknął na swoją praktykantkę. Kit sięgnęła do kieszeni fartucha laboratoryjnego i wyciągnęła bladozielony medplast.

– Właśnie dlatego do ciebie zakomowałem – powiedział Doktor, kiedy Kit podała mi plaster. – Wymyśliłem nowy rodzaj medplasteru dla pacjentów depresyjnych.

Przyjrzałem się plasterkowi. Doktor robił je praktycznie sam, w produkcji pomagała mu tylko garstka sterników z laboratorium chemicznego. Mikroskopijne igły pokrywały jedną stronę plastra jak opiłki przyklejone do taśmy. Wystarczyło przycisnąć medplast do skóry, by lek dostał się bezpośrednio do organizmu pacjenta.

– Więc go użyj – mruknąłem, oddając go Doktorowi.

Ostrożnie chwycił medplast za krawędzie.

– Ale muszę cię o coś zapytać. Chciałem, żebyś sam zrozumiał, dlaczego to jest konieczne, ale i tak muszę zapytać. Zrobiłem te medplasty z fidusa.

Zmierzyłem go wzrokiem. Z fidusa? Przecież kazałem mu zniszczyć wszystkie zapasy tego środka. Najwyraźniej wcale tego nie zrobił – i na dodatek nie czuł przede mną respektu, skoro potrafił się do tego przyznać.

Ale miał przynajmniej tyle tupetu, by zapytać o pozwolenie na jego użycie.

Kit wierciła się niespokojnie. Nawet Doktor wyglądał na podenerwowanego, nie wiedząc, jak zareaguję na nielegalny lek. Tylko Evie – z brudnymi stopami i twarzą

przyklejoną do ściany – miała to wszystko gdzieś.

– Użyj go – powiedziałem, podnosząc się z ziemi. Rozerwał opakowanie, a ja usłyszałem, jak Evie westchnęła ulegle, gdy środek chemiczny dostał się do jej krwiobiegu. Doktorek kazał jej wstać i iść za nim do Szpitala. Usłuchała potulnie.

Maszerowałem z tyłu. Apatia Evie była dużo gorsza od bezmyślności żywicieli w czasie, gdy przyjmowali fidusa. Przypomniałem sobie pustkę w otumanionych oczach Amy. Doktorek powiedział wtedy, że źle zareagowała na lek. Może Evie źle reagowała na odstawienie?

– Zabierz ją do jednego z pokoiów na trzecim piętrze – polecił praktykantce Doktorek.

Spojrzałem na niego znacząco, gdy Kit odciągnęła Evie do windy.

– Na trzecim piętrze znajdują się teraz łóżka dla zwykłych pacjentów – rzucił bez wahania. Wiedział, o czym myślałem – o siwych i o pozbawionym emocji sposobie, w jaki na rozkaz Najstarszego Doktorek pozbawiał ich życia, by zrobić miejsce dla młodszych. – Chciałbyś zobaczyć tygodniowy raport, skoro już tu jesteś? Możemy pójść do gabinetu.

Kiwnąłem głową i w milczeniu ruszyliśmy do windy. Wysiedliśmy na drugim piętrze, a Kit z Evie pojechały dalej na trzecie. W drodze do gabinetu zatrzymałem się na chwilę przy drzwiach pokoju Amy. Chciałem skrócić w prawo i wejść do środka, błagać ją o wybaczenie, aż w końcu przyjmie moje przeprosiny, ale zamiast tego skręciłem w lewo.

– Mamy tu ostatnio pełne ręce roboty – odezwał się Doktorek. – Po raz pierwszy od dwóch dni znalazłem czas, by zajrzeć do swojego gabinetu. Przepraszam za bałagan.

Parsknąłem. Gabinet wyglądał na nieskazitelnie czysty, ale Doktorek i tak popędził do biurka, by ułożyć równo stos papierów.

Szpital rzeczywiście przyjmował więcej pacjentów. Powody były różne. Rany i stłuczenia po bójkach. Obrażenia spowodowane przez maszyny rolnicze, ponieważ ich operatorzy bujali w obłokach podczas pracy, co nigdy by się nie zdarzyło, gdyby dostawali fidusa. Kilka osób po prostu się wygłupiało, żeby udowodnić wszystkim wokół, jakimi są luzakami. A poza tym kilka... dość dziwnych przypadków. Ludzie zadawali sobie lub innym ból, ponieważ nagle stwierdzili, że potrafią odczuwać, i było im wszystko jedno, co odczuwają – ważne, żeby czuli.

Amy twierdziła, że potrafi ocenić, jak szybko ustępują efekty działania fidusa, po liczbie pacjentów trafiających każdego dnia do Szpitala.

Ścisnęło mnie w żołądku, gdy sobie o niej przypomniałem. Znajdowała się tak blisko – na końcu korytarza. Pewnie siedziała w pokoju i nienawidziła mnie.

– Mój raport. – Doktorek podsunął mi plastplej.

– Czy Evie dojdzie do siebie? – zapytałem, zanim go podniosłem.

Przytaknął.

– Medplast z fidusem to taki sam medplast, jak każdy inny, po prostu środek w igielkach zawiera fidusa – o dość wysokim stężeniu, by szybko zaczął działać. Ale na wszelki wypadek przygotowałem też antidotum.

Nadal nie byłem przekonany co do stosowania fidusa w jakiegokolwiek formie. Cóż, przynajmniej mieliśmy antidotum. Postanowiłem nie ciągnąć tego tematu.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie powiedzieć Doktorowi wszystkiego, czego dowiedziałem się o statku – o tym, że stoimy. Najstarszy na pewno by mi powiedział. Ale ja nie byłem Najstarszym, a Doktorek nie był moim przyjacielem. Zamiast mówić, zacząłem przeglądać raport.

OCENA STANU ZDROWIA – RAPORT TYGODNIOWY

POPZEDNIA POPULACJA: 2298  
OBECNA POPULACJA: 2296  
ZMIANA LICZEBNOŚCI POPULACJI: -2  
JORDY, RANCZER: SAMOBÓJSTWO  
ELLEMAE, OBSŁUGA CIEPLARNI: KOMPLIKACJE W WYNIKU  
ODNIESIONYCH OBRAŻEŃ ZEWNĘTRZNYCH  
CHOROBY I URAZY:  
+3 – INFEKCJE RAN  
+18 – NIEŻYTY ŻOŁĄDKA I JELIT Z POWODU NIEPRAWIDŁOWEGO  
PRZYGOTOWANIA ŻYWNOSCI  
+6 – WYPADKI W MIEJSCACH PRACY  
+9 – PRZYPADKI PRZEMOCY I SAMOOKALECZEŃ  
+43 – PROBLEMY SPOWODOWANE ALKOHOLEM (ZATRUCIA, OBRAŻENIA  
ITP.)  
+24 – PRZYPADKI NIEDOŻYWIENIA  
+63 – PRZYPADKI PRZEKARMIENIA  
PROBLEMY PSYCHICZNE:  
-1 – DEPRESJA  
+8 – ZBIERACTWO  
+6 – HIPOCHONDRIA  
+2 – DEWIACJE SEKSUALNE  
UWAGI MEDYCZNE:  
+2 – CIAŻE

Nacisnąłem nazwiska zmarłych i odczytałem je, by dobrze zapamiętać. A wszystko z powodu prostej prawdy: gdybym nie odciął dopływu fidusa, ci ludzie wciąż by żyli. I chociaż zawsze mógłbym powiedzieć, że krótkie życie wypełnione uczuciami jest lepsze niż długie życie bez nich, zmarli nie wypowiedzą się już na ten temat.

Zamyśliłem się też na chwilę przy niedożywionych i przekarmionych. Byłem pewien, że częściowo wynikało to z tendencji do zbieractwa, gromadzenia. Ludzie bali się, że w przyszłości może im zabraknąć pożywienia, więc woleli je chować niż zjadać. A tymczasem inni napychali się do oporu, zanim nasze zapasy całkowicie stopnieją.

Mimowolnie przypomniałem sobie o ostrzeżeniu Bartiego – że rewolucja zaczyna się w żołądku człowieka.

– Dwie nowe ciąży? – zapytałem, dotarłszy do końca raportu.

Doktorzek zabrał mi plastplej i spojrział na wyświetlacz, mimo że musiał wiedzieć, o co mi chodziło.

– Ach, tak – rzucił. – Obie kobiety mieszkały w Izolatce i nie brały udziału w Godach, ale podjęły teraz decyzję o prokreacji.

– Doktorze – zacząłem, a w moim głosie słychać było zaciekawienie – Gody nie są chyba zbyt efektywnym sposobem na odbudowanie populacji statku?

Doktorzek wyłączył plastplej i odłożył go na biurko. Przez chwilę stukał palcem w jeden z rogów, dopóki plastplej nie przylgnał równo do maty.

– Hm... no cóż... a skąd taki pomysł?

Pochyliłem się, zsuwając na samą krawędź krzesła.

– Jeszcze do niedawna myślałem, że Gody są czymś całkowicie naturalnym, że ludzie spółkują tak jak zwierzęta, w określonych odstępach czasu. Ale teraz już rozumiem, że Gody

nie miały nic wspólnego z naturą. Jeżeli wymyśliliście to obaj, ty i Najstarszy, a my wciąż próbujemy odbudować populację statku... w takim razie Gody nie mają raczej zbyt wielkiego sensu? Tylko jedne Gody na całe pokolenie? Przecież to doprowadziłoby do r e d u k c j i populacji, a nie do jej wzrostu...

Zamilkłem, ale Doktorek nie odpowiedział od razu. Im więcej o tym mówiłem, tym bardziej byłem przekonany o słuszności swojej teorii. Gody były gzyfowo głupią metodą na przywrócenie populacji statku do jej pierwotnej liczebności.

– Cóż, dla niektórych pokoleń organizowaliśmy Gody dwukrotnie – stwierdził Doktorek obronnym tonem. – A ponadto dzięki inżynierii genetycznej wiele kobiet zachodziło w ciążę mnogie.

Przez długą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

– To się zaczęło kilka pokoleń temu – powiedział w końcu Doktorek pustym głosem, jakby wyznawał mi jakiś krępujący sekret. – Doszliśmy do wniosku, że powinniśmy spowolnić wzrost populacji. Nawet w obecnej sytuacji mamy kłopoty z produkcją żywności.

– A co zrobimy, jeśli nie będziemy mogli wyprodukować odpowiedniej ilości?

Przyglądał mi się w ciszy, a ja wiedziałem, że rozważał, czy powiedzieć mi całą prawdę, czy nie. Od sterników mogłem po prostu zażądać odpowiedzi i zawsze byłem pewien, że ją dostanę; w przypadku Doktorka pozostawała mi tylko nadzieja. Doktorek popierał decyzję Najstarszego o stosowaniu fidusa i przyklaskiwał metodom działania Orionu – w końcu zachował go przy życiu, mimo że Najstarszy kazał go zabić. Nie sądziłem jednak, by podjął już decyzję, czy byłem dobrym zastępcą któregośkolwiek z tych mężczyzn.

Najwyraźniej uznał jednak, że może mi zaufać. Przynajmniej w tej kwestii.

– Najstarszy też o tym pomyślał. Mamy w magazynie zapas trzech tysięcy czarnych medplastów.

– Czarnych? – zapytałem. Nigdy takich nie widziałem.

Doktorek energicznie skinął głową.

– Gdyby się okazało, że statek nie jest już w stanie podtrzymać życia, rozdamy je całej populacji.

I wtedy zrozumiałem, do czego służyły czarne medplasty. Zapewniały szybką śmierć, żeby wybawić nas od powolnej.

Oparłam obraz na łóżku i cofnęłam się o krok. Roześmiane oczy Harleya znalazły się na tym samym poziomie co moje, lecz nie miałam wrażenia, że patrzyły na mnie, tak jak oczy Mony Lisy.

– No dobrze – odezwałam się do namalowanego Harleya – więc gdzie jest ta wskazówka, którą Orion ponoć tu zostawił?

Nie potrafiłam się zdecydować, żeby dotknąć obrazu – nie chciałam zrobić niczego, co mogłoby go zniszczyć. Zamiast tego przyjrzałam mu się uważnie, poszukując ukrytej wiadomości od Oriona.

Zagubiłam się w obrazie – twarz Harleya, gwiazdy i maleńki karp koi pływający wokół jego kostki. Były tam wszystkie wspomnienia. Jak ktoś, kogo znałam tak krótko, mógł zostawić w mojej duszy niezatarty ślad? Patrząc teraz na Harleya, tak szczęśliwego i wolnego, przypominałam sobie to coś, co miał w sobie – tę iskrę, radość, to coś, przez co żalowałam, że już go tu ze mną nie ma.

Zmusiłam wzrok, by nie skupiał się na żadnym szczególe, by spojrzeć przez obraz w głąb farby. I niczego nie dostrzegłam.

Przesunęłam dłońmi po poplamionych brzegach obrazu. Nic.

Potem odwróciłam go na drugą stronę.

Nigdy dotąd nie przyglądałam się tyłowi obrazu. Lecz teraz dostrzegłam błąd, niemal niewidoczny szkic najwyraźniej wykonany węglem albo ołówkiem. Zmrużyłam powieki, pochyliłam się bardziej, a potem uniosłam obraz do światła.

Zwierzątko – ale to nie był szkic Harleya; on rysował dużo bardziej realistycznie. To stworzenie rodem z kreskówki przypominało małego chomika, tyle że z wielkimi, wyolbrzymionymi uszami... Króliczek. A obok niego koło... czy raczej spłaszczone koło, owal. Pośrodku znajdował się maleńki kwadracik. Wyglądał jak jedna z tych supercienkich kart pamięci, których mama używała w tym swoim wymyślnym aparacie. Był przymocowany do płótna za pomocą czegoś lepkiego, lecz gdy tylko wsunęłam paznokieć pod krawędź, natychmiast się odkleił.

Położyłam przedmiot na koniuszku palca wskazującego. Czarny plastik zamykał wewnątrz wąski pasek złotego metalu, przeplatany srebrnymi nićmi obwodów elektrycznych. Co to takiego? Wyglądało znajomo. Odwróciłam kwadracik, ale z drugiej strony był tylko twardy plastik.

I wtedy to do mnie dotarło – już kiedyś widziałam coś podobnego. Pospieszyłam do biurka i chwyciłam mały plastplej, na którym oglądałam film Oriona. W rogu ekranu, podłączony do niewielkiego portu, znajdował się identyczny czarny plastikowy kwadracik. Przedmiot z obrazu Harleya to jakby karta pamięci... Gdybym tylko mogła wykombinować, jak zamienić ją z tą już podłączoną...

Ponownie przyjrzałam się obrazowi w nadziei, że znajdę jakąś wskazówkę. I rzeczywiście – tuż pod szkicem widniały drobne, ledwo czytelne słowa:

*Podążaj za mną w głąb króliczej nory.*

– Zdziwniej i zdziwniej – mruknęłam.

Starszy dotarł do mojego pokoju jakieś dwie i pół sekundy po tym, jak się z nim połączyłam.

– Co się stało? – zapytał, wpadając do środka.

Wybuchnęłam śmiechem, widząc, jak przeczesuje wzrokiem pomieszczenie w poszukiwaniu smoka, którego mógłby zgładzić dla swej dziewczycy w potrzebie.



– Jakim cudem dotarłeś tu tak szybko?

– Byłem u Doktora.

Śmiech zamarł. W ciszy, która nagle zapadła, przypomniałam sobie, jak nazwał mnie dziwolągiem, jak ułożyły się jego usta, kiedy wypowiadał to słowo.

– Amy, posłuchaj. Przepraszam. – Już chciałam się odezwać, ale Starszy mówił dalej: – Poważnie. Nigdy nie chciałem tego powiedzieć. Naprawdę mi przykro.

– Mnie też – odparłam, spoglądając na swoje dłonie. To głupie, że tak się rozwodziliśmy nad jednym, wypowiedzianym w gniewie słowem, podczas gdy na głowie mieliśmy cały statek.

Cisza rozlała się między nami, lecz przynajmniej Starszy przestał odwracać wzrok.

– No to co się stało? – zapytał w końcu.

– Nic. Tylko... znalazłam coś dziwnego.

Wyciągnęłam dłoń z małym czarnym czipem z obrazu Harleya i plastplejem znalezionym w *Piekle* Dantego.

– Karta pamięci i dedykowany czytnik wideo! – zaśmiał się Starszy. – Od lat ich nie widziałem. Plastpleje w zasadzie je wyparły.

– Jak się używa tej karty? – zapytałam, podając ją Starszemu.

– Dedykowany czytnik wideo to zwykły cyfrowy ekran membranowy – wyjaśnił Starszy, delikatnie wyciągając oryginalną kartę i wkładając nową. Kwadratowy czip wskoczył z trzaskiem na miejsce, jakby między nim a czytnikiem występowało przyciąganie magnetyczne. – Przypomina plastplej, tyle że trzeba włożyć z tyłu kartę pamięci, by zadziałał.

– Położył starą kartę na brzegu biurka, po czym odwrócił czytnik i przesunął palcem po ekranie. Rozbłysło kwadratowe okienko.

– Daj. – Zabrałam czytnik z jego dłoni i przycisnęłam kciuk do okienka. Zniknęło, a zamiast niego pojawił się film, który automatycznie zaczął się odtwarzać.

– To... poziom kriogeniczny – wyszeptałam. Kąt ujęcia przypominał materiał z kamer ochrony.

Starszy potrząsnął głową.

– Niemożliwe. Kamery na tym poziomie zostały zniszczone, zanim Orion zaczął... Zaczął odłączać zamrożonych.

Przez kilka chwil na ekranie nic się nie działo. Już miałam zapytać Starszego, czy czytnik się zawiesił albo zepsuł, kiedy w rogu obrazu coś się poruszyło.

Najpierw cień wijący się po podłodze niczym szponiasta dłoń.

A potem...

– To ja – szepnął Starszy.

Zerknęłam na niego. Nie byłam pewna, dlaczego powiedział to tak wysokim i zaniepokojonym głosem.

– Może... może nie oglądajmy tego. Myślę, że nie powinniśmy tego oglądać. – Wyciągnęłam dłoń, żeby zatrzymać film, ale odsunęłam czytnik z zasięgu jego ręki.

– Dlaczego? – zainteresowałam się.

Przygryzł wargę. Na jego twarzy było widać niepokój.

Starszy na ekranie skradał się dalej. Nagranie nie miało dźwięku, przez co wrażenie było jeszcze bardziej niesamowite, kiedy Starszy przystanął, jakby coś usłyszał. Po chwili odwrócił się w kierunku kwadratowych drzwiczek przypominających te w kostnicy. Otworzył je i wyciągnął ze środka metalową płytę.

Nie patrzyłam już na Starszego. Patrzyłam na siebie.

To byłam ja, zamrożona. Nieruchoma. Wyglądałam jak trup. Zgroza wykrzywiła

moje usta. To było moje ciało. N a g i e. A Starszy się na nie gapił.

- Starszy! – zaskrzeczałam i palnęłam go w głowę.
- Wtedy cię jeszcze nie znałem – zaprotestował.
- Nie wiedziałam, że z ciebie taki zboczeniec!
- Przepraszam. – Uchylił się przed kolejnym szturchnięciem.

Starszy na ekranie nagle spojrzął w górę, z powrotem przykuwając naszą uwagę. Lecz już po chwili nasłuchiwania z uniesioną głową, jak zatroskany ptak, ponownie zajął się mną. Uniósł dłoń – zauważyłam, że lekko drżała – i położył ją na szklanej skrzyni, tuż nad moim sercem. A potem zerwał się na równe nogi – najwyraźniej zaskoczony dźwiękiem, który usłyszał – i zniknął z ekranu.

– Tak po prostu mnie tam zostawiłeś? – zapytałam. Wiedziałam, że tak, już mi to wyznał, ale co innego było to zobaczyć. Zobaczyć siebie, bezmyślnie porzuconą, bezbronną.

Starszy wyglądał jak półtora nieszczęścia. W ogóle nie patrzył na ekran. Spoglądał na mnie z takim wyrazem twarzy, jakby żałował, że nie wrzasnęłam i że go nie uderzyłam. Mielibyśmy to już za sobą.

Ale ja nie byłam wściekła – a przynajmniej bardziej smutna niż wściekła. I lekko zniesmaczona. Nie wiedziałam, jak ująć w słowa ten mdlący posmak żółci z tyłu języka, więc nie powiedziałam nic, tylko z powrotem spojrzałam na ekran.

Przez kilka minut nic się nie działo. Przyglądałam się, jak z krawędzi mojej szklanej trumny wypłynęła wąska struzka cieczy i zaczęła cicho, drobnymi kroplami kapać na podłogę. Roztapiałam się.

Nagle nie chciałam już na to patrzeć. Nie chciałam patrzeć, jak się budzę. Nie mogłam przeżywać tego na nowo – tonięcia w płynie kriogenicznym, krztuszenia się rurkami tkwiącymi w gardle... Zamknęłam oczy i odwróciłam głowę, choć musiało upłynąć jeszcze dużo, dużo czasu, zanim roztopiłabym się na ekranie do końca. Lecz wtedy Starszy z zaskoczeniem wciągnął powietrze i mój wzrok prędko wrócił na ekran.

Kolejny cień – szerszy i dłuższy – skradał się w moją stronę. Snop światła ukazał bok jego szyi, tę część, w której pajęczna sieć blizn sięgała aż za lewe ucho.

Orion.

Najpierw wsunął mnie z powrotem do zamrażarki. Zamknął drzwiczki i odwrócił się, zamierzając odejść.

Wtedy jednak przystanął.

Przez chwilę spoglądał w tym samym kierunku poza ekranem, w którym odszedł Starszy, i zaczął przebierać palcami po wierzchu komory kriogenicznej, zastanawiając się. A potem powoli, z rozmysłem wyciągnął mnie z powrotem. Patrzył na mnie przez moment.

Po czym odszedł.

Orion powiedział, że wpadł na pomysł odłączenia zamrożonych, kiedy przyglądał się, jak Starszy mnie odmrażał. Właśnie wtedy. To właśnie wtedy zdał sobie sprawę, z jaką łatwością jest w stanie mordować ludzi, którzy nie mogą się bronić.

Ekran wypełniły zakłócenia elektrostatyczne.

– Dlatego zniszczył kamery na poziomie kriogenicznym – rzekł Starszy.

Między innymi dlatego.

Odłożył czytnik na biurko. Włosy opadły mu na twarz, ale wciąż widziałam, jak jego wzrok przesuwiał się w moją stronę. Czekał, aż zareaguję.

Tyle że ja nie miałam pojęcia, jak zareagować. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. O tym, jak patrzył na mnie Starszy i jak nie patrzył Orion. Mój mózg nie potrafił tego przetworzyć.

– Amy?

Starszy gwałtownie podniósł głowę, z jego oczu wycierała panika. To nie on się odezwał.

Oboje pospieszyliśmy do czytnika na biurku. Po zakłóceniach nie został nawet ślad.

Ekran wypełniała twarz Oriona. Była tak blisko, że kamera musiała się znajdować zaledwie kilka cali od niego.

Zanim wyświetlacz zgasł, rozległ się wyraźny głos.

– Amy? Jesteś na to gotowa? Jesteś gotowa na prawdę?

## STARSZY

Wyświetlacz zgasł, a ostatnie słowa Oriona zawisły w powietrzu, ale oczy Amy wypełniła wizja tego, jak wyciągałem ją z komory kriogenicznej.

– Amy? – wyszeptalem z wahaniem.

Przetarła dłonią twarz. Jej oczy były zaczerwienione.

– Amy?

– To nie ma znaczenia – powiedziała w końcu, ale głos jej się łamał. – Co się stało, to się nie odstanie.

Właśnie to powoli zabijało mnie od środka – świadomość, że to, co się stało, stało się przeze mnie. Choć bardzo bym chciał, żeby patrzyła na mnie tak, jak ja na nią patrzyłem, i pragnęła mnie tak, jak ja jej pragnąłem, wiedziałem, że nigdy nie zapomni tego obrazu. Zawsze będzie pamiętać, jak wyciągnąłem ją z komory kriogenicznej i odszedłem. Nic dziwnego, że nie chciała zamieszkać ze mną na Poziomie Strażnika.

Mógłbym uderzyć człowieka, który kazał jej to oglądać. Odruchowo zacisnąłem pięści. Może i nie byłem zbyt błyskotliwy, ale to wcale nie oznaczało, że ktoś musiał pokazywać Amy, jaki ze mnie drań!

– Kto ci to dał? – zapytałem nieznośnym sprzeciwu tonem.

Spojrzała na mnie swoimi zielonymi oczami, a jej głos brzmiał już spokojnie.

– Orion.

– Co?!

– Orion mi to dał. W pewnym sensie. To znaczy, zostawił dla mnie ten wi-kom. Jest na nim napis, widzisz? – Podsunęła mi wi-kom pod nos. – Cytat z książki. Ta książka doprowadziła mnie do obrazu, a obraz do... tego.

– Ale dlaczego zostawił dla ciebie wiadomość? W co on z nami gra?

Zawahała się, po czym podała mi oryginalną kartę pamięci, która była podpięta do czytnika wideo. Gdy Amy docisnęła kciuk do pola identyfikacyjnego, włączyło się kolejne nagranie. Orion zdradził jej swój plan awaryjny i powiedział, że będzie potrzebował kogoś w rezerwie, jeżeli sam zawiedzie. Nie zdołałem odeprzeć od siebie myśli, że według wszelkich znaków na niebie i ziemi ja także zawodziłem wszystkich dookoła.

– Skąd to masz?

– Już ci mówiłam – odparła Amy. – Orion zostawił dla mnie wskazówki.

– I wydaje ci się, że... że jeśli będziesz grać w tę jego grę i rozwiązywać jego zagadki, to... to właściwie co?

– Sama nie wiem – westchnęła – ale sposób, w jaki mówi, że decyzję powinien podjąć ktoś z Sol-Ziemi, dał mi do myślenia.

Przypomniałem sobie słowa Pierwszej Sterniczki Marae – to Orion wpłynął na decyzję o ukrywaniu informacji na temat usterki silnika, a niedługo później Najstarszy próbował go zabić. Jeśli nagrał te filmy, żeby przekazać dalej odkrycia, z powodu których Najstarszy chciał go wyeliminować, to może naprawdę istniał sposób na wprawienie „Błogosławionego” w ruch?

To była jakaś większa sprawa. Może na końcu tego wariackiego polowania na wskazówki znajdziemy rozwiązanie zagadki silnika! Co oznaczało, że Orion...

– Powinniśmy go obudzić – stwierdziłem.

Amy spojrzała na mnie tak, jakbym zamierzał zorganizować kolejne Gody.

– Moglibyśmy – nalegałem. – Obudzić go. Zmusić, żeby wyśpiewał wszystko, co wie.

– Nie zasługuje na to, by się obudzić – prychnęła z większą żarliwością, niż się

spodziewałem.

– Ale Amy...

– A poza tym – dodała pospiesznie – i tak nie moglibyśmy mu zaufać. To – postukała palcem w wyświetlacz – może być najlepsza namiastka prawdy, jaką kiedykolwiek z niego wydobydziemy.

Przygryzłem wargę. Byłem pewien, że nie spodobałby się jej sposób, w jaki myślałem o Orionie. Że może częściowo miał rację. Nie jeśli chodzi o morderstwa, nie w taki sposób; może miał rację, atakując Najstarszego i próbując się dowiedzieć jak najwięcej na temat silnika, a potem działać zgodnie z tą wiedzą. To wymagało nie lada tupetu, a ja w pewnym sensie mu zazdrościłem.

Ale cieszyłem się, że Amy nie potrafiła czytać mi w myślach.

– W tym ostatnim nagraniu nie było żadnej wskazówki. Wydaje mi się, że powinniśmy szukać jej tutaj. – Podniosła ostatni obraz Harleya i odwróciła go tyłem, by pokazać mi szkie króliczych pól i słowa *Podążaj za mną w głąb króliczej nory*.

– Myślisz, że ukrył coś na króliczych polach? – zapytałem z powątpiewaniem. W końcu króliki nie kopały nor – robiły gniazda. Były większe od swoich sol-ziemskich odpowiedników i przypominały raczej zające.

– Dokładnie tak – odparła. – Chyba że ma na myśli inną książkę.

Aha, tak jak sądziłem. Nie byłem aż takim naiwniakiem. Amy wcale nie podejrzewała, że kolejna wskazówka znajduje się na polach – chciała mnie tylko rozkojarzyć. Pewnie dobrze wiedziała, o którą książkę chodziło Orionowi.

Jeżeli jednak potrzebowała przestrzeni, to chociaż tyle mogłem jej zapewnić – nawet jeśli ta przestrzeń rozdzieli nas jak wzbierająca woda.

Obserwowałem, jak w milczeniu przygotowywała się na spotkanie z ludźmi poza bezpiecznym azylem pokoju. Związała włosy długim kawałkiem materiału i zwinęła je w kok. Jedną ręką wsunęła za tunikę krzyżyk, podczas gdy drugą sięgnęła po kurtkę z długimi rękawami i kapturem. Wszystko to robiła szybkimi i płynnymi ruchami, jakby wielokrotnie powtarzała tę czynność. Nie podobało mi się, że ukrywanie tożsamości weszło jej w krew, ale nie powiedziałem jej też, żeby nie przejmowała się przebraniem.

Milczeliśmy, dopóki nie wyszliśmy na ścieżkę prowadzącą do Sali Nagrań.

– Jesteś pewna, że nie potrzebujesz mojego towarzystwa? – zapytałem.

– Jestem pewna – odparła, a ja mogłem się tylko domyślać, czy jej głos zabrzmiał tak cicho, bo musiał się wydostać spod fałdów kaptura, czy raczej próbowała ukryć przede mną strach. Tak czy inaczej, była jednak zdeterminowana, by zmierzyć się ze swoim koszmarem w pojedynkę.

Poszła dalej, w stronę Sali Nagrań, a ja skręciłem w lewo, na królicze pola, choć oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że kolejna wskazówka kryła się w książce, o której myślała Amy. Z kapturem naciągniętym głęboko na głowę, ze zwieszonymi ramionami i wzrokiem wbitym w ziemię wyglądała na... pokonaną.

– Nie – rzuciłem i dogoniłem ją kilkoma długimi krokami. Złapałem ją za łokieć.

– Co nie? – zapytała.

– Wiem, że wciąż jesteś na mnie zła.

– Nie, naprawdę nie...

– Jesteś, a ja to rozumiem. Zasłużyłem sobie. Rozumiem też, dlaczego chcesz mi pokazać, jaka jesteś silna. Chcesz mi udowodnić, że mnie nie potrzebujesz, ale nie ma żadnego powodu, żebyśmy się rozdzielali. Więc nie bądź uparta i posłuchaj. – Zająknąłem się, a mój głos przycichł. – Coś przede mną ukrywasz. W porządku, każdy ma prawo do sekretów. Ale

widzę, że ten sekret cię przeraża, i nie zamierzam pozwolić, żebyś była jednocześnie przerażona i sama. Więc będziesz się trzymać mnie, a ja ciebie, jasne?

Otworzyła usta, żeby zaprotestować.

– Bez gadania – uciąłem.

Po raz pierwszy od dawna w jej oczach zalśnił szczerzy uśmiech.

Najpierw poszliśmy sprawdzić królicze pola, chociaż byłem niemal pewien, że według Amy odpowiedzi znajdują się w Sali Nagrań. Nie rozmawialiśmy o moim wybuchu, lecz gdzieś pomiędzy soją i orzeszkami ziemnymi zapadło między nami przyjacielskie milczenie. Nie krępujące ani nie dziwne; po prostu w ciszy maszerowaliśmy ramię w ramię.

Przed zakrętem na królicze pola ścieżka zwęziła się i oboje zesliśmy jednocześnie na jej środek. Poczułem, jak muskam dłoń Amy wierzchem swojej dłoni, ale cofnąłem rękę zbyt szybko i schowałem do kieszeni, żeby przypadkiem nie dotknąć Amy ponownie. A gdy na nią spojrzałem, by sprawdzić, czy to zauważyła, ona w tej samej chwili spojrzała na mnie. Uśmiechnęła się do mnie i ja się uśmiechnąłem, szturchnęła mnie ramieniem i ja ją szturchnąłem, po czym oboje zatrzęśliśmy się ze śmiechu, choć z naszych ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Zaraz potem przez ścieżkę przebiegł królik.

– Dziwne – stwierdziłem. – Jak on się wydostał?

– Ktoś uszkodził ogrodzenie. – Amy wskazała miejsce, w którym cienka metalowa siatka była oderwana od słupka i zdeptana. Przez dziurę bez kłopotu przeszedłby dorosły człowiek. – Myślisz, że coś się stało? – wyszeptła.

Nie odpowiedziałem. Nie musiałem – ciało leżące pośrodku pola mówiło więcej, niż trzeba.

To właśnie na króliczej farmie po raz pierwszy poczułam przerażenie. Nie strach – w swoim życiu wiele razy doświadczyłam strachu, zarówno na tym statku, jak i na Ziemi. Nie poznałam jednak przerażenia, dopóki nie spojrzałam w oczy dziewczyny z króliczej farmy i nie uświadomiłam sobie, że jest martwa.

Teraz, kiedy Starszy odwrócił leżące na polu ciało na plecy, abyśmy mogli zobaczyć twarz, dostrzegłam po raz kolejny, że z oczu dziewczyny z króliczej fermy ziała pustka.

Uklękłam obok niej. Starszy przytknął dłoń do jej szyi; wzywał Doktorka i siły policyjne, było już jednak za późno. O wiele za późno.

Mój umysł obojętnie notował szczegóły, choć w środku gotowałam się z obrzydzenia. Ręce dziewczyny były szeroko rozpostarte, z ciemnofioletowymi sińcami na nadgarstkach. Ślady palców otaczały jej gardło. Miała zadartą spódnicę. Otwartymi szeroko oczami wpatrywała się nieruchomo w metalowe niebo. Duży królik tulił się do jej nagiej stopy. Podeszwy jej stóp były brudne od trawy, a kolana ubłocone, jak gdyby biegła i upadła więcej niż raz.

Delikatnie obciągnęłam rąbek jej spódnicy, tak że spoczął równo na kolanach, niemal zakrywając błoto, po czym zamknęłam dziewczynie powieki.

– Kto mógłby zrobić coś takiego? – zapytał Starszy.

*Możemy zrobić, co nam się żywnie podoba*, powiedział Luthor.

Otworzyłam usta, żeby się odezwać, nie padło jednak ani jedno słowo. Próbowałam je wydusić, ale jedyne, co z siebie wydałam, to niemal niesłyszalny odgłos strachu.

– Co się stało? – zawołał Doktorek, spiesząc przez pole w naszym kierunku. Za nim podążała Kit, jego praktykantka.

Doktorek zabrał się do oględzin. Zawadzałam mu, miałam tego świadomość, ale nie byłam w stanie się poruszyć, dopóki Kit nie chwyciła mnie za ramię i nie podniosła. Odciągnęła mnie od ciała i odwróciła twarzą w stronę murów, z dala od śmierci.

– Proszę – powiedziała, wręczając mi coś. Mały zielony plaster medyczny.

– Nie – odparłam odruchowo. Nie ufałam żadnym lekom wytworzonym na tym statku.

– Pomoże ci się uspokoić – nalegała Kit.

– Nie.

Obróciłam się z powrotem do ciała. Starszy i Doktorek klęczeli przy dziewczynie, rozmawiając podniesionym tonem. Klócili się.

– Starszy! – Z drugiej strony pola dobiegł głos. Ujrzałam sterniczkę – wysoką, smukłą, z idealnie ostrzyżonymi włosami – która biegła w naszym kierunku.

Starszy podniósł się.

– Marae, dziękuję, że przyszłaś.

– Tak jak mi kazałeś – odparła po prostu.

Cała trójka stanęła wokół ciała, nie zaszczycając mnie choćby jednym spojrzeniem.

Starszy i Doktorek omawiali autopsję, podczas gdy Marae szybko klepała w plastplej, jej palce tańczyły po ekranie. Kit odeszła na polecenie Doktorka, by przygotować salę. Wkrótce zjawili się inni ludzie – wszyscy w ciemnych ubraniach ze sztywnego materiału, jakie nosili sternicy pierwszego szczebla – i po naradzie ze Starszym i Marae zaczęli wypełniać rozkazy: jeden wziął się za łapanie królików, które uciekły, inny naprawił ogrodzenie, jeszcze inny sprowadził wózek elektryczny i przeniósł na niego zwłoki.

Przez cały czas stałam z boku. Nie umiałam odwrócić wzroku od twarzy dziewczyny, od jej zamkniętych oczu. Przypominałam sobie, jak kiedyś płakała, nie wiedząc nawet dlaczego.

Starszy poruszał się energicznie i efektywnie. Był najmłodszy na całym statku, młodszy

nawet ode mnie o prawie rok, lecz gdy tylko wydał rozkazy, wszyscy spieszyli je wypełnić. Choć nie miałam wątpliwości, że „Błogosławiony” potrzebował właśnie takiego przywódcy, nigdy dotąd nie widziałam, jak Starszy przejmuje kontrolę. Nie w ten sposób. I choć świadczyło to o tym, że mógł dowodzić całym statkiem – tak jak zawsze twierdziłam – jednocześnie poczułam się przez to jeszcze bardziej wyobcowana. Nie znałam go. A raczej znałam, ale tylko z jednej strony. Mój Starszy był miły i oddany niemal jak szczenię, nie miał zbyt wiele wspólnego z chłopakiem wydającym polecenia dorosłym, którzy natychmiast je wypełniali. Ten Starszy nigdy nie był mi bardziej obcy.

– Spróbuję zebrać podczas autopsji tyle materiału DNA, ile tylko zdołam – stwierdził Doktorek, podczas gdy sternicy układali ciało na wózku.

Chciałam powiedzieć: chyba wiem, kto to zrobił.

– Myślisz, że wystarczy go do zidentyfikowania mordercy? – zapytał Starszy. – Przyznam ci dostęp do bazy danych skanerów biometrycznych.

Doktorek powoli ruszył za wózkiem.

– Może pod paznokciami będzie coś, co mi się przyda. A jeśli nie, to w tym przypadku powinienem znaleźć płyn nasienny. Przetworzenie go i przeszukanie akt zajmie kilka dni.

Chciałam powiedzieć: spotkałam ją tylko raz, ale mam wrażenie, że znałam ją lepiej niż którykolwiek z was.

Kiedy Doktorek odszedł, Starszy zebrał sterników.

– Shelby, sprawdź, czy jest jakikolwiek zapis wideo okolicy z czasu, kiedy dziewczyna została zaatakowana. Buck, chciałbym, żebyś znalazł wszystkich żywicieli z tego obszaru i ich przesłuchał. Może byli świadkami tego, co tu zaszło.

Otworzyłam usta. Chciałam powiedzieć: zaczynam się łamać i potrzebuję kogoś, kto mnie podtrzyma.

Ale nie wydałam z siebie żadnego dźwięku. Czułam na gardle dłonie miażdżące moją tchawicę. Z trudem przełknęłam ślinę. Jego tu nie było. Już nie. Zabił ją i odszedł.

Znów próbowałam coś powiedzieć. Powinnam coś powiedzieć, musiałam coś powiedzieć.

Ale nie mogłam.

Zamiast tego pobiegłam.

Moje ciało zadrzało – nie biegałam od wieków. Za bardzo się bałam, żeby robić sobie codzienne przebieżki, lecz teraz nie biegałam tak jak podczas treningu. Biegałam tak, jakby siła wiatru, który smagał moje ciało, miała rozbić mnie na kawałeczki.

Za ogrodzenie, dalej ścieżką, za pola soi. Gdy dotarłam do głównej drogi łączącej Salę Nagrań ze Szpitalem, ruszyłam prosto do Sali. Nie wiedziałam dlaczego. Powinnam nienawidzić tego miejsca – po raz ostatni widziałam Luthora właśnie tam. Byłam jednak pewna, bardziej niż czegokolwiek innego, że Orion zostawił dla mnie wskazówkę i że jeśli zdołam ją odnaleźć, zdołam też wymyślić, jak wszystko naprawić.

Wciąż biegnąc, wpadłam do Sali, minęłam grupki ludzi kłębiących się przy ściennych plastplejach i pognałam prosto do pomieszczenia z beletrystyką. Otworzyłam drzwi z taką siłą, że odbiły się od ściany, i zatrzymałam się dopiero przy półce, na której stała poszukiwana przeze mnie książka.

Wyciągnęłam gruby tom, dysząc i usiłując złapać oddech. Z przodu okładki wytłoczono rysunek. Dziewczynka, drzewo i kot. Oprawa była popękana ze starości, ilustracja wyblakła. Serce waliło mi jak oszalałe, kiedy szłam do stołu, który znajdował się na środku pomieszczenia. Opadłam na krzesło i upuściłam ciężko książkę na metalowy blat.

Wyobraziłam sobie spojrzenie Starszego, zniesmaczonego tym, jak huknęła o stół. Traktował



książki niczym pieczołowicie przechowywane, rzadko spotykane przedmioty i pewnie miał rację, tyle że mój ojciec zaginał w nich rogi i czytał je, póki się nie rozpadły. Jego metoda bardziej odpowiadała moim gustom.

Otworzyłam książkę i przeczytałam stronę tytułową.

*Alicja w Krainie Czarów*

*Lewis Carroll*

*Wydanie kolekcjonerskie*

*Przypisy i opracowanie krytyczne © 2022*

Już kiedyś widziałam tę książkę. Nie ten konkretny egzemplarz, ale jej kopie. To była lektura obowiązkowa na zajęciach z literatury w moim liceum w Kolorado. Zamierzałam na nie chodzić w ostatniej klasie.

Opuściliśmy Ziemię, zanim skończyłam klasę jedenastą.

Nasze szkolne podręczniki były zupełnie nowe. Ten egzemplarz rozpadał się ze starości, chociaż przechowywano go w klimatyzowanym pomieszczeniu.

Zamknęłam książkę z trzaskiem i w powietrze wzbija się chmura kurzu. Wciągnęłam do płuc zbutwiały zapach starych kart i wyschniętej farby drukarskiej. Coś we mnie pękło – coś, co do tej pory usiłowałam utrzymać w ryzach.

Pozwoliłam głowie opaść na książkę, przycisnęłam twarz do ilustracji szelmowskiego uśmiechu Kota z Cheshire i zaczęłam szlochać, gwałtownie, spazmatycznie, aż się dławiałam. Przypomniałam sobie, kiedy dławiałam się ostatnim razem – rurkami przy wynurzaniu się z roztopiającego się lodu i później, gdy ramię Luthora napierało na moją krtań. Potrafiłam myśleć tylko o tym, że dziewczyna z króliczej farmy też się dławiała. I nagle nie byłam w stanie nabrać powietrza, tak samo jak ona.

Umarła w samotności i przerażeniu. A ja, choć żywa, byłam samotna i przerażona.

## STARSZY

– Wreszcie cię znalazłem – powiedziałem, otwierając drzwi.

Amy siedziała pośrodku galerii na piętrze Sali Nagrań. Kolana miała podciągnięte pod brodę, a rękami obejmowała nogi. Obok niej leżała gruba stara książka – otwarta, ale Amy nie zwracała na nią uwagi. Pomieszczenie ze sztuką jak zwykle było zagracone. Po jednej stronie piętrzyły się rzeźby i obrazy artystów poprzedniego pokolenia, a po drugiej stały wsparte o ścianę rzędy płócien – głównie Harleya, choć także kilku innych artystów. Sztuka nie cieszyła się na „Błogosławionym” zbyt wielkim poważaniem i mimo że Orion podjął próbę zmiany tego składowiska w galerię z prawdziwego zdarzenia, więcej uwagi poświęcał książkom.

– Skąd wiedziałeś, że tu będę? – zapytała Amy, kiedy klapnąłem ciężko obok niej. Pociągnąłem za wi-kom przy jej nadgarstku.

– Nie mówiłem ci, że mają lokalizatory?

Kiwnęła głową i oparła ją na moim ramieniu. Rude włosy spłynęły wzdłuż mojej ręki.

– Przykro mi, że musiałeś na to patrzeć – odezwałem się.

– Mnie jest przykro, że w ogóle do tego doszło. Czy ty... – Nie patrzyła na mnie, kiedy to mówiła. – Czy wiesz już, kto to zrobił?

– Mamy podejrzanych. Podobno Druga Sterniczka Shelby słyszała wczoraj w Sali Nagrań, jak jakiś żywiciel krzyczał, że będzie robił to, na co ma ochotę, czy coś w tym rodzaju...

Przyjrzałem się jej bacznie. Shelby stwierdziła także, że mężczyzna kierował te słowa do Amy, tymczasem Amy najwyraźniej nie zamierzała o tym wspominać. Widziałem jednak po jej oczach, że jej mały sekret rozpaczliwie szukał ujścia.

– Dlaczego uciekłaś? – zapytałem cicho.

Gdy ją ostatni raz widziałem, mignął mi tylko przed oczami jej brązowy strój. Nie podobało mi się, że Amy odbiegła w pojedynek, ale nie mogłem porzucić śledztwa – nie przed sternikami. Najpierw musiałem się upewnić, że znajdziemy wszystkie ślady niezbędne, by ująć mordercę. Śledziłem jednak położenie wi-komu Amy, dopóki byłem uwiązany na miejscu.

– Pomyślałam, że przyjdę tu przed tobą i zacznę szukać wskazówki, którą zostawił mi Orion – wyjaśniła łamiącym się głosem.

– I jak, znalazłaś coś? – Udawałem, że nie widzę jej łez. Śmierć żywicielki na króliczych polach dotknęła ją bardziej niż ludzi urodzonych na statku.

Amy pchnęła książkę w moją stronę. Skrzywiłem się, widząc, jak szorowała nią po podłodze – książką z Sol-Ziemi! – ale podniosłem tom bez słowa. Przeczytałem tytuł i przewróciłem kilka stron.

– Dlaczego wskazówka miałyby być ukryta akurat tutaj?

– Ponieważ Alicja weszła za królikiem do nory – odparła Amy, pokazując mi rozdział na początku książki. Cały czas unikała zarówno mojego dotyku, jak i kontaktu wzrokowego. – Myślałam, że wszystko się zgadza. Ale chyba nie miałam racji.

Spojrzałem na ilustrację otwierającą rozdział – dziewczynkę w falbaniastej sukience, która zaglądała z ciekawością do dziury pod drzewem.

– A po co przyszedłeś do galerii? – Zamknąłem książkę i odłożyłem ją ostrożnie na bok.

– Bo nikt inny tu nie przychodzi – odparła cicho. – Nie chciałam zostać w sali z literaturą i pomyślałam, że tutaj nikt mnie nie znajdzie.

Ciekawe, czy ja też zaliczałem się do tej grupy niechcianych gości.

Amy kręciła wi-komem na nadgarstku. Skóra wokół kabli była zaczerwieniona.

Chciałem chwycić ją za rękę, żeby przestała, ale zamiast tego znów podniosłem książkę. Nie potrafiłem rozgryźć Amy – może chociaż uda mi się odnaleźć wskazówkę, żeby wyrwać ją z tego miejsca, w które wycofała się w myślach?

– A to co? – mruknąłem.

Amy natychmiast skupiła na mnie uwagę.

– Co? Coś znalazłeś?

Pokazałem jej tylną okładkę książki.

– „Inne dzieła Lewisa Carrolla” – czytałem na głos – *Po drugiej stronie lustra*.

– No i? – Przyglądała mi się podejrzliwie.

– Pierwszą wskazówkę znalazłaś z tyłu obrazu, zgadza się? – zapytałem, a Amy machnęła ręką, żebym mówił dalej. – Może drugą też tam znajdziemy?

– Ale *Po drugiej stronie lustra* to książka, a nie obraz – zaoponowała.

Zamiast się kłócić, zerwałem się z miejsca i podszedłem do rzędu obrazów. Harley namalował ich tak dużo, że nie udało się powiesić wszystkich na ścianach niewielkiej galerii. Przeglądałem płótna w pośpiechu – wiedziałem, którego szukam.

– Harley namalował coś tuż po tym, jak jego dziewczyna, Kayleigh, popełniła samobójstwo. Pamiętam, że Orion nazwał ten obraz jego największym osiągnięciem. – Amy przyglądała się z powątpiewaniem. – No co jest?

– Naprawdę sądzisz, że ukrył kolejną wskazówkę w obrazie?

– Czemu nie? – Wzruszyłem ramionami. – Zostawił wskazówki dla ciebie, ale, bądźmy szczerzy, nie znał cię zbyt długo. Może zauważył, że w tak krótkim czasie zdążyłaś zaprzyjaźnić się z Harleyem, i stwierdził, że najlepiej będzie dołączyć wskazówki do jego dzieł. – Na szczęście Amy nie usłyszała gorzkiej nuty w moim głosie. Nawet Orion zauważył, że Amy związała się bliżej z Harleyem niż ze mną?

– Więc gdzie jest ten obraz?

– Nie wiem. Kiedyś wisiał na ścianie.

– W którym miejscu? – Stała pośrodku sali, wpatrując się w jedyną pustą ścianę.

– Właśnie tam – odparłem. Doszedłem do końca pierwszego rzędu płócien i zabrałem się za przeglądanie drugiego. – W każdym razie Orion powiedział Harleyowi, że wszystkie dobre obrazy mają tytuły. Harley uważał, że obrazy nie potrzebują tytułów, ale Orion robił z tego powodu straszne halo i nazwał go...

– *Po drugiej stronie lustra* – dokończyła Amy.

– Właśnie. – Zerknąłem na nią przez ramię. Pochylała się nad małą tabliczką przyklepioną do pustej ściany.

– „*Po drugiej stronie lustra*, obraz olejny autorstwa Harleya, żywiciela” – przeczytała, po czym odwróciła się w moją stronę. – Tylko gdzie on jest? Został sam haczyk.

– Tutaj też go nie ma – westchnąłem, odkładając rząd płócien.

– To musiał być bardzo ważny obraz, skoro tylko on miał własną tabliczkę.

To prawda. Chociaż w całym pomieszczeniu panował bałagan, pusta ściana była czysta i wyraźnie oddzielona. Komuś zależało, by znajdowała się w centrum uwagi, nawet jeśli nie zostało już na niej nic, co przyciągałoby wzrok.

– Orion nadaje obrazowi tytuł, wiesz go w samym środku galerii, każe nawet zrobić tabliczkę z tytułem... To musi być następna wskazówka. – Zielone oczy Amy odnalazły moje, jakby mogła w nich zobaczyć sztukę Harleya.

Stałem obok niej, wpatrując się w pustą ścianę.

– No dobrze, ale gdzie zniknął obraz?

- Kto mógł go zabrać? – zapytałam. – Ktoś bliski Harleyowi?
- Nie miał zbyt wielu przyjaciół. Mnie... Bartiego, Victrię.
- Jedno z nich?

Starszy pokręcił głową. Wierzyłam mu – Bartie był zbyt poważny, żeby w ogóle pomyśleć o kradzieży obrazu. Victria co prawda nie miałyby żadnych skrupułów, ale sądząc po szkicu, który wzięła z pokoju Harleya, wybrałaby portret Oriona, a nie Kayleigh.

- Doktorek też by tego nie zrobił.
- Parsknęłam. Nie, oczywiście że nie Doktorek.
- Chyba że...
- Tak?
- Rodzice Harleya mogli...

Z jakiegoś powodu zaskoczyło mnie to. Nie przyszło mi do głowy, że Harley miał rodziców. Po prostu... był. I choć wiedziałam, że pacjenci Izolatki zostali celowo oddzieleni od pozostałych żywicieli, nigdy nie przyszło mi do głowy, że poza Szpitalem i gwiazdami Harley zostawił gdzieś jakąś część siebie.

- Chodź – powiedział Starszy. – Sprawdźmy to.

Odkąd znalazłam się na „Błogosławionym”, ani razu nie przesłam całej jego długości. Przebiegłam ją dziesiątki razy – przynajmniej dopóki fidus nie przestał działać – ale nigdy nie przesłam.

Ruszyliśmy tą samą ścieżką, którą dotarliśmy do króliczych pól. Kiedy jednak znaleźliśmy się na rozstaju, skręciliśmy w lewo, zamiast iść w kierunku pól, w górę. Zerknęłam za siebie – ogrodzenie naprawiono, a cała okolica wyglądała spokojnie. Dostrzegłam kilka królików kicających leniwie tu i tam i obwąchujących ziemię w miejscu, gdzie przed paroma godzinami leżała ich martwa właścicielka.

– Opowiedz mi o obrazie – poprosiłam, desperacko usiłując wyprzeć z głowy myśl o śmierci dziewczyny od królików i zastąpić ją czymś innym.

– Jest gzyfowo świetny – odparł Starszy. – Tylko... sam nie wiem – dziwny? Harley zwykle malował realistyczne obrazy, ale ten jest inny. To portret Kayleigh tuż przed śmiercią.

Z jakiegoś powodu nie czułam się zaskoczona faktem, że obraz, który Harley namalował ku pamięci Kayleigh, Starszy nazwał dziwnym – w końcu jedynym surrealistycznym obrazem, jaki poza tym wyszedł spod pędzla Harleya, był jego autoportret.

- Jej śmierć... zaskoczyła nas wszystkich. Zawsze sądziłem, że spośród nas to Harley...
- Myślałeś, że Harley się zabije? – zapytałam.
- Kilka razy próbował. Raz przed Kayleigh. Potem jeszcze dwa razy. To znaczy trzy – poprawił się szybko.

Zapomniał o trzeciej próbie – tej udanej.

– Po śmierci Kayleigh – ciągnął – Harley zaczął malować ten obraz. To znaczy od razu po jej śmierci – naciągnął płótno tego samego dnia, gdy znaleźliśmy ciało, a w nocy malował. Koniec końców Doktorek odurzył go medplastem. Kiedy Harley zasnął, wyjąłem mokry pędzel z jego dłoni. Opuszki miał odgniecione od ucisku. – Starszy sprawiał wrażenie zatopionego we wspomnieniach.

Dopiero co wyklute puchate żółte kurczątko popiskiwało na nas, gdy przechodziliśmy obok. Lampa solarna świeciła jasno wprost nad naszymi głowami, sprawiając, że rzucane przez nas cienie rozpląły się w pyle ścieżki. Miasto było na tyle daleko przed nami, że choć widziałam krzątających się ludzi, nie mogłam rozpoznać ich twarzy. Sala Nagrań i Szpital

pozostały za nami tak daleko, że nie czułam na sobie spojrzeń. Zsunęłam kaptur i odwinęłam z głowy pas materiału, rozkoszując się chłodnym powiewem we włosach.

Tutaj, na tym jedynym skrawku statku, bez nikogo innego poza Starszym, nie czułam strachu.

Starszy włókł się ścieżką. Miał spuszczonego wzrok i zatroskany wyraz twarzy. Dobrze wiedziałam, jak milczenie i tajemnice potrafią zjeść człowieka od środka.

Gdy dotknęłam jego łokcia, zatrzymał się zaskoczony.

– Opowiedz mi, jak umarła.

## STARSZY

Miałem trzynaście lat i wciąż mieszkałem w Szpitalu. Wtedy sądziłem, że statek wyląduje za pięćdziesiąt trzy lata i sto czterdzieści siedem dni, a ja wyprowadzę mieszkańców „Błogosławionego” z pokładu na powierzchnię nowego świata. Mój pobyt w Szpitalu ciągnął się już na tyle długo, że zdążyłem zdać sobie sprawę z kilku faktów: Harley to mój najlepszy przyjaciel, Doktorek był w zasadzie w porządku, a moje szkolenie na Najstarszego miało się rozpocząć już niebawem. Wreszcie.

Życie nie umierać.

Do czasu.

Harley rzucił mi wyzwanie – powiedział, że nie dam rady wspiąć się na posąg Najstarszego Plagi, który stał w przyszpitalnym ogrodzie. Nie udało mi się wejść nawet ponad cokół, a Harley wisiał na pełnej łaskawości lewej ręce posągu, spoglądając wzdłuż ścieżki na staw przy tylnej ścianie statku.

– Coś dużego pływa w wodzie – stwierdził nagle. Rozhuśtał się i puścił, lądując z głuchym odgłosem tuż koło mnie, na sztucznej ściółce. Zostawił na ramieniu Najstarszego Plagi fioletową plamę. – Chodźmy zobaczyć.

Harley był ode mnie wyższy i stawiał dłuższe kroki. Mimo to kusilo mnie, żeby się z nim ścigać. Sęk w tym, że był także cztery lata starszy, a ścigały się tylko dzieci.

– Kto pierwszy, ten lepszy! – krzyknął, wykopując spod siebie ściółkę, kiedy wrzucił piąty bieg. Obejrzał się przez ramię ze śmiechem i prawie przewrócił o kwitnący krzak hortensji, który wystawał na ścieżkę. Małe niebieskie płatki przefrunęły obok moich kostek, zanim opadły na ziemię.

Prawie udało mi się dogonić Harleya. Wyciągałem rękę w stronę jego koszuli, by go szarpnąć i wytrącić z rytmu, a potem przemknąć obok...

...gdy nagle zatrzymał się jak wryty.

Machnął w tył ręką. Trafił mnie boleśnie w pierś, wyciskając mi powietrze z płuc i zatrzymując w miejscu.

– Niech to gzyf, za co... – wydyszałem, zginając się wpół.

Harley milczał.

Po twarzy ściekał mu pot, ale pod nim był zupełnie blady, przez co jego skóra nabrała trupiego połysku. Spojrzałem w stronę stawu.

Od razu zrozumiałem, że kobieta, która unosiła się na brzuchu w wodzie, była martwa. Długie pasma włosów pływały pod powierzchnią niczym kotwice ciągnięte po mulistym dnie stawu. Ręce miała zwiotczałe i rozrzucone na boki, dłońmi w dół, a gdy na nią patrzyłem, powoli znikały w głębinie.

Było w tej kobiecie coś...

...coś znajomego.

Wzdłuż krawędzi jej tuniki biegły białe punkciki.

Podobne do kwiatuśków, które Harley namalował dla swojej dziewczyny, Kayleigh. Namalował je na jej ulubionej tunice tej samej nocy, gdy spędził bite osiem godzin na ozdabianiu jej pokoju bluszczem i kwiatami.

Kwiatuśki Kayleigh.

Tunika Kayleigh.

Kayleigh.

Harley zaryczał i rzucił się w stronę brzegu tak gwałtownie, że jego stopa zostawiła w ziemi brązowoczerwoną szramę. Skoczył do stawu i zaczął rozgarniać wodę rękami, jakby

mógł zamazać nimi wszystko, co przed sobą widział.

Woda nie chciała oddać mu Kayleigh. Jej głowa opadła jeszcze niżej.

Zanurkował i złapał dziewczynę za nadgarstek. Odwrócił ją na wodzie, uderzył w twarz, jakby chciał obudzić, ale jej głowa tylko lekko odskoczyła. Przepłynął kawałek, pociągnął, przepłynął kolejny kawałek i znów pociągnął. Unosiła się posłusznie przy jego boku, a jej ręce i nogi tańczyły jak kończyny drewnianej marionetki, kiedy pociągnie się za wszystkie sznurki jednocześnie.

Harley poślizgnął się, przewrócił na jedno kolano, ale znalazł oparcie dla stopy na śliskim dnie i brnął dalej przez gęste błoto. W końcu ostatnim, potężnym wysiłkiem uniósł ciało Kayleigh i rzucił je na brzeg, po czym upadł obok niego.

Struga mętnej wody ściekała z lewego kącika jej ust – tego samego, który zwykła unosić w swoim złośliwym uśmiechu – a po lewej stronie twarzy spływał szlam. Zbierał się na krawędzi policzka i kapał na ziemię.

Harley krzyczał i szlochał; chciał coś powiedzieć, ale nie potrafiłem zrozumieć słów.

Mogłem tylko stać i patrzeć z lekko rozchylonymi ustami.

Rozchylonymi jak usta Kayleigh.

Jej lewa noga była wykręcona do tyłu, kostka znajdowała się pod pośladkami, a kolano sterczało pod ostrym kątem. Jedną rękę miała na brzuchu, drugą wyciągniętą w bok, jakby wskazywała ścieżkę prowadzącą do Szpitala. Nagle Harley z jakiegoś powodu uznał, że koniecznie musi odpowiednio ułożyć jej ciało. Wyprostował jej nogi i wygładził spodnie. Ręce położył wzdłuż boków i potarł kciukiem jej prawą dłoń – tak jak zawsze robił, gdy sądził, że nikt nie patrzy, aby nachylić się do pocałunku. Wszystko przestawało wtedy dla nich istnieć, była tylko ich miłość.

– Harley – odezwałem się, gdy wreszcie odzyskałem władzę nad sobą. Zrobiłem krok do przodu, wdeptując w błoto na brzegu, a kiedy przyklęknąłem, ciepła woda wsiąkała w nogawki moich spodni. Wyciągnąłem rękę w stronę Harleya lub Kayleigh, sam nie byłem pewien.

– Nie dotykaj jej! – warknął Harley.

Zareagowałem zbyt wolno. Rzucił się na mnie i z pełną siłą wymierzył mi cios pięścią w szczękę. Moje zęby uderzyły o język, poczułem smak krwi. Nie walczyłem; przewróciłem się na błoto i zakryłem twarz rękami.

Kiedy odważyłem się znów na niego spojrzeć, Harley patrzył w górę. Wciąż trzymał Kayleigh jedną ręką, metodycznie pocierając kciukiem jej zimną, pozbawioną życia dłoń – raz za razem, raz za razem.

– Czemu mnie zostawiła? – wyszeptał do pomalowanego metalowego nieba w górze.

Bo to nie był wypadek.

To nie mógł być wypadek.

Kayleigh kochała ten staw. Uwielbiała pływać z karpiami koi. Nurkowała z karmą w garści i rozprostowywała palce pod wodą, żeby ryby podpływały do niej zygzakiem i skubały jedzenie z jej ręki. Potrafiła wstrzymać oddech dłużej niż ktokolwiek inny i nikt nie umiał jej złapać, kiedy pływała – nawet Harley, choć zawsze próbował.

To nie mógł być wypadek. Na pewno nie w wodzie.

Gapilem się na to, co z niej zostało.

Wzdłuż obu jej rąk ciągnęły się bladożółte kwadratowe plastry – nasenne medplastry Doktorka. To one ją zabiły. A więc to nie był wypadek, lecz wybór. Kayleigh ułożyła się do snu w wodnym łożu i zadbała o to, by już nigdy się nie obudzić. Samobójstwo – to musiało być samobójstwo. Od tygodni mówiła o tym, jak nienawidzi życia, uwięziona na statku. Nie,

od miesięcy. Nic wielkiego, tu jakiś drobny komentarz, tam złośliwa uwaga. Nic, co zwróciłoby naszą uwagę. Aż do...

Uciekłem wzrokiem od jej ciała do chlupoczącej cicho, prawie nieruchomej wody. Spojrzałem dalej, za trzciny i kwiaty lotosu na odległym brzegu. Mój wzrok prześlizgiwał się po jaskrawozielonej, świeżej trawie.

Tam, gdzie przechodziła w metalową ścianę.

Twardą, zimną, nieugiętą metalową ścianę nabitą ćwiekami nitów, poplamioną smarem i wiekiem. Oczy mnie piekły, kiedy śledziłem łączenie płyt biegnące coraz wyżej, aż w końcu dotarłem do jasnej lampy solarnej pośrodku sufitu. Wiedziałem, że wyżej znajdował się Poziom Sternika, a jeszcze wyżej Poziom Strażnika.

A jeszcze wyżej – ponad tonami nieprzeniknionego metalu – niebo, którego nigdy nie widziałem.

Niebo, którego Kayleigh nigdy nie widziała.

Nie mogła bez niego żyć.



Starszy skończył swoją opowieść w chwili, gdy wchodziliśmy do Miasta. Chciałam coś powiedzieć, żeby go pocieszyć, lecz tamte wydarzenia miały miejsce przed laty. Zresztą tak naprawdę jakich słów miałabym użyć?

Nigdy wcześniej nie zapuściłam się tak głęboko do Miasta. W południe cały Poziom Żywiciela wyglądał zupełnie inaczej, choć w świetle lampy solarnej poranek, kiedy biegałam, nie różnił się zbyt od dnia – fałszywe słońce nie wędrowało po niebie, nie barwiło horyzontu na różowo, pomarańczowo i niebiesko.

Miasto było większe, niż się wydawało z drugiego końca Poziomu Żywiciela. Gdy patrzyłam na nie ze Szpitala albo Sali Nagrań, miałam wrażenie, że zostało zbudowane z klocków Lego. Budynki przypominały pudełka w jaskrawych kolorach, ustawione jedno na drugim, a ludzie byli zbyt mali, żeby dało się ich dostrzec.

Z bliska wyglądało to inaczej. Na ulicach panował tłok. Mężczyźni – i kilka kobiet – biegali, ciągnąc po bruku załadowane wózki, jakby ważyły tyle co nic. Warzywa, owoce, mięso, skrzynie, beły materiałów... Wszystko to pędziło z jednej przecznicy w drugą. Panował tu większy hałas, niż się spodziewałam. Ludzie wołali do siebie przez szerokość ulicy, jakaś para na rogu klóciła się, wymachując rękami. Poczulałam dym i pomyślałam z niepokojem, że coś się stało, ale nie – unosił się znad stojącego na zewnątrz grilla.

Samo Miasto również wydawało się bardziej chaotyczne. Było tu tak wielu ludzi. Po raz pierwszy myślałam o nich jak o odrębnych jednostkach z własną historią. Próbowałam sobie wyobrazić ich życie. Mężczyzna za oknem, który z rozmachem wbił rzeźnicki topór w żeberka. Był znudzony czy może maskował swój gniew brutalnym atakiem na mięso? Oparta o ścianę budynku spocona dziewczyna, która wachlowała się dla ochłody – co sprawiło, że porzuciła wygodny dom, by tak po prostu tu stać? Na co czekała?

Co każde z nich robi, gdy poznają prawdę? Jaka część Miasta legnie w gruzach, gdy odkryją – a prędzej czy później musi to nastąpić – że „Błogosławiony” stanął w miejscu?

Choć nie podnosiłam głowy, nie ufając ludziom, którzy błyskawicznie mogli zwrócić się przeciwko mnie, Starszy witał ich uśmiechami, a oni odpowiadali tym samym. Wydawało się, że znał każdego z nich.

Lecz uśmiechy na ich twarzach zniknęły, kiedy spojrzenia przesunęły się na mnie. Syczeli „dziwoląg” tak cicho, że Starszy nie zwracał na to uwagi. Starannie naciągnęłam kaptur z powrotem na włosy, upewniając się, że są dobrze schowane.

– Rodzina Harleya mieszka w dzielnicy tkaczy – rzekł Starszy, prowadząc mnie ulicą. – To w centrum Miasta.

Każdy kwartał nosił nazwę od zawodu, który wykonywali zamieszkujący go ludzie. Musieliśmy iść przez dzielnicę rzeźników, gdyż w powietrzu wisiał uporczywy zapach krwi i zjełczanego tłuszczu. Muchy brzęczały w oknach i krążyły leniwie nad połciami mięsa czekającego na obróbkę.

– Możesz tu chwilę poczekać? – zapytał Starszy. – Zauważyłem coś, czym powinienem się zająć.

Skinęłam głową i Starszy wszedł do rzeźnika na rogu. Podkrađłam się bliżej, żeby nasłuchiwać. W środku pracowali dwaj mężczyźni, obaj ze starszego pokolenia, choć w budynku było pięć stanowisk.

Jeden z nich podniósł głowę, gdy tylko Starszy przekroczył próg, i szturchnął kolegę łokciem.

– Och, witaj, Najstarszy – odezwał się, wycierając zakrwawione ręce o poplamiony

fartuch.

Starszy nie zwracał sobie głowy wyjaśnianiem, że woli, by zwracano się do niego per Starszy.

– Gdzie są pozostali pracownicy?

Mężczyźni wymienili nerwowe spojrzenia. Pierwszy odwrócił się z powrotem do krowy, którą oprawiał, odcinając piłą kość nogi. Drugi stał przy swoim kontuarze, niepewny, co powinien zrobić.

– Oni... Cóż, dziś nie przyszli.

– Dlaczego?

Rzeźnik wzruszył ramionami.

– Mówiliśmy im wczoraj, że będziemy potrzebowali pomocy, że Bronsen przywiezie co najmniej trzy sztuki, ale...

– Ale nie przyszli.

Mężczyźna przytaknęli.

– Dlaczego nic z tym nie zrobiliście?

Rzeźnik ciągle wycierał ręce o fartuch, choć były już tak czyste, jak tylko mogły być przy równie brudnym zajęciu.

– To... to, hm... To nie należy do nas.

– Co nie należy do was?

– Mówić innym, żeby przychodzili do pracy.

Starszy zacisnął zęby. Wyszedł, pozwalając, by dzwonek przy drzwiach pożegnał się w jego imieniu.

Ruszył pospiesznie ulicą, a grymas niezadowolenia na jego twarzy ucinął w zarodku dalsze powitania ze strony mijających nas ludzi.

– Najstarszy nie miał takich problemów – warknął do mnie półgłosem. – Z ludźmi, którzy po prostu nie pracują. Lenią się. Nigdy nie musiał sobie z nimi radzić. Słuchali go, nie ośmieliliby się nie przyjść do pracy. Dbał, by wszystko na statku toczyło się gładko.

– To nie zasługa Najstarszego – odparłam. Moje słowa zaskoczyły go na tyle, że stanął jak wryty. – Nie j e g o – podkreśliłam – tylko fidusa.

Uśmiechnął się pod nosem i część jego gniewu wyparowała. Minęliśmy grupkę tkaczy, którzy siedzieli na chodniku i gawędzili wesoło, podczas gdy nici przesuwwały się między ich palcami. Tylko że w mieszczących krosna tkackie budynkach przy następnym kwartale panowały ciemność i cisza. Żadnych tkaczy w okolicy. Starszy spojrzał na maszyny spode łba, prowadząc mnie w stronę żelaznych schodów, które znajdowały się z boku szeregu przyczep pomalowanych na jasne barwy i ustawionych jedna na drugiej na szczycie warsztatów.

– Żółta. – Wskazał przyczepę trzy piętra wyżej. – To tam kiedyś mieszkał Harley.

Podążyłam za nim schodami. Im wyżej wchodziliśmy, tym więcej plam farby widniało na poręczach i stopniach. Nawet tutaj Harley zostawił swój ślad. Starszy zawahał się, zanim zapukał, z pięścią uniesioną nad jasnoniebieską smugą zaschniętej farby.

Cisza.

Zapukał ponownie.

– Może nie ma ich w domu? – zapytałam. – Jest środek dnia.

Kiedy nikt nie odpowiedział na trzecie pukanie, Starszy pchnięciem otworzył drzwi.

W środku było ciemno i śmierdziało czymś skwaśniałym. Moją uwagę od razu zwróciły ślady dawnej obecności Harleya – na ścianach pod sufitem ciągnęły się białe i żółte zawijasy. Centralny punkt pokoju zajmował stół, ale wszystkie krzesła oprócz jednego tworzyły w kącie wysoki stos. Na blacie leżały porzucane skrawki materiału, nożyczki i buteleczki wypełnione barwnikami – przybory każdego tkacza.

– Halo? – zawołała Amy. – Wydaje mi się, że ktoś tam jest – powiedziała, skinąwszy głową w kierunku zasłony wiszącej w przejściu do tylnej części przyczepy.

Minąłem ją i odsunąłem zasłonę. W drugim pomieszczeniu – głównej sypialni – panowała jeszcze głębsza ciemność. W powietrzu wisiała woń piżma i potu. Zauważyłem kolejne przejście – domyślałem się, że prowadziło do łazienki i do drugiej, mniejszej sypialni.

Na łóżku leżała zwinięta w kłębek Lil, matka Harleya. Włosy miała potargane, ale była ubrana w poplamiony strój tkacza.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała cichym, zrezygnowanym głosem.

– Gdzie jest... – Nie potrafiłem wykrztusić imienia ojca Harleya. – Gdzie jest Stevy?

Lil wrzuciła ramionami, nie podnosząc się z łóżka.

Amy podeszła do niej. Zawahała się, ale po chwili usiadła na krawędzi materaca.

– Wszystko w porządku? – Wyciągnęła rękę. Na widok jej jasnej karnacji zdezorientowana Lil nakryła się kocem. Amy opuściła dłoń na kolana i po chwili wstała.

– Gdzie jest Stevy? – zapytałem ponownie.

– Zniknął.

– Kiedy?

Kolejne wrzucenie ramion. Choć była nakryta, słyszałem, jak burczy jej w brzuchu.

– Chodźmy coś zjeść – rzuciłem. Zrobiłem krok w stronę łóżka i pochyliłem się, żeby chwycić ją za rękę. Tym razem nie uciekła, ale nie zareagowała na moją propozycję.

– Wszystko na nic – mruknęła. – I tak nie ma jedzenia.

– Nie ma jedzenia? – Instynktownie spojrzałem na zasłonę. Ścienny dystrybutor posiłków znajdował się w głównym pomieszczeniu. – Dystrybutor nie działa? Zaraz wezwę obsługę techniczną, żeby to sprawdzili.

– Wszystko na nic – powtórzyła cicho. Zignorowałem ją i zakomowałem na Poziom Sternika, żeby ktoś przyszedł do nas najszybciej, jak to możliwe.

Kiedy się rozłączyłem, przeniósłem uwagę z powrotem na Lil.

– Co się stało? Dlaczego nie pracujesz? Mam zakomować także do Doktora?

Wpatrywała się w sufit.

– Nie mogę pracować. Barwniki mi go przypominają. Kolory, wszędzie kolory...

– Lil – westchnąłem, notując w pamięci, by porozmawiać później z Doktorkiem – czy zabrałaś z Sali Nagrań jakiś obraz Harleya?

Nagle usiadła.

– Nie! – krzyknęła, ale mimowolnie rzuciła okiem na zasłonę wiszącą w przejściu do drugiej sypialni. Zauważyła, że spojrzałem w tym samym kierunku. – One należą do mnie. Harley jest... był moim synem. Tylko to mi po nim zostało.

– Chcemy tylko zerknąć – wymamrotała Amy zza moich pleców.

Lil opadła z powrotem na poduszkę.

– Ale po co? On już nie wróci. Żaden z nich już nie wróci.

Przestała zwracać na nas uwagę, więc obeszliliśmy łóżko, zmierzając na tyły

pomieszczenia. Podniosłem zasłonę, a Amy weszła za mną do środka. Łazienka. Ktoś zapomniał spuścić wodę w toalecie, umywalka była cała w plamach. Szybko przeszliśmy przez kolejną zasłonę do ostatniego pokoju w przyczepie.

Pokój Harleya, przynajmniej do chwili, gdy Harley wyprowadził się, by zamieszkać w Izolatce. Wciąż można było sobie wyobrazić, jak wyglądało tu w przeszłości – przy ścianie stał wąski materac, a na niewielkiej szafce nocnej budzik – ale po odejściu Harleya jego rodzina wykorzystwała dodatkową przestrzeń na magazynek. Kluczyłem między pudłami, dopóki nie zauważyłem tego, po co tu przyszliśmy – obrazu zatytułowanego *Po drugiej stronie lustra*.

– Piękny – powiedziała półgłosem Amy. Chyba miała rację, ale ja widziałem tylko to, co wydarzyło się naprawdę, a nie to, co namalował Harley.

Na płótnie dominowały żywe, jasne kolory, chociaż w moich wspomnieniach wszystko wydawało się mroczniejsze: woda, błoto, oczy Kayleigh. W górnej części obrazu stało pięć postaci wpatrzonych w głębinę: ja, Harley, Victoria, Bartie i za naszymi plecami Orion. Harley użył jakiejś odbłaskowej farby, by namalować powierzchnię stawu, ale tuż pod lustrem wody unosiła się na plecach dziewczyna, która spoglądała roześmianymi oczami na brzeg. Wokół jej palców pływały karpie koi, a w rozpuszczone gęste czarne włosy zaplątały się korzenie lotosu.

– Naprawdę musiał lubić te koi – stwierdziła Amy.

– Ulubione ryby Kayleigh.

Wciąż czułem w ustach smak mętnej wody ze stawu i chłód lepkiej skóry Kayleigh. Widziałem jej napuchniętą twarz, która ugiwała się pod palcami Harleya.

– Poszukajmy wskazówki – zaproponowała ostrożnie Amy, odciągając mnie od brzegu stawu. – Pewnie znajduje się z tyłu, tak jak pierwsza.

Uniosłem płótno do światła i odwróciłem.

– Spójrz – powiedziała.

Z tyłu obrazu ktoś naszkicował jasnym atramentem kwadrat, a pośrodku przykleił kolejną miniaturową kartę pamięci. Podważyłem ją paznokciem. Obok widniała wiadomość napisana takim samym niewyraźnym pismem:

*1, 2, 3, 4. Zsumuj, żeby otworzyć drzwi.*

– Chodzi mu o drzwi na trzecim piętrze Szpitala? – zapytałem. – Te, które prowadzą do windy zjeżdżającej na poziom kriogeniczny?

– Raczej nie. Powiedział ci o tych drzwiach dużo wcześniej i zdawał sobie sprawę, że wiem, co się za nimi znajduje. Jeśli zostawił wskazówki wyłącznie dla mnie, to musiało mu chodzić o jakieś inne drzwi.

– Tylko że tu nie ma żadnych... – zacząłem, ale nagle urwałem. Na „Błogosławionym” było niewiele zamkniętych drzwi i jeszcze mniej takich, których nie otwierał mój skan biometryczny. Wiedziałem jednak o pewnym miejscu pełnym zamków numerycznych, do których nawet Najstarszy nie znał kodów.

– Drzwi na poziomie kriogenicznym – oznajmiłem. – Te w pobliżu służy.

Amy kiwnęła głową.

– Jestem pewna, że chodzi właśnie o nie.

– Wzięłaś ze sobą ten czytnik wideo? – zapytałem. Wyciągnęła urządzenie z kieszeni, a ja włożyłem do niego kartę. Kiedy przytknęła kciuk do pola identyfikacyjnego, wyświetlacz ożył, ukazując twarz Oriona. Po chwili wahania Amy pochyliła się do mnie – wystarczająco blisko, by widzieć nagranie, ale tak, by mnie przypadkiem nie dotknąć.

<<OTWIERAM KANAŁ VIDEO>>

Oriona prawie nie było widać. Siedział w cieniu, na czwartym stopniu długich schodów prowadzących poza kadr. Nierównym, nerwowym ruchem postukiwał dłonią w kolano.

– Gdzie to jest? – zapytała Amy.

Pokręciłem głową, skupiony na nagraniu. Obraz zachwiał się, gdy Orion poprawiał kamerę. Zaczął cichym, niemal serdecznym głosem:

PO PIERWSZE, CHCIAŁBYM POWIEDZIEĆ, ŻE PRZYKRO MI Z POWODU KAYLEIGH. NIGDY NIE ŻYCZYŁEM JEJ ŚMIERCI.

– Orion zabił Kayleigh? – sapnęła Amy.

Nie odpowiedziałem, ale poczułem nieprzyjemny ucisk w żołądku.

NIE ZABIŁEM JEJ. CHOĆ RÓWNIE DOBRZE MOGŁEM TO ZROBIĆ. KAYLEIGH ROZGRYZŁA NAJSTARSZEGO, POZNAŁA JEGO NAJWIĘKSZĄ TAJEMNICĘ. TĘ, KTÓRĄ PRÓBOWAŁ PRZED WSZYSTKIMI UKRYĆ.

– O czym on mów...

– Ciii.

Orion na chwilę urwał i przełknął ciężko, jakby walczył z silnym przyływem emocji.

AMY, MUSISZ O CZYMŚ WIEDZIEĆ, JEŚLI ZAMIERZASZ KONTYNUOWAĆ POSZUKIWANIA. MORDERSTWO KAYLEIGH BYŁO OSTRZEŻENIEM. TO NAJSTARSZY JĄ ZABIŁ, ALE JA TEŻ SPORO POTRAFIĘ – NA PRZYKŁAD POTRAFIĘ ZMIENIAĆ ZAMKI. TEN GŁUPIEC NIE POMYŚLAŁ, ŻEBY JE SPRAWDZIĆ.

Znów umilkł, a jego wzrok zaczął błędzić.

ODKĄD ZGINEŁA KAYLEIGH, SAM JUŻ NIE WIEM, CO JEST DOBRE, A CO ZŁE. NIE WIEM, CZY TO, CO WIEDZIAŁA TA DZIEWCZYNA, POWINNI TEŻ WIEDZIEĆ POZOSTALI PASAŻEROWIE. NIE WIEM, CZY W OGÓLE POWINNA BYŁA ODKRYĆ PRAWDĘ.

Poruszył się niespokojnie na stopniu.

NIE WIEM, CZY WARTO BYŁO JĄ ZABIJAĆ, ŻEBY URATOWAĆ STATEK.

Wzruszył ramionami, jakby istniało usprawiedliwienie dla tej zbrodni. Jakby istniało dla niej wytłumaczenie.

MOŻE BYŁO. MOŻE NAJSTARSZY MA RACJĘ. PRAWDA... CHYBA NIKT NIE CHCIAŁBY JEJ POZNAĆ.

Założył za ucho kosmyk włosów, a ja zrobiłem to samo.

WŁAŚNIE DLATEGO JESTEŚ MI POTRZEBNA, AMY. TY BĘDZIESZ WIEDZIEĆ. BO URODZIŁAŚ SIĘ NA PLANECIE, ALE TERAZ ŻYJESZ NA „BŁOGOSŁAWIONYM”. ZE WSZYSTKICH LUDZI LECĄCYCH NA TYM STATKU TYLKO TY BĘDZIESZ WIEDZIEĆ, CO ZROBIĆ Z PRAWDĄ.

Odwrócił się prosto do obiektywu, jakby chciał spojrzeć mi w oczy.

WIDZIAŁEM ARSENAŁ. NAJSTARSZY MI GO POKAZAŁ, TUŻ PRZED... W KAŻDYM RAZIE ZACZAŁEM ZADAWAĆ PYTANIA. NA PRZYKŁAD DLACZEGO JESTEŚMY UZBROJENI JAK NA WOJNĘ, SKORO LECIMY Z POKOJOWĄ MISJĄ EKSPŁORACYJNĄ?

Zerknąłem na Amy, ona nie widziała jednak niczego poza wyświetlaczem. Ucisk żołądka stawał się coraz nieprzyjemniejszy. Amy nigdy nie wierzyła w to, że Orion miał jakkolwiek powód, by zabijać zamrożonych – uważała go za szaleńca, a jego teorię, że zamrożeni mogliby wykorzystać tych, którzy urodzili się na pokładzie, za zwykłe urojenia. Zapewne wykluczała możliwość, że na „Błogosławionym” istnieje coś takiego jak arsenał – nawet teraz, gdy Orion głośno o tym mówił.

Orion rozejrzał się podejrzliwie, jego twarz wykrzywił niepokój. Czuł się winny albo przestraszony. Albo jedno i drugie.

OTO, CO MUSISZ ZROBIĆ, AMY. MUSISZ ZOBACZYĆ ARSENAŁ NA WŁASNE

OCZY. POCHODZISZ Z SOL-ZIEMI, TWÓJ OJCIEC PRACOWAŁ W WOJSKU.  
BĘDZIESZ UMIAŁA OCENIĆ, JAKIEJ ILOŚCI UZBROJENIA POTRZEBUJE TAKI  
STATEK JAK TEN. WIĘC IDŹ TAM I ZOBACZ SAMA.

Obraz na moment stracił ostrość, ale zaraz potem Orion pochylił się w stronę kamery i jego twarz wypełniła cały kadr.

ACH, NO TAK. BĘDZIESZ POTRZEBOWAĆ KODU, ŻEBY PRZEJŚĆ PRZEZ TE  
ZAMKNIĘTE DRZWI. CÓŻ, POWIEM CI TYLKO JEDNO, AMY – WRACAJ DO DOMU.  
SŁYSZYSZ MNIE? WRACAJ DO DOMU. TAM ZNAJDZIESZ ODPOWIEDŹ. WRACAJ DO  
DOMU!

Wyświetlacz zgasł.

<<ZAMYKAM KANAŁ VIDEO>>

Wracaj do domu? D o d o m u? Do diabła, co to niby miało znaczyć? Na Ziemię? Jasne, marzenie ściętej głowy. Na nową planetę? Prawdopodobieństwo równe zeru.

– Może chodzi mu o to, że następna wskazówka jest ukryta w atlasie albo czymś w tym rodzaju? – podsunął Starszy.

Ha, ha, świetny dowcip, Orionie. Mój dom to zaledwie książka z mapami miejsc, do których już nie byłam w stanie dotrzeć.

– Może – powiedziałam na głos. – Chyba warto to sprawdzić.

Starszy delikatnie, z czcią odstawił obraz na podłogę. Jeszcze raz obejrzał się przez ramię, przechodząc za mną z maleńkiej sypialni przez łazienkę do sypialni obok. Lil wciąż leżała na łóżku. Na nasz widok usiadła.

– Zabierzecie go, prawda? – prychnęła.

– Nie – odparł Starszy. – Należy do ciebie.

Lil zamrugła i skupiła na nim wzrok. Potem zerknęła w moją stronę, ale szybko uciekła spojrzeniem. Chyba nie mogła znieść mojego widoku.

– Upewnię się, że będziesz otrzymywała jedzenie – ciągnął Starszy. – Przyślę tu również Doktora. Pracował nad pewnymi medplastami, które powinny ci pomóc.

Lil kiwnęła głową, ale nie wstała, kiedy wychodziliśmy. Jakaś część mnie zachodziła w głowę: czy zerwie się z łóżka i pogna do swojego cennego obrazu? Czy nawet na tym już jej nie zależało?

Kiedy schodziliśmy po stopniach z powrotem na ulice Miasta, Starszy włączył wi-kom i zaczął wydawać polecenia, najpierw w sprawie żywności, a później leków. Był tak skupiony, że nie zauważył rozwścieczonego mężczyzny, który dostrzegł nas na schodach.

– Gdzie ona jest? – zapytał stanowczo. Pochylił się tak mocno, że Starszy musiał się cofnąć, aż wpadł na poręcz.

– Kto?

– Lil. Pogonisz ją do roboty? Bo to nieuczciwe, że ja haruję, a ona nie!

– Stevy, ona jest chora. Potrzebuje trochę czasu. Poleciałem Doktorowi...

– Jaka tam chora! Leniwa! – ryknął mężczyzna.

Starszy uniósł dłonie.

– Stevy, robię co w mojej mocy. Lil wróci do pracy, kiedy będzie goto...

Nie miał jednak szansy dokończyć. Wybałuszył ze zdumienia oczy, kiedy Stevy cofnął pięść i wyprowadził cios prosto w jego szczękę. Starszy runął na ziemię, a gdy tylko chwytając się poręczy, zdołał stanąć z powrotem na nogi, Stevy ponownie uderzył go w twarz. Starszy zatoczył się, jednak tym razem nie upadł.

Nie zdawałam sobie sprawy, że krzyknęłam, dopóki dźwięk nie wydostał się z mojego gardła. Tkacze, którzy za naszymi plecami snuli nici, wszystko widzieli – podnieśli się i ruszyli pospiesznie w naszą stronę. Oni również zaczęli krzyczeć, a zaraz potem się cofnęli. Szeptali coś do siebie, zasłaniając usta dłońmi.

Obróciłam się na pięcie.

– Niech ktoś coś zrobi! – Widziałam wystarczająco wiele szkolnych bójek i zdawałam sobie sprawę, że musiałabym być głupia, by pchać się między walczących – obaj przerastali mnie o co najmniej stopę, a wystarczył jeden cios Stevy'ego, żeby mnie powalić.

Troje przedarzy – dwaj mężczyźni i kobieta niewiele wyższa ode mnie – pospieszyło w naszą stronę. Zanim jednak do nas dotarli, Stevy padł na ziemię, trzymając się kurczowo za głowę. Tkacze zatrzymali się w miejscu, spoglądając na niego.

Starszy wierzchem dłoni starł z wargi krew.

- Wyłącz to – zawył Stevy, ni to błagając, ni to żądając.
- Za dwie minuty wyłączy się automatycznie – oznajmił spokojnie Starszy. W jego głosie pobrzmiwała chłodna beznamiętność, która mnie przeraziła. – A do tego czasu powinieneś się nauczyć, że bicie mnie to bardzo zły pomysł.
- Co ty zrobiłeś? – zapytałam.

Jego warga wciąż krwawiła, zęby otaczała czerwień.

- Coś, czego obiecywałem sobie nigdy nie robić – wymamrotał. – Chodźmy.

Nie poszedł dalej główną ulicą. Zamiast tego skręcił w zaułek prowadzący w kierunku Szklarni.

- To coś z jego wi-komem – wyjaśnił, chociaż już więcej nie pytałam. – Najstarszy raz mi to zrobił. Dość efektywna metoda powstrzymania czyichś zapędów.
- Starszy! – dobiegł nas wrzask. Starszy zamarł, po czym powoli odwrócił się w kierunku miejsca przestępstwa.

Stevy leżał na ziemi, skomląc i ściskając się za głowę, a nad nim stał pochylony Bartie, wskazując Starszego palcem.

- Kto ci dał prawo tak karać tego człowieka? – krzyknął. – Mówiłeś, że jesteś o wiele lepszy od Najstarszego, a spójrz na siebie! Po raz pierwszy ktoś zaprotestował przeciwko tobie, a ty ukarałeś go tak surowo, że nie może nawet ustać na nogach!

Zmrużywszy powieki, Starszy podszedł do nich.

- Dobrze. Po pierwsze, m o ż e ustać. To coś sprawia, że jego wi-kom wydaje nieprzyjemny dźwięk. A po drugie, to on mnie uderzył. U d e r z y ł.

Choć Bartie i Starszy znajdowali się tak blisko siebie, że mogliby rozmawiać normalnie, obaj krzyczeli. Bartie miał przewieszoną przez plecy gitarę i przez jeden szalony moment myślałam, że chwyci ją za gryf i walnie Starszego w głowę. Zamiast tego po prostu wrzasnął:

- A co zrobisz, kiedy następnym razem ktoś się z tobą nie zgodzi? Zabijesz go?!
- Och, litości! Przesadzasz!

Wyglądało jednak na to, że nikt poza nim nie uważał, by Bartie przesadzał. Wszyscy patrzyli na Stevy'ego, który jęczał i wił się na ziemi.

- Nie jest tak źle – zwrócił się do Stevy'ego Starszy. – Poza tym już chyba przestało. – Lecz Stevy nie wstawał. Zastanawiałam się, czy udaje, żeby przyciągnąć uwagę innych, czy może naprawdę cierpi tak bardzo, jak się wydawało?
- Nie możemy ci ufać, Starszy – stwierdził Bartie, wciąż krzycząc na tyle głośno, by każdy go usłyszał. Przyciągnął tłumy – wszyscy przedzarze porzucili swoje kołowrotki, żeby sprawdzić, co się stało. Piekarze, cali w mące, wystawiali głowy przez sklepowe okna. Rzeźnicy wyszli na zewnątrz z tasakami w dłoniach.
- A czy kiedykolwiek was okłamałem? – zapytał Starszy. – Czy kiedykolwiek dałem wam odczuć, że jestem nieuczciwy?

Próbowałam nie myśleć o tym, jak Starszy ukrył przed wszystkimi, że statek się zatrzymał. Przecież to nie było kłamstwo, ale... też nie do końca prawda.

- Wszystko, co robiłem, robiłem przez wzgląd na statek! – wrzasnął.
- Ona też się w to wlicza? – zapytał Bartie, wskazując za jego plecy. Na mnie.
- Nie wciągaj w to Amy.

Stałam jak zamurowana, a wszyscy, łącznie ze Stevym, skierowali na mnie wzrok.

Gdy po raz pierwszy obudziłam się na pokładzie „Błogosławionego”, poszłam pobiegać i trafiłam do Miasta – lecz innego niż t o Miasto. Ludzie mieli puste spojrzenia



i przypominali roboty; byli przerażający, bo „wydrażeni” w środku. Teraz kipieli emocjami, a strach, gniew i nieufność kłębiły się w nich i wylewały poprzez rzucane spode łba spojrzenia, warczące usta i zaciśnięte pięści.

– Zabieraj się stąd, Amy – mruknął Starszy, zerkając na mnie z niepokojem. Wyciągnęłam rękę. Chwyciwszy moje dłonie, ścisnął je delikatnie i puścił. – Wracaj do Szpitala. Idź gdzieś, gdzie jest bezpiecznie.

Ale ja chciałam zostać. Chciałam pokazać Starszemu, że nie byłam kolejną pomyłką, którą Bartie mógłby wykorzystać przeciwko niemu. Chciałam stanąć za nim murem i dowieść swojej lojalności.

Chciałam, dopóki ktoś z tłumu nie postąpił paru kroków naprzód.

Luthor.

Anonimowa twarz w rozgniewanym tłumie. Bartie coś krzyknął, Starszy odciął się i na powrót przyciągnęli uwagę wszystkich zgromadzonych.

Wszystkich z wyjątkiem Luthora.

Nie spuszczał ze mnie wzroku. Jego usta wygięły się w krzywym uśmiechu, przypomniało mi to Grincha, który ukradł Boże Narodzenie.

Powiedział coś bezgłośnie i choć nie potrafiłam powiedzieć co, mogłam się tego domyślić. *Mogę robić, co mi się żywnie podoba.*

Pobiegłam – pogałam – uciekłam.

## STARSZY

Cieszyłem się, że Amy odeszła – nie chciałem, żeby uczestniczyła w tej kłótni. Niech gzyf trafi Bartiego, że od razu próbował ją w to wciągnąć.

I niech gzyf trafi tłum, który rozrastał się coraz szybciej.

Dotknąłem przycisku wi-komu na szyi.

– Marae, zjedź szybko do miasta. I weź ze sobą siły policyjne.

Marae zaczęła coś odpowiadać, ale przerwałem połączenie. Musiałem się skupić na Bartiem.

– Ojej, co to? Wzywamy posiłki? – parsknął.

– Dlaczego to robisz? – zapytałem. – Myślałem, że jesteś moim przyjacielem.

– Tu nie chodzi o przyjaźń. – Teraz już nie krzyczał, bo te słowa były przeznaczone dla mnie, mimo że tłum cały czas nadstawiał uszu. – Chodzi o szansę zmiany „Błogosławionego” w taki świat, w jakim naprawdę chcielibyśmy żyć.

– I w tym świecie nie ma dla mnie miejsca?

– Nie ma miejsca dla Najstarszego, nawet dla takiego, który nazywa siebie Starszym.

Kątem oka widziałem granatowoczarne smugi mknące w dół grawiszybu do Miasta.

Marae znajdowała się już niedaleko, a wraz z nią pół tuzina sterników.

Stevy jęknął i podniósł się na nogi.

– Dobrze – powiedziałem. – Dość tego. Wracajcie do swoich zajęć.

Część ludzi zaczęła się rozchodzić. Napięcie powoli opadało.

– Rozejść się! Wszyscy! – krzyknęła nadbiegająca Marae. To wystarczyło, by w tłumie znów pojawiła się nerwowość.

– Aha, a oto i najnowszy pomysł Starszego – siły policyjne – zaśmiał się Bartie, mówiąc coraz głośniej. – Przyszli się upewnić, że będziemy grzecznymi chłopcami i dziewczynkami, bo inaczej...

– To wcale nie tak – rzuciłem zarówno do niego, jak i do Marae.

– Czy naprawdę nie widzicie, co się tutaj dzieje? – nagle przez szum przebił się nowy głos. Luthora, kogóż by innego. Luthor zawsze uwielbiał awantury, nawet przed laty, kiedy wszyscy mieszkaliśmy w Izolatce. Tylko że tym razem nie próbował tego ukrywać. – Starszy się boi. Spójrzcie, jest przerażony. A kogo się boi? Was! Bo to wy macie siłę. Nie może kontrolować nas wszystkich!

– Możemy robić to, co nam się podoba! – zawołał ktoś inny.

– Możemy rządzić własnym życiem! – zawtórował mu natychmiast Bartie.

Tłum od razu podchwycił hasło i zaczął skandować: „Rządzić własnym życiem! Rządzić własnym życiem!”.

Marae i jej ludzie próbowali uciszyć wrzawę, wykrzykując rozkazy. Przekleństwa mieszały się ze śpiewami, drwinami i groźbami. Sternicy zareagowali tak samo, ale ich groźby przeszły w czyny. Marae pchnęła dwukrotnie większego od siebie mężczyznę, który podszedł zbyt blisko. Inny żywiciel zamachnął się pięścią na Shelby.

Z całej siły wdusiłem przycisk wi-komu.

– Obszar komunikacji: pięćdziesiąt stóp od mojego położenia – rzuciłem do komputera. Gdy tylko mój wi-kom zapiszczał, potwierdzając połączenie ze wszystkimi wi-komami w okolicy, powiedziałem: – Uspokójcie się, przemoc nie jest konieczna.

Kilka osób zamarło – widziałem, jak wsłuchiwali się w swoje wi-komy. Za mało.

– Spokój! – wrzasnąłem. – Ludzie, rozejrzyjcie się! – rozkazałem i większość usłuchała. – To są wasi przyjaciele, wasza rodzina... Walczycie sami ze sobą! Możemy tego

uniknąć. Natychmiast zaprzestańcie walk.

Wziąłem głęboki oddech. Wyglądało na to, że zamieszanie stopniowo zamiera.

– Co z Dystrybufo?! – w ciszę wdarł się krzyk Luthora.

– A co ma być? – Rzuciłem Marae znaczące spojrzenie. – Coś się stało z Dystrybufo?

– To ty nic nie wiesz? – parsknął Bartie głosem pełnym oburzenia. – Jak możesz nazywać się przywódcą, skoro nawet nie wiesz, że nie dostajemy jedzenia?

Znów obróciłem się do Marae.

– Byliśmy świadomi, że pojawił się taki problem – zaczęła przepraszać tonem. – Właśnie mieliśmy do ciebie zakomować...

Nie czekając na dalszy ciąg wyjaśnień, ruszyłem ulicą prosto do Dystrybufo.

Otoczający nas tłum zareagował zaskoczeniem – ludzie nie spodziewali się, że bez ostrzeżenia wparuję między ich szeregi. Kilka osób nie zdążyło zejść mi z drogi i musiałem się przepychać, ale nawet nie zwolniłem. Chociaż słyszałem za plecami mamrotanie i tupot butów na chodniku, byłem tak gzyfowo wściekły, że nie myślałem trzeźwo. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowałem, to problemy z Dystrybufo.

Niech to gzyf...

Dystrybufo to wielki magazyn stojący na samym końcu Miasta, który opierał się plecami o stalową ścianę Poziomu Żywiciela. Dystrybucja jedzenia przebiegała automatycznie – a w każdym razie powinna. Kiedy jednak dotarłem pod wielki budynek z cegieł i stali, okazało się, że Fridrick, kierownik magazynu, założył na drzwi łańcuch. Stał teraz przed nimi ze skrzyżowanymi na piersi rękami i świdrował mnie wzrokiem, jakby szykował się do bójki.

Poczułem, że wszystko się we mnie spięło – pięści, szczęki, a nawet oczy.

– Co tu się dzieje? – warknąłem. Tłum, który zgromadził się wcześniej wokół mnie i Bartiego, teraz otaczał ciasno mnie i Fridricka – i sprawiał wrażenie jeszcze większego. Marae i sternicy namawiali ludzi, by odeszli i pozwolili nam zająć się problemem, ale nikt ich nie słuchał. Zamiast tego do zbiegowiska dołączali kolejni gapie.

– Będę rozdzielać żywność ręcznie – oznajmił Fridrick. – Zadbam o to, żeby każdy dostawał u c z c i w e racje.

– A co to niby ma znaczyć?

– Zatrzymuje jedzenie dla siebie! – zawołała jakaś kobieta.

– Nieprawda!

– Wyważmy drzwi!

Obróciłem się na pięcie.

– Niech to gzyf, uspokójcie się wreszcie! – wrzasnąłem, rzucając dookoła gniewne spojrzenia. Ludzie nie wyglądali na spokojniejszych, ale na chwilę przestali krzyczeć. – Dobrze – mruknąłem, przenosząc wzrok na Fridricka, który zarządzał Dystrybufo, jeszcze zanim się urodziłem. – Na czym polega problem z dystrybucją jedzenia?

– Nie ma żadnego problemu – odparł Fridrick. – Niech oni się rozejdą, to zacznę rozdzielać racje.

Spojrzałem z powątpiewaniem na łańcuch wiszący na drzwiach.

– Będzie dawać jedzenie tylko niektórym! – odezwał się w tłumie głęboki męski głos.

– Tylko tym, którzy na to z a s ł u ż y l i! – zawtórował mu ktoś inny.

Zaryzykowałem kolejne zerknięcie w tył. Marae i sternicy stali za mną, powstrzymując tłum. Zebrało się wokół nas jakieś dwieście osób, może więcej. Ludzie poruszali się falami, a nie pojedynczo, i próbowali napierać w stronę kierownika Dystrybufo.

– Jedzenie nie należy do ciebie – powiedziałem do Fridricka, tym razem głośno, żeby wszyscy dobrze mnie usłyszeli.

- Należy – zaoponował, gromiąc mnie spojrzeniem.
- Nie możesz decydować, kto będzie jeść, a kto nie – odbiłem piłeczkę.
- Zapasy topnieją.

Wiedziałem, że to prawda.

– I co mam zrobić? – zapytał drwiąco Fridrick. – Dawać wszystkim mniej jedzenia? Albo zrobić to, co należy, i przydzielać racje tylko tym, którzy na nie zapracowali?

Odpowiedziały mu gniewne pokrzykiwania, ale także wiwaty; obelgi, lecz jednocześnie głosy poparcia.

– Żywności na normalne racjonowanie wystarczy nam przynajmniej na kilka tygodni. Później będziemy mogli zastanowić się nad problemem podziału.

Fridrick zmrużył oczy.

- Nie zamierzam karmić tych, którzy nic nie robią.
- Każdy coś robi – prychnąłem zirytowany.

Najwyraźniej nie powinienem był tego mówić. Fridrick nie musiał odpowiadać – zrobił to za niego tłum. Ludzie zaczęli wykrzykiwać imiona – swoich sąsiadów, członków rodziny, wrogów i przyjaciół. Wszystkich, którzy się objali. Tkaczy, którzy wrócili do krosien, bo nakazałem im zakończyć strajk, ale mimo to celowo pracowali wolniej niż zwykle. Pracowników szklarni, których wielokrotnie przyłapywano na chowaniu produktów dla siebie. A poza tym wielu innych, pojedynczych osób, które po prostu uznały, że nie będą nic robić – bo były zbyt leniwe albo wpadły w depresję, jak Evie czy Lil, matka Harleya.

Ponad wrzawę wzniósł się po chwili nowy slogan: „Nie ma pracy, nie ma jedzenia! Nie ma pracy, nie ma jedzenia!”.

– A co z tymi w Szpitalu? – przez śpiewy przebił się ostry, przenikliwy głos.

– Ja pracuję! – doleciał okrzyk zza tłumu. Spomiędzy głów zgromadzonych udało mi się wyłowić twarz Doktora. Wyglądał na zdenerwowanego i zaniepokojonego, że ktoś przywołał temat jego ukochanego Szpitala.

– A ci, którzy mieszkają w Izolatce? – zapytał Fridrick. Nie dodał jednak – co pewnie miał też na myśli – „A Amy”?

Szlag.

– Masz rację. – Bartie przepchnął się obok Marae, która skrzywiła się tak, jakby chciała uderzyć go łokciem prosto w szyję. – Od tej chwili zamierzam poświęcić się produktywnej pracy – oznajmił głośno.

Zapadła cisza. Wszyscy skupili na nim wzrok – ja także, zastanawiając się, jak on to zrobił. Jak udało mu się przyciągnąć uwagę całego tłumu? Choć niezadowoleni ludzie milkli, gdy chcieli usłyszeć mnie lub Fridricka, tak naprawdę nie robili tego z szacunku. Czekali, aż jednemu z nas powinie się noga; potrzebowali amunicji, którą mogliby odrzucić w naszą stronę. A teraz wszyscy jak jeden mąż obserwowali Bartiego, czekając, co powie.

On jednak nic nie mówił. Zamiast tego uniósł gitarę nad głowę i wyciągnął ją w stronę Fridricka.

– Niech to będzie moja zapłata za jedzenie w tym tygodniu – powiedział. – A ponieważ w Sali Nagrań nie ma żadnego Nagrywacza, podejmę jego obowiązki.

Fridrick chwycił gitarę i przyglądał się jej przez chwilę, nie wiedząc, co z nią zrobić. W końcu jednak kiwnął głową, przyjmując zapłatę Bartiego.

– Tymczasem będziemy rozdzielać jedzenie według normalnych zasad – ogłosiłem najgłośniejszym głosem.

Fridrick spojrzał na mnie zmrużonymi oczami.

– Żadnych dyskusji – dodałem nieco ciszej, zanim zdążył się odezwać. – Wszyscy mają

dostać żywność.

Odwróciłem się, by nie dać mu szansy na zgłoszenie sprzeciwu. Kiedy jednak podszedłem do Marae, usłyszałem, jak przez szum przebija się jego mamrotanie:

– Na razie...

Zatrzymałem się i otworzyłem usta, choć jeszcze nie wiedziałem, co właściwie zamierzam powiedzieć, gdy nagle z tyłu zgromadzenia rozległ się krzyk. W tłumie powstało zamieszanie. Nikt nie interesował się już ani mną, ani Fridrickiem – wszyscy patrzyli teraz na kobietę, która klęczała przy ciele jakiegoś mężczyzny po drugiej stronie ulicy.

Spojrzałem na jego twarz.

Stevy.

Gdy dotarłam do Szpitala, zabrakło mi tchu. Nie miałam takiej kondycji jak na Ziemi. W drzwiach zatrzymała mnie Kit.

– Co się dzieje? – zapytała. – Właśnie zakomował do mnie z Miasta Doktor.

Pokręciłam głową.

– Jacyś ludzie sprawiają kłopoty. Bartie, Luthor i paru żywicieli.

– Doktor mówił, że sytuacja robi się poważna – odparła Kit. Chyba zauważyła mój niepokój, bo dodała szybko: – Ale ze Starszym są sternicy, na pewno wszystko dobrze się skończy.

W tym momencie zawołała ją pielęgniarka, więc Kit poszła jej pomóc, zostawiając mnie sam na sam z moimi obawami. Ruszyłam w kierunku windy. Mogłam pójść do pokoju, przypomniałam sobie jednak słowa Oriona z ostatniego nagrania: „Wracaj do domu. Tam znajdziesz odpowiedź. Wracaj do domu”. I choć nie byłam pewna, co miał na myśli, wiedziałam jedno: na pewno nie chodziło mu o kwadratową sypialnię w Izolatce, bo choć przesypiałam w niej każdą noc, nigdy nie nazwałabym jej domem.

Zamiast tego skierowałam się z powrotem do Sali Nagrań. Może Starszy miał rację, może wskazówka została ukryta w atlasie, nie sądziłam jednak, by Orion zrobił coś tak banalnego. Mimo to Sala Nagrań była najbezpieczniejszym miejscem, zwłaszcza że Luthor znajdował się teraz w Mieście.

Wspinając się po schodach, zauważyłam, że wnęka, w której powinien wisieć portret Starszego, świeciła pustkami. Spojrzałam za siebie. Z tego miejsca nie dało się dostrzec, co się dzieje w Mieście, ale na pewno nie uspokoiły mnie zapewnienia Kit, że wszystko będzie dobrze. Kiedy ludzie tak mówią, zwykle mają na myśli coś przeciwnego.

W Sali Nagrań przebywało mniej osób niż zwykle. Większość z nich nie patrzyła na ścienne plastpleje ani nie zmierzała do pomieszczeń z książkami. Ludzie stali zebrani w grupki, rozmawiając przyciszonymi głosami, w których dało się słyszeć obawę. Kilka osób podniosło wzrok, kiedy weszłam, i wtedy zdałam sobie sprawę, że nie mam na głowie ani szala, ani kaptura. Próbowалам zakryć włosy, lecz było już za późno. Podszedł do mnie jeden z mężczyzn stojących w pobliżu drzwi.

– Byłaś w Mieście? – zapytał.

Przytaknęłam. Sprawiał wrażenie raczej zaciekawionego niż groźnego, mimo to napięłam mięśnie nóg, gotowa zerwać się do biegu, jeśli będzie trzeba.

– Czy to, co mówią, to prawda? Wybuchnęły zamieszki?

– Tak bym tego nie nazwała – odparłam. – Garstka ludzi narobiła tylko trochę zamieszania.

Kobieta pochyliła głowę, wsłuchując się w swój wi-kom. Musieli mieć bardziej aktualne informacje niż ja. Mogli zakomować do kogokolwiek w Mieście i czegoś się dowiedzieć, podczas gdy ja miałam jedynie Starszego. Mój palec zawisnął nad wi-komem na nadgarstku, ale przypomniałam sobie, jak Bartie i Luthor podburzali tłum, wykorzystując mnie jako dowód niekompetencji Starszego. Lepiej, żebym nie zawracała mu teraz głowy.

Pozostali nie wyglądali na przekonanych moim lekceważącym stosunkiem do kłopotów w Mieście, lecz i tak naciągnęłam kaptur na głowę i poszłam do księgozbiorów na tyłach Sali Nagrań. Znalezienie tego, czego szukałam, zajęło mi chwilę, w końcu natrafiłam jednak na dużą książkę z mapą świata na okładce. Zdejmując ją z półki, uświadomiłam sobie, że ani na statku, ani na nowej planecie atlas Ziemi nikomu nie będzie szczególnie potrzebny. Pewnie miał wyłącznie wartość historyczną, to wszystko.

Część atlasu była poświęcona Ameryce. Najpierw przerzuciłam kartki i otworzyłam na Florydzie – spędziłam tam większość swojego dzieciństwa. Przesunęłam dłońmi po stronach, ale już wiedziałam, że nie znajdę niczego niezwykłego – ani plastpleja, ani karty pamięci, ani odręcznej notatki. Przekartkowałam do Kolorado, ostatniego miejsca, które nazywałam domem. Chłodne zimy. Czyste niebo. Niezmiennie gwiazdziste noce.

I puste strony – na nich też niczego nie znalazłam.

Zaczęłam się zastanawiać, czy na statku znajdowały się jeszcze jakieś inne echa Ziemi – na przykład globus. Przypomniało mi się, że widziałam jeden na Poziomie Strażnika. Ale tę wskazówkę Orion zostawił tylko dla mnie, a nie wydawało mi się, by ukrył coś na poziomie Starszego z myślą o mnie.

Opuściłam pomieszczenie z księgozbiorem. Nie zwróciłam uwagi na panującą ciszę, dopóki nie dotarłam do głównego wejścia. Sala Nagrań osobliwie świeciła pustkami. Nieliczni ludzie, którzy kręcili się tu wcześniej, zniknęli, zostawiając mi cały westybul. Zdjęłam kurtkę. Od chłodnego powietrza przeszły mnie ciarki. Miałam wrażenie, że przebywanie tu w samotności, nawet bez kurtki, która by mnie osłoniła, jest niemal niebezpieczne – ale też w pewnym sensie wyzwajające.

Patrzyłam na ścienne plastpleje, zastanawiając się leniwie, czy zadać sobie trud i przejrzeć na nich mapy, po czym mój wzrok powędrował w górę. Z sufitu zwisały dwa olbrzymie gliniane modele przedstawiające planety. Między nimi na drucie „leciał” mały model „Błogosławionego”.

Model Ziemi był mniejszy niż model Centauri-Ziemi i tak szczegółowy, że mogłam zobaczyć długą ostrogę Florydy i nierówne grzbiety Gór Skalistych. Podskoczyłam, chcąc go złapać, ale moje palce nawet nie musnęły bieguna południowego. Przez krótką chwilę zastanawiałam się, czy nie poszukać drabiny, by go odciąć i roztrzaskać jak piniatę<sup>[2]</sup>, wątpiłam jednak, czy tajemnice Oriona wysypią się z niej jak cukierki. Model już tam wisiał, gdy statek wystartował. W jaki sposób Orion umieściłby coś w środku?

Zerknęłam na model „Błogosławionego”. Rzeczywiście dałoby się go zdjąć, wystarczyło ściągnąć z haczyka, na którym wisiał. Chyba dosięgnęłabym do niego z krzesła, tyle że... „Błogosławiony” to na pewno nie mój dom. Może nie była nim Floryda ani Kolorado, ale z pewnością również nie „Błogosławiony”.

Usłyszałam ciche *bip, bip-bip*. A potem znowu: *bip, bip-bip*.

Mój wi-kom! Uniosłam nadgarstek do ucha i przycisnęłam guzik z boku.

– Żądanie połączenia: Starszy – oznajmił wi-kom.

– Przyjmij – odparłam skwapliwie.

– Amy? – usłyszałam zmęczony głos.

– Tak, to ja. Co się stało? Coś się dzieje w Mieście?

Starszy puścił moje pytania mimo uszu.

– Gdzie teraz jesteś?

Rozejrzałam się po pustym holu.

– W Sali Nagrań. Pomyślałam, że byłoby dobrze zbadać kolejną...

– Możesz pójść w jakieś bezpieczniejsze miejsce? – przerwał mi w pół zdania. – Idź do swojego pokoju, dobrze?

– Co się dzieje?

– Chcę się tylko upewnić, że jesteś bezpieczna. Zamknij drzwi. – W pierwszym tygodniu mojego pobytu na statku Starszy wyposażył drzwi mojego pokoju w zamek ze skanerem biometrycznym, dzięki czemu mieszkałam w jednym z naprawdę niewielu

prywatnych pomieszczeń na pokładzie.

– Starszy, o co chodzi?

– Po prostu... zależy mi na twoim bezpieczeństwie. Muszę już iść. – Przerwał połączenie, zanim jego słowa zdążyły dobrze wybrzmieć.



## STARSZY

– Nie tłóczycie się tak, potrzebujemy trochę miejsca! – krzyczał Doktor, ale nic z tego nie wynikało. Jeśli już, to tłum naparł na nas jeszcze mocniej.

– Dobrze, że od razu tu przyszedłeś – mruknąłem, przyklękając obok Doktora, podczas gdy on badał Stevy'ego.

Przytknął palce do jego szyi, po czym pokręcił głową i wyprostował się.

– Jak do tego doszło? – zapytał Bartie. Nagle zuchwałość znikła z jego głosu. Znów był moim starym przyjacielem, z którym kiedyś ścigaliśmy się na bujanych fotelach po ganku Sali Nagrań. Sprawiał wrażenie wystraszonego. – Co mu zrobiłeś?

– Nic nie zrobiłem...

– Zrobiłeś coś z jego wi-kodem, a chwilę później umarł – powiedział głośnie. Już nie był moim przyjacielem, na powrót wcielił się w rolę mojego przeciwnika. – Czy właśnie tak kończą ludzie, którzy protestują przeciwko twojej władzy, Starszy? Umierają?

– Ależ z ciebie kretyn – ofuknął go Doktor, po czym oderwał z ramienia Stevy'ego coś lepkiego. Niewielki zielony medplast. Nasze spojrzenia się spotkały. Medplast z fidusem – jeden z tych, które niedawno przygotował Doktor.

– Do czego to służy? – zażądał odpowiedzi Bartie. Czulem na plecach spojrzenia innych ludzi. Marae, najlepiej jak potrafiła, utworzyła ze sternikami kordon, by trzymać tłum na dystans. Wiedziałem jednak, że to nie wystarczy na długo.

– To jest specjalistyczny medplast – odparł Doktor. Obejrzał go z bliska, zapominając o Bartiem i zbiegowisku. – Ktoś tu coś napisał – mruknął mi do ucha.

Wyciągnął plasterk w moją stronę. Bartie chciał wyrwać medplast z dłoni Doktora, ale go ubiegłem.

– *Bądź* – przeczytałem głośno. Pojedyncze słowo zapisane wytłuszczonymi literami: *bądź*. – Jak ten medplast zabił Stevy'ego?

– Nie ten. – Doktor podciągnął Stevy'emu rękaw, odsłaniając ukryte pod spodem plastry. Zaczął je odklejać. – Jeden jest niegroźny, ale wystarczą trzy, żeby przedawkować.

Zmarszczyłem brwi. Medplastry z założenia miały działać błyskawicznie, ale stężenie fidusa musiało być zbyt wysokie, jeżeli już trzy mogły zabić dorosłego mężczyznę.

– Co jest na nich napisane?! – zawołał Luthor, próbując zepchnąć Marae z drogi.

Doktor już chciał mi je wręczyć, ale tym razem Bartie okazał się szybszy.

– *Posłuszny* – przeczytał słowo z pierwszego medplastu na tyle głośno, by wszyscy go usłyszeli. – *Władzy*. – Spojrzał na mnie, a w jego oczach lśniło autentyczne przerażenie. Był pewien, że ja to zrobiłem. – *Bądź posłuszny władzy*. Te plastry...

te s p e c j a l n e plastry, które zabiły Stevy'ego, to rozkaz. Ostrzeżenie. *Bądź posłuszny władzy*.

Zanim zdążyłem wyjaśnić, że nie ponoszę za to odpowiedzialności, że nie napisałem tych słów na medplastach, Bartie odwrócił się do tłumy.

– Oto, co się dzieje z tymi, którzy nie są ślepo posłuszni przywódcy! – prychnął, rzucając plastry na zwłoki Stevy'ego.

– Spójrzcie, co się z wami stanie! – podchwycił Luthor, a jego słowa zadudniły w całym Mieście. – To cena, którą musicie zapłacić, jeśli nie jesteście posłuszni! Jeśli nie będziecie słuchać Starszego, on każe was zamordować!

– Czekać! – krzyknąłem, zrywając się na równe nogi. – Nikogo nie zabiłem i nie zabiję!

Ale było już za późno. Słowa Bartiego i Luthora rozprzestrzeniły się jak trucizna.

Widziałem w oczach ludzi strach i odrazę, kiedy naporli na barierę utworzoną przez Marae i jej sterników. Tama pękła, a fala ciał wylała się, przewracając mnie i odrzucając w bok Doktorka. Podnieśli w górę sztywne ciało Stevy'ego. „Bądź posłuszny władzy”, skandowali, lecz w ich śpiewach były złość i szyderstwo. Drwili ze mnie.

To była pieśń wojenna.

Coraz więcej ludzi – tych, którzy wcześniej stali na uboczu – dołączało do krzyżącego tłumu. Ciało Stevy'ego stało się sztandarem rewolucji. Podawali je sobie i unosili wysoko; przetaczało się po ich rękach jak po grzbiecie fali.

– Dość – powiedziałem.

– Nie słyszają cię... – wymamrotał Doktorek. Jego oczy lśniły, ale twarz miał kamienną.

Wdusiłem przycisk wi-komu.

– DOŚĆ! – ryknąłem, i tym razem usłyszał mnie każdy gzyfowy człowiek na pokładzie „Błogosławionego”. – Ogłaszam godzinę policyjną. Rozejdźcie się do domów. Nie wolno wam ich opuszczać. Dziś wieczorem sternicy będą pilnować, aby nikt nie złamał zakazu. Wszyscy, absolutnie wszyscy mają zniknąć z ulic Miasta, zostawić pracę i ukryć się w domach. – Będąc na moim miejscu, Najstarszy przemawiałby do nich z chłodnym przekonaniem, ale nie ja; byłem tak wściekły, że cały się trząsałem i nie potrafiłem zapanować nad drżeniem w głosie. Zwróciłem się bezpośrednio do stojącego przede mną tłumu, mimo że wciąż nadawałem do wi-komów wszystkich pasażerów statku: – Zastanówcie się, co robicie. Zastanówcie się, jak traktujecie ciało jednego ze swych bliskich. Nie mogę na to patrzeć. Zostawcie go tutaj, żeby Doktor mógł go wysłać do gwiazd.

Cisza.

– Idźcie. Już – powtórzyłem. Mój głos zabrzmiał tak, jakbym przez chwilę był Najstarszym.

A oni zaczęli się rozchodzić.

Narzekali, chmurzyli się gniewnie i mamrotali przekleństwa... ale odchodzili.

Marae podeszła do mnie cicho.

– Wciąż się ciebie boją – stwierdziła.

– Boją się przeszłości. Wciąż pamiętają o Najstarszym.

– Widocznie to wystarcza. Podziałało, prawda?

Nie potrafiłem jej odpowiedzieć. Być może miałem jeszcze dość posłuchu, by wysłać ich do domów, ale co będą o mnie mówić, kiedy znajdą się za zamkniętymi drzwiami?

Kiedy dotarłam do szpitalnej windy, moja dłoń zawisła nad guzikiem z dwójką, lecz w ostatniej chwili przycisnęłam trójkę. Nie chciałam się chować w swoim pokoju. Jeśli coś było nie tak, jeśli miałam znaleźć bezpieczną kryjówkę... wołałam być z rodzicami. Poza tym poziom kriogeniczny był dla mnie jednym z najbezpieczniejszych miejsc na statku. Choć po odcięciu fidusa Starszy opowiedział wszystkim o tym poziomie, tylko nieliczni pofatygowali się, żeby go zobaczyć, a nadal mało kto miał dostęp do skanera biometrycznego. Przebiegłam korytarz na trzecim piętrze i przesunęłam kciukiem po skanerze. Winda na poziom kriogeniczny otworzyła się i wtedy odezwał się mój wi-kom.

Mimo że głos musiał dotrzeć do mnie aż z nadgarstka, usłyszałam przez wi-kom, jak Starszy wrzasnął: „DOŚĆ!”. Uniosłam komunikator do ucha; ucisk w moim żołądku miał więcej wspólnego z wiadomością Starszego niż z opadaniem windy. Ktoś z g i n ą ł.

Ktoś inny. Najpierw dziewczyna na króliczych polach, a teraz jakiś człowiek w Mieście.

Muszę rozgryźć wskazówki Oriona. Nie powiedział, przed jakim wyborem stanę ani do czego mnie ostatecznie doprowadzi, ale nic nie mogło być gorsze od wściekłości, strachu i gniewu, które będą narastały, aż wreszcie ludzie rozedrą statek na strzępy – zwłaszcza gdy już się dowiedzą, że „Błogosławiony” utknął w miejsku.

W zamyśleniu przygryzłam wargę. Orion wiedział, że do tego dojdzie. Planował to od początku, odkąd wyciągnął mnie z komory kriogenicznej. Bez względu na to, jakiej tajemnicy strzegł, wiedział, że teraz będziemy jej potrzebować.

Więc dlaczego, do cholery, zostawił mi tak niejasną wskazówkę? Wracaj do domu? Co chciał przez to powiedzieć? Czy nie rozumiał, że ja już nie miałam domu?

Kiedy drzwi windy się rozsunęły, ruszyłam prosto do komór z numerami czterdzieści i czterdzieści jeden, tak jak każdego ranka w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Potem wyciągnęłam rodziców i usiadłam na podłodze. Nie byli w stanie odpowiedzieć na moje pytania, ale pomyślałam, że może wystarczy skupić wzrok na ich zamrożonych twarzach, bym mogła skoncentrować się na zagadce Oriona. Zaczęłam właśnie porządkować mętlik panujący w mojej głowie, gdy nagle usłyszałam dzwonek windy.

Serce mi stanęło.

Ktoś nadchodził.

Pierwsza myśl: Starszy. Ale nie, przecież Starszy był w Mieście.

Druga myśl: rodzice. Zerwałam się i gwałtownym ruchem wsunęłam ich z powrotem do komór. Serce waliło mi jak szalone. Zatrzasnęłam drzwiczki w tej samej chwili, w której rozsunęły się drzwi windy.

Victoria.

– Co ty tu robisz? – warknęłam. Nie powinnam – nie miałam powodu, żeby się tak zachowywać – ale czułam, jakbym stała na krawędzi przepaści.

Victoria nie zwracała sobie głowy odpowiedzią. Zgromiła mnie spojrzeniem, po czym ruszyła energicznym krokiem w stronę laboratorium genetycznego.

– Są zamknięte – zawołałam, kiedy dotarła do drzwi.

Nawet się nie obróciła. Zwyczajnie przesunęła kciukiem po skanerze biometrycznym, wpisała hasło i weszła do laboratorium.

– Hej! – Zeskoczyłam ze stołu. – Jak to zrobiłaś?

Pobiegłam do drzwi laboratorium. Victoria pochylała się nad stołem warsztatowym, na którym Starszy i Doktor przechowywali replikatory DNA/RNA.

– Skąd znasz hasło? – zapytałam. – I jak przeszłaś przez skanery biometryczne? Te drzwi może otworzyć tylko Starszy, Doktorek i niektórzy sternicy.

– I ty. – W jej ustach zabrzmiało to jak oskarżenie. To prawda – ale nie zareagowałam na jej drwinę. Czekałam na wyjaśnienia. – Starszy przyznał mi dostęp ponad miesiąc temu.

– Przyznał?

Victoria w końcu skupiła na mnie uwagę.

– Słuchaj, Starszy chodził po tym świecie, jeszcze zanim się zjawiłaś. Do gzyfa, miał nawet przyjaciół i życie, wszystko to bez ciebie.

– Ja... wiem o tym.

Victoria miała kamienną twarz, dostrzegłam jednak, że mięśnie jej szczęk zacisnęły się, tak mocno musiała trzymać emocje na wodzy.

– Możesz już iść? – zapytała. Nie patrzyła jednak w moim kierunku. Spoglądała przez szybkę komory kriogenicznej na Oriona – na jego wytrzeszczone oczy i palce drapiące szkło. Zamknęłam za sobą drzwi laboratorium, zostawiając ją w spokoju.

Starszy wspominał mi, że po śmierci Kayleigh ich grupa się rozpadła. Pomijając Harleya, to właśnie Victoria, jedyna ocalała dziewczyna, utraciła najwięcej spośród nich wszystkich. Widziałam ją, pisarkę zakochaną w książkach, jak spędza większość czasu w Sali Nagrań. Tam, gdzie Orion.

Musiała mnie nienawidzić. Najpierw przywłaszczyłam sobie uczucia Starszego i Harleya, jej dwóch przyjaciół z dzieciństwa. A potem odebrałam jej Oriona.

Z jakiegoś powodu nie przyszło mi nigdy do głowy, że komuś mogłoby zależeć na Orionie. Moje wspomnienia krążyły wokół tamtej chwili, kiedy po raz ostatni widziałam go żywego. Podczas naszego pierwszego spotkania stwierdziłam, że to człowiek łagodny i miły, hojny i przyjazny, ale teraz pamiętałam jedynie szaleństwo w jego oczach, kiedy krzyczał do Starszego, by ten pozwolił umrzeć moim rodzicom i pozostałym zamrożonym. Victoria tego nie widziała, dla niej istniał tylko jej przyjaciel, Nagrywacz, o wykrzywionej, skutej lodem twarzy.

A dziś, gdy Starszy zamknął cały statek i gdy Victoria musiała się bać, bo baliśmy się wszyscy – dziś zignorowała polecenie, by nie wychodzić na ulice. Poszła do Oriona.

Wtedy jednak zrozumiałam: Victoria nie złamała rozkazu Starszego. Kazał jej pójść do domu, a czasem dom to człowiek.

Zawróciłam do komór kriogenicznych. Victoria przypadkowo podsunęła mi odpowiedź. W końcu pojęłam, o co chodziło Orionowi. Mówił, żebym wróciła do domu. I wróciłam, jeszcze zanim dotarło do mnie, co miał na myśli.

Położyłam dłoń na klamce drzwiczek z numerem czterdzieści dwa. To właśnie tam powinnam być. W jedynym domu, jaki jeszcze mi pozostał.

Otworzyłam drzwiczki.

Każdego ranka rozmawiałam z rodzicami, lecz tym razem od uporczywej woni płynu kriogenicznego żółć podeszła mi do gardła. Zebrało mi się na wymioty, moje ciało przypomniało sobie, jak to jest topić się w obrzydliwie słodkiej cieczy. Najpierw nie mogłam złapać tchu, a potem zaczęłam oddychać zbyt gwałtownie, z każdym wdechem wciągając woń płynu kriogenicznego. Ten smród mnie wykańczał.

Pamiętałam, jak ciecz parzyła moje nozdrza i barwiła świat przed oczami na chabrowo.

W szklanej trumnie brakowało płynu – jej wieko rozbiło się, kiedy Doktorek i Starszy upuścili je w pośpiechu, usiłując uratować mnie przed utonięciem.

Wróciłam do tamtych chwil. Przypomniałam sobie, że czułam ból, ale wspomnienie, gdzie i jak bolało, wyblakło z upływem czasu. Pamiętałam za to głęboki, kojący głos

Starszego. Byłam przestraszona i zdezorientowana, a jego głos przeprowadził mnie przez mgłę przerażenia.

Zmusiłam się do porzucenia tych myśli i skupiłam na komorze. Szkło było zimne w dotyku. Wciąż zdumiewało mnie, jak wąski był pojemnik; jak moje ręce i nogi napierały na jego ścianki, gdy walczyłam, żeby się wydostać.

Zatrzymałam dłoń.

Dokładnie tam, gdzie znajdowałoby się moje serce, gdybym teraz spoczywała w komorze, leżała złożona na pół kartka papieru.

Rozprostowałam ją drżącą dłonią.

PERSONEL WOJSKOWY NA POKŁADZIE „BLDGOSŁAWICZEGO”	
1.	KATARZYNA BERGE
4.	LIEE HART
12.	MARK DENON
15.	FREDERICK KRASZCZYNSKY
19.	BRADY MACPHERSON
22.	PETE PLANGIERZ
25.	THEO KENNEDY
29.	THOMAS COLLINS
30.	XIMENA ROZE
33.	ALASTAIR POTTER
34.	AGUS WU
38.	JEREMY DOYLE
39.	MARIELLA DAVIS
41.	ROBERT MARTIN
46.	GRACE SNEY
48.	DYLAN FAIRLEY
52.	INES GOMEZ
58.	ASHLIN KEENAN
63.	EMMA BLEDSOE
67.	JAGDISH IYER
69.	YUKO SAITOU
72.	HUANG SUN
78.	CHEBEZE KOPRANO
81.	MARY DOUGLASS
84.	NADKO SUZUKI
89.	JULIANA ROBERTSON
100.	WILLIAM ROBERTSON

## STARSZY

Przypomniawszy Doktorkowi, by przed zabraniem ciała Stevy'ego wstąpił do Lil, pomogłem sternikom sprawdzić ulice Miasta. Kiedy mijaliśmy kolejne przyczepy, z okien wyglądali żywiciela. Od czasu do czasu dostrzegałem potulną twarz, na której malował się wyraz zmartwienia albo strachu, ale częściej ludzie obrzucali mnie pełnymi złości spojrzeniami. Owszem, przestrzegali godziny policyjnej, ale to wcale nie oznaczało, że nagle przestał narastać w nich gniew i potrzeba buntu.

Zaburczało mi w żołądku. Ostatni posiłek jadłem poprzedniego dnia, więc zatrzymałem się, by coś przekąsić – Marae nalegała. Ulice były puste, ale opuściliśmy Miasto dopiero po wygaszeniu lampy solarnej. Jadąc grawiszybem na Poziom Sternika, od razu zauważyłem, że w ponad połowie przyczep paliło się światło. Byłem niemal pewien, że wiedziałem, o czym rozmawiali teraz wszyscy mieszkańcy Miasta.

Większość sterników została na dole – w końcu oni też mieszkali w Mieście, a na Poziom Sternika wjeżdżali tylko do pracy – ale Marae wyszła za mną z grawiszybu. Wsłuchując się w stukot naszych podszew na metalowej posadzce, uświadomiłem sobie, że gdy Marae wróci na Poziom Żywiciela, a ja wejdę na Poziom Strażnika, będę jeszcze bardziej odseparowany od reszty statku niż zwykle. Całe dwa poziomy tylko dla mnie.

Zmierzaaliśmy w stronę *wrrr-szast-wrrr-szast* dolatującego z maszynowni. W środku panował półmrok, ale silnik i tak rzucał swój cień. Śmierdział rozgrzanym smarem, teraz jednak wydawał mi się mniejszy – może z powodu świadomości, że tak naprawdę nie napędzał „Błogosławionego”? Marae nawet na niego nie spojrzała, idąc prosto do masywnych drzwi z zabezpieczeniem próżniowym.

Na Mostek.

Przypomniałem sobie jedno z pierwszych słów Najstarszego, gdy zaczynał mnie uczyć – Mostek jest dla sterników; ja mam zajmować się ludźmi, a nie statkiem.

Marae otworzyła drzwi i puściła mnie przodem. Pomieszczenie w kształcie ostro zakończonych owalu wieńczył łukowy sufit z metalu. Czulem, jak coś przyciąga mnie do przedniej części Mostka. Znajdowały się tam dwa rzędy pulpity, z których wyrastały monitory, pośrodku zaś stał ogromny panel sterowania w kształcie litery V.

Usiadłem przy nim, próbując sobie wyobrazić, że pilotuję „Błogosławionego” na nową Ziemię... ale nie umiałem. Sam pomysł był tak niewiarygodny, że w ogóle nie widziałem siebie w roli triumfującego przywódcy, który sadza statek na powierzchni planety.

Wyskoczyłem z fotela. Najstarszy miał rację – ja tu po prostu nie należałem.

Marae stanęła przed jednym z pulpity. Były przy nim dwa monitory, podpisane jako KOMUNIKACJA i NAWIGACJA. Oba puste.

– Właśnie nad tym pracowałam, tak jak kazałeś, kiedy zakomowałeś do mnie w sprawie... kłopotów w Mieście – powiedziała, muskając koniuszkami palców metalową tabliczkę z napisem NAWIGACJA.

– Zdążyłaś ustalić, gdzie znajdujemy się obecnie? – zapytałem z zainteresowaniem. Marae spochmurniała.

– Cała ta sprawa to jeden wielki bałagan. – Podniosła znajdującą się pod monitorami pokrywę na zawiasach, odsłaniając splątany gąszcz obwodów elektrycznych. – Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że ktoś to zrobił celowo, chyba jeszcze w czasach Plagi. W końcu to właśnie wtedy straciliśmy kontakt z Sol-Ziemią.

– A więc ktoś, prawdopodobnie Najstarszy Plagi, odciął łączność z Sol-Ziemią i przy okazji zniszczył sprzęt nawigacyjny? – Zauważyłem jednocześnie, że obie te funkcje były

obsługiwane z tego samego panelu sterowania.

Marae wzruszyła ramionami, chowając zniszczoną elektronikę pod pokrywą.

– Próbowałam dzisiaj dojść z tym do ładu. – Choć starała się zagłuszyć swoją pogardę jednostajnym, obojętnym tonem, nie umknęła ona mojej uwadze.

– Przykro mi za to dzisiejsze zamieszanie. Zdaję sobie sprawę, że kłopoty na Poziomie Żywiciela przeszkodziły ci w pracy.

Marae przyjrzała mi się bacznie.

– Naprawdę dobrze sobie poradziłeś – stwierdziła w końcu.

– Naprawdę dobrze? – parsknąłem. – Mało brakowało, a doszłoby do zamieszek.

Następnym razem dojdzie. Ale... dziękuję. Wsparcie sterników bardzo mi pomogło.

– Sternicy zawsze stoją po stronie Najstarszego – odparła krótko Marae, jakby mówiła coś oczywistego, na przykład że ten statek nazywa się „Błogosławiony” albo że otaczające nas ściany są zrobione ze stali. – Ale... chciałabym, żebyś zdał sobie z czegoś sprawę, Starszy. Nie potrzebowałbyś mnie, gdybyś znów zaczął podawać żywicielom fidusa. Gdyby nie te wszystkie problemy, ja i moi sternicy moglibyśmy całkowicie skupić się na usterkach silnika i systemu nawigacyjnego.

– Żadnego fidusa – rzuciłem natychmiast, lecz determinacja, która zwykle towarzyszyła mi przy tych słowach, nagle gdzieś znikła. Bez względu na to, czy Stevy umarł z powodu przedawkowania, czy nie, Marae miała rację. Ile czasu zmarnowaliśmy tego dnia? I to nie tylko tu, na Poziomie Sternika, ale na całym statku. Musieliśmy pracować, żeby przetrwać – nie było nas stać na luksus kryzysów.

– Najstarszy... – zaczęła Marae.

– Starszy – powtórzyłem po raz kolejny.

– Bez fidusa sytuacja będzie się tylko pogarszać. Ich w ogóle nie obchodzi, jakim jesteś przywódcą – oni chcą kogoś innego. Kogokolwiek. Albo najlepiej, żeby nie było żadnego przywódcy. W głębi duszy ludzie także nieustannie dążą do stanu coraz większej entropii, zupełnie jak ten statek. Wszystko wymyka się spod kontroli i właśnie dlatego potrzebujemy fidusa. Bo fidus oznacza kontrolę.

Westchnąłem.

– Przyznaję – w ciągu ostatnich trzech miesięcy kiepsko sobie radziłem. A może wcale sobie nie radziłem. Wydawało mi się, że mogę zaufać ludziom. Że będą robili wszystko tak, jak dotychczas.

– Naprawdę nie rozumiesz? – zapytała łagodnie Marae, jak matka rozmawiająca z dzieckiem. – To jest właśnie główny powód, by użyć fidusa. Jeśli chcesz mieć nad statkiem taką kontrolę jak Najstarszy, musisz podawać go ludziom.

– Ale ja nie chcę.

– Czego?

– Takiej kontroli jak Najstarszy – wyjaśniłem. – Amy... – Marae zmrużyła oczy, gdy tylko usłyszała to imię, ale ja powtórzyłem je z pomrukiem niezadowolenia.

– A m y pomogła mi zrozumieć, że Najstarszy tak naprawdę nigdy nie kontrolował statku. Kontrolował tylko leki. Wydaje mi się, że stać mnie na więcej. Mam taką nadzieję.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że bez fidusa będziemy musieli stawić czoła buntowi? – zauważyła Marae.

Przytaknąłem. Wiedziałem o tym.

Od samego początku.

Gapiałam się na wydrukowaną listę i głośno przeklinałam Oriona. Kolejna zagadka.

Spojrzałam za siebie, ale Victoria wciąż siedziała w laboratorium. Wskazówka Oriona była prosta: *1, 2, 3, 4. Zsumuj, żeby otworzyć drzwi*. Przesunęłam palcem po liście, podliczając. Dwadzieścia siedem osób. Drzwi na tym poziomie były wyposażone w zamki kodowe – może wstukanie liczby 27 otworzy któreś z nich?

Moja dłoń natychmiast powędrowała do wi-komu na nadgarstku. Wiedziałam, że Starszy chciałby otworzyć drzwi razem ze mną. Mimo to nie wcisnęłam guzika. Myślałam tylko o gniewie w jego głosie, kiedy zarządził godzinę policyjną. No i – skuliłam się – obiecałam mu, że pójde prosto do swojego pokoju i zamknę drzwi. Jak bardzo by się wściekł, gdyby się dowiedział, że zeszałam na poziom kriogeniczny?

Z listą w dłoni minęłam pospiesznie pozostałe komory, zmierzając w kierunku korytarza na drugim końcu poziomu. Znajdowało się tam czworo drzwi, wszystkie wykonane z grubej, ciężkiej stali, zamknięte na cztery spusty i wyposażone w panele z klawiaturami. Śluza spustowa prowadząca w przestrzeń kosmiczną mieściła się za drugimi – ich klawiatura była usmarowana czerwoną farbą, na pamiątkę ostatniej nocy Harleya. Po lewej i po prawej znajdowały się inne drzwi; kolejne, największe ze wszystkich, na końcu korytarza.

Zacząłam od drzwi po lewej stronie śluzy spustowej. Klawiatura zawierała zarówno litery, jak i cyfry. Najpierw spróbowałam wpisać 27, ale przez ekran przemknął komunikat o błędzie: *HASŁO MUSI ZAWIERAĆ CO NAJMNIEJ CZTERY CYFRY*. Wstukałam zatem 0027, a kiedy i to nie zadziało, przeliterowałam: *d-w-a-d-z-i-e-s-c-i-a-s-i-e-d-e-m*. Nic.

Przesunęłam się w prawo, mijając służę, i wypróbowałam hasło na drugich i trzecich zamkniętych drzwiach.

Nadal bez efektu.

Sfrustrowana przeliczyłam jeszcze raz nazwiska na liście – dwadzieścia siedem. Pobiegłam z powrotem do wind i zabrałam ze stołu plastplej, porównując oficjalną listę zamrożonych z listą Oriona. Dwadzieścia siedem.

Zaczynałam rozumieć, kogo i dlaczego spisał Orion – próbował mi w ten sposób przypomnieć, że liczba zamrożonych wojskowych sugerowała kłopoty dla ludzi urodzonych na pokładzie. Uznał to za wystarczająco dobry powód, by zabić ich wszystkich, włącznie z moim ojcem. Owszem, dwadzieścioro siedmioro wojskowych wśród stu osób to sporo, ale Orion musiał być szurnięty, jeśli wierzył, że mój ojciec zgodzi się na zrobienie z kogokolwiek niewolnika.

Jeszcze raz spróbowałam otworzyć te głupie drzwi. Nic – zamknięte. Jeśli otwierał je jakiś kod, to na pewno nie 0027 ani *d-w-ad-z-i-e-s-c-i-a-s-i-e-d-e-m*.

Sfrustrowana wróciłam windą do Szpitala i zgodnie z obietnicą zamknawszy drzwi, gapiałam się na pomarszczony papier tak długo, aż w końcu zasnęłam.

Po raz pierwszy od długiego czasu śniłam o Jasonie, moim chłopaku z Ziemi. We śnie Jason i ja byliśmy na imprezie, na której się poznaliśmy. Choć w moich wspomnieniach imprezę wypełniał śmiech, taniec i zabawa, we śnie widziałam jedynie dym papierosowy i mięśniaków chlapiących na mnie piwem z czerwonych plastikowych kubków. Kiedy Jason i ja spotkaliśmy się na zewnątrz, zaczął padać deszcz – ale nie romantyczny, ciepły, letni deszcz, tylko kropiący, zimny, ostry. Mój ojciec zawsze nazywał to „szczającym deszczem”. Grube krople dźgały mnie w skórę, wpadały do oczu.

Kiedy odsunęliśmy się od siebie, Jason powiedział:



- Kocham cię teraz, kiedy nie mogę cię mieć.
  - Byłeś moim pierwszym, we wszystkim – odparłam.
- Lecz Jason pokręcił głową.
- Nie byłem.

I zanim zdążyłam dojść, w czym nie był pierwszy, pocałował mnie.

Pocałunek był byle jaki, mokry i niezręczny, nasze zęby stuknęły o siebie, a jego język przypominał umierającą rybę rzucającą się w moich ustach.

Cofnęłam się – ale to nie Jason mnie całował, tylko Luthor.

- Nigdy nie uciekniesz – oznajmił.

Chciałam rzucić się do biegu, ale moje mięśnie były jak sparaliżowane, gdy Luthor podszedł bliżej. Wyszczерzył szeroko czarne zepsute zęby. Otworzyłam usta, chcąc krzyknąć, ale nie zdążyłam, bo wargi Luthora naparły na moje.

Obudziłam się, szarpiąc za pozawijaną kołdrę. Miałam wilgotną twarz – od potu lub łez, nie potrafiłam tego stwierdzić. Zerwawszy się z łóżka, natychmiast pobiegłam do łazienki i ochlapałam policzki zimną wodą, wciąż zachłystując się krzykiem, który nigdy nie rozbrzmiał w moim koszmarze.

Chwyciłam się oburącz umywalki, bo nie mogłam opanować drżenia ciała. Nie poznawałam dziewczyny, którą widziałam w lustrze. Czerwone oczy, spękane usta, wylewający się strach... Z niechęcią uświadomiłam sobie, jak bardzo Luthor mnie przerażał. Objęłam się mocno ramionami. Dlaczego tak bardzo się go bałam, skoro właściwie prawie nic nie zrobił? Czy „prawie” to wystarczająco dobry powód do lęku?

Tak.

Pokój zapadał się nade mną. Miałam ochotę pobiegać, ale za bardzo bałam się tego, co czyhało w ciemnościach – w miejscach, gdzie oprócz krów i owiec nikt nie usłyszałby wołania o pomoc.

I to mnie wkurzało.

Nie chodziło wyłącznie o Luthora, choć głównie o niego; chodziło o wszystkie oczy, które gapiły się na mnie w Mieście. O sposób, w jaki niektóre z nich, tak jak oczy Lil, matki Harleya, odwracały się na mój widok. O to, że miało już tak być do końca mojego życia, a ja nie mogłam nic z tym zrobić, tak jak nie mogłam uruchomić silnika statku z zewnętrznego akumulatora. Nie mogłam zmienić tego, kim byłam ani skąd pochodziłam, i dlatego wiedziałam, że oni nigdy mnie nie zaakceptują.

Ubrałam się szybko – tak szybko, że zepsułam kaptur z szala i musiałam go na nowo układać. Było tak wcześnie, że wątpiłam, by ktokolwiek zdążył już wstać, ale wołałam nie ryzykować. Upewniłam się, że kartka, którą znalazłam tej nocy, spoczywa bezpiecznie w mojej kieszeni, po czym przemknęłam przez tonący w ciszy Szpital i pognałam ścieżką. Gdy stanęłam na podeście grawiszybu, oślepiła mnie włączająca się lampa solarna. Przycisnęłam wi-kom na nadgarstku i aktywowałam grawiszyb.

Uruchomił się ciąg i przez chwilę biłam się z myślami, czy nie zrezygnować. Zakomowałam do Starszego i poprosiła, żeby po mnie przyszedł. Wtedy jednak kilka pasm moich włosów uniosło się w powietrze, a potem ciąg przyspieszył i kolejne kosmyki wymknęły się spod kaptura, podrywając w górę niczym tysiące drobnych rąk. W jednej sekundzie palcami stóp dotykałam podłogi, lecz pięty oderwały się już od ziemi, a potem – *ziut!* – wciągnęło mnie do grawiszybu. Zamknęłam oczy. Wołałam nie widzieć, jak Poziom Żywiciela oddalał się coraz bardziej, podczas gdy ja wzlatywałam wyżej i wyżej. Nie podniosłam powiek, dopóki ciąg nie ustał. Wysiadłam na Poziomie Strażnika.

Próbowałam doprowadzić szal do porządku, ale w końcu dałam sobie spokój. Zdjęłam

go z głowy i wepchnęłam do kieszeni. Przed Starszym nie musiałam chować swoich włosów.

Otworzyłam usta, żeby go zawołać, a potem zamknęłam je gwałtownie, bo coś do mnie dotarło.

Po raz pierwszy od trzech miesięcy nie zaczęłam dnia od rozmowy z rodzicami na poziomie kriogenicznym.

Gdy obudziłam się smutna, samotna i pusta... przyszedł prosto tutaj.

Do Starszego.

Tak jak Victria przyszła prosto do Oriona.

Orion mylił się co do mnie – to Starszy był moim azylem. Moim domem.

Na Poziomie Strażnika panowała cisza. Niech to szlag, pomyślałam, będę się czuć jak skończona idiotka, jeśli fatygowałam się taki kawał na darmo. Jednak przechodząc przez Wielką Salę, usłyszałam ciche chrapanie. Drzwi sypialni Starszego były otwarte. Pochyliłam się, zaglądając do środka.

Śpiąc, wyglądał na młodszego – inaczej niż wczoraj, gdy na jego twarzy widać było kompletny zamęt, który dodawał mu lat. W jego pokoju też panował zamęt. Tylko chłopak mógł tak nabałaganić – wszędzie walały się ubrania, mimo że samosprzątający kosz na brudną bieliznę stał tuż pod ręką. W powietrzu unosił się piżmowy zapach, który nie do końca był zapachem Starszego, lecz jeszcze bardziej mi go przypominał. Mogłabym wylądować w dowolnym miejscu we wszechświecie, z zawiązanymi oczami, a i tak rozpoznałabym jego pokój po zapachu.

Przestałam nad stertą ubrań i przysiadłam na skraju łóżka, w pobliżu stóp. Materac ugiął się i Starszy otworzył oczy.

– Amy – odezwał się zaspianym głosem, ciepłym i uśmiechniętym, przeciągając sylaby, tak że moje imię zakończyło się na „miii”. – Amy! – krzyknął, siadając prosto. –

Co do gzyfa... jak ty... Co ty tu robisz?

Wyszczrzyłam się w uśmiechu.

– Znalazłam to. – Rzuciłam mu na kolana złożoną kartkę, którą wyciągnęłam ze swojej komory kriogenicznej. Sięgnął po nią, przeciągając się jak kot.

– Co to takiego? – zapytał, czytając.

– Lista wszystkich wojskowych zamrożonych na poziomie kriogenicznym. Porównałam ją dwa razy z oficjalnymi protokołami. – Starszy wyglądał na zdezorientowanego, więc dodałam: – To następna wskazówka, którą zostawił mi... nam Orion.

Starszy wpatrywał się w kartkę, marszcząc w zamyśleniu czoło.

– Ostatnia wskazówka mówiła o dodawaniu.

– Tak. Policzyłam – na tej liście jest dwadzieścia siedem nazwisk. Próbowałam wpisać dwadzieścia siedem cyframi i słownie, ale to nic nie dało. Żadne drzwi się nie otworzyły.

Nie wiedziałam, czego właściwie oczekiwałam od Starszego – że nagle przypomni sobie o innych zamkniętych drzwiach gdzieś na statku albo że magicznym sposobem uzyska inny wynik niż dwadzieścia siedem – lecz on tylko mruknął: „Hmmm” i oddał mi kartkę. Gdy tylko wstał z łóżka, odrzucając pościel, zobaczyłam, że nie miał na sobie spodni. Był ubrany jedynie w bokserki z cienkiego białego lnu, o wiele krótsze i bardziej przylegające do ciała niż bokserki noszone przez chłopców na Ziemi. Nawet nie próbowałam krzyknąć, że się na niego gapię. Pędząc tutaj i siadając na łóżku, nie myślałam o tym, co miał na sobie, ale teraz...

Starszy zaśmiał się. Na jego ustach igrał złośliwy uśmieszek.

– Och, stul dziób i włóż jakieś spodnie! – powiedziałam, ciskając w niego poduszką.

Wciąż się rumieniłam, kiedy Starszy – teraz już ubrany – prowadził mnie z powrotem do grawiszybu w Centrum Edukacyjnym. Włączył wi-kom, żeby uruchomić ciąg, po czym

odwrócił się i podał mi rękę.

*Zaraz, że co?*

– Wejdę po tobie – zaprotestowałam, robiąc krok do tyłu.

Brew Starszego powędrowała w górę, przez jego usta przemknął cień uśmiechu.

– No chodź, pojedź ze mną.

Oczywiście, już raz to robiliśmy. Ale wtedy byłam na wpół otumaniona fidusem, a w mojej głowie jeszcze nie narodziła się myśl, że... że pobyt na statku nie byłby taki straszny, gdyby Starszy częściej chodził w samych gatkach.

Zanim zdążyłam ponownie się sprzeciwić, Starszy przyciągnął mnie bliżej. Poczułam ciepło jego ciała. Trzymał mnie swobodnie, świadomy, że wciąż nie wiedziałam, jak powinnam reagować na jego dotyk, a jednocześnie wystarczająco mocno, by upewnić mnie w tym, że nie pozwoli mi spaść. Obracając się bokiem, zbliżył się do wejścia do grawiszybu. Wolną dłonią dotknął wi-komu.

– Gotowa? – wyszeptał. Słowa owiały moją twarz niczym letnia bryza.

Skinęłam głową, nie potrafiąc znaleźć własnych słów.

Grawiszyb ożył. Chłodny ciąg pędził, wirował w lewo i w prawo, sprawiając, że moje włosy rozwiały się, a nasze ubrania przywarły do ciała. Starszy chwycił mnie mocniej, zrobił krok do przodu i rzucił nas w rozrzedzone powietrze.

Przez jakiś czas spadaliśmy w ciemności między poziomami. Serce podeszło mi do gardła – nie za sprawą ożywczego ciągu grawiszybu, ale raczej tego, jak otaczały mnie ramiona Starszego, który trzymał mnie bliżej niż kiedykolwiek wcześniej. Nie spadaliśmy swobodnie – zasysało nas w dół, szybko, szybciej niż człowiek powinien spadać. Skuliłam się w objęciach Starszego, owijając ręce ciaśniej wokół jego szyi i chowając twarz w jego ramieniu, on jednak nie rozluźnił chwytu. Pośród wirującego chaosu tylko on był stały.

Eksplozja światła – minęliśmy już Poziom Sternika i zassało nas na Poziom Żywiciela. Szyb skręcił – dach na tym poziomie był wygięty. Mknąc pod tym kątem, miałam wrażenie, jakbym nie spadała ot tak, po prostu, tylko na Starszym. Przemknęło mi przez myśl, że może powinnam się odsunąć, lecz moje ciało nie miało ochoty opuszczać azylu rąk Starszego.

Zerknęłam za jego ramię i ujrzałam Poziom Żywiciela w całej okazałości. Ten widok nie obudził we mnie żadnych uczuć – ani nienawiści, ani miłości – dlatego nie przyglądałam się, jak pola i budynki rosły w oczach, podczas gdy zbliżaliśmy się do ziemi.

I wtedy ciąg zaczął zamierać. Moje włosy opadły w nieprawdopodobnym nieładzie i przez minutę kołysaliśmy się, zanim stanęliśmy na platformie na Poziomie Żywiciela.

– Widzisz? – odezwał się Starszy, odgarniając mi włosy za uszy. – Nie było tak źle.

Zrobiłam krok w tył, schodząc z platformy i opierając się pokusie, by przyglądać mu fryzurę. Kiedy weszliśmy na ścieżkę, musnęliśmy się ramionami. Odsunęłam się i ruszyłam kilka kroków przed Starszym.

– Chodźmy – powiedziałam. Nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy.

## STARSZY

Amy oparła się o ścianę poziomu kriogenicznego, obserwując, jak podchodzę do klawiatury zamka drzwi znajdujących się po lewej stronie śluzy spustowej.

– Mówiłam ci – powiedziała po chwili – dwadzieścia siedem nie działa.

– Pokaż mi jeszcze raz tę listę – poprosiłem. Wcisnęła mi w dłoń zmięty kawałek papieru. Mój wi-kom zapiszczał, ale zignorowałem go.

– Wyglądają trochę jak drzwi na okręcie podwodnym.

Ton głosu Amy sprawił, że na nią spojrzałem.

Przetrząsałem zakamarki umysłu, próbując sobie przypomnieć, co to jest okręt podwodny. Jedna z tych wojskowych maszyn, które pływały wyłącznie pod wodą. Nigdy nie sądziłem, że one naprawdę istniały, choć z drugiej strony nigdy też nie wierzyłem, że oceany mogą być tak głębokie, jak twierdziła Amy.

– Wszystkie są próżniowo zamykane – wyjaśniłem – podobnie jak drzwi prowadzące na Mostek i włazy łączące poziomy. Gdyby coś się stało w jednej części statku, zawsze możemy ją odciąć i... – Odplynąłem myślami, skupiając się z powrotem na liście.

– Tato zabrał mnie na USS Pampanito, kiedy byłam mała. Pamiętam to tylko dlatego, że cały czas podśpiewywałam sobie tę idiotyczną nazwę, biegając po ciasnych korytarzach. Pampanito! Pampanito! Pam-pa-NITO! Tato chciał mnie złapać, ale uderzył się w głowę, kiedy próbował przecisnąć się przez jedno z tych malutkich drzwiczek. Prawie stracił przytomność. – Parsknęła śmiechem, który jednak bardzo szybko zamarł na jej ustach. Podniosłem wzrok z listy. Gapiła się na ścianę lśniąco oczami.

Zrobiłbym wszystko, żeby tylko ją rozweselić, więc postanowiłem pokazać jej gwiazdy. Wystukałem kod *Błogosławiony* na klawiaturze i śluza otworzyła się, ukazując miliony migotliwych punkcików na niebie.

Wciąż pamiętałem, jak się czułem, gdy sam zobaczyłem je po raz pierwszy. Wydawało mi się wtedy, że wszystko zmieniły. Że zmieniły mnie, jakbym nagle stał się innym człowiekiem, bo ujrzałem miliony plamek światła oddalonych o miliony lat drogi. Jednak patrząc na nie teraz, nie czułem nic. Już nie wierzyłem w ich moc. Kiedy ogłosiłem na całym statku, że chcę zwrócić ludziom wolność, zabrałem tutaj wszystkich ciekawskich – tych, którzy chcieli zobaczyć *p r a w d z i w e* gwiazdy. Było ich jednak znacznie mniej, niż się spodziewałem. I wtedy coś sobie uświadomiłem: jeżeli spędziło się całe życie na dziesięciu milach kwadratowych zamkniętych w stalowej puszcze, łatwo można zapomnieć o świecie zewnętrznym; świadomość życia w pułapce sprawiała mniejszy ból, gdy człowiek wmawiał sobie, że statek wcale nie jest pułapką.

Właśnie dlatego nie mogłem powiedzieć ludziom, że „Błogosławiony” utknął w miejscu.

Mój wzrok przyciągnęły smugi czerwonej farby na klawiaturze. Może pewnego dnia wszystkie ślady farby, które pozostawił po sobie Harley, zbledną i znikną, a gwiazdy będą na niebie już zawsze, ale mimo to wolałem kolory Harleya.

Harleya, który zginął za... szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, za kogo ani za co zginął. Wiedziałem tylko, że już go z nami nie ma, i brakowało mi go. Ale Kayleigh zginęła za prawdę, a przynajmniej tak twierdził Orion.

Jego słowa odbijały się echem wewnątrz mojej czaszki. Byłem mu za nie wdzięczny. Nie chciałem myśleć o pustych gwiazdach ani o Harleyu.

Zamiast tego skupiłem się znowu na zagadce Oriona. Ten człowiek zdawał się wiedzieć o statku więcej niż ktokolwiek inny. Gdyby udało mi się zrozumieć jego gzyfową wskazówkę,

może dowiedziałbym się, dlaczego silnik nie działa – a może nawet znalazłbym sposób, żeby ponownie go uruchomić. Zsumuj...

Spojrzałem na listę, którą znalazła Amy. Przy każdym z dwudziestu siedmiu nazwisk widniał numer komory. A gdybym tak dodał je do siebie...

Tysiąc dwieście siedemdziesiąt.

– Co robisz? – zapytała Amy.

Zacząłem wstukiwać tę liczbę na klawiaturach wszystkich zamkniętych drzwi, poczynając od tych największych na końcu korytarza.

Ostatnie otworzyły się przede mną.

Wszystko było ciemnością. W pomieszczeniu unosiła się woń kurzu i smaru. Przypomniałem sobie, co powiedział Orion, zanim go zamroziłem. Że zamrozeni planowali wykorzystać nas albo zabić.

Chciałem zobaczyć ich broń na własne oczy.

Amy znalazła włącznik światła przede mną. Świetlówki zamrugały niechętnie, jakby wzbierały się przed ukazaniem nam zawartości pomieszczenia.

Natychmiast zrozumiałem, dlaczego Orion obawiał się, że po wylądowaniu zostaniemy przekwalifikowani na żołnierzy albo niewolników.

*A wiesz, co jest najlepsze?* – zapytał Orion tuż przed tym, jak zainicjowałem procedurę zamrażania. *Fakt, że Starszy w pewnym sensie zgadza się ze wszystkim, co mówię.*

Pistolety, karabiny, jakaś broń dużych rozmiarów; pakiety bomb z gazem musztardowym. Pociski – większość długości mojego ramienia, ale także trzy większe ode mnie. A wszystko ułożone w odpowiednich przegrodach i zapakowane w worki z grubego czerwonego plastiku, oznaczone symbolami GZF.

– Nie wiemy, co nas czeka na Centauri-Ziemi – stwierdziła Amy. – Może spotkamy tam obcych, a może nikogo. Potwory albo dinozaury... Może w tym nowym świecie będziemy olbrzymami, a może myszami.

– Więc lepiej być uzbrojoną myszą, hm? – mruknąłem, podnosząc półprzezroczysty worek zawierający rewolwer.

– Wiem, że to nie wygląda najlepiej.

– Wygląda to tak, że Orion od początku mówił prawdę – odparłem.

– Wcale nie – rzuciła bez zastanowienia Amy, ale skąd mogła być pewna? Widziałem, jak biła się z myślami. Z jednej strony wierzyła niezachwianie, że jej ojciec i pozostali ludzie z Sol-Ziemi nigdy nie użyliby tego całego arsenału, ale z drugiej nie mogła zaprzeczyć, że ten arsenał tu był. I wydawał się przy tym... sam nie wiem – dużo bardziej brutalny, niż się tego spodziewałem.

Przeszedłem na drugą stronę pomieszczenia, gdzie znajdowała się broń o największych rozmiarach. Rozpoznałem torpedy, pociski i wyrzutnie rakiet z różnych nagrań o niezgodzie na Sol-Ziemi, które puszczał mi Najstarszy. Wzdłuż ściany z tyłu ciągnął się długi regał zastawiony niewielkimi paczuszkami – krążkami skompresowanego proszku ostrożnie zapakowanymi do przezroczystych plastikowych woreczków.

Amy podniosła jeden z nich.

– Wygląda trochę jak środki do czyszczenia muszli klozetowych, których używaliśmy na Ziemi. Wystarczyło wrzucić taką tabletkę do zbiornika z wodą. – Obróciła woreczek, szeleszcząc grubym plastikiem. Dopiero po chwili zauważyła wyraz dezorientacji na mojej twarzy. – No tak, tutejsze muszle nie mają takich zbiorników.

Na spodzie opakowania znajdowało się wytrawione ostrzeżenie:

Defoliant biologiczno-chemiczny

Do wykorzystania z prototypem pocisku nr 476

Promień rażenia: ponad 100 akrów

Zastosowanie: patrz prototyp pocisku nr 476

## GZF

GZF – Giełda Zasobów Finansowych. Organizacja, która finansowała misję „Błogosławionego”. Na następnej półce leżały podobne krążki skompresowanego proszku, ale czarne – zgodnie z oznaczeniem na spodzie była to „biologiczno-chemiczna broń przeciwpiechotna”.

Odstawiłem pojemnik na regał, ostrożnie, by przypadkiem czegoś nie odpalić. Trzeba było sporo siły woli, żeby nie cisnąć tym w kąt, nie odrzucić najmocniej, jak to możliwe, i nie wpakować tego wszystkiego do śluzu spustowej, a potem usunąć w przestrzeń.

– Tylko mi nie mów, że według ciebie to wszystko służy do samoobrony – powiedziałem. Nie chciałem prowokować kłótni, ale Amy musiała sama się zorientować, że ta broń miała ekstremalne zastosowanie. – To jest broń chemiczna. Zupełnie jakby przygotowywali się do ludobójstwa...

– Moja mama zajmuje się inżynierią genetyczną i jest dla tej misji równie ważna, jak mój ojciec w hierarchii wojskowej – zaprotestowała Amy, ale wyczułem w jej głosie ostrożność. Nie byłem pewien, z czego wynikał ten dystans: Amy nie chciała, żebym podważał jej przekonania, czy może bała się, że sama zacznie w nie wątpić? – Jeżeli GZF zamierzała wytepić całe życie na Centauri-Ziemi, to po co wpisywaliby na listę pasażerów biologa? Po co im naukowiec, który zajmuje się życiem, jeśli chodziło im tylko o to, żeby wszystko zabić? Jasne, dwadzieścia siedem zamrożonych osób pracuje dla wojska, ale siedemdziesiąt trzy pozostałe zajmują się innymi sprawami.

Kiwnąłem głową. Miała rację. Oczywiście, że miała – tylko że to wcale nie wykluczało wersji Oriona.

Odwróciła się do mnie plecami, by zbadać pozostałe zakamarki arsenału.

Nagle usłyszałem, jak sapnęła.

– Co się stało? – zapytałem.

Zamiast odpowiedzi pochyliła się i ściągnęła z półki blister w kolorze musztardy.

– Wygląda jak pół piłki do softballa – powiedziała, podając mi opakowanie.

Odwróciłem je i wczytałem się w etykietę z ostrzeżeniem:

Uwaga: ładunek wybuchowy, łagodny środek drażniący

Mieszanka wybuchowa – formuła „M”

Promień rażenia: 10 stóp

Aby uzbroić, wciśnij górną część; czas detonacji: 3 minuty

## GZF

Odłożyłem blister na regał tak szybko i delikatnie, jak tylko potrafiłem, po czym

odwróciłem się do Amy, by sprawdzić, co znalazła pod spodem.

– Zobacz – zawołała podekscytowana, wymachując plastplejem – nowa wskazówka!

Pochyliłem się nad jej ramieniem, już zadając sobie pytanie, czego będzie dotyczyć nowe nagranie – broni, którą tu znaleźliśmy? A może wreszcie pomocy przy naprawie statku.

– Czemu tym razem zostawił plastplej zamiast karty pamięci? – zastanowiłem się.

Amy wzruszyła ramionami. Jakie to miało znaczenie? Najważniejsze, że znaleźliśmy się o krok bliżej tego, co Orion ukrył przed nami, zanim go zamroziliśmy; o krok bliżej rozwiązania jego zagadki.

Pytanie tylko, czy ta zagadka miała jakikolwiek związek z silnikiem.

Bardzo niechętnie dopuściłem do siebie tę myśl, ale z drugiej strony nie dało się zaprzeczyć, że Orion wiedział znacznie więcej, niż ktokolwiek z nas przypuszczał, a jego wiedza zdawała się krążyć wokół zatrzymanego silnika. Ten wielki sekret, który przed nami ukrywał, musiał stanowić klucz.

– Gotowy? – zapytała Amy, przeciągając palcem po plastpleju.

Nie zobaczyliśmy jednak Oriona siedzącego na schodach, bo wyświetlacz był czarny. Pochyliłem się bliżej. Amy zacisnęła kurczowo dłoń, wyginając plastplej.

– Dlaczego nic tu nie ma? – zaniepokoiła się. – Zrobiłam coś nie tak?

Gdy tylko pokręciłem głową, na wyświetlaczu pojawiły się jasne litery.

DOTARŁAŚ AŻ TUTAJ. ŚWIETNIE. BYŁEM PEWIEN, ŻE SOBIE PORADZISZ.

NA POCZĄTEK CHCIAŁBYM ZADAĆ CI PYTANIE. PO CO NAM TO CAŁE

UZBROJENIE?

– Właśnie się zastanawiałem – wymamrotałem do plastpleja.

– Hm? – odezwała się Amy, przesuwając wzrok po tekście.

– Nic.

MUSI SIĘ TU ZNAJDOWAĆ Z JAKIEGOŚ KONKRETNEGO POWODU. PEWNIEMASZ TERAZ TE SAME WĄTPLIWOŚCI, CO JA, GDY POWIEDZIAŁEM O TYM NAJSTARSZEMU – JEŚLI LECIMY NA NOWĄ PLANETĘ Z POKOJOWĄ MISJĄ EKSPLORACYJNĄ, TO DLACZEGO JESTEŚMY UZBROJENI JAK NA WOJNĘ?

NAJSTARSZY NIGDY TAK NAPRAWDĘ NIE ODPOWIEDZIAŁ MI NA TO PYTANIE. TA BRÓŃ BĘDZIE NAM POTRZEBNA, GDY WYLĄDUJEMY – TYLKO TYLE OD NIEGO USŁYSZAŁEM. ŻE ZAMROŻENI MIELI POWÓD, ABY ZABRAĆ TO WSZYSTKO ZE SOBĄ. ALE NIKT NIE ZABIERA ZE SOBĄ TAKIEJ BRONI, JEŻELI NIE PLANUJE KOGOŚ ZABIĆ. WYBÓR JEST PROSTY: ALBO MY, ALBO ONI. CI, KTÓRZY MIESZKAJĄ NA CENTAURI-ZIEMI, KIMKOLWIEK SĄ.

TAK CZY INACZEJ, MY WSZYSCY URODZENI NA POKŁADZIE STATKU PO LĄDOWANIU ZNAJDZIEMY SIĘ MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM.

Ostatnie słowa zbladły i znikły, a po nich na wyświetlaczu pozostała tylko ciemność. Zaraz potem pojawiły się jednak zakłócenia, które szybko zastąpiła twarz Oriona siedzącego jak zwykle u podnóża długich schodów. To nagranie różniło się od poprzednich – i to nie tylko dlatego, że poprzedzał je wstęp w postaci tekstu. Orion wyglądał na znacznie młodszego – miał tu może dwadzieścia lat. Zorientował się, że kamera filmuje pod niewłaściwym kątem, więc sięgnął w jej stronę, aby ją poprawić. Nieustannie zerkał na boki, jakby się obawiał, że w każdej chwili ktoś może go nakryć.

WŁAŚNIE POZNAŁEM TAJEMNICĘ. WIELKĄ TAJEMNICĘ.

– Na tym filmie jest młodszy – zauważyła Amy.

– Wygląda jak ja.

– Nie, wcale nie jest podobny.

Był. Pochylił się na nagraniu, zbliżając twarz do obiektywu.  
WIĘKSZĄ NIŻ KLONOWANIE I WIĘKSZĄ NIŻ FIDUS. ZROZUMIAŁEM, CO  
KRYJE SIĘ ZA FIDUSEM.

– I brzmi tak samo jak ja.

Orion przełknął ciężko. Minęło kilka chwil, zanim znów się odezwał. Amy rzuciła w moją stronę zaniepokojone spojrzenie, ale zignorowałem ją, skupiając się bardziej na tym, jak Orion przygryzał dolną wargę.

NAJSTARSZY NIE CHCE, ŻEBY KTOKOLWIEK POZNAŁ JEGO SEKRET. CHYBA  
NAWET NIE CHCIAŁ, ŻEBYM JA GO ODKRYŁ, ALE...

Nagle zaczął mówić w pośpiechu, niskim ściszym głosem. Oboje z Amy zbliżyliśmy głowy do plastpleja i wstrzymaliśmy oddech, żeby nic nam nie umknęło.

...ZEWNĘTRZNA POWŁOKA STATKU WYMAGAŁA PRAC  
KONSERWACYJNYCH. NAJSTARSZY POWIEDZIAŁ MI, ŻEBYM PRZYDZIELIŁ DO  
TEGO ZADANIA PIERWSZEGO STERNIKA DEVYNA, ALE POSTANOWIŁEM SAM SIĘ  
TYM ZAJĄĆ. ZOBACZYŁEM COŚ, CZEGO NIE POWINIENEM BYĆ WIDZIEĆ.  
NAJSTARSZY SIĘ WŚCIEKŁ. CHYBA BARDZIEJ NIŻ KIEDYKOLWIEK WCZEŚNIEJ.  
WYDAWAŁO MI SIĘ, ŻE... ALE TYM RAZEM NAPRAWDĘ... PRAWDOPODOBNIEM BĘDĘ  
MUSIAŁ...

Kamera przesunęła się w lewo, za schody, ukazując prowizoryczne łóżko polowe,  
a na nim kilka zapieczętowanych pudeł.

PRZYGOTOWUJĘ SIĘ JUŻ OD JAKIEGOŚ CZASU. ODKĄD ZOBACZYŁEM TO  
LODOWE PIEKŁO NA POZIOMIE KRIOGENICZNYM. ODKĄD DOWIEDZIAŁEM SIĘ  
O KLONOWANIU. WIEM, JAK ŁATWO BĘDZIE MNIE ZASTĄPIĆ. JUŻ NIEBAWEM  
NAJSTARSZY MOŻE PRZEJŚĆ OD SŁÓW DO CZYNÓW.

Obraz skupił się z powrotem na Orionie. Z rysów jego twarzy przebijała buntownicza  
postawa. On wygląda dokładnie tak jak ja, pomyślałem znowu.

I CHOĆ ZNAM TAJEMNICE NAJSTARSZEGO, TO ON NIE ZNA MOICH. NIE WIE,  
GDZIE SIĘ CHOWAM. OBSERWOWAŁ MÓJ WI-KOM NA MAPIE, ALE ODKRYŁEM  
SPOSÓB, BY OSZUKAĆ SYGNAŁ – DZIĘKI TEMU MAPA POKAZUJE, ŻE JESTEM  
W SZPITALU, NAWET KIEDY ZNAJDUJĘ SIĘ W INNYM MIEJSCU.

Uniósł rękę do lewego ucha i delikatnie dotknął wi-komu. Dotknął, ale nie wcisnął.

NAJSTARSZY NIE WIE O TYM MIEJSCU. TO JEDNAK WCIAŻ ZA MAŁO. BYĆ  
MOŻE BĘDĘ MUSIAŁ...

Jego palce złapały za krawędzie wi-komu, a paznokcie zadrapały skórę, zostawiając  
na niej różowe pręgi. Zerknąłem na Amy – dotknęła wi-komu oplątanego wokół jej nadgarstka  
niczym bransoletka. Kąci jej ust opadły. Wyglądała na zmartwioną.

ALE TEN SEKRET MUSI POZOSTAĆ SEKRETEM. NIKT NIE POWINIEN GO  
ZNAĆ – NAWET JA. ON NAS PO PROSTU... PRZERASTA.

Wstał i zaczął chodzić nerwowo tam i z powrotem. Jego stopy to pojawiały się  
w kadrze, to znów znikwały, a głos oddalał się i przybliżał.

NIECH TO GZYF, SAM JUŻ NIE WIEM, CO JEST SŁUSZNE, A CO NIE.  
POWIEDZIEĆ PRAWDĘ CZY LEPIEJ SKŁAMAĆ? A CO Z...

Echo zwiłokrotniło stłumione odgłosy, kiedy Orion wyszedł poza zasięg kamery.

NIE MOGĘ TEGO UKRYWAĆ. BYĆ MOŻE KTOŚ BĘDZIE MUSIAŁ POZNAĆ  
PRAWDĘ, GDY NADEJDZIE CZAS, BY WRESZCIE... ALE SIEĆ PLASTPLEJÓW NIE JEST  
WYSTARCZAJĄCO BEZPIECZNA.

Wyteżyłem słuch, starając się wychwycić prawie niesłyszalne odgłosy, które dolatywały



z tła. Orion mamrotał coś pod nosem, ale słowa zlewały się ze stukotem kroków. Podniósł kamerę i przez wyświetlacz przetoczyła się seria rozchybotanych ujęć. Po chwili odwrócił ją z powrotem w stronę swojej twarzy, teraz okrytej cieniem.

ZOSTAWIAM TĘ WIADOMOŚĆ DLA KAŻDEGO, KTO JĄ ZNAJDZIE. JEŚLI COŚ MI SIĘ STANIE, JEŚLI NAJSTARSZY... CHYBA ROZUMIECIE. JEŻELI COŚ MI SIĘ STANIE, KTOŚ POWINIEN POZNAĆ PRAWDĘ.

Wziął głęboki oddech, po czym otworzył usta, by powiedzieć coś jeszcze.

W tej samej chwili obraz zgasł.

– To już wszystko? – zapytała Amy.

– Nie, spójrz, jest coś jeszcze.

Czarny wyświetlacz znów zalała kaskada jasnych liter.

TO WSZYSTKO DZIAŁO SIĘ DAWNO TEMU, CO WCALE NIE OZNACZA, ŻE MOJE SŁOWA BYŁY WTEDY MNIEJ PRAWDZIWE. AMY, NA WŁASNE OCZY UJRZAŁAŚ PRAWDĘ. WIDZIAŁAŚ BROŃ. WIESZ, MUSISZ WIEDZIEĆ, ŻE CENTAURI-ZIEMIA NIE JEST WARTA TAKIEJ NISZCZYCIELSKIEJ SIŁY. ZAMKNIJ ARSENAŁ, WYMAŻ HASŁO Z PAMIĘCI I ODEJDŹ.

– Niech to gzyf – rzucił Starszy, wstając i patrząc z niechęcią na pusty plastplej.

Spojrzałam na niego pytająco.

– Ten plastplej dowodzi jedynie, że Orion był paranoikiem i że to całe węszenie za wskazówkami nie ma sensu.

– Nie ma sensu? – Chwyciłam plastplej i również się podniosłam.

Starszy skinął głową.

– Nie ma. Liczyłem, że się dowiem, jak uruchomić silnik, ale z tego nagrania wynika tylko tyle, że istnieje jakaś wielka tajemnica, a Orion postanowił zachować ją dla siebie. Wysłał nas w pogoń po statku za wskazówkami, które doprowadziły nas do tych drzwi, a on każe nam je znowu zamknąć. Chyba nie mógłby gadać bardziej od rzeczy.

Przytaknęłam, zwijając plastplej i wsuwając go do kieszeni.

– Rzeczywiście, zakrawa to na jakąś ściemę – mruknęłam, gdy tylko wybrzmiały jego ostatnie słowa.

– Ściemę?

– No wiesz, że jest w tym coś dziwnego.

Przez twarz Starszego przemknął krzywy uśmieszek.

– Za każdym razem, gdy już mi się wydaje, że cię znam, mówisz coś tak... dziwnego.

– Ha! – Wymierzyłam mu kuksańca w ramię. – Wydawało mi się, że już to omawialiśmy – to ty dziwnie gadasz.

Starszy pchnął drzwi rodem z łodzi podwodnej, a ja upewniłam się, że zatrzęsnęły się za nami – choć wcale nie zamierzałam wymazywać kodu z pamięci.

– Myślę, że Orion był przerażony – stwierdziłam, podążając korytarzem za Starszym.

– Był szurnięty – odparł gorzko. – Nagranie pochodzi mniej więcej z czasów, kiedy Najstarszy próbował go zabić. To oczywiste, że już mu odbiło. Orion cierpiał na paranoję...

– Miał do tego prawo. – Nie mogłam się powstrzymać i dotknęłam swojej gładkiej skóry za lewym uchem, przypominając sobie, jak na nagraniu Orion drapał się w tym miejscu. Cóż takiego musiało się stać, że wdarł się we własne ciało i wyrwał z niego przewody?

Spojrzałam na wi-kom wokół mojego nadgarstka i przełknęłam gorzką ślinę na samą myśl, że to były właśnie te przewody, że ociekały krwią i... Fuj.

– Mimo to cała ta sytuacja wydaje mi się dziwna. – Urwałam i zamyśliłam się. –

Pozostałe nagrania znajdowały się na kartach pamięci, a to z arsenału było wgrane na plastplej. Żadne z pozostałych nie miało tekstu i żadne nie było tak stare. Ten film nagrano tuż przed tym, jak Orion upozorował własną śmierć. Sama nie wiem, może ktoś w nim grzebał?

– Może. A może nie. – Starszy zmarszczył brwi. – Posłuchaj, rozumiem, że Orion nagrał te filmy dla ciebie, a ty czujesz potrzebę rozwiązania tej gzyfowej łamigłówki, ale będziemy musieli wykombinować, jak przeżyć bez tej durnej wiadomości, którą nam zostawił. – Przeczesał włosy palcami, jak zwykle, kiedy myślał. Tym razem zrobił to jednak z taką złością, jakby próbował się powstrzymać, żeby nie walnąć w coś pięścią. – Musimy się uporać z naprawdę poważnymi problemami, a to była gzyfowa strata czasu. Silnik sam się nie naprawi. Orion tylko odwrócił naszą uwagę od prawdziwych kłopotów.

Przygryzłam wargę. Orion nie zostawił wiadomości nam, zostawił ją m n i e. W tym wszystkim chodziło o możliwość zejścia z pokładu, byłam tego pewna. O wskazówkę, jak naprawić silnik, o powód opóźnienia... O coś ważnego.

A poza tym jak długo mogliśmy przetrwać w takim stanie?

– Zaczekaj – warknął Starszy, po czym odwrócił się do mnie plecami, dżgając przycisk wi-komu z taką siłą, że musiało go to zboleć. Przez chwilę mówił coś cicho, a potem krzyknął: – Co!?

– Co się stało? – zapytałam łagodnie, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Odsunął się gwałtownie.

– Co? – powtórzył. – Zaraz tam będę. – Ponownie wcisnął guzik za uchem i zerknął na mnie, zanim ruszył korytarzem w stronę windy. – Muszę iść.

– Dlaczego? Co się stało? – Musiałam biec, żeby go dogonić. – Starszy, co się stało?

– Bartie znów sprawia kłopoty. – Huknął pięścią w przycisk sprowadzający windę. – Marnuję na to za dużo czasu.

– Wcale go nie marnujesz – odparłam cicho.

Drzwi windy rozsunęły się, a Starszy wyciągnął rękę, żeby je zatrzymać.

– Nie jestem na ciebie zły – powiedział szczerze, napotkawszy moje spojrzenie – ale tymi „wskazówkami” nie naprawimy statku.

Wszedł do kabiny, zostawiając mnie samą na zimnym, pustym poziomie kriogenicznym. Jakaś część mnie pragnęła, żeby nie odchodził, wiedziałam jednak, że był potrzebny na innych poziomach. Wracając niespiesznym krokiem do zamkniętych drzwi, myślałam, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby Starszy nie musiał dowodzić „Błogosławionym”. Nawet nie ważyłabym się go prosić, by zrezygnował z funkcji, na którą czekał przez całe swoje życie... ale gdyby nie musiał w pierwszej kolejności troszczyć się o statek, może uwierzyłabym w jego zapewnienia, że mu na mnie zależy.

Wyciągnęłam plastplej z kieszeni. Może Starszy miał rację – może to było jak szukanie wiatru w polu?

Ale od trzech miesięcy nie miałam nic więcej. Moja pierwsza iskierka nadziei, odkąd się obudziłam. Musiałam się jej uchwycić, musiałam wierzyć, że coś z tego będzie.

Ponownie odtworzyłam nagranie, czytając pobieżnie słowa i nasłuchując pilnie, by wychwycić niuanse głosu Oriona – coś, cokolwiek, co dałoby mi jakąś wskazówkę.

Głos Oriona – tak podobny do głosu Starszego – wypełnił korytarz.

– Najstarszy nie chce, żeby ktokolwiek poznał jego sekret. Chyba nawet nie chciał, żebym ja go odkrył, ale zewnętrzna powłoka statku wymagała prac konserwacyjnych... Zobaczyłem coś, czego nie powinienem był widzieć.

– Cokolwiek znalazłeś – odezwałam się do Oriona – znalazłeś to na zewnątrz statku.

Nie mogliśmy wyjść na zewnątrz. Czekala tam próżnia kosmosu, gotowa nas udusić, obrócić nasze płuca w papkę i zmiażdżyć gałki oczne. Zginęlibyśmy, chyba że... chyba że za dwójgiem zamkniętych drzwi znajdowały się skafandry kosmiczne.

Spojrzałam na śluzę spustową, za którą widać było gwiazdy. Cóż, pewnie, że musiało istnieć coś, co pozwalało ludziom bezpiecznie wyjść na zewnątrz. Konstruktorzy „Błogosławionego” bez wątpienia zdawali sobie sprawę, że podczas trwającej wieki podróży statek będzie wymagać konserwacji. Na pierwszym nagraniu Orion nazwał mnie swoją rezerwą – a tak wyglądała ich. Czworo zamkniętych drzwi w jednym korytarzu. Pierwsze prowadziły do arsenału, drugie do śluzy... za trzecimi musiały się kryć skafandry.

Stopień prawdopodobieństwa moich domysłów dotarł do mnie z taką siłą, że na minutę wstrzymałam oddech. A potem przypomniałam sobie jeszcze coś, o czym mówił Orion. „Ale ten sekret musi pozostać sekretem”.

Nie. Chciałam, musiałam dotrzeć do samego sedna. Musiałam dowiedzieć się tego, co wiedział Orion. Ponowne uruchomienie silników i widok nowej planety były warte każdego poświęcenia. Tak samo zresztą jak wiedza, że statek już nigdy nie ruszy z miejsca. Dobijał

mnie fakt, że nic nie wiedziałam; nie wiedziałam, czy istnieje szansa, że coś się zmieni, i czy istnieje dla nas choć promyk nadziei.

Jeszcze raz odtworzyłam nagranie.

Sęk w tym, że ta wskazówka była inna. Nie pasowała do pozostałych. Nagranie znajdowało się na plastpleju, a nie na karcie pamięci. Przesuwający się tekst, fakt, że Orion był znacznie młodszy... Jakby ktoś znalazł jego nagranie i sklecił naprędce falsyfikat z ujęć starego filmu. A to oznaczało, że Orion tego nie zrobił.

Prawdziwe nagranie miał ktoś inny. A wraz z nim prawdziwą wskazówkę.

## STARSZY

– Niech to gzyf... – wymamrotałem, gdy Marae czytała mi listę wszystkich dzisiejszych problemów. Byłem z Amy najwyżej dwie godziny, ale mimo wszystko powinienem mieć więcej oleju w głowie i nie ignorować przychodzących komów.

Zaraz po włączeniu lampy solarnej Bartie zwołał spotkanie żywicieli w Sali Nagrań. Druga Sterniczka Shelby już była na miejscu i zakomowała do Marae, która następnie próbowała skontaktować się ze mną. Zanim dotarła z pozostałymi sternikami do Sali Nagrań, Bartie zdążył już przedstawić wszystkim swoje pomysły na nowe rządy w przyszłości. Oczywiście nie omieszkał wspomnieć, że ja nie nadaję się do roli przywódcy. Trzydzieści osób odcisnęło kciuk na petycji, wyrażając swoje poparcie.

Później Marae próbowała „zaaresztować” Bartiego, ale chyba tak naprawdę nie zdawała sobie sprawy, co oznacza to słowo, choć wszyscy doksztalcaliśmy się w temacie sił policyjnych i konfliktów cywilnych. Chyba doszła do wniosku, że wystarczy naprawdę głośno krzyknąć: „Jesteś aresztowany!”, by go spacyfikować, on jednak wrzucił petycję do sieci plastplejów i przed lunchem była dostępna dla wszystkich pasażerów.

Nie żebym ja zdążył coś zjeść. W południe znajdowałem się z powrotem w Mieście – stałem na stole w Dystrybufo i tłumaczyłem, że produkcja żywności do ściennych dystrybutorów z jakiegoś niejasnego powodu jest opóźniona. Kierownik Dystrybufo, Fridrick, cały czas przewiercał mnie wzrokiem, uśmiechając się kpiąco pod nosem, a ja nie mogłem wyprzeć ze świadomości słów Bartiego, że wystarczy zabrać ludziom jedzenie, by doprowadzić do rewolucji. Nadałem globalny kom, że dodatkowe racje zostaną wydzielone przy kolacji, ale tak naprawdę nikt nie wydawał się zadowolony z tego rozwiązania.

Dopiero pod koniec dnia Doktorek pofatygował się wezwać mnie do Szpitala i wytłumaczyć, że ktoś włamał się do jego gabinetu i ukradł zapas medplastów z fidusem.

– Dlaczego nie poinformowałeś mnie o tym od razu?! – wybuchnąłem.

Doktorek skulił się.

– Myślałem, że jesteś zajęty.

Wydałem z siebie ryk – pozbawiony słów i sensu dźwięk. Skradzione medplasty sporo wyjaśniały – biegając z jednego końca statku na drugi, dostrzegłem wiele ukradkowych spojrzeń i wychwytywałem nie mniej cichych komentarzy, ale myślałem, że ludzie po prostu przekazywali sobie manifest Bartiego. A teraz okazało się, że z rąk do rąk przechodziły także medplasty z fidusem. Ludzie cierpiący na depresję – choć nie tylko oni – przehandlowywali dla nich cały swój dobytek.

– A najgorsze – ciągnął Doktorek, gdy ja rozglądałem się po bałaganie w gabinecie – że to musiało się zdarzyć jeszcze wczoraj. Nie zaglądałem tu od wczorajszego poranka. Osoba, która zabiła Stevy’ego, musiała się tu włamać po moim wyjściu.

Skrzywił z niezadowoleniem usta. Nie byłem pewien, co go bardziej denerwowało – to, że ktoś ukradł medplasty, czy fakt, że zamienił przy tym jego gabinet w pobojuwisko.

– Celowo nasączyłem te medplasty fidusem o wysokim stężeniu – wyjaśnił – żeby jeden wystarczył, aby uspokoić pacjenta. Problem polega na tym, że takie stężenie...

– Że wystarczą trzy, żeby kogoś zabić.

– Tak. Przy takim stężeniu już dwa... spowalniają funkcje organizmu. Działanie organów wewnętrznych. Organizm nie radzi sobie z lekiem. A trzy oznaczają śmierć. Powinienem był go rozcieńczyć, ale pomyślałem...

– Pomyślałeś, że to ty będziesz aplikować medplasty.

– Ja albo Kit. Ktoś, kto zdawałby sobie sprawę z zagrożenia i odpowiednio regulował

dawki. – Doktorek sprawiał wrażenie przygniecionego poczuciem winy i przybitego, ale byłem tak samo winny, jak on. W końcu to ja zatwierdziłem nowe medplasty.

Przez chwilę obaj przyglądaliśmy się bałaganowi. Zwykle wszystko było tutaj w nienagannym porządku, ale teraz w gabinecie panował chaos. Ktoś przysunął biurko do ściany i rozbił gablotkę z medplastami. Plastry wszelkich kolorów leżały rozsypane na podłodze, żaden jednak nie był bladozielony.

Do gabinetu wbiegła Kit.

- Ktoś zło... złożył doniesienie – wysapała.
- Na jaki temat? – syknął Doktorek.
- Ofiary... Ktoś nie żyje. Przedawkował medplasty.

Nie zwlekaliśmy ani chwili. Jechaliśmy wózkami elektrycznymi przez Poziom Żywiciela, Doktorek z przodu i ja tuż za nim. Krajobraz przesunął się po bokach, a ja potrafiłem myśleć tylko o tym, jak wszystko się pogorszyło, odkąd przejąłem władzę.

– Będziesz musiał wreszcie coś zrobić – zawołał Doktorek, starając się przekrzyczeć szum wózka. – Żeby żywiciiele zobaczyli w tobie prawdziwego przywódcę. Wykorzystaj tę sytuację na swoją korzyść!

Jasne, łatwo powiedzieć.

Kiedy dotarliśmy do Miasta, Doktorek zatrzymał wózek przed dzielnicą tkaczy.

– Dlaczego tutaj stajemy? – zapytałem. Serce mi zamarło.

Zanim Doktorek zdążył odpowiedzieć, ktoś mnie złapał, odciągnął od wózka i pchnął na ulicę. Potknąłem się i omal nie upadłem.

– Ty gzyfowy hucpiarzu<sup>[3]</sup>! – ryknął Bartie.

Cofnąłem się zaskoczony.

– O co ci... – zacząłem, ale nie dał mi skończyć.

Pchnął mnie znowu, mocno, obiema rękami. Zatoczyłem się kilka kroków w tył i uderzyłem w wózek tylną częścią ud. Bartie cisnął mi w twarz garść zielonych plastrów.

– Ty to zrobiłeś? – warknął, patrząc na mnie z góry.

– Nie mam pojęcia, o czym ty gadasz...

– Te „specjalne” medplasty są pełne fidusa, ty łajdaku! – krzyknął, opluwając mnie kropelkami śliny.

– Wiem... – przyznałem, spoglądając przez jego ramię na medplasty leżące na ziemi.

– Wiesz? Nie zamierzasz się niczego wypierać? Wiesz?! Jak mogłeś pozwolić, by na tym statku znowu znalazł się fidus? Przecież przysięgałeś, że nigdy więcej nie będziesz go używać! Ty głupi, gzyfowy hucpiarzu!

– Skąd je wzięłeś? – zapytałem, podnosząc głos. Nie podobało mi się, że krzyczał mi prosto w twarz, że nie chciał się cofnąć i dać mi odrobiny swobody. Próbowałem się wyprostować, ale on trwał nade mną jak skała.

– Jak mogłeś? – syknął. – Paradujesz po statku i opowiadasz, jaki to jesteś wspaniałomyślny, zaprzestając stosowania fidusa, a potem z czystym sumieniem przyklejasz im te gzyfowe medplasty? Wystarczy, że ktoś wejdzie ci w drogę, że zaczniesz sprawiać kłopoty, a ty od razu zamykasz mu usta medplastem!

Odwrócił się na pięcie, ale gdy tylko zrobiłem krok w stronę Doktora, który zdębiał, zbyt zszokowany, by zareagować, Bartie przypomniał sobie o mnie i popchnął tak mocno, że znowu uderzyłem w wózek.

– Jesteś gorszy niż Najstarszy, wiesz?! On przynajmniej traktował nas wszystkich jednakowo, a ty wybierasz sobie ofiary według własnego widzimisie.

Wreszcie postanowił odejść, wygrażając mi pięścią.

– Zaczekaj chwilę! – krzyknąłem za nim, ale się nie zatrzymał. Szedł sztywno wyprostowany, z kurczowo zacisniętą dłońią. – Nie zrobiłem nic złego!

– Nic złego? – parsknął, nawet nie zwalniając kroku. – Powiedz to Lil.

Ludzie stojący na ulicy obserwowali nas w milczeniu, ale zaczęli szeptać, gdy tylko Bartie zniknął za rogiem.

– Lil? – zapytałem Doktorka, zbierając medplasty i upychając je do kieszeni. Może rzeczywiście po statku walały się ich całe stosy, ale chciałem być pewien, że przynajmniej te nie trafią w niepowołane ręce.

Na twarzy Doktorka malował się ponury wyraz, jednak patrzył w stronę, w którą odszedł Bartie, a nie na mnie.

– To ją Kit znalazła martwą – powiedział.

Wbiegłem po schodach do domu, w którym Harley spędził dzieciństwo. Nie byłem pewien, czego się tam spodziewałem. Mama Harleya już nie żyła. W środku panował taki sam bałagan, jak wcześniej – tylko zapach był trochę gorszy. Kiedy wszedłem do sypialni, Lil leżała rozciągnięta na łóżku, tam, gdzie zostawiliśmy ją z Amy.

Na czole miała trzy bladozielone medplasty. Na każdym z nich widniało jedno słowo. *Bądź posłuszny władzy.*

– Wiesz chyba, co to oznacza? – zwrócił się do mnie Doktorek, a ponieważ nie odpowiedziałem, dodał: – To było morderstwo. Ktoś zabił Lil. Dla ciebie.

– Dla mnie? – Nie potrafiłem oderwać wzroku od ciała. Wydawało się stapać z łóżkiem.

– Bądź posłuszny władzy. To jest ostrzeżenie dla tych, którzy tego nie robią.

– Ale Lil nie protestowała. Nie była zaangażowana w działalność Bartiego i nie wypowiadała się przeciwko mnie...

– Nie pracowała. – Doktorek usiadł obok niej na łóżku i zaczął kolejno odklejać plastry. Przywarły do skóry tak mocno, że naciągały ją i odrywały się z charakterystycznym odgłosem. – Każdy, kto nie pracuje, kto nie wypełnia swoich obowiązków, jest nieposłuszny władzy.

Czekał, aż wreszcie odwrócę się od Lil.

– Ktoś zamordował ją dla ciebie – powtórzył wolno i wyraźnie, żebym na pewno zrozumiał, że ciężar jej śmierci spoczywał na moich barkach.

Nie mogłam usiedzieć w miejscu. Okej, dałam sobie spokój z bieganiem, ale nie potrafiłam się skupić, zamknięta na poziomie kriogenicznym pośród drzwi, które kpiły ze mnie w żywe oczy. Musiałam się ruszyć. Gdy jednak dotarłam do holu Szpitala, otoczyli mnie krzyżący pacjenci, wściekłe pielęgniarki i tłum, który wydawał się rosnać z każdą minutą.

– To bezpieczne – tłumaczyła głośno jakiejś kobiecie Kit, praktykantka Doktorka. – Jeden nikomu nie zaszkodzi.

– A skąd ja mam to wiedzieć? – Głos kobiety był stłumiony, jakby płakała.

– Cóż, proszę na siebie spojrzeć – odparła Kit, doprowadzona do rozpacz. – Nic pani nie jest, prawda?

– Chyba tak, ale...

Kit wydała z siebie pełne frustracji warknięcie i odmaszerowała, prawie na mnie wpadając.

– Przepraszam – rzuciła.

– Nie ma sprawy. Co tu się dzieje?

– To przez te gzyfowe medplasty. Ludzie się zamartwiają, że od nich umrą, ale gdyby przyjęli zbyt dużą dawkę, już dawno byliby martwi. Tylko spróbuj ich o tym przekonać.

– Jakie medplasty?

Kit sięgnęła do kieszeni kitla i pokazała mi kwadratowy zielony plaster.

– Doktorek opracował je dla pacjentów z depresją. Działają – pod warunkiem że użyjesz tylko jednego. A niestety rozeszła się plotka, że trzy lub więcej mogą zabić.

– Co zawierają?

– Fidusa – odparła rzeczowo, ale nie chciała mówić więcej, czekając na moją reakcję. Fidus. Myślałam, że już z tym skończyliśmy.

Po części gotowałam się z wściekłości. Nie, nie gotowałam – płonęłam. Wydawało mi się, że Starszy i ja byliśmy co do tego zgodni. Złożył mi obietnicę – nigdy więcej fidusa. Ale jednocześnie nie potrafiłam zapomnieć tłumy w Mieście, który zmienił się w motłoch.

– Wszyscy umrzemy! – wrzasnęła kobieta, z którą kłóciła się Kit. Chwyliła praktykantkę Doktorka za poły kitla, aż zbieleły jej knykcie. Kit zacisnęła dłoń na przegubie kobiety, a ta, ku mojemu zaskoczeniu, od razu puściła. Jej ręce opadły wzdłuż boków, ciało rozluźniło się.

– I proszę, czy tak nie lepiej? – zapytała łagodnie Kit.

Kobieta nie odpowiedziała. I wtedy zauważyłam bladozielony plaster na jej dłoni.

Kit zaprowadziła kobietę do krzesła pod ścianą i tam ją zostawiła. Wróciła do mnie z zadowoloną miną. A ja nie mogłam nie odpowiedzieć jej uśmiechem. To działało. Może gdyby Starszy zabrał ze sobą do Miasta parę medplastów, sprawy nie wymknęłyby się spod kontroli. A gdybym ja miała jeden w sali z beletrystyką, kiedy wparował tam Luthor...

– Czy mogłabym dostać parę takich plastrów? – zapytałam.

Kit zmrużyła oczy.

– Nie słyszałaś? Są niebezpieczne. Próbuje odzyskać te, które zostały skradzione. Tylko Doktor, pielęgniarki i ja możemy je stosować.

Ktoś ukradł plastry? Ciekawe...

– W takim razie czy mogłabym dostać chociaż jeden?

W Kit coś stopniało. Chyba uznała, że jako jedyny dziwoląg na pokładzie statku cierpię na depresję – zawsze była dla mnie uprzejma, tak jak niektórzy aż do bólu są uprzejmi dla niepełnosprawnych.



– Tylko ani słowa Doktorowi – wyszeptala, wsuwajac medplast w moja dlon.  
Schowalam go do kieszeni, w ktorej trzymalam plastplej znaleziony w arsenale.

Zanim opuścila Szpital, naciagnalam kaptur na glowe, nie zawracalam sobie jednak glowy owijaniem wlosow szalem. W koncu bylaam uzbrojona w medplast z fidusem. Poslam prosto do Sali Nagrań. Szanse, ze cos znajde, przedstawialy sie mizernie, ale przeciez Orion zostawil wskazowki – p r a w d z i w e wskazowki – dla mnie. Nawet jesli ktos majstrowal przy tej ostatniej, Orion przygotowal solidny plan, by miec pewnosc, ze dotre tam, gdzie powinienam. Do tej pory na jego wiadomosci natrafialam na obrazach Harleya lub w Sali Nagrań. Moze tam tez znajde kolejna?

Aha, jasne. Odszukanie pojedynczej wskazowki w kilku pomieszczeniach z ksiazkami, obrazami i eksponatami muzealnymi to po prostu bulka z maslem, o ile w ogole cos tam bylo. Prawde mowiac, pierwszy raz mialam wrazenie, ze „Błogoslawiony” jest wielki. Moje szanse wydawalay sie rownie mizerne, jak szanse balwana na przezycie w piekle.

Nie moglam powstrzymac zlosliwego usmiechu. W koncu pieklo Dantego bylo z lodu. Zblizajac sie do Sali Nagrań, zauwazyłam ludzi zbitych w ciasna gromade na werandzie. Naciagnalam glębiej kaptur i wsunalam dlon do kieszeni, muskajac palcem medplast.

– Statek potrzebuje przewodnictwa – oznajmil mężczyzna.  
Zatrzymalam sie przy balustradzie, niepewna, czy wejsc na gore. Odwrócila sie, by przypadkowi gapie widzieli jedynie moje plecy.

– Bartie? – zapytala kobieta. – Moze Luthor?  
– Moze jeden z nich. Ale niekoniecznie. Po prostu ktos... starszy. Bardziej doświadczony.

Usilowalam sprawiać wrazenie swobodnej i niezainteresowanej rozmowa, jednoczesnie wytezajac sluch.

– Starszy byl przygotowywany do tej roli przez cale zycie – zauwazyła jakaś kobieta.  
Mialam ochote wiwatowac – ktos stanal w obronie Starszego.

Śmiech mężczyzny zabrzmial ostro i ponuro.

– Starszy nigdy nie sluchal Najstarszego. Za bardzo sie różnili.

Pomyślam o ukrytych na poziomie kriogenicznym gigantycznych cylindrach zapełnionych klonami Starszego. Mieli więcej wspólnych cech, niż mężczyzna mógł przypuszczać. Zastanawialam sie, czy Starszy popelnil blad, ukrywajac przed ludzmi prawde o klonowaniu. Była to jedna z niewielu informacji, ktore postanowil zachowac w tajemnicy, ale nie mialam mu tego za złe – w koncu ta tajemnica dotyczyla tylko jego.

– Nie zauwazyliście, jak kurczą sie racje zywnosciowe? Dzisiaj nie bylo nawet obiadu. Starszy sadi, ze kontrolujac zywnosc, moze kontrolowac nas. A jesli to nie zadziala, poprzykleja nam medplasty. One sa niebezpieczne, juz zabily.

– Chcialabym wiedziec, jak te gzyfowe medplasty znalazly sie na calym statku – wtracila kobieta o glębokim glósie. – Wydaje mi sie, ze Starszy zrobil to po kłopotach w Dystrybufo. Moze juz nie dolewa tego gzyfowego specyfiku do wody, ale maciecie i tak go dostana.

– Doktorek mowi, ze medplasty zostaly skradzione – stwierdzila pierwsza kobieta, jedyna inaczej myslaca w grupie.

– Tak mowi – odparowal mężczyzna – ale Doktorek zawsze podlizywal sie Najstarszemu. Zaloze sie, ze Starszy kazal mu wlepic medplasty kazdemu, kto sprawia kłopoty.

– Tak, ale...

Mialam dosyc.

– Naprawdę zamierzacie tu sterczeć i rozpowiadać kłamstwa o Starszym? – zapytałam stanowczo, obracając się na pięcie i wspinając energicznie po schodach. – Takim gadaniem wywołacie tylko bunt.

Mężczyzna pośrodku grupy odwrócił się, lecz nie wyglądał na przejętego faktem, że go podsłuchałam. Jeśli już, był raczej dumny.

– Tu nie chodzi o bunt – odparł łagodnie, jakby tłumaczył coś dziecku. – Czytałaś manifest Bartiego? – Pomachał do mnie plastplejem, ale go nie wzięłam. – Chodzi o to, co jest najlepsze dla statku. O bezpieczeństwo i szczęście wszystkich na pokładzie. – Urwał na chwilę. – Statek jest ważniejszy od każdego człowieka. Nawet Starszego.

– Szczęście? – powtórzyłam. Im uprzejmiejszy był głos mężczyzny, tym bardziej się wściekałam. – A co takiego zrobił Starszy, że jesteście nieszczęśliwi?

Kobieta o głębokim głosie pokręciła głową.

– Nie chodzi o to, że Starszy jest zły. Tylko o to, że nie my go wybraliśmy.

– Bartie wspominał o różnych książkach w Sali Nagrań. – Mężczyzna znowu pomachał do mnie plastplejem, a ja znowu go nie chwyciłam. – Wszystkie te rządy na Sol-Ziemi. Mieli systemy, głosowania... Tego rodzaju rzeczy. Które dawały ludziom w y b ó r i prawo głosu.

– Odebranie statku Starszemu nie jest słuszne – nie ustępowałam. Sprawiali wrażenie tak... sama nie wiedziałam... logicznych, że przyszła mi do głowy pewna myśl. Może gdybym z nimi usiadła, udowodniła im, jak ciężko pracował Starszy, jak bardzo się o nich troszczył, nie krytykowałiby go z takim lekkim sercem.

– Przykro mi – rzekł mężczyzna – ale tobie również nie możemy ufać.

– A to dlaczego? Ja też tu mieszkam!

Pokręcił głową.

– Ale nie jesteś jedną z nas. – Przesunął wzrokiem po moich rudych włosach spływających na kurtkę. Spróbowałam wepchnąć je z powrotem pod kaptur. Mężczyzna uśmiechnął się z wyższością. Wyglądał na absolutnie spokojnego, jakby nad wszystkim panował. W odróżnieniu od niego czułam na twarzy gorące rumieńce. – Wiem tylko – ciągnął – że nie potrzebowaliśmy sił policyjnych, dopóki ty się nie zjawiłaś. Wcześniej wszystko było w porządku.

Cofnęłam się o dwa stopnie.

– Może Starszy byłby przywódcą, jakiego potrzebujemy, gdyby nic go nie rozpraszało – stwierdziła kobieta o głębokim głosie swobodnym tonem, jakby wcale nie sugerowała, że należy wyeliminować m n i e, rzekomą przyczynę rozproszenia Starszego.

Cofnęłam się o kolejne dwa stopnie.

– Rzeczywiście, wszystko zaczęło się od niej – przyznała druga kobieta.

Zacisnęłam palce na medplaście w kieszeni, świadoma, że jeden nie wystarczy mi do obezwładnienia całej grupy. Po co w ogóle się wtrącałam? Powinnam była mieć więcej rozumu.

Wierzchem dłoni musnęłam listę Oriona.

Nie. Nie mogłam pozwolić, by odstraszyli mnie od jedynej szansy na znalezienie kolejnej wskazówki.

Wbiegłam po schodach na górę, potrącając ramieniem kobietę o głębokim głosie. Mężczyzna zszedł mi z drogi i odprowadził mnie wzrokiem, gdy otworzyłam drzwi Sali Nagrań i zniknęłam w środku, lecz skrzywił się przy tym upiornie. Wyraz jego twarzy nie przypadł mi do gustu. Za bardzo przypominał wzrok Luthora – jakbym była przedmiotem, a nie osobą.

Sala Nagrań niemal świeciła pustkami. Jakiś wysoki chudy mężczyzna czytał na plastpleju ściennym poświęconym literaturze esej Henry'ego Davida Thoreau, a cztery osoby zebrały się przy artykule o powstaniu bokserów. Nikt jednak nie patrzył na plastplej naukowy. Dziwne... Po raz pierwszy, odkąd Starszy uwolnił statek od fidusa, nikt nie analizował diagramu przedstawiającego silnik, usiłując poprawić jego wydajność, mimo że statek od lat nie przesunął się ani o cal.

Energicznym krokiem zmierzałam do sal z książkami. Wątpiłam, by grupie z werandy chciało się tu za mną przychodzić, ale wolałam załatwić swoje sprawy jak najszybciej.

Minęłam wszystkie pomieszczenia z literaturą faktu. Orion zostawił wskazówkę specjalnie dla mnie i nawet jeśli ktoś inny postanowił ją ukryć, wydawało mi się, że najprędzej znajdę ją w beletrystyce lub sztuce.

Musiałam mieć choć cień szansy. Musiałam.

Ktoś prawdopodobnie zmienił ostatnią wskazówkę – pewne części usunął, być może dodał tekst – ale Orion zostawił mi znacznie bardziej wyszukany trop. Włożył mnóstwo staranności i wysiłku w ukrycie każdej wskazówki. Musiało być coś jeszcze – jakiś sposób na rozgryzienie kolejnego kroku.

Przesunęłam palcem wzdłuż półki w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby mnie naprowadzić na kolejną zagadkę Oriona. Ponownie przekartkowałam *Piekło*, a później *Raj* i *Czyścić*. Przejrzałam wszystkie dzieła Lewisa Carrolla, w tym również ten durny poemat, który pani Parker kazała nam przedstawić na diagramie, *Jabberwocky*.

Bez sensu. Być może Orion zostawił następną informację w książce, ale z pewnością nie w takiej, którą już raz wykorzystał.

Opadłam na krzesło przy metalowym stole pośrodku pomieszczenia. Na blacie leżał egzemplarz sonetów Szekspira, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie go zostawiłam, po tym jak przed kilkoma dniami znalazłam go na niewłaściwej półce. Nowy Nagrywacz, Bartie, chyba był za bardzo pochłonięty pisaniem manifestów i próbami wzniesienia niepotrzebnej rewolucji, żeby zawracać sobie głowę własnymi obowiązkami.

Westchnąwszy, chwyciłam książkę i podeszłam do półek oznaczonych literą S. Między *Królem Lirem* a *Makbetem* została odrobina miejsca, w sam raz na sonety.

Równie dobrze mogłam od razu sprawdzić, czy nie znajdę czegoś przy którymś z pozostałych obrazów Harleja.

Już szłam do drzwi, ale nagle przystanęłam. Orion na wszystko miał plan awaryjny – może umieścił wskazówki blisko siebie, na wypadek gdyby ktoś majstrował przy jednej z nich? Tylko ja tak naprawdę ślęczałam w salach z książkami, a przede mną robił to jedynie Orion. Jakie były szanse, że ktoś inny odstawił książkę na nie tę półkę – i to tuż obok książki, w której znalazłam pierwszą wskazówkę?

Popędziłam z powrotem do półki z literą S. Ręce mi drżały, kiedy sięgałam po tomik poezji. Kartki były lśniące i grube, strony wzbogacone ilustracjami z epoki elżbietańskiej. Na pierwszej stronie znajdował się kolorowy portret Szekspira. Bard pisał o kochankach wiedzionych przez los ku zagładzie, wątpiłam jednak, by kiedykolwiek przyszło mu na myśl, że któregoś dnia jego dzieła będą mknąć między gwiazdami.

Zmarszczyłam brwi. Nie do końca mknęły, prawda?

Przerzuciłam szybko kolejne strony, zaginając je w sposób, który z pewnością nie zyskałby aprobaty Starszego. Ale... tam coś było. Zmusiłam się, by zwolnić, i zaczęłam czytać wiersz za wierszem, choć niewiele z nich rozumiałam.

Wzięłam głęboki, drżący wdech. Właściwie miałam ochotę cisnąć książką o ścianę. Tak bardzo podekscytowałam się moimi domysłami...

Może Starszy miał rację. Może to wszystko było bez sensu.

Mimo to zabrałam książkę do pokoju w Izolatce.

Chociaż zbliżała się pora wyłączenia lampy solarnej, w Szpitalu wciąż panował spory ruch, ale trzecie piętro było niemal puste. W świetlicy siedziała tylko Victria, patrząc przez okno. Już miałam się do niej odezwać, gdy przypomniałam sobie jej rozgniewane spojrzenie, kiedy natknęła się na mnie w pokoju Harleya i na poziomie kriogenicznym. Ruszyłam prosto do szklanych drzwi korytarza. Zerknęła na mnie, gdy ją mijałam, ale bez złości.

Plakała.

Zastanawiałam się, co jej powiedzieć, wątpiłam jednak, żeby się do mnie odezwała. Przy drzwiach usłyszałam, jak pociągnęła nosem. Nienawidziła mnie. Za moimi plecami rozległ się zduszony dźwięk, jakby usiłowała stłumić szloch.

Pozwoliłam, by szklane drzwi się zamknęły, i podeszłam do kanapy.

– Idź sobie – powiedziała, choć bez przekonania.

– Co się stało?

Odwróciła się do okna.

Wsparałam się na poduszkach i skrzyżowałam nogi.

– Będę tu siedzieć tak długo, aż mi powiesz.

Czekała dłuższą chwilę, jakby mnie sprawdzała. Ani drgnęłam, i w końcu odezwała się, przy każdym słowie zasnuwając szybę mgłą oddechu:

– Po prostu za nim tęsknię. Im jest gorzej, tym więcej myślę o tym, co mógłby zrobić.

– Chodzi ci... chodzi ci o Oriona? – zapytałam.

Wykrztusiła z siebie śmiech, mokry dźwięk ze łzami gniewu. Przetarła twarz ramieniem.

– To naprawdę głupie – nadal mówiła bardziej do okna niż do mnie. – Był... był ode mnie starszy. Widział we mnie zwykłego głupiego dzieciaka. Ale... ale zawsze kochałam historie. Książki. Chodziłam do Sali Nagrań, a on tam był.

Moje usta ułożyły się w wąty uśmiech. Wróciłam myślami do tego, co wiedziałam o Orionie, jeszcze zanim odkryłam, że był mordercą. Otarł mi twarz i dłonie, kiedy raz płakałam. Żałowałam, że nie mogłam teraz zrobić tego samego dla Victrii.

– Najbardziej boli mnie to – ciągnęła Victria – że nigdy nie miałam okazji mu o tym powiedzieć. To znaczy chyba wiedział, ale nigdy tak naprawdę nie ujęłam tego w słowa. Prawie codziennie szłam do Sali Nagrań i spacerowaliśmy, żartowaliśmy, ale... nigdy nie powiedziałam tego, co chciałam. A teraz jest już za późno.

To smutne, jak wiele łączyło Victrię i mnie – ona również chciała zdradzić swoje najskrytsze tajemnice ludziom, którzy byli z lodu.

– Myślę – zaczęłam powoli – że jeśli naprawdę go kochałaś, to pewnie o tym wiedział. Bez względu na to, czy mu powiedziałaś, czy nie.

W końcu odwróciła się w moją stronę, a na jej ustach błędził cień uśmiechu. Oczy już prawie jej wyschły.

– Żałuję, że nie mam wyjścia.

– Wyjścia?

– Gdybym mogła, zabiłabym w sobie wszystkie uczucia.

Przez długą chwilę obie milczałyśmy.

A gdybym ja mogła przestać przejmować się rodzicami zamrożonymi na dole? Zdecydowałabym się na taki krok? To wiele by mi ułatwiło. Nie budziłabym się każdego dnia z uczuciem pustki wypełnionej bólem

I wtedy pomyślałam o Starszym. Za każdym razem, gdy patrzył na mnie tymi łagodnymi oczami, za każdym razem, gdy zrywał się, żeby coś zrobić tylko dlatego, że go o to prosiłam, zadawałam sobie pytanie: czy go Kocham? Nie miałam bladego pojęcia, ale mogłam przynajmniej sobie wmawiać, że nie.

– Myślę, że w miłości chodzi o wybór – stwierdziłam. Właśnie dlatego nie potrafiłam pokochać Starszego – bo był tylko on i nikt inny.

– Ale kto wybrałby coś takiego?

Obie podniosłyśmy wzrok, gdy otworzyły się drzwi windy.

Szlag.

Naprawdę? Po tym wszystkim musiał się tu zjawić właśnie on? Ustawił na mnie jakiś cholerny namierzacz prześladowcy?

– Wynos się – warknęłam.

Luthor wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Moje dwie śliczne gołąbeczki, obie w tym samym pomieszczeniu.

– Wynos się – powtórzyłam.

Podszedł do miejsca, w którym siedziałyśmy. Zerwałam się z kanapy, lecz Victria ani drgnęła; podciągnęła nogi pod siebie i splótła ręce na brzuchu.

– Wiesz – zamruczał Luthor – myślę, że to może być przeznaczenie. Spotkać was obie tutaj, razem...

Wsunęłam dłoń do kieszeni, ale nie cofnęłam się, kiedy podszedł bliżej. Zresztą i tak nie miałam gdzie – byłyśmy uwięzione przy oknach.

Luthor wyciągnął rękę, żeby mnie dotknąć. Pogładził moje lewe ramię obrzydliwie delikatnym gestem, aż jego palce dotarły do łokcia. Wtedy złapał mnie i brutalnie przyciągnął do siebie. Victria wydała z siebie ni to szloch, ni to krzyk, lecz ja wyszarpnęłam prawą rękę z kieszeni i z całej siły strzeliłam Luthora z otwartej dłoni w gębę.

To był mocny cios – choć nie na tyle, by powalić rosnącego, dobrze zbudowanego mężczyznę. A przynajmniej nie bez małego wsparcia. Luthor runął, jego palce wciąż zaciskały się na moim łokciu. Zanim zdążyłam je z siebie strząsnąć, rozdarły materiał koszulki. Luthor leżał na podłodze, patrząc na mnie oczami bez wyrazu.

– Co jest, do gzyfa – wyszeptała Victria. Wciąż skulona, pochyliła się, by zerknąć na ciało Luthora.

– Kit dała mi jeden z nowych medplastów – wyjaśniłam. Szturchnęłam stopą twarz Luthora, wskazując bladezielony plaster na tle czerwonego śladu dłoni.

– Szybko go wyciągnęłaś.

– No cóż, nie do końca ufam Luthorowi.

– Aha. – Przerwa. – Ja też nie.

Spojrzałam na nią, naprawdę na nią, przez tę twardą skorupę, którą zawsze się otaczała. Luthor zwrócił się do nas obu tym mruczącym głosem. I nawet teraz, gdy leżał na ziemi, Victria trzymała ręce splecione na brzuchu. Jakby kogoś chroniła – ale nie siebie.

– Jesteś w ciąży? – wyszeptałam.

Głupie pytanie. Niemal wszystkie kobiety na pokładzie były w ciąży – większość załatwiły Gody, a resztę igły Doktorka. Tyle że ludzie, którzy nie dostawali fidusa, tacy jak Harley, Luthor, Starszy i Victria, mogli zdecydować, czy wezmą udział w Godach.

Skinęła głową.

Przeskoczyłam nad nieruchomym ciałem Luthora i usiadłam obok niej na kanapie.

– Co on ci zrobił? – Te słowa wypowiedziałam szeptem.

Nie odrywała wzroku od Luthora. Ze zdumieniem gapił się w sufit. Te medplasty były

silniejsze niż fidus rozpuszczony w wodzie. Teraz Luthor zrobiłby chyba wszystko, co tylko bym mu kazała. Zszedłby z dachu Szpitala, gdybym zaprowadziła go na samą krawędź. Przyjemna myśl.

Wcześniej Victria płakała. Teraz jej oczy były suche, ale zauważyłam na jej policzkach wilgotne ślady. Dławiła łzy w sobie, panując nad nimi tak, jak nie mogła zapanować nad przeszłością.

Skuliła się jeszcze bardziej, podciągając kolana pod brodę.

– To był on – odparła z zamkniętymi oczami.

Bałam się tego, co chciała przez to powiedzieć, choć i tak zdążyłam się już domyślić prawdy. Dotknęłam jej ramienia. Oparła się o mnie całym ciałem, lecz nie puściła kolan, nie rozluźniła ciasno splecionych na brzuchu rąk. Pozwoliła, żebym ją objęła.

– To był on – powtórzyła. Jej głos brzmiał jak odległe echo. – Podczas Godów.

– Luthor? – szepnęłam. Mój głos drżał ze strachu przed tym, co mówiła.

– Ja nie chciałam. Był taki brutalny... – Podniosła na mnie mokre, zaczerwienione oczy.  
– Wspomniał o tobie. Nie dopadł ciebie, więc...

– Nie dopadł mnie, więc poszedł do niej.

– Próbowałam... – Głos jej się łamał. Nieważne, co próbowała zrobić. Rozumiałam. Pamiętałam moment, kiedy się poddałam. Kiedy czekałam, aż będzie po wszystkim. Dla mnie to się skończyło.

Ale nie dla niej.

Nic dziwnego, że mnie nienawidziła – ja zostałam oszczędzona, a ona nie.

A teraz, gdy patrzyłam na jej ciało, skulone, by chronić dziecko, zrozumiałam, że przez ostatnie trzy miesiące to wszystko wciąż w niej żyło.

To, co dla mnie trwało minuty, cały czas w niej rosło. Istota, którą jednocześnie darzyła nienawiścią i miłością.

Objęłam Victrię mocniej i przyciągnęłam do siebie.

– Już po wszystkim – wyszeptałam, choć wiedziałam doskonale, że to nieprawda, że nigdy nie będzie po wszystkim.

Pociągnęłam ją za dłoń, aż wreszcie rozluźniła zabójczy ucisk wokół kolan. Spojrzała na mnie z zaciekawieniem, kiedy rozprostowywałam jej palce. Jej dłoń była zimna i wilgotna, ale już nie drżała.

– To obietnica – powiedziałam, zaciskając swój mały palec na jej palcu. – Że już nigdy więcej nie będziesz sama ze swoją tajemnicą i bólem.

Jej palec nie poruszył się – nie wierzyła mi. Patrzyła na nieruchome ciało Luthora.

Chyba obie wpadłyśmy w tej samej chwili na ten sam pomysł. Nasze oczy się spotkały. Luthor nie był w stanie się ruszyć, bezbronny jak kukła.

Po raz pierwszy mogliśmy odzyskać choć odrobinę tego, co nam odebrał.

I taki miałyśmy zamiar.

Victria wyprostowała się na kanapie. Z początku widziałam w jej oczach wahanie, ale w końcu podniosła się niespiesznie, z rozmysłem. Stanęła nad ciałem Luthora.

Po czym kopnęła go z całych sił, prosto w żołądek.

Wydał z siebie zduszone *ufff*, ale nawet nie drgnął.

Kopnęła go jeszcze raz i jeszcze. Z oczu ciekły mu łzy, nie protestował jednak ani nie próbował się bronić, nawet gdy Victria kopnęła go mocno w krocze.

Opadła na kolana, waląc pięściami w jego pierś.

– Jak mogłeś – wydyszała. – Przecież ja cię z n a ł a m!

Przykucnęłam obok niej.

– Daj spokój – powiedziałam. – Chodź.

Złapałam Victrię za rękę, żeby ją odciągnąć, ale wyrwała się z mojego uścisku – nie żeby go uderzyć, tylko ze szlochem skryć twarz w ramionach.

Nie mogłam patrzeć, jak pęka. Nie potrafiłam znieść świadomości, że kiedy medplast przestanie działać, Luthor będzie ją winił i może spróbuje zrobić jej krzywdę – jej albo mnie.

Uklęłam tuż obok jego głowy. Wciąż patrzył prosto w górę, lecz sądząc po tym, jak drgnęły mu powieki, zdawał sobie sprawę z mojej obecności.

– Chcę, żebyś o czymś pamiętał – wyszeptałam mu do ucha. – Wiem, gdzie znaleźć broń palną. Sprawdź sobie w Sali Nagrań, co to takiego. Mój ojciec nauczył mnie pewnego chwytu. Nauczył mnie, jak pociągać za spust na wydechu i jak grupować strzały w celu tak, by zatrzymał cię drugi albo trzeci strzał, jeśli nie wystarczy pierwszy. Gdy miałam czternaście lat, zabrał mnie na polowanie w Kolorado. Zabiłam wtedy łosia. Zrobił to, żebym wiedziała, jak to jest odebrać komuś życie, i żebym się nie zawahała, gdybym została do tego zmuszona. Mówię ci o tym, byś miał świadomość, że zabiję cię bez wahania.

Oczy Luthora skakały – jakby chciały odzyskać możliwość ruchu, żeby spojrzeć na mnie albo w przeciwną stronę, nie byłam pewna.

Pochyliłam się tak blisko, że czułam zapach jego skóry, a kiedy mówiłam, widziałam, jak z każdym moim oddechem poruszały się włoski przy jego uchu.

– Chcę też, żebyś wiedział, że nie zabiję cię od razu. Za to ty będziesz się o to modlił.

Podniosłam się i podałam Victrii rękę. Przyjęła ją, ale gdy już zmierzałyśmy w stronę drzwi, wyrwała się i wymierzyła ostatniego, bezwzględniego kopniaka prosto w twarz Luthora.

Zostawiłyśmy go na podłodze, złamanego i krwawiącego.

## STARSZY

Następnego ranka obudził mnie kom.

- Śpisz jeszcze? – zapytała Amy podekscytowanym głosem.
- Już nie – mruknąłem, przeciągając się. – Coś się stało?
- Gdzie tam – odparła. – Zjedź do mnie na poziom kriogeniczny.
- Amy, znów chodzi o Oriona i jego gzyfowe wskazówki? – zapytałem, wciągając na siebie spodnie. – Nie mam na to czasu, muszę się skupić na silniku i na tym, żeby statek jakoś funkcjonował. Zapomniałaś, co się stało, gdy byliśmy wczoraj w arsenale?
- Nie kwękaj, tylko zjedź na dół.
- Nie kwękaj?
- No rusz się wreszcie! – ponagliła mnie. – Spodoba ci się to, co zobaczysz.
- Czyżby?
- A pamiętasz nagranie, które wczoraj oglądaliśmy?
- To urwane przed końcem? Amy, albo Orion zwariował, albo ktoś grzebał w tym nagraniu. Tak czy inaczej...
  - To bez znaczenia – weszła mi w słowo. – Było w nim wystarczająco wiele informacji, żeby udało mi się rozwiązać zagadkę. Pamiętasz, jak Orion powiedział, że Najstarszy zaczął go przerażać? Że to się stało, zanim wyszedł ze statku.
  - Wyszedł ze statku? – rzuciłem tak zaskoczony, że na moment musiałem przystanąć w drodze do grawiszybu.
  - Aha. To, co znalazł Orion, znajduje się na zewnątrz.
  - Co oznacza, że... – Nie odważyłem się dokończyć głośno swojej myśli. Zamiast tego rzuciłem się biegiem w stronę pokrywy grawiszybu.
  - Że za następnymi drzwiami znajdują się skafandry kosmiczne.
- Kiedy dotarłem na poziom kriogeniczny, Amy spacerowała nerwowo tam i z powrotem przed wejściem do windy.
  - Coś się tak guzdrał? – burknęła. Zanim jednak zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, złapała mnie za rękę i pociągnęła do korytarza po drugiej stronie.
  - Przeczytałam to wczoraj wieczorem. – Rzuciła mi cienką książeczkę.
  - Co to jest? – Odwróciłem ją i odczytałem tytuł.
  - Sonety Szekspira. Nie wlecz się tak. Przeczytałam je w całości. W zasadzie to nawet dwa razy, ale w końcu znalazłam coś interesującego.
  - A konkretnie?
  - Zerknij na stronę osiemdziesiątą siódmą.
- Trzymając książkę w jednej ręce, ostrożnie przewracałem kartki. Amy przytupywała niecierpliwie, ale nie chciałem ryzykować, że uszkodzę skarb z Sol-Ziemi. Dotarłem do strony osiemdziesiątej piątej i...
  - A gdzie jest osiemdziesiątą siódmą? – zapytałem. Przewracałem poprzednią tam i z powrotem – za nią znajdowała się strona osiemdziesiąta dziewiąta.
  - No właśnie. – Na twarzy Amy widniał szeroki uśmiech. – Ktoś ją wyciął tak starannie, że nie zauważyłbyś jej braku, gdybyś się dobrze nie przyglądał.
  - I to ma być ta wskazówka? – zapytałem, oddając jej książkę.
  - Wydaje mi się, że wskazówka była na tej brakującej stronie – odparła Amy. – Ktoś zmienił wskazówkę znajdującą się w arsenale, żebyśmy przestali szukać kolejnych. Ta sama osoba wycięła jedną z kartek.
  - Jak znalazłaś tę książkę? – Próbowałem sobie przypomnieć, czy Orion wspominał coś



na temat Szekspira w którymkolwiek z nagrań.

– Była w pomieszczeniu z literaturą w Sali Nagrań. Tak czy inaczej – ciągnęła Amy, zanim zdążyłem zadać kolejne pytanie – chodzi o tę brakującą stronę. Był na niej sonet. – Przewertowała książkę do strony osiemdziesiątej piątej i pokazała mi ją. – Na tej stronie znajduje się sonet dwudziesty dziewiąty. – Przewróciła kolejną kartkę. – A tu jest trzydziesty pierwszy. Co oznacza, że na stronie osiemdziesiątej siódmej znajdował się sonet trzydziesty.

Rzuciła książkę na podłogę. Mimowolnie wybałuszyłem oczy, widząc, z jaką nonszalancją traktuje relikw z Sol-Ziemi. Ona jednak nawet nie zauważyła mojej miny, bo stanęła przed największymi drzwiami na końcu korytarza.

– Kod musi mieć co najmniej cztery znaki – powiedziała – więc spróbuj zero zero trzy zero. – Odwróciła głowę w stronę drzwi po prawej stronie śluzy spustowej.

– To na pewno nie zadziała – mruknąłem.

Zamiast się klócić, Amy wstukała kombinację na klawiaturze przy swoich drzwiach.

Wypróbowałem hasło na moich. Żadne się nie otworzyły.

– A nie mówiłem?

Podniosła książkę i jeszcze raz sprawdziła odpowiednie strony.

– Ale... byłem pewna...

Zajrzałem jej przez ramię.

– Skąd ci w ogóle przyszło do głowy, że te sonety są ponumerowane? Przecież znajdują się przy nich litery, a nie cyfry.

– To są cyfry rzymskie... – mruknęła Amy, żeby mnie zbyć, ale nagle opuściła książkę i spojrzała mi w oczy. – No właśnie, cyfry rzymskie! Nie powinniśmy wstukować zer ani trójek, tylko trzy ikсы i zero na początku, bo wciąż potrzebujemy czterech znaków.

Pognała do klawiatury i wypróbowała kombinację 0XXX.

Nic. Drzwi nie drgnęły.

– Dlaczego Rzymianie używali liter zamiast normalnych cyfr? – zapytałem, ale Amy mnie zignorowała.

– Spróbuj na tamtej klawiaturze – powiedziała, podchodząc do mnie.

– Niepotrzebnie robisz sobie nadzieję. Orion był wariatem. I ta pogoń za wskazówkami to też jedno wielkie wariactwo.

– Po prostu spróbuj.

Przewróciłem oczami i wstukałem na klawiaturze 0XXX.

*Biiip! Klik.*

– A niech mnie gzyf – wyszeptalem z podziwem.

Drzwi otworzyły się i dopiero gdy wciągnęłam gwałtownie powietrze w płuca, uświadomiłam sobie, że wstrzymywałam oddech. Pomimo całej mojej pewności siebie nie wierzyłam, że kod zadziała.

W ścianie znajdowało się dziesięć wnęk, a w każdej z nich wisiał skafander. Przewody i rurki leżały zwinięte wokół ciężkich butów, na półkach ponad skafandrami spoczywały hełmy. Choć pokrywała je gruba warstwa kurzu, wciąż zachowały część lustrzanego blasku.

Starszy wpadł do środka i przesunął dłońmi po najbliższym skafandrze. Materiał przypominał pomalowaną papierową torbę, ale przeciekał między palcami jak jedwab.

Za jedwabnym body dostrzegłam twardsze elementy, które wyglądały jak plastikowa zbroja.

– Wiesz, jak z nich korzystać? – zapytał Starszy z błyskiem w oczach.

– A skąd miałabym wiedzieć?

– Pochodzisz z Sol-Ziemi. Tam je wyprodukowano.

Zaśmiałam się, krótko i z goryczą.

– Cały statek powstał na Sol-Ziemi, ale to nie znaczy, że cokolwiek o nim wiem!

– Ale...

– Jest instrukcja obsługi. – Na ścianie wisiał gruby monitor z metalu i szkła, podłączony do zwiniętego przewodu. Być może swego czasu służył jako instrukcja wideo lub interaktywny przewodnik, ale kabel był przetarty, a szkło pęknięte. Pod monitorem leżała jednak gruba czarna książka. Dobrze, że książkę nie tak łatwo popsuć. Podniosłam ją i otworzyłam na pierwszej stronie. Dwie trzecie tekstu nie było nawet po angielsku. Z kolei część napisana w tym języku sprawiała wrażenie tak skomplikowanej, że rozboleła mnie głowa. Na końcu znajdował się jednak ilustrowany przewodnik, który przedstawiał krok po kroku, jak posługiwać się skafandrami. Konstruktorzy statku chyba chcieli mieć pewność, że ludzie na pokładzie będą mogli z nich korzystać, nawet jeśli ich język przekształci się nie do poznania albo coś innego pójdzie nie tak.

Wręczając instrukcję Starszemu, zauważyłam, że pod spodem leży coś jeszcze.

– Co to takiego? – zapytał Starszy, ale bardziej interesowała go instrukcja niż skromna książeczka, którą znalazłam pod spodem.

– *Mały Książę* – przeczytałam tytuł na głos. To wydanie było tak małe, że całkowicie schowało się pod instrukcją. Kolejna wskazówka od Oriona? Jedna ze stron miała zagięty róg. Kolory wyblakły, jednak wciąż dało się rozszyfrować, co przedstawiała ilustracja: olbrzymiego króla w płaszczu wyszywanym gwiazdami, siedzącego na szczycie maleńkiej planety.

Pod rysunkiem kilkakrotnie zakreślono jeden wers:

– *Nie lubię skazywać na śmierć* – odpowiedział *Mały Książę*.

– Brzmi złowieszczo – wymamrotałam. Cytat przypominał mi o groźbie, którą wygłosiłam poprzedniego dnia. Pewnie *Mały Książę* nigdy nie spotkał człowieka pokroju Luthora. Zerknęłam na Starszego. Powinnam mu powiedzieć, ale... to nie był najlepszy moment.

Podniosłam wsuniętą w książkę złożoną kartkę. Rozprostowałam ją drżącymi rękami – rozpoznałam papier, gruby i lśniący.

Sonet trzydziesty, zaginiona – lub skradziona – wskazówka.

Tekst na tej kartce był cały pokreślony i opatrzony notatką.

– Zobacz – rzuciłam, odwracając się do Starszego.

Starszy stracił jednak zainteresowanie kolejnymi zagadkami. Całą uwagę skupił na skafandrach kosmicznych. Uśmiechnęłam się. Wyglądał jak dzieciak, któremu powiedziano,

że będzie mógł wybrać smak lodów.

Ostrożnie schowałam wydartą stronę do kieszeni i spojrzałam na instrukcję. Starszy miał teraz w nosie stare książki i ukryte wskazówki.

– Są dwa rodzaje skafandrów – jeden przeznaczony do przedłużonej ekspozycji i jeden do umiarkowanej. Brunatne są mniejsze i łatwiejsze w użyciu, ale wolno z nich korzystać co najwyżej przez dwie godziny.

– W porządku – odparł, zmierzając w stronę wnęk. Wziął jeden ze skafandrów, który nie był brunatny jak na rysunku, tylko brązowy. Iskrzył się w przyćmionym blasku, a kiedy Starszy nim potrząsnął, kurz zmieszał się ze smugami światła.

– Skafandry do umiarkowanej ekspozycji mają podszewkę, która chroni przed wpływami zewnętrznymi i niebezpiecznymi temperaturami – ciągnęłam. – Na to zakłada się skafander zewnętrzny, dla izolacji i lepszej ochrony. Skafander zewnętrzny po prostu się zatrzaskuje, a później podłącza do niego rękawice i buty... Przecież to proste jak drut. Myślałam, że skafander kosmiczny będzie naprawdę skomplikowany.

– Pozostałe, te do przedłużonej ekspozycji, wyglądają na bardziej skomplikowane. Ale jeśli Orion ma rację i problem jest oczywisty, będę potrzebował tylko umiarkowanego – powiedział Starszy. – Możesz mi pomóc?

Zdażył już ściągnąć ubrania – leżały na kupce na podłodze – i zapiął na sobie spodni, brązową część skafandra.

– No... nie – odparłam, podchodząc do niego energicznym krokiem.

– Że co?

– Nie. Nigdzie się nie wybierasz. Mowy nie ma. Nie w jakimś lichym skafanderku, który nauczyłeś się obsługiwać, przeglądając ilustrowaną instrukcję. Nie.

– Amy, to...

– Nie!

– Ale...

– Zapomniałeś, co spotkało Harleya? Przestrzeń kosmiczna to nie pole na Poziomie Żywiciela! Ona. Cię. Zabije. A to? – Uszczypnęłam palcami jedwabną część spodni skafandra i pozwoliłam, by z powrotem przywarła do jego ciała. – To nie wystarczy. Nie możesz tak po prostu narzucić skafandra i wyskoczyć ze statku!

Starszy spojrzał na mnie z powątpiewaniem, jak dziecko sfrustrowane utyskiwaniem nadopiekuńczej matki. Miałam to w nosie. Pochyliłam się w jego stronę.

– Jesteś zbyt ważny, żeby tak ryzykować.

– Nagranie – odparł cicho. – Tylko ono pozwoli nam dojść, co Orion miał na myśli.

– To ty mówiłeś, że Orion był szurnięty.

– No tak, ale...

– A poza tym przy ostatniej wskazówce prawdopodobnie ktoś majstrował. Ktoś, kto nie chciał, żebyśmy znaleźli to pomieszczenie, skafandry i...

– Ale Amy, skafandry kosmiczne! – Starszy nie mógł powstrzymać podekscytowania na myśl o spacerze pośród gwiazd, lecz ja nie potrafiłam stłumić strachu.

– Skafandry niczego nie zmieniają – syknęłam, choć się myliłam. Zmieniały wszystko. – Pozwól pójść mnie. Komukolwiek innemu. Nie możemy ryzykować twojego życia.

Starszy uśmiechnął się – szeroko i beztrosko, a ja naprawdę poczułam się jak matka, która patrzy, jak jej dziecko chwiejnym krokiem drepcze prosto w ogień.

– Jestem wzruszony. Naprawdę ci na mnie zależy.

Opadła mi szczęka.

– Ty idioto. O c z y w i ś c i e, że mi na tobie zależy.

Pochylił się błyskawicznie i cmoknął mnie w czoło.

– Więc pomóż mi ze skafandrem.

Mruknąłam z niezadowoleniem. Nie mogłam go powstrzymać – co najwyżej upewnić się, że będzie tak bezpieczny, jak to tylko możliwe. Podniosłam dwie części napierśnika. Czulałam się niczym dama zakuwająca rycerza w zbroję, zupełnie jak w filmie, który dawno temu oglądałam na Sol... na Ziemi. Dama wsunęła swój symbol – chustkę – do zbroi rycerza, aby zawsze pamiętał o jej miłości. Nie miałam chustki, nie byłam nawet pewna, czy Kocham Starszego, ale zapięłam napierśnik tak ciasno, że Starszy zaczął protestować.

Wciąż zaglądałam do instrukcji. Jakoś nie potrafiłam uwierzyć, że do wyjścia w przestrzeń kosmiczną wystarczy para brązowych kalesonów i plastikowa skorupa. Zdawałam sobie sprawę, że skafandry kosmiczne zmieniły się od czasu rozdętych białych bez z dwudziestego wieku, ale ten cienki materiał wydawał mi się mało odpowiedni. Gdy jednak obserwowałam mężczyzn i kobiety pracujących na „Błogosławionym” jeszcze przed wylotem na misję, wszyscy mieli na sobie właśnie takie stroje.

Starszy włożył najpierw jeden but, potem drugi. Sięgały mu do połowy łydek, a kiedy nacisnęłam na nich guzik, skurczyły się na nogach. Starszy pokuśtykał na środek pomieszczenia i zrobił obrót, żebym mogła mu się przyjrzeć.

– Wygląda solidnie – przyznałam.

– Został jeszcze hełm i plecak – zauważył Starszy, sięgając po hełm.

– Najpierw to. – Pomogłam mu przełożyć ręce przez paski plecaka, który szczęknął, łącząc się z twardymi fragmentami skafandra.

Podłączyłam przewody do złączek na ramieniu.

– To główny system podtrzymywania funkcji życiowych – wyjaśniłam, zabezpieczając rurkę przy podstawie hełmu. – W zasadzie ma wszystko, czego potrzebujesz, żeby przeżyć – dostarcza tlen, odprowadza dwutlenek węgla, reguluje ciśnienie i tak dalej.

Zaczepiłam wzmocniony metalem kabel o hak z przodu skafandra.

– A to jest twoja lina bezpieczeństwa, prowadząca prosto do mnie – do statku. Drugi koniec przymocuję w śluzie. Instrukcja twierdzi, że jest tam specjalny hak.

Starszy kiwnął głową. Był blady, a jego twarz lśniła od potu.

Zaczęłam się zastanawiać, czy go nie pocałować. Tak na wszelki wypadek.

Zamiast tego nasadziłam mu jednak hełm na głowę i zablokowałam. System miał tylko dwa tryby – włączony i wyłączony – więc odsunęłam zapadkę na klapce, przekręciłam włącznik i umieściłam zapadkę z powrotem na miejscu.

– To czysty tlen. Przyzwyczajaj się do niego już teraz, zanim wyjdiesz na zewnątrz.

Starszy znów chciał kiwnąć głową, ale był tak obciążony, że od pasa w górę pochylił się, a potem odchylił. Przygryzłam wargę, zmartwiona.

Pokuśtykał za mną ciężkim krokiem do śluzi. Zaczepiłam linę bezpieczeństwa o hak w podłodze.

– Wróć do mnie – szepnęłam do hełmu, choć nie wiedziałam, czy Starszy mnie słyszał.

Cofnęłam się z powrotem do korytarza, a gdy drzwi śluzi zamknęły się za mną, wyjrzałam przez półokrągłe okienko. Starszy uniósł dłoń.

Powoli wstukalałam kod na klawiaturze, wahając się przy ostatniej cyfrze. Czy powinnam to zrobić? Czy warto narażać Starszego, żeby odkryć wielką tajemnicę Oriona?

Rygle drzwi zatrzasnęły się przy wtórze nieubłaganego brzęknięcia, kiedy metal uderzał o metal. Po raz ostatni spojrzałam na Starszego. Przewyciężyłam szaleńcze pragnienie, by wyrwać ze ściany za plecami układ sterowania i zatrzymać mechanizm śluzi.

Za późno. Śluza była otwarta. Starszy zniknął.

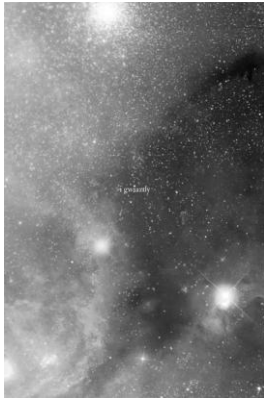
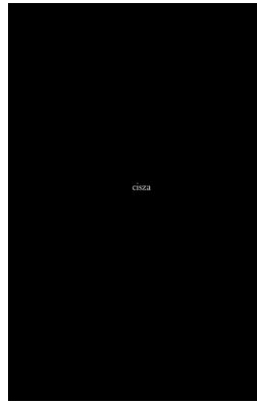
## STARSZY

Miałem wrażenie, że coś napiera na moje ręce i nogi, jakbym szedł przez mulistą wodę. Wewnątrz skafandra wszystkie dźwięki były stłumione. Amy zamknęła drzwi prowadzące na statek, wciąż jednak widziałem w niewielkim okienku jej zamyśloną twarz. Zaokrąglone szkło wyolbrzymiało malującą się na niej troskę. Rygle zasunęły się z głuchym, prawie niesłyszalnym trzaskiem, choć czułem na ciele jego wibracje.

Zostałem sam. Docierały do mnie tylko dźwięki zamontowanego do pleców skafandra systemu podtrzymywania funkcji życiowych. Ciche *szusss-szusss* wirowało mi w uszach.

Śluza otworzyła się, a wszechświat eksplodował wokół mnie. Szarpnęło mną do tyłu, pociągając boleśnie za ręce i nogi, gdy moje ciało pomknęło w przestrzeń. Gwałtowny ruch zaparł mi dech w piersi i przez moment nie mogłem oddychać. Zacząłem panikować, ale nagle poczułem chłodny tlen krążący w helmie.

Lina przytwierdzająca mnie do statku naprężyła się i znów podskoczyłem. Moje ręce i nogi nie wydawały się już jednak sztywne. Spojrzałem w górę. Wszechświat mnie o t a c z a ł.



Rozciągała się przede mną panorama miliona słońc, które dziurawiły swym światłem ciemność. Statek wydawał się roztaczać własny blask. Rozejrzałem się w poszukiwaniu wielkiego sekretu, o którym mówił Orion.

„Błogosławiony” miał kształt jajka, ale z mostka wystawał ostro zakończony dziób. Mozaika lśniącego szkła pokrywała zakrzywiony występ. Poniżej musiał się znajdować Poziom Żywiciela. Patrzyłem na gładką powierzchnię statku, nie mogąc się nadziwić, że jeszcze przed chwilą byłem w środku i przeciągałem palcami po zakurzonych nitach. Gruba linia ciemnego metalu otaczała dolną część kadłuba mniej więcej w miejscu poziomu kriogenicznego, a z przodu sterczał róg przypominający mniejszą wersję dziobu z mostka. Tam także

dostrzegłem szkło – pewnie ostatnie drzwi w korytarzu na poziomie kriogenicznym broniły dostępu do obserwatorium.

Nic jednak nie wyglądało niezwykle, może oprócz obserwatorium, którego nie mieliśmy jeszcze okazji zobaczyć. Odchyliłem się w przestrzeni, przesuając wzrokiem po kadłubie – żadnych podejrzanych pęknięć czy śladów. Silniki sterujące na tyłach „Błogosławionego” nie działały, ale o tym wiedziałem już wcześniej. Co w takim razie było tą wielką tajemnicą, na którą próbował naprowadzić nas Orion? Fakt, że statek stał w miejscu?

Byłbym zawiedziony, gdyby się okazało, że nie chodziło mu o nic więcej, ale z drugiej strony jak mogłem czuć zawód, znajdując się w kosmosie?

Rozpostarłem ręce i nogi ze świadomością, że tutaj moich ruchów nie krępowały żadne ściany. Przeniosłem wzrok dalej, za „Błogosławionego”, zapominając o bezsensownej misji, na którą wysłały mnie nagrania Oriona. Patrzyłem w gwiazdy. Doskonale pamiętałem chwilę, gdy zobaczyłem je po raz pierwszy przez okienko w drzwiach śluzy spustowej. Były piękne, lecz teraz, gdy otaczały mnie z każdej strony, „piękne” wydawało się nieodpowiednim słowem. Widziałem je jako część wszechświata, a ponieważ spędziłem całe życie między metalowymi ścianami, ich brak napełniał mnie jednocześnie zachwytem i przerażeniem. Emocje krążyły wraz z krwią w moich żyłach, prawie mnie dławiąc. Raptem poczułem się mały i nieistotny – pyłek otoczony milionem gwiazd.

Milionem słońc.

Setki lat drogi stąd znajdowało się słońce Sol-Ziemi – planety, z której pochodziła Amy. Inna z tych gwiazd należała zaś do systemu podwójnego Centauri, gdzie krążyła nowa planeta oczekująca naszej wizyty.

A my byliśmy pośrodku, zanurzeni w morzu gwiazd.

Morzu miliona słońc.

Każde z nich mogło oświetlać jakąś planetę. Każde mogło oświetlać dom.

Ale wszystkie świeciły poza naszym zasięgiem.

Od tej myśli zrobiło mi się niedobrze. Mdlące uczucie powstało w żołądku i sprawiło, że rozmazał mi się obraz.

Gwiazdy nie wyglądały już jak słońca – wyglądały jak oczy.

Jak roześmiane, mrugające oczy, które ze mnie kpiły, wirując w wiecznym tańcu daleko poza zasięgiem.

Zamachnąłem się w ich stronę, ale z moją ręką było coś nie tak.

Z całym ciałem było coś nie tak.

*Biiip... biiip... biiip.*

Alarm. Ostrzeżenie piszczące w moim hełmie.

Odetchnąłem głęboko – a raczej tylko spróbowałem. Powietrze wydawało mi się rzadsze i choć moje nozdrza rozszerzały się, a usta były otwarte, przed oczami widziałem czarne plamki. Nie mogłem zaczerpnąć tchu... Coś było nie tak z systemem podtrzymywania życia przypiętym do moich pleców. Coś było nie tak z tlenem.

W pierwszym odruchu chciałem wołać o pomoc. Uniosłem dłoń w rękawicy do szyi i uderzyłem nią o twarde hełm, zanim zdałem sobie sprawę, że nie dosięgnę wi-komu.

Lina cumownicza miała długość co najwyżej dwudziestu jardów, a mimo to „Błogosławiony” wydawał mi się równie odległy, jak każda z miliona gwiazd. Zacząłem przyciągać się do statku, jedno szarpnięcie za drugim, płynąc przez pustkę w stronę bezpiecznej przystani otwartej śluzy spustowej.

Słyszałem, jak moje serce bije do rytmu piszczącego alarmu.

Im więcej myślałem o braku powietrza, tym bardziej chciałem oddychać.

Przy kolejnym pociągnięciu moja dłoń ześlizgnęła się z liny. Gwałtowny ruch okręcił mnie i obrócił w przeciwną stronę.

Przez cały czas byłem odwrócony do „Błogosławionego”, patrząc w kierunku, z którego nadlecieliśmy. Teraz jednak zobaczyłem, co znajdowało się za mną – od strony dziobu statku. Zrozumiałem, dlaczego „Błogosławiony” zdawał się świecić. To... Nie, tego się nie spodziewałem. Jak Orion zachował coś takiego w tajemnicy?

Jak k t o k o l w i e k zdołał to zrobić? To było... to wszystko, to po prostu...

Na niebie przede mną, dokładnie na wprost, była planeta.

Gapiałam się przez otwartą szluzę, ale nie na gwiazdy, tylko na linę, która łączyła mnie ze Starszym.

Odliczałam sekundy. Lina drgnęła i już wiedziałam.

Coś było nie tak.



## STARSZY

Wciąż nie mogłem oddychać, ale nie z powodu braku tlenu; to przez fakt, że całe moje ciało, wszystkie jego części – płuca, serce, mózg – przestały działać, gdy tylko ujrzałem zawieszony na niebie przede mną niebiesko-zielono-biały glob.

W oddali, choć wciąż dużo bliżej niż wszystkie pozostałe gwiazdy, widziałem Centauri A i Centauri B – dwa słońca stanowiące centrum tego układu słonecznego. Były tak jasne i wielkie w porównaniu z pozostałymi gwiazdami, że zdawały się topić na moich oczach niczym gigantyczne, rozmazane kule świecącego lodu.

Ale nie skupiałem się na nich.

Patrzyłem na planetę.

Na tajemnicę Oriona. Nie chodziło wcale o to, że statek nie działa i nigdy nie dolecimy do celu.

Chodziło o to, że już tam byliśmy.

Już tam byliśmy! Tam, tam przede mną znajdował się nasz nowy dom!

Unosił się przede mną w próżni, tak jasny, że aż raził w oczy. Ogromne, zielone masy lądów rozciągały się na błękitnych bezmiarach wód, a nad nimi wisiały smugi poskręcanych chmur. Na krawędzi planety, z zaciętej strony, która odwracała się od słońca, zauważyłem wyraźne błyski światła – eksplozje bieli w ciemności. W pierwszej chwili pomyślałem – burza? Pośrodku, tam gdzie odbite światło słońca sprawiało wrażenie, jakby planeta roztaczała swój własny wewnętrzny blask, widziałem kontynent. *K o n t y n e n t*. Z jednej strony był popękany niczym skorupka jajka; ciemne linie wcinały się głęboko w ląd. Rzeki. Mnóstwo rzek. A może coś znacznie większego, skoro widziałem je z takiej odległości? Palce kontynentu sięgały w morze, ale piegi wysp leżały tuż poza ich zasięgiem.

W tamtym miejscu pewnie zawsze panuje chłód, pomyślałem. W górę i w dół rzeki moglibyśmy pływać łodziami. I kąpać się w wodzie.

Bo już widziałem tam siebie; widziałem, jak tam mieszkam.

Na planecie, która każdej nocy spoglądała na milion słońc i każdego dnia na dwa.

Chciałem krzyczeć, wydzierać się z radości, ale powietrze w hełmie było takie rzadkie... Za rzadkie.

Zbyt długo podziwiałem tajemnicę Oriona.

*Biiip... biiip... biiip...* ucichło. System podtrzymywania funkcji życiowych nie miał o czym ostrzegać. Bo nie było już powietrza.

Pociemniało mi przed oczami, a w głowie pulsowały uderzenia serca, które brzmiały równie głośno, jak przed chwilą alarm skafandra. Odwróciłem się od planety – *m o j e j* planety – i znów zacząłem ciągnąć za linę, raz za razem, żeby dostać się do włazu. Statek podskakiwał przy każdym szarpnięciu, znikając z pola mojego widzenia. Ogarnęła mnie panika, walczyłem, by nie stracić przytomności. Próbowałem wciągnąć powietrze w płuca, ale nie było czego wciągnąć. Tonąłem w pustce.

Bliżej.

Dłonie ślizgały mi się na linie. Myślałem z przerażeniem – jeśli teraz puszcze, znów odlece na jej maksymalną długość i już nigdy nie wrócę do statku. Nigdy nie wrócę do Amy.

Jeśli nic nie da się już zrobić, to mogę przynajmniej umrzeć, patrząc na planetę. Czy właśnie tak brzmiała ostatnia myśl Harleya? Czy przed śmiercią zdążył zobaczyć Centauri-Ziemię? A może jego ostatnia myśl była przepelniona żalem – że rzucił się w gwiazdy, chociaż nowy dom znajdował się na wyciągnięcie ręki?

Spojrzałem w zamyśleniu na swoje ręce. Kiedy zapomniałem przełożyć prawą dłoń

za lewą, żeby znów pociągnąć za linę? Wciąż leciałem w stronę statku – w próżni nie spowalniała mnie grawitacja – ale musiałem dać z siebie wszystko, by dotrzeć do „Błogosławionego” i do tlenu na czas. Zmusiłem ręce do pracy, tym razem pociągając mocniej niż wcześniej. Moje ramiona wypełniła desperacja. Ustami zasysałem pustkę, a gardło zaczynało łapać konwulsyjne skurcze.

Muszę się dostać na statek...

Mięśnie zaczynały mi drżeć, ale nie byłem pewien, czy z powodu wysiłku, czy przez niedostatek tlenu. Jeszcze... tylko... raz. Do śluzy. Walczyłem rozpaczliwie, by złapać palcami za krawędź włazu. Po drugiej stronie drzwi stała Amy. Wyciągnąłem szyję i zobaczyłem załzawionymi oczami, że przyciskała twarz do szyby. Dźwignąłem się – wystarczył raz, resztę załatwiła zerowa grawitacja. Poleciałem w górę i uderzyłem o sufit śluzy. Przed oczami tańczyło mi coraz więcej czarnych plam.

Właz zaczął się zamykać, powoli, powoli...

Zdażyłem się jeszcze odwrócić, by zobaczyć planetę. Prawie nie było jej widać, nad krawędź statku wystawał tylko jej rąbek...

...a właz wreszcie trzasnął głucho.

Nie widziałem już nic prócz ciemności.

Gdy tylko włąz trzasnął, złapałam za wajchę, ale śluza otwierała się dopiero po wyrównaniu ciśnienia. Grawitacja powróciła i zobaczyłam przez okienko, jak ciało Starszego uderza o podłogę. Zabębniłam pięściami w drzwi, jednak on nawet nie drgnął. Leżał tam bez ruchu, z twarzą przesłoniętą hełmem.

Minęła cała wieczność, zanim zamek kliknął i mogłam otworzyć drzwi. Padłam na kolana obok Starszego i przewróciłam go płasko na plecy. Jego ręce i nogi były bezwładne, a skorupa skafandra ciężka, nieporęczna.

Najpierw hełm. Głowa Starszego wysunęła się i uderzyła o metalową podłogę.

– Starszy. S t a r s z y! – Uderzyłam go otwartą dłonią, licząc, że to coś da, ale...

Dźgnęłam swój wi-kom i wezwałam Doktora.

– Zejdź na poziom kriogeniczny! – wrzasnęłam w kierunku nadgarstka, jednocześnie atakując zbroję skafandra, rozrywając zatrzaski i usztywnienia wokół tułowia Starszego, rozłamując ją w pół, by odsłonić klatkę piersiową.

– Co się stało? – zapytał Doktor z zadyszczonym głosem, jakby już do mnie biegł.

– Starszy! – krzyknęłam.

– Jestem na Poziomie Sternika, ale zejdę tak szybko, jak tylko zdołam.

– Pospiesz się!

Nachyliłam się nad piersią Starszego – nie oddychał. Moje włosy opadły mu na twarz, do rozchylonych ust, lecz mimo to nie zareagował.

Nie wiedziałam, czy to coś da; modliłam się, ale nie wiedziałam. Odchyliłam mu głowę – jego skóra była taka zimna – zacisnęłam dwa palce na nosie i zrobiłam wydech prosto w jego usta. Już to kiedyś ćwiczyłam, jeszcze jako dziecko, na manekinie po lekcjach pływania na Florydzie, ale manekin był plastikową, nierzeczywistą mieszanką twardego i miękkiego – w niczym nie przypominał ciepłej wilgoci ust Starszego. Dwa krótkie wdechy – *puf, puf* – po czym odchyliłam się, położyłam jedną dłoń na drugiej i przycisnęłam do mostka Starszego.

Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk.

Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk.

Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk.

Ucisk, ucisk.

*Puf! Puf!*

Ucisk, ucisk.

Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk.

Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk.

Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk. Ucisk, ucisk.

Nic.



## STARSZY

– Uuuch... – jęknąłem. Miałem wrazenie, jakby ktoś otworzył mi klatkę piersiową, a potem zakleił ją taśmą.

– Starszy! – krzyknęła pochylona nade mną Amy.

– Co... co się stało? – Mój głos brzmiał obco, dziwnie wysoko. Nozdrza miałem zimne – jakaś rurka wdmuchiwała mi do środka powietrze.

– Wydaje mi się, że na chwilę umarłeś – wyjaśniła Amy. Siłiła się na wesołość, ale śmiech zamarł jej na ustach. Oczy miała przekrwione, jakby długo płakała albo chciała płakać, tylko jeszcze nie zdążyła.

Przez chwilę leżałem nieruchomo, oceniając swój stan. Byłem w Szpitalu.

– Czuję się, jakby ktoś mnie przeżuł i wypluł.

– Aha, zawsze tak jest, jak się na chwilę umrze. – Amy odwróciła się i już chciała ruszyć do drzwi, ale złapałem ją za rękę.

– Nie idź.

– Powinam przyprowadzić Doktora – odparła. – Czekaj, aż się obudzisz.

– Jeszcze chwilę. – Odsunąłem z twarzy rurkę podłączoną do mojego nosa.

– Nie rób tego – zaprotestowała Amy. – To jest tlen.

– Już mi go wystarczy, widzisz? – Odetchnąłem głośno i głęboko, po czym odłączyłem rurkę.

Zmarszczyła czoło, ale pozwoliła, żebym ją pociągnął, i przysiadła na krawędzi łóżka. Przygryzłem wargę. Miałem obolałe, spuchnięte usta, czułem na miękkim ciele smak miedzi.

– Myślałam, że cię stracę – wyszeptala Amy. Przeciagnęła paznokciami po moim policzku, delikatnie dotykając siniaka, którego zrobił mi kilka dni wcześniej Stevy. Jej palce były zimne, a dotyk tak ostrożny, że prawie go nie poczułem.

– Teraz czuję się dobrze. – Uśmiechnąłem się krzywo. – Nawet lepiej niż dobrze.

– Naprawdę? – Odgarnęła mi z twarzy kosmyk włosów.

– Amy... – Wziąłem głęboki oddech, rozkoszując się smakiem powietrza. – Amy, jesteśmy na miejscu. Dolecieliśmy do planety. Udało się nam.

Uniosła brwi.

– Właśnie to zobaczyłem na zewnątrz. Centauri-Ziemię.

Potrząsnęła głową, jakby chciała sprawić, by moje słowa zagrzecotały jej w głowie.

– Wylądujemy. Już niedługo.

Coś trzasnęło, a Amy spojrzała gdzieś w przestrzeń.

– Będziemy mogli obudzić moich rodziców – powiedziała powoli. – Nie spędzę całego życia na tym statku. Znów wyjdę na zewnątrz. Zobaczę słońce.

– Słońca – poprawiłem ją. – Centauri-Ziemia ma dwa słońca.

– Słońca. Słońca! – Blask jej oczu przypomniał mi o dwóch ognistych kulach wiszących nad planetą.

– I co, teraz się cieszysz, że wyszedłem na zewnątrz? – zapytałem z szerokim uśmiechem. – Wystarczyło na chwilę umrzeć, żebyś dostała swoją planetę!

Myślałem, że Amy wybuchnie śmiechem albo się chociaż rozweseli, ale zamiast tego szturchnęła mnie w ramię.

– Ty durniu! – Wymierzyła mi kolejny cios. – Po co mi nowa planeta bez ciebie?

Uświadomiwszy sobie, co właśnie powiedziała, zamarła i zrobiła wielkie oczy.

Aż do tej pory za każdym razem, kiedy zaczynaliśmy rozmawiać o nas, Amy próbowała mnie zbyć. Ale teraz, zamiast się odsunąć, pochyliła się bliżej. Włosy spłynęły jej z ramion i musnęły

moją pierś. Dzięką radość z odkrycia, że dotarliśmy do celu, zastąpiło coś innego, coś cieplejszego – coś jak niewielki, ale nieprzerwanie palący się płomień.

– Bez ciebie nowy świat nie byłby nic wart – wyszeptała.

Chwyliłem ją niepostrzeżenie w pasie i przyciągnąłem tak blisko, że prawie na mnie leżała. Czulem każdy jej cal i bicie serca tak mocne, że łóżko powinno od niego drżeć.

Wyglądała na przerażoną, ale się nie wyrwała.

Jej pocałunek był miękki i delikatny, prawie nie przycisnęła ust do moich napuchniętych warg. Wyczułem w nim słodycz, niewinność i obietnicę.

Doktorek odchrząknął.

Zauważyłem jeszcze zaskoczenie na twarzy Amy, ale zaraz potem siedziała z powrotem na krześle, płonąca ze wstydu.

– Jak się czujesz, Starszy? – zapytał Doktor, podchodząc do łóżka. Nachmurzył się na widok odłączanej rurki z tlenem. Sprawdzał mi puls i zaświecił latarką w oczy.

– Wszystko ze mną w porządku – zapewniłem go.

Chyba w końcu się ze mną zgodził i usiadł na krześle naprzeciwko Amy.

– No dobrze – zaczął, a w jego zwykle spokojnym głosie pojawiła się ostrzejsza nuta.

– Może mi teraz wytłumaczysz, co ci strzeliło do tego pustego łba?

Otworzyłem usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Zerknąłem kątem oka na Amy. Ile wiedział Doktor? Pokręciła lekko głową.

– Tylko nie próbuj niczego przede mną ukrywać – rzucił Doktor odrobinę głośniejsze. – Dobrze wiem, co tam robiliście.

– Wiesz...?

Spiorunował mnie wzrokiem.

– Wiem, do czego służą skafandry. Do wychodzenia w przestrzeń – Orion musiał kiedyś przeprowadzić na zewnątrz naprawę. Więc jak było, znaleźliście je i doszliście do wniosku, że fajnie byłoby sobie polatać? Tak dla zabawy?

– Skąd, myśmy... – zacząłem, ale Amy uciszyła mnie jednym spojrzeniem.

– Starszy, ja rozumiem, naprawdę – westchnął Doktor, zniżając głos z powrotem do monotonnego buczenia, którym zawsze pytał mnie, jak się czuję, by zaraz potem dać mi medplast na uspokojenie. – Chciałeś sprawdzić, jak tam jest, ale powinieneś być mądrzejszy. Te skafandry są stare i nie zapewnią ci bezpieczeństwa. – Urwał, ale unikał mojego wzroku. – Starszy, jesteś dla nas... zbyt cenny. Orion siedzi w kriokomorze, statek nie produkuje fidusa... Nie możemy ryzykować. Nie w twoim przypadku.

Ukrył twarz w dłoniach. To dziwne, nigdy wcześniej nie widziałem, żeby emocje brały nad nim górę.

*Biiip, biiip-biiip.*

Podniosłem rękę, by odrzucić połączenie.

– Dostałeś kom? – zapytał. – Lepiej go odbierz. – Znow zgromił mnie wzrokiem – najwyraźniej złość zastąpiła już troskę. – Nie możesz zaniedbywać swoich obowiązków tylko dlatego, że przychodzą ci do głowy jakieś gzyfowe pomysły.

– Wiem – burknąłem urażony i nacisnąłem guzik wi-komu.

Maska gniewu spłynęła z twarzy Doktora. Wyglądał, jakby chciał mnie przeprosić, ale ja uniosłem palec, by go uciszyć. Słuchałem komu.

Po chwili rozłączyłem się i wstałem. Amy najchętniej wepchnęłaby mnie z powrotem do łóżka, a w każdym razie świadczyła o tym jej mina, ale udałem, że jej nie widzę.

– Amy. – Próbowałem przekazać jej wzrokiem to, czego nie mogłem powiedzieć teraz głośno. – Musimy później porozmawiać. Wiesz o czym.

Kiwnęła głową.

– A teraz muszę już iść.

Złapała mnie za rękę, zanim dotarłem do drzwi.

– Co się stało? – Jakimś sposobem zdołała zawrzeć w tych trzech słowach błaganie, żebym z nią został.

Ale ja po prostu nie mogłem.

– Marae nie żyje.

Bez Starszego pokój wydawał mi się pusty. Próbowałam przypomnieć sobie Marae. Wiedziałam, że pełniła funkcję Pierwszej Sterniczki, czyli drugiej osoby w kolejności dowodzenia po Starszym. Była wysoka, rzeczowa, miała schludną fryzurę i zawsze przenikliwy wzrok, ale poza tym niczego o niej nie wiedziałam.

A teraz było już za późno, żeby ją poznać.

Za późno, żeby ona też zobaczyła nową planetę.

Poczułam ukłucie winy. Nie powinnam była się tak cieszyć, nie wówczas, kiedy ktoś zginął. Ale żyliśmy, a statek miał naprawdę wylądować! Mijając świetlicę w Izolatce, przystanęłam, żeby wyjrzeć przez olbrzymie okno. W myślach zastąpiłam idealne fałdy wzgórz i ciasne przyczepy odległego Miasta lasami, oceanami i niebem.

Ż y l i ś m y.

Uśmiechnęłam się z zadowoleniem, zmierzając do swojego pokoju. Mogłam nienawidzić Oriona za wszystko, co zrobił, odkąd się przebudziłam, ale bez wątplenia to jego wskazówki poprowadziły Starszego i mnie prosto na Centauri-Ziemię.

A ja go prawie zabiłam, pomyślałam.

Moje ręce uniosły się z własnej woli, dotknęłam palcami ust. Tamten pocałunek... nie myślałam wtedy, co robię – po prostu to zrobiłam. A teraz nie potrafiłam zapomnieć dotyku jego warg na moich. Czy mówiłam serio, gdy stwierdziłam, że bez niego nowy świat nie byłby nic wart?

Tak.

Ale jeśli... Nie, k i e d y statek wyląduje, wszystko się zmieni.

To było równie prawdziwe, jak nasz pocałunek.

Potrząsnęłam głową. Teraz nie mogłam o tym myśleć.

Zamknęłam drzwi i wyciągnęłam znaleziony w pomieszczeniu ze skafandrami sonet Szekspira. Kusilo mnie, by pójść po egzemplarz *Małego Księcia*, który również tam leżał, nie mogłam jednak znieść myśli, że miałabym tak szybko wrócić na poziom kriogeniczny. Za każdym razem, gdy myślałam o służbie, miałam przed oczami poskręcane ciało Starszego na podłodze. Wciąż pamiętałam ten ułamek sekundy, gdy wydawało mi się, że jest już za późno.

Przesunęłam palcem po gładkim brzegu strony. Wątpiłam, żeby to Orion wyciął ją z tomiku. Mogłabym się założyć, że ktoś inny majstrował przy wskazówkach. Rzuciwszy kartkę na biurko, zaczęłam krążyć po pokoju. Skoro to planeta była wielką tajemnicą Oriona, nie potrzebowaliśmy kolejnych zagadek. Czy Centauri-Ziemia nie stanowiła rozwiązania?

Orion mówił jednak, że stanę przed wyborem. Że będę musiała go dokonać. Musiało być coś jeszcze – coś większego niż planeta.

Czułam się trochę jak marionetka zawieszona na sznurkach, za pomocą których Orion wprawiał mnie w ruch. Lecz niektóre sznurki zaczynały się plątać.

A inne zostały przecięte.

Wzięłam głęboki oddech i próbowałam odeprzeć wspomnienie martwych warg Starszego, gdy usiłowałam z powrotem wtłoczyć w niego życie.

Czy wypadek Starszego w ogóle był wypadkiem? Skoro ktoś majstrował przy wskazówkach, czy miałby problem z przedziurawieniem przewodów dostarczających tlen do skafandra? Gdybym poszła teraz na poziom kriogeniczny i sprawdziła wszystkie skafandry, czy na każdym z nich odkryłabym drobne, niewidoczne na pierwszy rzut oka uszkodzenia?

Opadłam na krzesło i rozłożyłam kartkę z sonetem. Zamierzałam dalej grać w tę grę.



Nieważne, że ktoś próbował mnie powstrzymać.

Sonet, podobnie jak pozostałe w tomiku, nie miał za grosz sensu. Lecz w przeciwieństwie do pozostałych ten był pokreślony.

QXXX

Gdy w kręgu myśli słodkich uciszonych,  
Sprawy minione wspominać próbuję,  
Wzdycham za stratą rzeczy upragnionych  
I utracony czas znów oplakuję.  
Łez nie znające oczy znowu płaczą  
Za przyjaciółmi zgasłymi w ciemności,  
Za widokami których nie zobaczą;  
Łza świeża rosi ból dawnej miłości.  
Boleję wówczas nad boleścią przeszłą,  
Ponownie tracąc to, com ongi stracił;  
Cierpię cierpieniem, które już odeszło,  
Płacąc znów, jakbym już raz nie zapłacił.  
Lecz gdy o tobie, miły, myśl nadpłynie,  
Straty me nikną, cały smutek ginie.

*SZYB*

Wyprostowałam się, nie odrywając wzroku od odręcznych zakreśleń. Wszystkie dotyczyły spraw ukrytych i zapomnianych. A szyb? Jedyne znane mi szyb to grawiszyb, a trudno znaleźć jakikolwiek związek między Szekspirowskim sonetem a futurystycznym urządzeniem, które wysyłało ludzi na inne poziomy statku kosmicznego.

Przesunęłam palcem po dziwnych kreskach na końcu wiersza. Przypominały schody. Szerzej otworzyłam oczy. Schody. Klatka schodowa, na której Orion siedział w każdym nagraniu!

Grawiszyb został wynaleziony już w trakcie misji „Błogosławionego”, co oznaczało, że pierwsze pokolenia musiały się przemieszczać w inny sposób. Na przykład schodami... schodami, o których dzisiaj nikt już nie pamiętał z powodu grawiszybu! Przyjrzałam się podkreślonym słowom – *w ciemności* i *stracił* na pewno oznaczało, że schody były dobrze ukryte. Na wszystkich nagraniach panowała ciemność. Orion czuł się tam bezpiecznie, bo nawet Najstarszy nic o nich nie wiedział.

Tylko... gdzie one były?

## STARSZY

Myśli kotłowały mi się w głowie, gdy mknąłem grawiszybem na Poziom Sternika. Wszystko przez pęd powietrza, który napierał na moją czaszkę. Amy nigdy wcześniej mnie tak nie całowała, nigdy tak na mnie nie patrzyła.

Chciałem odtwarzać tę scenę w umyśle raz za razem, ale na Mostku Druga Sterniczka Shelby powitała mnie z grobową powagą malującą się na twarzy. Zmusiłem się, by natychmiast zapomnieć o wszystkim, co nie dotyczyło sprawy Marae.

– Znaleźliśmy ją tutaj – powiedziała Shelby, idąc w stronę otwartych drzwi. Choć maszynownia była zatłoczona i wszyscy sternicy wyglądali na zapracowanych, ich oczy zwróciły się w naszą stronę, gdy tylko weszliśmy na Mostek. Echo naszych kroków niesło się ponad metalową podłogą. Jedyne źródło światła stanowiła lampa paląca się obok nieruchomej ręki Marae.

Odwrociłem głowę. Nie byłem jeszcze gotów, by zmierzyć się z jej śmiercią. Błądziłem wzrokiem po wysokim zaokrąglonym suficie. Po drugiej stronie metalowych ekranów znajdowała się planeta. Marae nie miała o tym pojęcia... a przecież Centauri-Ziemia była tam cały czas. Tak blisko.

Marae leżała tułowiem na stole, jakby ześlizgnęła się z krzesła. Oczy miała puste i szeroko otwarte, niewpatrzone w żaden konkretny punkt, twarz opartą na plastplejach z diagramami i wykresami. Pod jej ręką leżał zmięty wydrukowany schemat silnika.

U podstawy jej szyi, pod krótko przystrzyżonymi włosami, zauważyłem trzy bladezielone medplasty. Na każdym widniało pojedyncze słowo napisane czarnym atramentem.

*Bądź.*

*Posłuszny.*

*Władzy.*

– Przecież to nie ma żadnego sensu – wyszeptałem. Jeśli zabójca mordował ludzi, którzy mi się sprzeciwiali, to dlaczego wybrał Marae? Ta kobieta od samego początku była moim najbardziej oddanym rzecznikiem. Wykazywała się niezachwianą wiernością, ba, wpajała pozostałym sternikom takie same ideały. Od razu skorzystała z szansy, by stanąć na czele sił policyjnych. Marae zasługiwała na miano mojego najlepszego doradcy w takim samym stopniu, w jakim Doktorek był najlepszym doradcą Najstarszego.

– Kto ci to zrobił? – zapytałem, choć oczywiście nie mogła mi już odpowiedzieć. Ale z pewnością ktoś na wysokim stanowisku. Ktoś, kto miał wstęp na Mostek albo znał Marae wystarczająco dobrze, by skłonić ją do otwarcia drzwi. Poza sternikami wstęp na ten poziom mieli także niektórzy naukowcy, Doktorek i Kit, technicy, nawet Fridrick jako kierownik dystrybucji żywności. A ponieważ medplasty z fidusem zostały skradzione, za morderstwem mogła stać w zasadzie każda z tych osób.

Stojąca za mną Shelby pociągnęła nosem. Wpatrywała się twardo w sufit, a jej szczęki były zaciśnięte.

Chciałem ją pocieszyć, ale z jakiegoś powodu powiedziałem tylko:

– Teraz ty przejmiesz obowiązki Pierwszej Sterniczki.

Zdecydowanie skinęła głową. Nie chciała zhańbić Marae, okazując w tak trudnej sytuacji słabość. Wiedziałem, że będzie z niej świetna Pierwsza Sterniczka.

Sufit Mostka był zakryty kopułą, podobnie jak ten na poziomie kriogenicznym czy w Wielkiej Sali na Poziomie Strażnika. Kiedy wyszedłem na zewnątrz – uśmiechnąłem się pod nosem – kiedy wyszedłem na zewnątrz, miałem wrażenie, że w miejscu Mostka znajdują się jednak szklane okna. Cóż, pewnie nie szklane – szkło było zbyt kruche, by przetrwać wejście

statku w atmosferę czy inne zagrożenia, jakie niósł ze sobą kosmos: asteroidy, meteory i komety. Rolę szklanych szyb mógł pełnić inny materiał, na przykład grube płyty poliwęglanowe. Coś, co skrzyło się w odbitym przez Centauri-Ziemię świetle dwóch słońc.

Tymczasem sufit, na który patrzyłem, był zrobiony z metalu.

Tak jak sufit na Poziomie Strażnika. Najstarszy ukrył fałszywe gwiazdy pod metalowym zadaszaniem – pod panelami i zawiasami takimi jak tutaj, obsługiwany przez umieszczone po obu stronach systemy hydrauliczne... Opuściłem wzrok niżej, na uruchamiany skanem biometrycznym przełącznik obok drzwi. Zazgrzytałem zębami. Czy naprawdę powinienem czuć się zaskoczony, że tu też były ukryte sekrety, tak jak w każdej innej części statku?

Miałem serdecznie dość gzyfowych tajemnic i kłamstw. Pewnie, można przemilczeć fakt, że silnik statku nie działa – taka informacja pozbawiłaby ludzi resztek nadziei – ale planeta wszystko zmieniała.

– Zamknij Mostek – rzuciłem do Shelby.

Wahała się przez ułamek sekundy, po czym bez słowa zatrzasnęła ciężkie drzwi.

– Mostek, a nie drzwi.

– To są ponadstandardowe plomby zatraskowe. Odetnie nas od całej reszty statku – wyjaśniła Shelby.

– Wiem.

Przeciągnęła palcem po skanerze i zamki wskoczyły z trzaskiem na miejsce, po czym wdusiła jakiś inny przycisk, uruchamiając kaskadę świateł zapalających się jedno po drugim jak domino. Zamiast jednak oświetlić twarz Shelby, rzuciły na nią głęboki cień. Wyglądała na niepewną, a nawet przerażoną. Przerażoną, że była ze mną zupełnie sama.

I z tym, co zostało z Marae.

– Wyszedłem dzisiaj na zewnątrz – zwróciłem się do Shelby, mimo że cały czas patrzyłem w wielkie, puste oczy Marae.

– Nie rozumiem, *sir* – odparła.

– Na zewnątrz. Do gwiazd. Przez śluzę spustową.

Zachłysnęła się powietrzem.

– Znaleźliśmy z Amy skafandry kosmiczne, a ja wyszedłem. Zobaczyłem tam... nie, najlepiej po prostu ci pokażę, co widziałem.

Zrobiłem krok w stronę ściany, ale nagle zatrzymałem się i pochyliłem nad nieruchomym ciałem Marae. Ostrożnie, z wielkim szacunkiem przekręciłem jej głowę, żeby patrzyła pustymi oczami w sufit. Mój ostatni podarunek.

Minąłem Shelby i przeciągnąłem palcem po skanerze biometrycznym, bardzo podobnym do tego, który znajdował się nad drzwiami kwatery Najstarszego na Poziomie Strażnika. Metalowe zadaszanie mostka z pewnością nie pochodziło z oryginalnego schematu statku. Zostało dodane później – tak musiał wyglądać sposób Najstarszego Plagi na zatajenie prawdy przed pasażerami „Błogosławionego”.

– Polecenie? – zapytał przyjemnym łagodnym głosem komputer po zaakceptowaniu mojego zwierzchnictwa.

– Otwórz – odparłem, nie potrafiąc powstrzymać uśmiechu.

W tej samej chwili dwie części metalowego sklepienia zaczęły się rozdzielać.

Shelby krzyknęła przerażona i padła na kolana, zakrywając głowę. Myślała, że powłoka statku pęka, tak jak ja, gdy sufit Wielkiej Sali otworzył się, by ukazać fałszywe gwiazdy z żarówek. Myślała, że wybuchowa dekompresja spustoszy Mostek i wysie nas w przestrzeń, że nasza śmierć, choć szybka, będzie bolesna, gdy nasze ciała zaczną umierać na skutek niedotlenienia, a organy wewnętrzne popękają.

Podszedłem do niej – na widok mojego spokojnego kroku zaczęła drżeć jeszcze mocniej – i ukląknęłam obok.

– Wstań – rzuciłam głośno, by przekrzyczeć warkot ocierających się o siebie mechanizmów, które opuszczały sufit na boki. – Nie chciałabyś tego przegapić.

Wyciągnęłam do niej rękę. Wstała posłusznie, mimo że wciąż się trzęsła. W pierwszej chwili szukała moich oczu – chciała w nich coś zobaczyć, choć nie byłam pewien co – ale ja uniosłam głowę. Kątem oka zauważyłam, że ona zrobiła to samo.

Bo nad nami i nad mozaikowym oknem, które pokrywało cały Mostek, był wszechświat. Gwiazdy migoczące na tle czarnej pustki, a pośród nich planeta.

W porze obiadu przycisnęłam guzik na ścianie, ale w dozowniku nie pojawiło się jedzenie. Przycisnęłam ponownie. Nic.

W pierwszym odruchu uznałam, że zepsuł się system dystrybucji żywności, jednak gdy wyszłam na korytarz, doleciały mnie krzyki Doktorka z za zamkniętych drzwi gabinetu.

– Nie obchodzi mnie, czy twoim zdaniem ludzie w Izolatce potrafią zliczyć do trzech, Fridrick! – darł się Doktorek. – Nadal zasługują na posiłek!

Wróciłam do pokoju i porwałam sonet z biurka, ale czułam, że upadam na duchu. Kolejna porcja kłopotów dla Starszego – i dla całego statku. Chciałam do niego zakomować i ostrzec go, że ktoś zatrzymał dostawę żywności do Szpitala, jednak martwa przyjaciółka była teraz ważniejsza od obiadu.

Ruszyłam do grawiszybu, by poszukać schodów. Wiedziałam o dwóch szybach – jeden znajdował się w pobliżu Miasta, a drugi po tej stronie poziomu. Na samą myśl o samotnej wyprawie do Miasta żołądek skręcił mi się w supeł, ale uznałam za bardziej prawdopodobne, że schody znajdowały się w pobliżu Sali Nagrań. O ile w ogóle były jakieś schody. O ile dobrze zrozumiałam wskazówkę.

W szpitalnym holu jak zwykle panował tłok. Szłam pochylona, z kapturem naciągniętym głęboko na głowę, przemykając między ludźmi narzekającymi na medplasty. Kilka osób sprawiało wrażenie naprawdę chorych – jedna z kobiet była niepokojąco chuda, miała zapadnięte oczy i policzki, a jakiś mężczyzna wymiotował do wiaderka, które trzymał na kolanach.

Kiedy tylko wyszłam na zewnątrz, odetchnęłam głęboko powietrzem z recyklingu, po czym natychmiast opuściłam głowę. Na ścieżce w pobliżu stawu zgromadziło się kilka osób, w tym grupa, która poprzedniego dnia kłóciła się o usunięcie Starszego.

– Znowu nie dostarczono obiadu – doleciał mnie głos z tłumu. Podniosłam wzrok. W środku grupy na ławce stał Bartie.

Oparłam się pokusie, by podbiec i posłać go kopniakiem prosto do stawu. Jeszcze tydzień temu Bartie wydawał mi się miły i spokojny, lecz teraz, gdy statek stopniowo wymykał się spod kontroli, zawsze widziałam go w centrum wydarzeń.

Spiesząc w dół ścieżki, gapiłam się w ziemię. I chyba dlatego wpadłam prosto na parę zmierzającą w stronę Bartiego i ludzi zgromadzonych nad stawem.

– Przepraszam – rzuciła uprzejmie kobieta.

– Dokąd idziesz? – zapytał mężczyzna. Zawahałam się – na mgnienie oka.

Rozpoznałam ten głos.

Luthor.

Powinnam była zerwać się do biegu, ale wystarczyło to krótkie zawahanie, by Luthor chwycił mnie za ramię. Zerknęłam na niego spod kaptura, pilnując, by nie podnosić głowy. Siniaki, jakie zostawiłyśmy mu z Victrią na pamiątkę, przybrały kolor paskudnego zielonkawego fioletu. Lewe oko wciąż miał opuchnięte, a przez rozciętą wargę biegł ciemnoczerwony strup.

– Chodź z nami – zaproponował, wciąż mnie nie poznając. – Bartie tłumaczy, jak możemy przestawić statek na bardziej sprawiedliwy system.

Pociągnął mnie. Spróbowałam się uwolnić i kaptur zsunął mi się z głowy. Przez chwilę na twarzy Luthora widniało zaskoczenie. Zmrużył oczy w dwie szparki.

Kobieta zachłysnęła się, jakbym była jakimś Quasimodo, a Luthor wyszczerzył zęby. Rozcięcie na jego wardze pękło, lśniąc czerwienią, on jednak nie zwrócił na to uwagi. Uścisk

na moim ramieniu wzmocnił się, aż syknęłam z bólu.

– Chodź – ponagliła go kobieta. – Dziwołag nie jest zaproszony.

Puścił mnie i jednocześnie popchnął, aż zatoczyłam się na ścieżkę. Ze śmiechem ruszyli w kierunku stawu.

– I tak nie miałam ochoty tam iść! – zawołałam. Przystanęli plecami do mnie. Zanim się odwrócili, pognałam ścieżką do grawiszybu.

Na szczęście na nikogo się już nie natknęłam – z tego grawiszybu mógł korzystać tylko Starszy. Zadarłam głowę, spoglądając wzdłuż przezroczystej plastikowej rury, która prowadziła wysoko w górę, przez sufit aż na Poziom Strażnika.

To głupie, ale pierwsze, co chciałam zrobić, to wcisnąć wi-kom na nadgarstku i polecieć do Starszego. Wciąż czułam na ustach smak jego pocałunku.

Potrząsnęłam głową, skupiając się na ścianie za grawiszybem. Zwykle unikałam ścian na tym statku. Patrząc na nie z daleka, mrużyłam powieki; nity łączące ściany rozmazywały się wtedy, a ja udawałam, że niebieska farba to prawdziwe niebo. Z bliska czułam jednak zapach metalu i ostry posmak w gardle, bardzo podobny do posmaku krwi. W dotyku metal był zimny i niezmienny.

Zastukałam knykciami o ścianę – tak jak tato o płytę gipsową w domu, kiedy szukał słupa środkowego, by zawiesić obraz. Miałam nadzieję, że dźwięk podpowie mi, co kryje się z drugiej strony. Oczami wyobraźni znów zobaczyłam tę chwilę, gdy stałam pod jedną z metalowych ścian i waliłam w nią pięściami, płacząc, krzycząc i drapiąc paznokciami o metal. Szukałam wyjścia. To właśnie wtedy natknął się na mnie Orion – jedna z nielicznych życzliwych twarzy na statku. Sądziłam, że znalazłam w nim przyjaciela. Na pewno nie mordercę.

Odepchnęłam od siebie te wspomnienia i skupiłam się na dźwięku, jaki wydawały moje knykcie. *Puk-puk. Puk-puk. Puk-puk...* Nic tam nie było. *Puk-puk. Puk-puk. Puk-puk.* Co ja wyprawiałam? Robiłam z siebie idiotkę. *Puk-puk. Puuuk-puuuk.*

Moja dłoń zamarła. Tuż po prawej, nieco w bok od podestu grawiszybu, ściana odpowiedziała głuchym dźwiękiem. Nachyliłam się bardziej.

I wtedy to zobaczyłam. Drobną, przykurzona, niemal niewidoczna.

Szczelina w ścianie.

Przesunęłam palcem po obrysie drzwi. Nigdzie nie widziałam klamki ani zawiasów, a więc musiały otwierać się do środka. Pchnęłam, ale nie ustąpiły. Zaparłam się całym ciałem i zaryłam stopami o ziemię, zostawiając w niej dwa ślady.

Poczułam ruch.

W środku panowała ciemność.

Drzwi nie chciały się otworzyć zbyt szeroko i musiałam przecisnąć się przez szparę. Promyk światła z Poziomu Żywiciela przeszył mrok. Dostrzegłam klamkę z boku, metalową podłogę, zamykaną skrzynkę na ścianie na wysokości wzroku...

...i schody.

Naparłam ciałem na drzwi, a one huknęły o framugę. W pierwszej chwili wpadłam w panikę i zaczęłam szarpać za klamkę, ale zdołałam je znów uchylić, wpuszczając w ciemność zapach trawy i ziemi z Poziomu Żywiciela. W każdej chwili mogłam się stąd wydostać. Westchnęłam z ulgą i zamknęłam drzwi.

W środku było cicho i pusto. Odetchnęłam głęboko, a dźwięk mojej obecności wydawał mi się wyraźniejszy od smaku kurzu i zapachu stęchlizny.

W atramentowym mroku niczego jednak nie widziałam. Szukałam po omacku, obmacując zimne metalowe ściany. W końcu uderzyłam palcami o wystający plastik zamykanej

skrzynki, którą zobaczyłam przed chwilą na ścianie. Pod otwierającą się do góry pokrywą na zawiasach znalazłam włącznik światła, podobny do tych, jakie pamiętałam z Ziemi. Powinnam była zgadnąć, że światło będzie uruchamiane w podobny sposób – cały ten rejon stanowił część oryginalnego projektu statku.

Światło nie rozbłysło jednak nad moją głową, tylko na klatce schodowej. Kiedy podchodziłam bliżej, moje stopy głucho tupały na metalowej podłodze. Małe diody ciągnęły się wzdłuż poręczy po obu stronach schodów i wąskim rzędem znaczyły brzeg każdego stopnia. Były zamknięte w plastikowych rurkach – zupełnie jak lampki rozwieszane na dworze na Boże Narodzenie.

Mój umysł się zatrzymał.

Wcześniej na hasło „Boże Narodzenie” myślałam o przeszłości na Ziemi. Poddawałam się przejmującej tęsknocie za życiem, którego już nigdy nie miałam odzyskać.

Teraz czułam jedynie tępy, fantomowy ból w tej części życia, którą mi amputowano.

Potrząsnąwszy głową, położyłam dłoń na poręczy. Moje palce jarzyły się różowo od rurki z diodami. Weszłam na pierwszy stopień i spojrzałam w górę – schody pięły się coraz wyżej i wyżej niczym wielopoziomowy zygzak piętrowego parkingu. Usiłowałam policzyć, ile razy zakrecały tam i z powrotem, ale światła zlewały się u szczytu.

„Błogosławiony” był wysoki niczym wieżowiec. Kiedy ostatnim razem pojechałam do Nowego Jorku, próbowałam wejść schodami na Empire State Building. Ścigaliśmy się z rodzicami, które z nas pierwsze dotrze na górę. Podałam się dopiero na czterdziestym piętrze, choć nie była to nawet połowa drogi. Te schody wyglądały na dwa razy wyższe – sięgały od Poziomu Żywiciela aż na Poziom Strażnika, gdzie mieszkał Starszy.

A co z poziomem kriogenicznym? Gdzie były schody, które tam prowadziły?

Przesunęłam się od schodów do zewnętrznej ściany. Po drugiej stronie znajdował się kosmos, a za nim planeta. Dziwne, ściana od strony Poziomu Żywiciela wyglądała na znacznie cieńszą. Czułam przez metal ciepło, a drzwi nie były zbyt ciężkie ani szerokie. Za to ściany zewnętrzne sprawiały wrażenie masywnych. Stalowe dźwigary pięły się wysoko, podążając za krzywizną statku pod mniejszym kątem niż zaokrąglony dach na Poziomie Żywiciela. Nity były dużo większe, średnicy mniej więcej mojej dłoni.

Przycisnęłam rękę do metalu. Gdy ją podniosłam, pokrywał ją rdzawobrazowy kurz. Metal był chłodniejszy, a za nim krył się solidny ciężar.

Na Poziomie Żywiciela, przewiewnym, jasnym i ciepłym, czułam się jak w klatce, jak w pułapce. Tutaj, między ciężkimi ścianami, w przyćmionym świetle wąskiego krętego korytarza, w którym unosiła się woń metalu i kurzu, czułam się bliżej świata zewnętrznego.

Bliżej wolności.

Wkrótce znalazłam drugą klatkę schodową, ciasny szyb prowadzący w dół, między sercem „Błogosławionego” a wszechświatem. Te schody były węższe i bardziej strome. Zapewne biegły na poziom kriogeniczny. Nie mogłam się doczekać, kiedy je zbadam – jeśli się nie myliłam, prowadziły do ostatniego zamkniętego pomieszczenia na poziomie kriogenicznym. Nie powinnam jednak schodzić tam sama i badać statku bez Starszego.

Powlokłam się z powrotem do drzwi Poziomu Żywiciela. Orion mówił, że tu mieszkał, kiedy ukrywał się przed Najstarszym. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co takiego musiało się stać, że z własnej woli wybrał klatkę wąskiego mrocznego korytarza, bez choćby sztucznego słońca lampy solarnej, które by go ogrzało. Ile dni minęło, zanim, nie mogąc już dłużej znieść ciemności, wykradł się na Poziom Żywiciela jako Nagrywacz? Czy spędził ten czas przytulony do zewnętrznej ściany statku, czy do wewnętrznej, otaczającej Poziom Żywiciela?

Cokolwiek robił, znalazł kryjówkę idealną. Nikt oprócz niego nie zdawał sobie sprawy,

że te schody w ogóle istnieją.

Kiedyś moja mama wygłaszała wykład na konferencji z genetyki, a ja nocowałam w luksusowym hotelu w Atlancie. Większość czasu spędziłam w hotelowym basenie. Ostatniego dnia chciałam wrócić do pokoju i spakować swoje rzeczy, ale winda była zepsuta. Odnalezienie schodów zajęło mi pół godziny, a gdy mi się to wreszcie udało, odkryłam, że biegły za drzwiami oznaczonymi metalową tabliczką szeroką na cztery cale. Spędziłam w hotelu cały tydzień, nie mając pojęcia, gdzie były te schody. Ani razu o nich nie myślałam, choć z logicznego punktu widzenia każdy hotel musiał je mieć.

Mieszkańcy „Błogosławionego” nie wiedzieli o istnieniu tych schodów od lat. Zaczęłam się zastanawiać – skoro nie pamiętali o schodach, to o czym jeszcze mogli zapomnieć?



## STARSZY

Przeciagnałem palcem po skanerze biometrycznym po raz drugi i metalowe panele zaczęły się zamykać. Wzrok Shelby był jednak skupiony na suficie, dopóki nie wróciły na swoje miejsce i nie zatrzasnęły się ze słyszalnym kliknięciem.

– Jesteśmy na miejscu – wymamrotała, a w jej głosie pobrzmiwała zarówno radość, jak i łzy. – Jesteśmy na miejscu.

– Jesteśmy na miejscu – powtórzyłem.

Przez chwilę uśmiechaliśmy się do siebie, ale w końcu Shelby spojrzała niżej, na zwłoki. Czulem rozgoryczenie, że choć Marae patrzyła nieruchomymi oczami w górę, nie mogła zobaczyć nowej planety.

– Osobiście wyśle jej ciało do gwiazd – powiedziałem – ale pozostali sternicy pierwszego szczebla muszą się zebrać na Mostku, żeby rozpocząć wszelkie procedury niezbędne do lądowania.

Shelby kiwnęła głową.

– Wszyscy sternicy pierwszego szczebla są szkoleni na wypadek takiej sytuacji. Mamy symulatory i przekazujemy sobie informacje od...

– Od dnia, w którym „Błogosławiony” opuścił Sol-Ziemię.

– W każdej chwili jesteśmy gotowi na lądowanie, nawet jeśli dzieli nas od niego stulecia.

– Ile czasu będziecie potrzebować?

Shelby w zamyśleniu wpatrywała się w panel sterowania.

– Pierwsza Sterniczka będzie musiała wykonać skany...

Odwróciła się do mnie. Zapomniała. Przecież to ona była teraz Pierwszą Sterniczką.

– Będę musiała wykonać skany. Skan pierwszego stopnia pozwoli nam ocenić, czy ta planeta jest zdatna do zaludnienia.

– Wydawało mi się, że zostało to sprawdzone jeszcze przed odlotem.

Przytaknęła.

– Przed rozpoczęciem misji raporty z sol-ziemskich sond wskazywały, że środowisko Centauri-Ziemi można uznać za stabilne i zdolne do podtrzymywania życia, ale pierwszy etap lądowania polega na sprawdzeniu, czy nie zaszła pomyłka. Szczerze mówiąc... Cóż, jestem trochę zaniepokojona. Jeśli moc silnika została przekazana do innych funkcji, ponieważ cały czas znajdowaliśmy się na orbicie, to dlaczego jeszcze nie wylądowaliśmy?

Mój zachwyty wywołany widokiem nowej planety szybko zastąpiły wątpliwości kryjące się za tym pytaniem. Niewykluczone, że statek wisiał na orbicie od czasów Plagi – być może bunt, który doprowadził do powstania systemu Najstarszych, wybuchnął w tym samym czasie. Dobre pytanie – dlaczego wtedy nie wylądowaliśmy?

– Zanim w ogóle pomyślimy o lądowaniu, musimy być całkowicie pewni, że możemy wylądować – zgodziłem się z nią.

– Sama przeprowadzę skany. Powinno to potrwać kilka godzin. Wtedy będziemy wiedzieć więcej.

– Najpierw jednak musimy się pożegnać – powiedziałem.

Shelby opuściła wzrok na wpatrzone w sufit ciało Marae. Kiwnęła głową.

Sprowadziła dla mnie transporter do przenoszenia ciężkich przedmiotów – zamykany czarny pojemnik z elektromagnesami, które współpracowały z nadajnikami ukrytymi w podłodze statku. Otworzyła pojemnik. Rozłożył się automatycznie, przyjmując kształt dużego głębokiego prostokąta z przytwierdzoną z boku elektroniczną płytką służącą do komunikacji

z grawiszybem. W tym transporterze wożono jakieś maszyny – był brudny, obdrapany i tłusty od smaru. Próbowałem przetrzeć go rękawem, ale tylko rozmazałem brud. Nie chciałem traktować ciała Marae jak zepsutego urządzenia przeznaczonego do utylizacji, ale nie podobał mi się też pomysł odwiekania pogrzebu pośród gwiazd. Pognałem do maszynowni po ścierki, żeby wyłożyć nimi dno pojemnika.

Dobrze, teraz ciało.

Podniosłem je za ramiona, a Shelby za stopy. Musieliśmy zgiąć nogi Marae w kolanach i podnieść lekko plecy, by zmieściła się w transporterze. W końcu uznaliśmy, że najlepiej będzie ułożyć ją w pozycji embrionalnej.

Drobne ciało Shelby sprawiało wrażenie ogromnego w porównaniu z martwą skorupą zwłok. Shelby pochyliła się nad byłą przełożoną, a mnie stanęły przed oczami zdjęcia padlinożerców z Sol-Ziemi żywiących się mięsem martwych zwierząt.

– Nie wiem, czy dam radę bez ciebie, Marae – wyszeptała – ale spróbuję.

I nagle nie wyglądała jak padlinożerca, tylko jak porzucona sierota.

Pochyliła się szybko, a ja nie byłem pewien, czy pocałowała Marae w błądy policzek, czy powiedziała jej coś na ucho. Tak czy inaczej, Marae było już wszystko jedno.

Pozostali Sternicy zebrali się wokół nas, kiedy ciągnęliśmy transporter. Większość z nich miała do czynienia ze śmiercią po raz pierwszy. Za rządów Najstarszego umieranie było metodyczną i zaplanowaną czynnością, którą wykonywało się w Szpitalu.

Wszyscy gapili się na ciało Marae, gdy przechodziłem obok, ale ja wlepiłem wzrok w podłogę. Wyraźne linie metalu rozmywały mi się przed oczami. Przetarłem ze złością twarz.

Zmusiłem się, by opuścić ramiona i wyprostować plecy.

Patrzyłem wprost przed siebie; tylko po napiętych mięśniach moich szczęk ktoś mógłby poznać, jak wielki ból czułem w środku.

Nie widziałam sensu w dalszym badaniu schodów bez Starszego. Zamiast tego poszłam do ogrodu za Szpitalem. Bartie i jego tłum zniknęli, Luthor również. Jediną pozostałością po zaimprovizowanym spotkaniu był zdeptany trawnik wokół ławki. Zrzuciłam mokasyny i przeszłam po chłodnej trawie na skraj stawu. Zastanawiałam się, czy nie zakomować do Starszego, jednak bałam się, że przeszkodzę mu w czymś ważnym. Usiadłam na brzegu, podciągając kolana pod brodę, i wbiłam wzrok w idealnie gładką powierzchnię wody. Próbowałam wejrzeć w głębinę – woda była przejrzysta, a staw niezbyt głęboki, lecz mój wzrok przewiercił się przez korzenie kwiatów lotosu aż do zielonobrazowej pomroki, która przesłoniła resztę.

Odchyliłam się i trawa załaskotała mnie w kark. Moje nogi ześlizgnęły się po brzegu, aż musnęłam palcami chłodną wodę. Wsunęłam stopy do stawu i zamknęłam oczy. W górze lampa solarna emanowała ciepłem i światłem, lecz spod powiek wyglądała jak jasna, czerwona plama, tak samo jak ziemskie słońce, kiedy wylegiwałam się na świeżym powietrzu.

Nade mną przesunął się cień i jasność przygasła – jak słońce przysłonięte chmurami. Otworzyłam oczy. Twarz pochylonego nade mną Starszego otaczała aureola światła.

– Hej – odezwałam się, choć nagle zaparło mi dech. Wszystkie moje plany, by zaciągnąć go do schodów i zbadać statek, zniknęły, kiedy usiadł obok mnie ze zmęczoną twarzą.

– Co się stało?

Mruknął coś wymijająco.

Chciałam go dotknąć, dać mu znać, że przykro mi z powodu jego straty, ale wiedziałam, że słowa nie wystarczą.

Starszy położył się na trawie, patrząc na metalowy sufit Poziomu Żywiciela. Gdybyśmy znajdowali się na Ziemi, byłoby przyjemnie. Leżelibyśmy na chłodnej trawie nad brzegiem stawu, gapiąc się na chmury jak małe dzieci. Jednak to nie była Ziemia, a te chmury ktoś namalował, i jeśli nawet w pobliżu znajdowała się planeta, to i tak wydawała się bardzo, bardzo odległa.

– Marae została zamordowana. Tak jak Stevy. Na medplastach było to samo zdanie.

– Przykro mi – odparłam dwoma najmniej stosownymi słowami w całym znanym mi języku.

– Chcę wiedzieć, kto za tym stoi.

– Może ta sama osoba, która próbowała ukryć ostatnią wskazówkę Oriona? – Zanim Starszy zdążył odpowiedzieć, dodałam: – I może ta sama, która sabotowała, robiąc coś z twoim skafandrem.

– Sabotowała?

Wykręciłam szyję, by spojrzeć na niego przez jasnozieloną trawę.

– Ktokolwiek majstrował przy wskazówkach i próbował nas zmylić, mógł z łatwością przedziurawić przewód z tlenem czy coś w tym rodzaju. Gdybyś zginął, nie zdołałbyś nikomu powiedzieć, co widziałeś. Sam zobacz, jak niewiele brakowało.

Starszy już otwierał usta, by odpowiedzieć, ale odwrócił się i odebrał kom.

– Doktorek mówi, że są problemy z Bartiem w Dystrybufo. Znowu – westchnął, podnosząc się z ziemi.

Dotknęłam jego twarzy, tuż nad fioletowozielonym siniakiem na szczęce. Przytuliłam policzek do mojej dłoni – nie za mocno, tylko trochę, żebym poczuła nacisk jego skóry

na mojej.

– Starszy, nie możesz ciągle robić wszystkiego sam.

– A kto powstrzyma Bartiego? Kto przywróci porządek w Dystrybufo? Kto pomoże sternikom w przygotowaniach do lądowania na nowej planecie? Oczywiście dopiero gdy badania pokażą, czy w ogóle możemy wylądować...

W jego głosie pobrzmiwała nuta paniki i bólu. Pragnęłam mu powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ale nie chciałam kłamać. Pochyliłam się o ułamek cała, on też się pochylił i wtedy spojrzałam mu w oczy.

Chce mnie pocałować, pomyślałam.

I dobrze.

Jego usta zachłannie napały na moje, a kiedy odrobinę zaskoczona rozchyliłam wargi, pocałunek stał się głębszy. Starszy był silny; uniósł mnie i przyciągnął. Jego ciało mówiło za niego. Potrzebował mnie.

Moje ręce oderwały się od ziemi i uniosły do jego rąk, przesunęłam palcami po drobnych włoskach wzdłuż jego przedramienia. Mięśnie Starszego napięły się pod moim dotykiem. Bicepsy były jak skały, przyciągały mnie coraz bardziej. Moje dłonie powędrowały wzdłuż barków do nasady karku. Zatopiłam palce we włosach.

Dotykanie go sprawiało mi głęboką satysfakcję; przypominało mi, że jest prawdziwy, choć mało brakowało, a byłabym go straciła.

Zacisnąwszy dłonie, uniósłam się i przywarłam do niego mocniej. Jego ręka zsunęła się po moich plecach, przyciągając bliżej moje biodra.

Przerwał pocałunek i spojrzał mi w oczy. Mogłam sobie wyobrazić, jak wyglądaliśmy, tarzając się w trawie nad stawem. Jak podczas Godów. Miałam to gdzieś. To było coś innego. Gody ograniczały się do bezmyślnych, wyczutych z emocji i miłości ruchów. A to...

Starszy odgarnął mi z twarzy niesforny kosmyk. Zamknęłam oczy i rozkoszowałam się tym dotykiem. Jego palce zacisnęły się na moich włosach – poczułam nacisk dłoni pociągającej mnie w stronę kolejnego pocałunku. Wysłałam mu na spotkanie.

Tym razem słodszy, wolniejszy, łagodniejszy. Czułam jego usta, a nie pragnienie.

Uświadomiłam sobie bliskość jego ciała. Pozwoliłam dłoni spocząć tuż nad jego sercem, bijącym w piersi tak mocno, jakby próbowało naśladować łomot mojego serca.

Potem moja dłoń zsunęła się niżej, wzdłuż jego boku. Skraj tuniki był zadarty. Moje palce musnęły jego nagą skórę tuż nad biodrem.

Starszy wydał z siebie jęk – niski, gardłowy dźwięk. Jego dłonie ześlizgnęły się po moich zwichrzonych włosach na ramiona, po czym odepchnęły mnie delikatnie. Lecz nasze stopy wciąż się stykały pod taflą wody.

– Uch! – westchnął nagle, uderzając się dłonią w bok karku. – Nie mam na to czasu!

Odsunęłam się od niego urażona, lecz wtedy zauważyłam, że przechylił głowę. Ktoś próbował do niego zakomować.

– Przepraszam – wymamrotał, prostując się i patrząc mi w oczy. – Na gwiazdy, Amy, przepraszam. Tylko że śmierć Marae i ta planeta, i... Niech to wszystko gzyf...

Otworzyłam szerzej oczy, ale Starszy wcisnął swój wi-kom.

– Co znowu? – warknął.

Usiadłam powoli. Leżenie na trawie przestało sprawiać mi przyjemność. Podczas gdy Starszy wsłuchiwał się w swój wi-kom, patrzyłam na nieruchomą powierzchnię stawu.

Nie miałam pojęcia, czego chciałam. Powiedziałam Victrii, że w miłości chodzi o wybór; powiedziałam sobie, że nie muszę wybierać Starszego, nie mogłam jednak zapomnieć, jak razem z jego sercem stanęło i moje.

## STARSZY

Amy wyglądała na przygnębioną, samotną i porzuconą – i to ja ją porzuciłem, choć wciąż siedziałem obok na brzegu stawu. Po co ją całowałem? Zupełnie jakbym skosztował deseru przed obiadem – tylko narobiłem sobie apetytu. Nic nie mogłem poradzić na swoje reakcje. Nie miałem pojęcia, dlaczego Amy działała na mnie w taki sposób, ale po prostu nic nie mogłem na to poradzić.

Trzeba było się powstrzymać. Biorąc pod uwagę wszystko, co działo się teraz na statku, nie powinienem nawet myśleć o całowaniu Amy. Musiałem się skupić na planecie, a Amy musiała wreszcie zdecydować, czego tak naprawdę chce. Wciąż widziałem w jej oczach wątpliwości – nie chciała nazwać po imieniu tego, co nas łączyło.

A teraz siedziała w milczeniu, unikając mojego wzroku, a jej policzki były niemal tak różowe jak usta.

Różowe usta...

Nie.

Odwróciłem od niej wzrok. Od jej ust.

– Co się stało? – zapytała cicho.

Czułem, jak narasta we mnie zwierzęcy ryk, ale zmusiłem się do zduszenia go w zarodku. Co się stało? To się stało, że w twoim towarzystwie nie mam nad sobą kontroli, pomyślałem. Tak bardzo jej pragnąłem, że wszystko inne schodziło na dalszy plan – każda myśl, każdy instykt, każde zahamowanie. Moje pożądanie pożerało mnie od środka, bałem się jednak, że na końcu pożre także ją.

– Chodziło mi o sterników – dodała, ale ja nie odpowiedziałem. – Co się stało, kiedy powiedziałaś im o planecie.

Zmarszczyłem brwi. Wyglądało na to, że Amy najchętniej zapomniałaby o wszystkim, co się właśnie wydarzyło – a może po prostu wystraszyła się mojej frustracji i zniecierpliwienia. Niech to gzyf. Przeczesałem palcami włosy, szarpiąc mocno za kosmyki, jakbym próbował wyrwać razem z cebulkami jakąś sensowną odpowiedź.

– Teraz przeprowadzają skanowanie – wyjaśniłem. – Jeśli się okaże, że Centauri-Ziemia jest zdalna do zaludnienia, będziemy mogli w ciągu kilku dni rozpocząć procedurę lądowania.

Zmrużyła oczy.

– Będziemy mogli?

Gdyby miała dostęp do panelu sterowania, pewnie posadziłaby statek już teraz.

– Amy... – zacząłem, a w moim głosie od razu pojawił się ostrzegawczy ton – nie wolno nam tak po prostu wylądować na Centauri-Ziemi. Musimy się najpierw upewnić, czy jest tam bezpiecznie.

– A kogo to obchodzi? – parsknęła, podrywając w górę ręce.

– Na przykład mnie. Obchodzą mnie wszyscy ludzie mieszkający na tym statku.

– Ale te badania potrwają tylko kilka dni? – upewniła się.

Może, przy odrobinie szczęścia, pomyślałem.

– Oczywiście.

– Och, to w porządku – westchnęła. – Martwiłam się z powodu... Im wcześniej wylądujemy, tym lepiej.

– Przecież nie jest tu aż tak źle – wypowiedziałem głośno swą myśl, zirytowany jej niechęcią.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Ludzie są wściekli. Marae została z a m o r d o w a n a.

– Bez fidusa ludzie... – zacząłem się tłumaczyć. – Oni myślą, że... oni po prostu...  
– Zamknij się już – burknęła z chłodną złością. – Niektórzy ludzie są dobrzy,  
a niektórzy źli. Fidus niczego nie naprawia, po prostu ukrywa wszystko, co dobre i złe, pod płaszczem wielkiego niczego.  
– Ale... – urwałem. Wołałem zachować tę myśl dla siebie. Że może warto zrezygnować z dobra, jeśli dzięki temu niszczy się także zło.  
Marae na pewno by mi przyklasnęła.  
– Woda wygląda na wyjątkowo nieruchomą – stwierdziła Amy.  
Nawet nie próbowałem krzyknąć zdumienia. Co jest, do gzyfa? Kiedy to dotarliśmy do etapu, że mogę ją całować z zapartym tchem, potem rozmawiamy o morderstwie, a ona na koniec komentuje gzyfowy staw?  
– Są tu jakieś ryby? – zapytała.  
Ryby. Gzyfowe ryby. Już nie malujemy pędzlem po ścianach i nie wystawiamy strażników, żeby złapać mordercę. Zdaje się, że było jej wszystko jedno, kiedy ginęli m o i ludzie.  
– Nie ma żadnych ryb – warknąłem. – Już nie.  
Spojrzała na mnie pytająco.  
– Jesteś zły?  
– Niech to gzyf, Amy, oczywiście że jestem! – krzyknąłem, a ona podskoczyła. – Och, przepraszam. – Przeczesałem palcami włosy. – Przepraszam. Ja po prostu... Tak, jestem zły.  
Chciała chwycić mnie za rękę i otworzyła usta, by coś powiedzieć, zanim jednak zdążyła się odezwać, ktoś nam przerwał.

– Och, przepraszam – rzucił Luthor. – Nie chciałem  
wam p r z e s z k a d z a ć. – Choć jego twarz była beznamiętna, zatrzymał wzrok  
na fragmencie odkrytej skóry tuż nad moją talią. Obciągnęłam tunikę tak gwałtownie,  
że przestraszyłam się, czy nie rozedrę ręcznie tkanego materiału.

– Czego chcesz? – warknął Starszy. Nie miałam pewności, skąd brało się  
zniecierpliwienie w jego głosie: z tego, że ktoś nam przerwał, czy z tego, że Starszy  
wiedział, jak bardzo Luthor był zamieszany w rewolucyjne plany Bartiego. Odwrócił głowę,  
żeby na niego spojrzeć. – Na gwiazdy, Luthor, co ci się stało?!

Teraz to ja uśmiechnęłam się z pogardą na widok podbitego oka i rozciętej wargi.

– Nic takiego – odparł Luthor. – Nic, z czym nie mógłbym poradzić sobie... sam.  
Nie pozwoliłam, by strach zagościł na mojej twarzy.

Luthor rzucił mi szydercze spojrzenie, jednak gdy Starszy spiorunował go wzrokiem,  
wzruszył ramionami i odszedł ścieżką, chichocząc cicho pod nosem.

– Ten facet to gzyfowe utrapienie – westchnął Starszy. – Pomaga Bartiemu tylko dlatego,  
że lubi pakować się w kłopoty.

– Aha – odparłam sucho. Jeszcze przed chwilą zamierzałam powiedzieć Starszemu  
o schodach i o moich porannych odkryciach, ale Luthor zawsze potrafił zamknąć mi usta.

Starszy skupił na mnie całą uwagę.

– Co się stało? – zapytał, ale ja milczałam. – Amy, czy ty coś wiesz? O Luthorze? Czy  
Luthor coś zrobił?

Ręka wokół mojego nadgarstka, popychająca mnie na ziemię, odcinająca krążenie  
w całej dłoni, palce wpijające się w ten mały punkt nad błękitnymi żyłami poniżej wnętrza  
dłoni... Lecz gdy opuściłam wzrok, na nadgarstku zobaczyłam swoją własną dłoń, a nie rękę  
Luthora.

Otworzyłam usta.

– Powiedz mi.

Nie mogłam.

Było już za późno. Nie umiałam cofnąć czasu, a przysporzyłabym tylko Starszemu  
kolejnych zmartwień. Nie potrafiłam wyjaśnić, co zdecydowało, że nigdy mu o tym nie  
wspomniałam – połączenie strachu przed ujęciem w słowa tego, co się stało, oraz niepokoju,  
jak na to zareaguje? Pozwoliłam, aby upłynęło zbyt wiele czasu. Częściowo sama byłam sobie  
winna – po co wychodziłam na zewnątrz podczas Godów? I choć rozsądek podpowiadał mi,  
że to nieprawda, że w niczym nie zawiniłam, nadal nie mogłam zapomnieć...

Jak siedział na mnie okrakiem i przygniatał do ziemi. Jak śmiały się jego oczy –  
wiedział, co robi. Jak wciąż na mnie patrzył. Jak jego wzrok zatrzymywał się tam, gdzie nie  
powinien. Jak tarł kciukiem o palce, wyobrażając sobie, że dotyka mojej skóry.

Starszy dotknął mojej dłoni.

Drgnęłam.

Ale wtedy przypomniałam sobie, jak Victria mnie unikała. Skoro nie mogłam mówić  
za siebie, mogłam przynajmniej mówić za nią.

Mówiłam do stawu, bo łatwiej mi było zwracać się do wody niż do nieruchomej  
twarzy Starszego. Zaczęłam od końca – od tego, jak Victria i ja posłużyłyśmy się medplastem,  
by zemścić się na Luthorze. Opowiedziałam o ciąży Victrii i wyjaśniłam, że nie miała  
wyboru. Zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam zdradzać jej zaufania, ale Starszy bardziej  
niż ktokolwiek inny na statku musi poznać pełnię zła, za którym stał Luthor. Wspomniałam

o swojej obawie, że Luthor mógł zrobić to samo dziewczynie z króliczych pól.

A potem opowiedziałam, że mi groził. Próbowałam pohamować emocje, opisując, jak ścigał mnie przez pole, jak podniecało go, że chciałam mu uciec, ale głos wciąż mi się łamał.

Starszy ani razu mi nie przerwał.

– Zobaczyłam to w jego oczach, Starszy. On w i e d z i a ł, co robi.

I doskonale się bawił. – Przypomniałam sobie, jak powoli oblizywał usta. – Nadal się bawi. Dla niego jesteśmy grą. Jesteśmy myszami, a on kotem, i uwielbia się nami bawić.

Po raz pierwszy, odkąd zaczęłam mówić, zerknęłam na Starszego. W glebie przy jego rękach wydarte były bruzdy, ślady po paznokciach. Zauważył, że na niego patrzę, i rozluźnił palce. Z jego dłoni wysypały się dwie garście ziemi.

– Dziękuję, że mi o tym opowiedziałaś, Amy. – Jego głos był tak zimny, że przypomniał mi głos Najstarszego.

Chwyciłam go za rękę. Mięśnie miał napięte i twarde.

– Byłem tak skupiony na Bartiem i rewolucji, do której podżega, że zapomniałem, co może zrobić jeden zły człowiek.

Próbowałam przyciągnąć jego spojrzenie, ale patrzył w trawę, mrużąc oczy.

– Tamtego dnia, w Sali Nagrań, to był Luthor – dodałam. – To on powiedział, że może zrobić, co mu się żywnie podoba. Może nawet Bartie wziął ten pomysł od niego.

Starszy wstał.

– Dziękuję, że mi o tym opowiedziałaś, Amy – powtórzył.

– Starszy?

Odszedł, wciąż zaciskając pięści, całe w brązowych i zielonych plamach.



## STARSZY

– Starszy, mamy tutaj... Musisz przyjść do Miasta.

Doktorek zakomował do mnie w najmniej odpowiednim momencie. Po tym, jak Amy powiedziała mi wszystko, miałem zamiar porozmawiać z Luthorem w cztery oczy. Nigdy w życiu nie byłem taki wściekły. Gniew wciąż krążył w moim ciele, chociaż zdążyłem już nieco ochłonąć.

– Niech to gzyf! – krzyknąłem po raz nie wiadomo który. – Cały dzień biegam z jednego końca statku na drugi i z powrotem! Mam już tego serdecznie dość!

Zapadła cisza.

– Chwilowo możesz o tym zapomnieć – powiedział w końcu Doktorek.

W pierwszym momencie pomyślałem, że chodziło mu o lądowanie, ale zaraz potem zdałem sobie sprawę, że jeszcze mu o tym nie wspominałem. Wiedzieli tylko sternicy pierwszego szczebla i Amy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Starszy, mamy tutaj chaos. To jest... bunt.

– Niech to gzyf!

– Wydaje mi się, że stoi za tym Bartie, ale... Po prostu musisz tu przyjść.

Dotarcie do Miasta zajęło mi chwilę, ale gnałem ile tchu w piersiach, ponaglany niepokojem w głosie Doktorka. Od razu zrozumiałem, że coś jest bardzo nie w porządku. Najpierw to usłyszałem – a raczej nie usłyszałem; nie słyszałem codziennych odgłosów Miasta, wiecznie obecnego podkładu dźwięków codziennej krzątaniny. Zamiast tego dolatywały mnie stłumione głosy i pospieszne kroki.

A zaraz potem wszystko zobaczyłem.

Ludzie tłoczyli się przed Dystrybufo na końcu ulicy i jak jeden mąż patrzyli w ten sam punkt – na martwego Fridricka.

Całe jego ciało było oblepione tyloma medplastami, że wyglądał jak zwierzę o łuskowatej skórze. Ktoś przywiązał go do długiego pasma materiału, zdobytego prawdopodobnie w dzielnicy tkaczy, i wywiesił z okna na drugim piętrze Dystrybufo. Ręce i głowa Fridricka zwisały bezwładnie, a materiał wydawał się niebezpiecznie naciągnięty.

Na zaimprovizowanym transparencie widniały namalowane dużymi czarnymi literami słowa: „Bądź posłuszny władzy”.

– To jest wiadomość! – krzyknął nagle ktoś z tłumu. Przeniosłem wzrok z transparentu na front Dystrybufo. Bartie.

Dopiero wtedy zorientowałem się, że ludzie nie milczeli z powodu śmierci Fridricka. Tak naprawdę czekali na przemowę Bartiego.

– Każdy, kto nie będzie ślepo posłuszny p r z y w ó d c y – prychnął z przekąsem Bartie – zostanie odpowiednio potraktowany! Pamiętajcie, co się stało ze Stevym? Wystarczyło, że zaprotestował przeciwko Starszemu, a teraz nie żyje!

Miałem wrażenie, że słowo „protest” nie najlepiej oddawało rzeczywistość. Stevy uderzył mnie pięścią w twarz.

– Wszyscy doskonale wiecie o sprzeciwie Fridricka. Ten człowiek próbował nas uratować, kontrolując zapasy żywności – i co się stało?! Starszy zmusił go do rozdawania jedzenia, ale to mu nie wystarczyło! Postanowił raz na zawsze... – Bartie zrobił dramatyczną pauzę, podnosząc ręce ku wiszącemu ciału – ...uciszyć protesty Fridricka!

Jeżeli Bartie próbował wywołać rewolucję, to nie szło mu najlepiej. Co prawda ci, którzy stali z przodu, wiwatowali, ale nie mogłem się powstrzymać od złośliwego uśmiechu,

kiedy zauważyłem, że przynajmniej dwie trzecie tłumu milczało. Ludzie byli zaniepokojeni, ale jeszcze nie gotowi do odrzucenia jedynej formy rządów, jaką kiedykolwiek znali.

Mimo to nie zamierzałem pozwolić Bartiemu, aby rozpowiadał na mój temat gzyfowe kłamstwa.

Włączyłem wi-kom i aktywowałem połączenie globalne.

– Uwaga, wszyscy mieszkańcy „Błogosławionego” – zacząłem. Najgłośniejsza grupa żywicieli ucichła, a wielu odwracało się w moją stronę. – Jak z pewnością jesteście świadomi, system Najstarszych działał na statku przez niezliczone pokolenia. Ja podjąłem decyzję, by pracować inaczej niż moi poprzednicy. Zdecydowałem, że dam wam możliwość dokonywania samodzielnych wyborów.

*Biiip, biiip-biiip.*

– Uwaga, wszyscy mieszkańcy – rozbrzmiał w moim wi-komie głos Bartiego. Poderwałem głowę. Bartie patrzył na mnie ponad głowami zgromadzonych. – Nie tylko Starszy ma dostęp do systemu wi-komów. Tak czy inaczej, muszę jednak przyznać mu rację. Dał nam wybór i za to jestem mu wdzięczny – prawie niezauważalnie skinął głową – ponieważ dzisiaj możemy zdecydować, by na czele statku stanął ktoś inny, a nie on.

Zainteresowanie tłumu było teraz skupione wyłącznie na Bartiem. Jak temu cwanemu gnojkwowi udało się włamać do systemu? Tylko garstka wybranych członków załogi – ja, Doktorek i Pierwszy Sternik – dysponowała uprawnieniami do korzystania z połączeń globalnych. Bartie musiał je zdobyć nielegalnie.

Dźgnąłem palcem przycisk wi-komu.

– Unieważnij dostęp – wyszczekałem rozkaz do komputera, po czym nadałem kolejny komunikat globalny. – Mieszkańcy „Błogosławionego” – mówiłem najgłośniejszym głosem, jak potrafiłem. – Proszę was o zachowanie spokoju. To nie jest dobry moment na bunt i niezgodę. Dziś rano dowiedziałem się, że jesteśmy bliżej Centauri-Ziemi, niż kiedykolwiek sądziliśmy. Już wkrótce rozpoczniemy procedurę lądowania. Naprawdę niedługo. Musicie tylko...

– Kłamstwo! – ryknął Bartie, tym razem nie z wi-komu, a ze swojej grzędy przy Dystrybufo. Wściekłość wykrzywiła rysy jego twarzy nie do poznania, oskarżenie wyleciało zaś z jego ust jak kamień rzucony w tłum.

– To nie są żadne kłamstwa – zapewniłem trzeszczącym przez wi-kom głosem. – Proszę was, zachowajcie spokój. Nasza misja...

*Biiip, biiip-biiip.*

– Do gzyfa z tą misją! – Bartie odzyskał kontrolę nad systemem wi-komów. – To tylko kolejna metoda Starszego, by nami manipulować! Rozejrzyjcie się, przyjaciele! To, co widzicie wokół, jest wszystkim, co nam zostało. „Błogosławiony” to nasz dom – za późno, żeby ludzię się obietnicą Centauri-Ziemi. Został nam tylko ten statek – i wolność!

– To ja dałem wam wolność! – próbowałem go przekrzyczeć i dopiero gdy moje słowa wybrzmiały, przypomniałem sobie o wi-komie. Zanim jednak zdążyłem go użyć, Bartie unieważnił mój dostęp.

– Nawet jeśli Starszy twierdzi, że to on dał wam wolność, zastanówcie się, ile rzeczy wciąż kontroluje. To on podejmuje wszystkie decyzje, to od niego zależy, kto może jeść i ile, kto dostaje leki... I to on ponownie dopuścił użycie fidusa! To była jego decyzja, jego wybór, a teraz wy musicie za to płacić.

Przypomniałem sobie dzień, w którym natknąłem się na Bartiego w Sali Nagrań. Czytał podręcznik pod tytułem *Systemy komunikacyjne od strony technicznej* i historię rewolucji francuskiej. Nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że to on stał za włamaniem do systemu plastplejów. Zacząłem się jednak zastanawiać, czy zapobiegłbym buntowi, gdybym

postąpił wtedy inaczej – może dzisiaj rozgniewany motłoch nie zgromadziłby się wokół ciała zamordowanego Fridricka?

– A co z jedzeniem? – zawołał ktoś z tyłu.

Bartie pchnął drzwi Dystrybufo.

– Bierzcie, ile zdołacie! – zawołał do tłumu. – Jeszcze trochę zostało.

To była kropla, która przelała czarę.

Ruszyli na Dystrybufo. Ktoś wybił szyby na parterze i część ludzi zaczęła wchodzić do środka przez okna. Napierali z takim impetem, że Bartie musiał uciec im z drogi, a wracając, przepychali się przez tłum. Toczyli przed sobą beczki albo dźwigali na plecach ciężkie worki z żywnością. Inni próbowali ich zatrzymać, rozrywając worki i wyklócając się o ich zawartość. W powstałym zgiełku wąła podpora ciała Fridricka puściła i martwy kierownik Dystrybufo runął z transparentu na ziemię. Ludzie odskoczyli, ale tylko na chwilę – zaraz potem przelali się falą nad miejscem, gdzie upadł, ignorując ciało w pogoni za jedzeniem.

Wybuchnęła walka. Z początku ci z tyłu siłowali się z tymi z przodu, by dotrzeć na czoło tłumu, jak najbliżej magazynu z jedzeniem. Przepychanki szybko zmieniły się jednak w ciosy, a ciosy w regularne bójki. Dwaj mężczyźni odwrócili się do siebie, zapominając o żywności. Większy uderzył mniejszego w twarz tak mocno, że na pobliskich ludzi trysnął strumień krwi. Przyjaciół poszkodowanego wziął sprawy w swoje ręce i już wkrótce sierpowe i kopniaki padały ze wszystkich stron, a dwaj mężczyźni, od których wszystko się zaczęło, zniknęli w pełnym bezładzie krwi, pięści i odgłosów ciała uderzającego o ciało.

Widziałem już chaos sol-ziemskich walk na nagraniach i zdjęciach z sieci plastplejów, ale to było coś innego. Ten chaos rozgrywał się na moich oczach.

– Z drogi, gzyfowi durnie! – wrzasnęła jakaś kobieta, a w dół ulicy pomknęła beczka z mlekiem. Desperatka rzuciła się za nią w pościg, krzycząc na każdego, kto próbował się zbliżyć do jej zdobyczy.

– Szklarnie! – zawołał ktoś inny, prowadząc grupę około dwudziestu osób w kierunku sekcji produkcyjnej. Szlag. Byłem pewien, że zniszczą wszystkie plony, jakie nam zostały.

Spróbowałem nadać kolejny globalny komunikat, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Jakiś mężczyzna odepchnął z drogi kobietę, przewracając ją na ziemię. Inny rzucił się jej na pomoc i wyprowadził solidny cios pięścią. Zanim zdążyłem zareagować, do walki dołączyli dwaj postronni świadkowie. Kobieta wyczołgała się spod skłębionego motłochu. Ktoś upuścił wór z żywnością, a jego zawartość – pomidory i papryczki – wysypała się na ulicę. Ci, którzy stali z boku, zaczęli podnosić rozgniecione warzywa i ciskać nimi w walczących. Krąg rozszalałych ludzi rósł z każdą chwilą.

Aż w końcu ktoś odwrócił się do mnie. Cały czas trzymałem się w bezpiecznej odległości od napływającej masy ciał, zamiast od razu wziąć nogi za pas.

– To Starszy! – wrzasnął napastnik. – Za nim!

Odwrócili się jak jeden organizm – wielogłowy potwór gotowy do ataku.

– Pożar! – usłyszałem nagle krzyk. Z okna Dystrybufo buchnął dym, wijąc się wokół transparentu z hasłem „Bądź posłuszny władzy”.

Korzystając z zamieszania, rzuciłem się do ucieczki. Skręciłem w jedną z bocznych uliczek i aktywowałem wi-kom.

– Amy – wydyszałem, gdy tylko odebrała – schowaj się w pokoju i zamknij drzwi. – Zanim zdążyła odpowiedzieć, przerwałem połączenie.

Gnałem prosto do grawiszybu. Widziałem też innych uciekinierów – chowali się po domach albo w polu, podobnie jak ja szukając w pośpiechu kryjówek. Jakiś mężczyzna pociągnął towarzyszkę w stronę kwartału rzeźników. Złapał za tasak i stanął u wejścia

jednego z zakładów, gotów zaatakować każdego, kto się zbliży. Inna kobieta przewróciła się na schodach prowadzących do jej domu i z płaczem chwyciła się za brzuch.

Kiedy pęd grawizybu porwał mnie w górę, zobaczyłem chaos, który rozciągał się pod moimi stopami. Pożar zdążył objąć całe Dystrybufo, a czarny dym osmalał malowane niebo.

Moje oczy potrzebowały chwili, by przyzwyczaić się do warunków panujących na Poziomie Sternika – wydawał się mroczniejszy od oświetlonego lampą solarną Poziomu Żywiciela. I spokojniejszy. Poziom Żywiciela kipiał szaleństwem mieszkańców, ale za to tutaj napięcie było wyczuwalne jak gęsta mgła.

Podbiegła do mnie Shelby; wyglądało na to, że cały czas czekała na mój powrót.

– Co robimy? – zapytała.

Cały poziom zamarł, czekając, co odpowiem.

– Zbierz sterników pierwszego szczebla. Spotkamy się przy wejściu na Mostek.

– Ale *sir*... Co z Poziomem Żywiciela?

– To jest rozkaz. Wykonać. Natychmiast!

Spojrzałem na nią z góry. Staralem się przybrać chłodny, beznamiętny wyraz twarzy, który tak umiejętnie wykorzystywał Najstarszy, by wzrokiem wymusić na Shelby posłuszeństwo. Nie byłem pewien, czy w moim przypadku też to zadziała, choć przecież dzieliliśmy z Najstarszym to samo DNA. Wydawało mi się, że jestem w stanie wykrzywić twarz w identycznym grymasie władczości i apodyktyczności, jednak im więcej o tym myślałem, tym bardziej czułem się jak chłopiec przymierzający buty ojca.

Mimo to Shelby usłuchała – wcisnęła guzik wi-komu i wydała sternikom pierwszego szczebla rozkazy, po czym pomaszerowała w stronę Mostka.

Nie ruszyłem za nią od razu, bo sam musiałem zakomować.

– Kom-link: Bartie – wydałem komputerowi polecenie.

Po chwili Bartie odebrał.

– Zniszczysz nasz wszystkich – warknąłem.

– To ty otworzyłeś drzwi – odpowiedział zmęczonym głosem, jakby biegł – uciekał przed rozwścieczonym tłumem, który sam stworzył. – Ja tylko pokazałem ludziom drogę.

Najpierw usłyszałam wi-kom.

Potem zobaczyłam dym.

A potem usłyszałam – gdzieś daleko – odgłosy rewolucji ogarniającej statek.

Starszy zakomował do mnie i z początku poczułam ulgę – przynajmniej wiedziałam, że wymknął się motłochowi – ale dyszał, jakby biegł, gnał na złamanie karku, i zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, przerwał połączenie.

Popędziłam prosto do Szpitala, do windy, na poziom kriogeniczny.

Spowijała go cisza i chłód.

Ponad moją głową szalał gniew, ogień i chaos.

A tutaj dominował bezruch i lód.

Wyciągnęłam jednocześnie oboje rodziców, rozkoszując się dotykiem chłodnego metalu na skórze i dźwiękiem, jaki wydawały komory, osiadając na stojakach.

– Dzisiaj mi was brakuje – szepnęłam.

Wiedziałam, że to głupie, że to bez sensu, ale maleńka część mojego umysłu nadal wierzyła, że moi rodzice potrafiliby wszystko naprawić. Nawet ogarnięty buntem statek, nawet ludzi rozrywających na strzępy jedyny dom, jaki kiedykolwiek znali. Nawet mnie, uwięzioną w oku cyklonu.

Starszy mówił, że statek wkrótce wyląduje, wyszeptał głos do tej części mnie, która wciąż za nimi płakała.

Skoro i tak zostaną obudzeni, kiedy wylądujemy, dlaczego nie obudzić ich już teraz?

Dlaczego nie?

Dlaczego nie?

Dlaczego nie?

## STARSZY

Jak, do gzyfa, miałem poradzić sobie z tym buntem? Gdyby ludzie choć przez chwilę mnie posłuchali, omawialibyśmy teraz szczegóły procedury lądowania na Centauri-Ziemi. A tymczasem wszystko wskazywało na to, że mieszkańcy „Błogosławionego” postawili sobie za cel rozerwać statek na strzępy.

Wparowałem do sterowni systemów irygacyjnych.

– Uruchom najsilniejszy program deszczu, jaki posiadamy – rozkazałem Tearle’owi, sternikowi pełniącemu służbę.

– Ale Starszy – zaprotestował Tearle – istnieje ryzyko, że taka ulewa wywoła krótkotrwałe powodzie na ulicach Miasta.

– Rób, co mówię.

– Jak długo ma padać? – Wciąż się wahał, ale mimo to podszedł do panelu sterowania systemami irygacyjnymi.

– Powiem ci, kiedy ma przestać.

Przeszedłem przez korytarz do sterowni lampy solarnej. Zazwyczaj jej działanie było całkowicie zautomatyzowane, ale temperaturę ustalała płochliwa sterniczka o imieniu Larin, która na pierwszy rzut oka przypominała bardziej farmerkę niż inżyniera.

Chwyciłem plastylej i przywołałem obraz z kamer monitorujących umieszczonych w całym Mieście. Pierwszy przekaz pochodził z Dystrybufo – zalewał je deszcz, a ogień powoli gasł, pozostawiając po sobie tłącą się ruinę. Przeciągnąłem dłonią po wyświetlaczu, by obejrzeć przekaz z farm, szklarni i głównej ulicy Miasta. Ludzie walczyli, przekrzykując ulewę. Chociaż nie dysponowałem głosem, nie potrzebowałem go – już wiedziałem, jak brzmi bunt.

– Chciałbym zasłonić lampę solarną – zwróciłem się do Larin. Obserwowała mnie z troską malującą się na twarzy i czekała na polecenia.

– Ale Starszy, przecież mamy środek dnia! – Zmierzyła mnie takim wzrokiem, jakby się zastanawiała, czy już mi całkiem nie odbiło.

Cóż, pewnie odbiło. Nigdy dotąd nie wyłączaaliśmy lampy solarnej. Podczas symulacji nocy była zasłaniania zgodnie z zaprogramowaną procedurą, dzięki czemu ciemność trwała dokładnie osiem godzin i zapadała wyłącznie w oznaczonym czasie. Który jeszcze nie nadszedł.

– Zasłoń lampę – powtórzyłem.

– Ale...

– Zasłoń ją.

Larin wstała i podeszła do panelu sterowania, jednak jej palce zawisły nad przyciskiem. Wymamrotała coś niewyraźnie.

– Mówiłaś coś? – rzuciłem.

– Może Bartie ma rację – odparła głośno.

Podszedłem do niej i uderzyłem pięścią w przycisk. Poziom Żywiciela pod naszymi stopami pograżył się w mroku. Ale nie my. Nachyliłem się do twarzy Larin. Gdyby Marae tu była... Niech to gzyf, gdyby Najstarszy tu był...

Larin wpatrywała mi się buntowniczo w oczy.

Ale w końcu odwróciła wzrok.

– A teraz odsłoń lampę – poleciłem.

Natychmiast sięgnęła do przycisku i ustawiła go w pierwotnej pozycji. Obserwowała mnie, licząc, że wreszcie wyjdę, ale chwilowo nie miałem zamiaru nigdzie się stąd ruszać.

Odczekałem jakąś minutę.

Na plastpleju widać było ludzi gapiących się w niebo i mrużących oczy przed rześzystym deszczem. Nigdy wcześniej ciemność nie zapadała przed zaprogramowaną nocą. Przynajmniej udało mi się zaskoczyć ich na tyle, że zaprzestali walk.

– Dobrze, jeszcze raz zasłoń lampę.

Larin znów się wahała, ale tym razem nie zaprotestowała.

Przekaz z plastpleja pociemniał.

Wcisnąłem guzik wi-komu, by nadać komunikat globalny.

– Uwaga, mieszkańcy „Błogosławionego”. W porze wieczornej wszyscy mają się stawić w Wielkiej Sali na Poziomie Strażnika. Wszyscy – powtórzyłem.

– Możesz odsłonić – rzuciłem do sterniczki, kończąc połączenie.

Posłuchała, ale nawet na chwilę nie oderwała ode mnie wzroku.

Jeszcze raz aktywowałem wi-kom. Wiedziałem, że Bartie nie będzie zbyt długo zwlekać z nadaniem własnego komunikatu – pewnie czegoś o tym, że nie mam prawa ot tak ściągać na Poziom Strażnika wszystkich mieszkańców.

– Wi-kom, przekaż uprawnienia, Starszy. Kod autoryzacyjny: 00G. Wyłącz wszelką komunikację, wyjątek: urządzenie Starszego.

Obróciłem się i wyszedłem ze sterowni lampy solarnej, po czym poinstruowałem Tearle'a, by zatrzymał deszcz. Teraz Bartie nie mógł już do nikogo zakomować. Oprócz mnie nikt nie mógł. Na szczęście Amy siedziała bezpiecznie w swoim pokoju.

Idąc przez poziom, czułem na sobie wzrok sterników. Przerywali pracę i obserwowali mnie bacznie. Czekali, aż się oddalę, i dopiero wtedy wracali do swoich zajęć.

Jeszcze wczoraj byłbym pewien, że ich oczy są pełne pytań i wątpliwości, a ta świadomość wystarczyłaby, żebym rozsypał się w środku na kawałki.

Ale dzisiaj miałem to gdzieś. Dzisiaj korzystałem ze swojej władzy tak, jak powinienem był korzystać z niej od samego początku.

Po raz pierwszy w życiu czułem się jak prawdziwy Najstarszy.

Shelby i pozostali sternicy pierwszego szczebla czekali na mnie za drzwiami prowadzącymi na Mostek. Podszedłem do nich zdecydowanym krokiem i zamknąłem je.

– Co pokazały skany? – zapytałem. Jeśli tylko lądowanie na planecie mogło zamknąć Bartiemu gębę i powstrzymać jego „rewolucję”, to trzeba po prostu posadzić ten gzyfowy statek. Ale najpierw musiałem się upewnić, że nie spotka nas nic złego.

Czekając, aż Shelby wyświetli wykresy na plastpleju, gotowałem się w środku. Choć było to irracjonalne, w głębi ducha winiłem za część naszych problemów Oriona. Może z jego wskazówek naprawdę dało się wyciągnąć jakieś cenne informacje, które ułatwiłyby nam lądowanie, ale i tak uważałem, że zupełnie mu odbiło – po co w ogóle je przed nami ukrywał?

Shelby podała mi plastplej.

– Zgodnie ze wszystkimi przeprowadzonymi skanami środowisko planety jest zdadne do zaludnienia. Nie brakuje wody, powietrza, roślinności... Nic nie wskazuje na to, żebyśmy nie mogli wylądować już teraz – zakończyła.

Ton jej głosu sugerował jednak, że gdzieś krył się haczyk.

– O co chodzi?

– Według protokołów na Mostku powinien się znajdować zestaw sond do bardziej szczegółowych badań – wyjaśniła. – Szukaliśmy wszędzie i nic.

– Po co nam te sondy, skoro skany niczego nie pokazały?

– Teoretycznie nie są nam potrzebne. Ale... gdybyśmy chcieli trzymać się procedur,

powinniśmy je wysłać. A poza tym wciąż mi się to nie podoba. Dlaczego przez cały ten czas wisielśmy na orbicie? Dlaczego nie wylądowaliśmy od razu po przybyciu? No i brakuje nie tylko sond, nigdzie nie ma też skrzynek komunikacyjnych.

– Czego?

– Na „Błogosławionym” znajdował się system służący do komunikacji z Sol-Ziemią. Mamy schematy i instrukcje obsługi na wypadek, gdyby coś się zepsuło, tyle że tego sprzętu po prostu nie ma. Nie chodzi tylko o to, że straciliśmy kontakt z Sol-Ziemią – straciliśmy także jedyną metodę komunikacji na taką odległość.

Wszyscy pozostali sternicy pierwszego szczebla wyglądali na zdenerwowanych. Oni też się martwili. Coś było nie w porządku.

– Teraz nie ma znaczenia, dlaczego tak się stało – odparłem. – Znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia. Musimy wylądować i na szczęście możemy, więc wylądujemy.

Shelby skinęła głową.

– Jesteście przygotowani do procedury lądowania? – zapytałem.

– Przeprowadzałam symulacje ze wszystkimi sternikami pierwszego szczebla. – Shelby wyprostowała się. – Jesteśmy gotowi.

Spojrzałem na rozbudowane panele sterowania w przedniej części Mostka.

– Wyglądają na skomplikowane.

– To tylko pozory. Tak naprawdę będziemy korzystać z autopilota... – Shelby wreszcie się rozluźniła i wskazała środkową część panelu, wyposażoną w kilka przełączników. – Statek został zaprojektowany w taki sposób, by samodzielnie wylądować, gdy zostanie pokierowany na planetę. Pozostałe układy sterowania są tu jedynie na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. To – wskazała duży czarny przycisk – uruchamia procedurę.

– O ile dobrze pamiętam, mówiłaś, że silniki sterujące nie działają.

Zaśmiała się, ale usłyszałem w jej głosie ulgę.

– Bo nie działają. Na szczęście nie są nam potrzebne. Do lądowania przewidziano dodatkowy napęd z własnym systemem zasilania – silniki o małym ciągu i dużej mocy, które pozwolą nam przejść przez orbitę. Awaria głównych silników nie ma znaczenia, bo już nigdy nie będą nam potrzebne – dodała z zachwytem. Dopiero zaczynała zdawać sobie sprawę, jak wiele się zmieniło od odkrycia planety.

– Więc wystarczy wcisnąć ten guzik – chciałem się upewnić, wskazując panel – i statek wyląduje?

– Teoretycznie, ale to nie będzie takie proste. Zwykle silniki są potrzebne, żeby po wejściu w atmosferę skierować statek na odpowiednie lądowisko. Zawsze istnieje też ryzyko, że przy samym wejściu wydarzy się coś nieprzewidzianego. Wtedy będziemy potrzebować... – Machnęła w stronę pozostałych układów panelu sterowania. – Ale nie ma się co martwić na zapas. Ja i pozostali sternicy znamy się na rzeczy, a panel sterowania jest sprawny. Zgodnie z zapisami protokołów podczas całej misji sześciokrotnie korzystano z ręcznego sterowania. Wiele pokoleń temu przelecieliśmy przez pas asteroidów, a nasi przodkowie sprzed czasów Plagi musieli skorygować plan lotu.

Spojrzała mi w oczy i mimowolnie rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu.

– My naprawdę posadzimy tę kupę złomu, co, Starszy?

– Och, możesz być tego pewna – odparłem. – Ale zanim to zrobimy, chcę wszystkim pokazać, czego omal nie stracili.



Zamykając rodziców z powrotem w komorach kriogenicznych, myślałam o wszystkim, co chciałam im powiedzieć, lecz poprzestałam na zwykłym „wkrótce”.

Zastanawiałam się, czy nie wrócić do pokoju – mój burzący brzuch byłby wdzięczny za jakiś posiłek – wątpiłam jednak, aby w Szpitalu znalazło się coś do jedzenia, a na dodatek nie mogłam skontaktować się ze Starszym przez wi-kom.

Żałowałam trochę, że zamiast zjeżdżać tu windą, nie poszłam zbadać schodów, które znalazłam dzięki wskazówkom Oriona. Byłam ciekawa, dokąd mogły prowadzić – z pewnością do ostatnich zamkniętych drzwi. Jednak choć nikt poza mną nie miał o nich pojęcia, bałam się tam myszковать bez Starszego.

Zamiast tego ruszyłam do śluzy wychodzącej na gwiazdy. Może uda mi się dojrzeć planetę przez półokrągły luk.

Dziwne...

Kod otwierający śluzę brzmiał *Blogosławiony* lub – na klawiaturze numerycznej – 46377333. Na wyświetlaczu widniały cyfry 46377334, ale po chwili zniknęły. Zastąpił je komunikat: BŁĘDNY KOD. Gdy wiadomość zmieniła się z powrotem w serię cyfr, zajrzałam do środka.

Ktoś tam leżał, twarzą do podłogi.

Wybałuszyłam oczy. Skasowałam błędny kod i wpisałam nowy, otwierając drzwi.

Serce mi zamarło. Od razu poznałam, kto to, a moja dłoń powędrowała do wi-komu. Usiłowałam połączyć się ze Starszym, ale to durne urządzenie tylko piszczało bezużytecznie. Patrzyłam na ciało na podłodze, czując, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Nie mogłam nabrać powietrza w płuca.

– Luthor? – zapytałam niepewnie.

Spróbowałam zakomować do Doktora, ale smród rozkładu nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że jest za późno.

Odwróciłam ciało na plecy. Od nadgarstków aż po łokcie ciągnęły się zielone medplasty.

Zaczęłam szukać wiadomości, o której wspominał Starszy, wypisanej zwykle na ofiarach: *Bądź posłuszny władzy*. Niczego jednak nie znalazłam – oprócz medplastów i śmierci.

Oczy Luthora były otwarte, szkliste. Spoglądały prosto przed siebie.

Ciało sztywne. Zimne. Nie żył już od dłuższego czasu.

Umarł w tym pomieszczeniu, pewnie zanim Starszy wydał komunikat o lądowaniu na planecie. Umarł, nie zaznawszy nadziei. Umarł w chłodzie i samotności, odcięty od światła gwiazd, na twardej metalowej podłodze, otoczony ścianami.

Nie mogłam już nic zrobić. Był martwy.

Zerknęłam na klawiaturę przy drzwiach. Ten, kto podrzucił ciało do śluzy, zamierzał wpisać kod i otworzyć zewnętrzny właz, oddając Luthora próżni kosmosu. Pomylił się jednak przy ostatniej cyfrze i niechcący zostawił ciało.

Przygryzłam wargę, usiłując dojść, kto mógł to zrobić – i jak powinnam zareagować, gdy już się tego dowiem. Czy morderca Luthora zasługiwał na karę? Luthor próbował mnie zgwałcić, zgwałcił Victrię i przy pierwszej okazji zrobiłby to jeszcze raz. Popierał bunt nie z powodu wiary w ideały demokracji – po prostu fascynował go chaos. Nigdy nie okazał skruchy. Nie popełnił błędu – był złym człowiekiem, wiedział o tym i czerpał z tego satysfakcję.

Przypomniałam sobie gniew w oczach Starszego, kiedy opowiedziałam mu, co zrobił mi Luthor. Zaraz potem Starszy odszedł energicznym krokiem.

Nie. N i e.

Zmusiłam się, by sięgnąć myślami w przyszłość.

Lądowanie na planecie.

Świeże powietrze.

Moi rodzice, przebudzeni, znów ze mną.

Nigdy więcej ścian.

Z rozmysłem odwróciłam się od martwego ciała i podeszłam do drzwi. Zamknęłam je za sobą, z całych sił starając się nie patrzeć na zwłoki.

Zaczęłam wpisywać poprawny kod na klawiaturze przy drzwiach: *B-l-o-g-o...*

Zamarłam.

Poczułam pod tuniką ciężar złotego krzyżyka na łańcuszku, jakby próbował pociągnąć mnie w dół. I pełne dezaprobaty spojrzenia rodziców, zamrożonych i zamkniętych w komorach kriogenicznych. To... to było tuszowanie morderstwa.

Morderstwa strasznego człowieka, który zasłużył na śmierć.

Ale wciąż człowieka.

Zasłużył sobie.

Pomyślałam o poznaczonej łzami twarzy Victrii.

Nie mogłam nic zrobić. I tak już nie żył.

Mogłabym powiedzieć Starszemu.

Ale co, jeśli miałam rację, i jeśli Starszy...

Błyskawicznie wpisałam cały kod.

Śluza otworzyła się, a ciało Luthora wyleciało na zewnątrz.

Zniknął.

Na zawsze.

## STARSZY

Dotarłem na Poziom Strażnika na kilka minut przed wyłączeniem lampy solarnej, tym razem o zaprogramowanej porze, i pogałem prosto do kwatery Najstarszego. Otworzyłem z rozmachem drzwi garderoby, by wyciągnąć ceremonialną togę strażnika. Gwiazdy skrzyły się na ramionach, a wzdłuż brzegu biegły kłosa. Ta szata symbolizowała wszelkie nadzieje i marzenia, jakie moi ludzie kiedykolwiek znali, a ja dzisiaj wieczorem zamierzałem je spełnić.

Wcisnąłem wi-kom, by nadać komunikat globalny.

– Wszyscy pasażerowie „Błogosławionego” proszeni są o stawienie się na Poziomie Strażnika – oznajmiłem, po czym przerwałem połączenie. Miałem za mało czasu, by marnować go na słowa.

Ściągnąłem togę z wieszaka i zarzuciłem ją sobie na ramiona. Kiedy przymierzałem ją za pierwszym razem, miałem wrażenie, że jest na mnie zbyt obszerna. Dziś stałem jednak dumnie wyprostowany, z wypiętą piersią, i pasowała idealnie.

Po kilku minutach usłyszałem pierwszych ludzi. Byłem pewien, że nie znajdę wśród nich Amy – nie przyszlaby tutaj pośród takiego tłumu – i chociaż cieszyłem się, że spędzi wieczór bezpiecznie, zamknięta w swoim pokoju, żalowałem, że nie mogłem zostawić wszystkich innych i pójść na Mostek tylko z nią.

Obcasy dudniły ciężko na metalowej podłodze, a rozmowy były donośne, zupełnie niepodobne do szeptów wypełniających Wielką Salę podczas ostatniego spotkania, które zorganizował Najstarszy.

Wiedziałem, że chwilę potrwa, zanim wszyscy się zjawią. Dolatywały do mnie głosy Shelby i pozostałych sterników – próbowali zorganizować grupę, żeby dla nikogo nie zabrakło miejsca. A także, jak się domyślałem, zajmowali miejsca wśród ludzi, którzy stanowili największe zagrożenie. Przysiadłszy na łóżku Najstarszego, wciągnąłem powietrze w płuca, po czym powoli je wypuściłem. Nie zachwycała mnie wizja przemowy, nie do wszystkich mieszkańców statku, ale w pewnych sytuacjach słowa są niezbędne. Muszę dać radę, pomyślałem.

Ktoś zapukał do drzwi, więc wstałem i otworzyłem. Do środka wślizgnęła się Shelby. Zacząłem się zastanawiać, skąd wiedziała, że zastanie mnie tutaj, a nie w moim własnym pokoju, ale potem mnie olśniło. Pewnie zawsze zakładała, że będę właśnie tu, w kwaterze Najstarszego. Byłem obecnym Najstarszym, nawet jeśli nie chciałem przyjąć nazwy tej funkcji.

– Chciałam tylko... och – rzuciła na mój widok.

– Coś nie tak?

– Czy to na pewno dobry pomysł?

– Co? – Podążyłem za jej spojrzeniem. – Chodzi ci o togę? Najstarszy ją nosił.

– Tak, ale...

– Czego ode mnie potrzebujesz?

– Wydaje mi się, że wszyscy już przyszl, *sir* – wyjaśniła, ściągając łopatki.

Przez chwilę miałem wrażenie, że szata strażnika chce mnie połknąć. Zmusiłem się, by wyprostować plecy, i ruszyłem do drzwi. Otworzyły się przede mną.

Po tłumie rozeszła się fala ciszy – ci stojący przy kwaterze zamilkli od razu, a za nimi po kolei każdy następny rząd. To naprawdę był t ł u m. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jakie wrażenie robią na człowieku ponad dwa tysiące zwróconych do niego twarzy.

Ich oczy śledziły mnie, gdy zmierzałem do podestu, który przygotowali mi sternicy.

– Ty oszuście! – poniósł się ponad głowami ludzi krzyk.

Wszyscy zaczęli się rozstępować, robiąc przejście, którym szedł Bartie.

– Kto ci dał prawo do zakładania tej szaty? – Jego twarz była czerwona aż po koniuszki uszu.

– Ja... – urwałem. Nie mogłem powiedzieć, że jestem Najstarszym – nigdy formalnie nie przyjąłem tej funkcji. A prawo zakładania szaty strażnika przysługiwało tylko Najstarszemu.

Zaraz potem okazało się jednak, że moja odpowiedź – błyskotliwa czy nie – nie miałaby żadnego znaczenia, bo Bartie pchnął mnie tak mocno, że zatoczyłem się i wpadłem na ścianę.

– Co ci odbiło, do gzyfa? – syknąłem, ale zagłuszył mnie głos Bartiego.

– Zamierzacie się na to godzić?! – ryknął, odwracając się do tłumu. – Jakim prawem to d z i e c k o zwołuje nas tutaj i paraduje przed nami w szacie Najstarszego?! On nie jest Najstarszym, nie jest naszym przywódcą!

A ludzie zaczęli wiwatować.

Z pewnością nie wszyscy, ale wystarczająco wielu, by wrzawa ich poparcia przewierciła mi się przez czaszkę i wsiąkła w mózg jak w gąbkę.

– Zasługujemy na nowego przywódcę. Takiego, którego sami wybierzemy!

Złapałem Bartiego za rękę i odwróciłem do siebie.

– Niech cię gzyf, co ty robisz, człowieku?!

– Wykonuję twoją pracę.

– Sam sobie poradzę! – parsknąłem.

– Serio? – Odepchnął mnie mocno, a ja znów uderzyłem plecami o ścianę. Mówił teraz ściszym głosem, ale i tak wszyscy go słuchali. Udało mu się wywołać głębszą ciszę niż mnie. Kiedy ludzie zamilkli na mój widok, po prostu przestali mówić; teraz jednak nie tylko milczeli – teraz wsłuchiwali się w głos Bartiego, w każde pojedyncze słowo. – A co udało ci się zrobić, odkąd zginął Najstarszy? Nic.

– Przestałem faszerować was fidusem!

– Nie wszyscy chcieli odstawić fidusa. Co zrobiłeś dla tych, którzy nie chcieli?

Pozwoliłeś, by zaszyli się przerażeni w domach. Pozwoliłeś, by umierali na ulicach.

Zauważyłeś chociaż, jak wielu z nas dzisiaj brakuje? Zauważyłeś, ilu ludzi porzuciło pracę? Ilu jest załamanych, przestraszonych albo samotnych? Obchodzi cię chociaż ich los?

– Oczywiście, że obchodzi!

Bartie cofnął się o krok, mierząc mnie wzrokiem z góry na dół.

– Nie możesz być Najstarszym, jeżeli wciąż jesteś Starszym – stwierdził w końcu cichym i spokojnym głosem, ale tak, by ludzie go słyszeli. – A poza tym – dodał szeptem, tym razem tylko do mnie – nie możesz być Najstarszym, jeżeli Amy jest dla ciebie ważniejsza od „Błogosławionego”.

Nie byłem pewien, czy sprowokował mnie jego szyderczy ton, czy raczej strach, że mógł mieć rację, ale wzięłem zamach i z całej siły uderzyłem go pięścią w twarz.

W pierwszej chwili wyglądał na zaskoczonego, jednak szybko doszedł do siebie i wyprowadził haka, który trafił mnie prosto w podbródek. Odrzuciło mi głowę tak mocno, że aż usłyszałem trzaśnięcie, a zęby uderzyły o język. Poczulem w ustach smak krwi; na szatę Najstarszego kapnęło kilka ciemnoczerwonych kropelek.

Tłum rzucił się naprzód, a cisza eksplodowała jego rykiem. Tuż obok najwięksi zwolennicy Bartiego zaczęli skandować: „Rządźcie swoim życiem! Rządźcie swoim życiem!”. Przez okrzyki przebił się głos Shelby, która wyrzaskiwała rozkazy do sterników. Zanim zdążyłem ruszyć w jej stronę, Bartie trafił mnie prosto w brzuch. Przewracając się, zauważyłem kątem oka, jak Shelby skoczyła, by mnie bronić. Niestety na niewiele się to zdało – podczas gdy ona blokowała Bartiego, jeden z jego zwolenników dopadł mnie i cisnął mną o ścianę.

Uderzyłem łokciem o metal i syknąłem z bólu, ale zamachnąłem się nogą, trafiając go kolanem prosto w żołądek.

Pognałem na podest, przeskakując nad pojedynczym schodkiem.

– Wystarczy! – krzyknąłem ile sił w płucach.

Najwyraźniej żywicieli mieli na ten temat inne zdanie. Oto, czym byłem przywódcą: skłębionej masy ludzi, którzy albo mnie nienawidzili, albo ignorowali.

Wdusiłem przycisk wi-komu i skrzywiłem się, bo gwałtowny ruch spowodował wybuch bólu w stłuczonym ramieniu.

– Polecenie bezpośrednie: zakłócacz tonalny, zmienny ton, drugi poziom intensywności. Zastosuj dla całego statku.

Wreszcie odwrócili głowy w moją stronę, niektórzy z powściągliwym wyrazem twarzy zarezerwowanym wyłącznie dla Najstarszego.

– Wyłącz zakłócacz tonalny. – Przerwałem połączenie wi-komu. – Nie wezwałem was tutaj, żeby rozstawiać was po kątach! – krzyknąłem. – Wezwałem was, żeby... Niech to gzyf, po prostu chodźcie za mną i zobaczcie sami.

Przepchnąłem się przez tłum i otworzyłem właz prowadzący na Poziom Sternika. Zeskoczywszy na dół, ruszyłem prosto do maszynowni. Usłyszałem za sobą wołanie Shelby, ale zignorowałem ją. Pewnie chciała mi powiedzieć, że ten obszar jest zamknięty dla żywicieli, że nie wolno mi tego zrobić, ale ci ludzie zasługiwali na prawdę. Musieli ją zobaczyć na własne oczy.

Gdy otworzyłem drzwi Mostka, tłum zaczął wlewać się do środka. Z tyłu co rusz dolatywały mnie okrzyki zachwytu i zdumienia na widok silnika – dotychczas do maszynowni mieli wstęp wyłącznie sternicy pierwszego szczebla. Nie wszyscy zmieścili się na Mostku i Shelby razem ze sternikami musiała zorganizować ludzi, pokazując im, gdzie stać, i odcinając Mostek, kiedy zrobiło się zbyt tłoczno. Inni pomagali jej, puszczać w tłum wiadomość, że każdy będzie miał szansę, by wszystko zobaczyć.

Przeciągnąłem palcem po skanerze biometrycznym. Metalowe panele rozsuwały się powoli, ukazując obsypany gwiazdami skrawek nieba, który jednak szybko przyćmiło światło planety oblewające swym blaskiem krawędzie okna, znaczące jego brzegi obietnicą i nadzieją. Zapomniałem o otaczającym mnie tłumie – widziałem tylko poskręcane białe pasma nad bezmiarem błękitu i zieleni; widziałem świat, cały świat, n a s z świat.

– Dotarliśmy do domu! – krzyknąłem.

Przez jakąś sekundę w uszach dzwoniła mi cisza, ale zaraz potem wybuchł chaos.

Tylko że tym razem nikt nie walczył i nie przeklinał – tym razem ludzie krzyczeli ze szczęścia i z radości. Niektórzy przepychali się naprzód z uniesionymi wysoko rękami. Nie mogli nawet dotrzeć do okna, ale mimo to stawali na palcach, jakby ich dotyk mógł sprawić, że planeta stanie się bardziej prawdziwa. Sternicy rzucili się, by utworzyć zwarty łańcuch i ochronić panel sterowania.

Shelby kierowała ludźmi, ale sternicy musieli czasem używać siły, by ruch przebiegał sprawnie, i odciągali za ręce tych, którzy zbyt długo wystawali pod oknem. Nie wszyscy reagowali radością. Victoria patrzyła na planetę tylko przez chwilę, po czym załżała się łzami i uciekła z Mostka. Jakaś kobieta przykleiła sobie bladozielony medplast do nadgarstka tuż nad siecią niebieskich żył. Oczy zaszyły jej mgiełką bezmyślności, gdy tylko lek zaczął działać. Jeszcze inni rozmawiali między sobą, rzucając mnie i sternikom ponure spojrzenia. Widzieli już fałszywe gwiazdy, które pokazał im Najstarszy. Czyżby naprawdę myśleli, że zdołałem stworzyć fałszywą planetę? A może po prostu odrzucali od siebie myśl, że na wyciągnięcie ręki istniał nowy świat.

Bartie wychodził jako jeden z ostatnich.

– Jutro będziemy na powierzchni? – zapytał, zwrócony w stronę planety.

– Tak.

Zaczął kręcić głową, ale przy każdym jej ruchu niedowierzanie zdawało się ustępować miejsca przekonaniu. Dorastał ze świadomością, że dotrzemy do celu, gdy będzie już starym człowiekiem, a potem wmówiono mu, że nigdy nie zobaczy planety. Gdyby nie ujrzał jej na własne oczy, pewnie nigdy by mi nie uwierzył.

Zacisnął i rozluźnił pięści.

– Po lądowaniu... kto zostanie naszym przywódcą? – zapytał.

– Jak to kto?

– Będziesz nadal nam przewodzić czy władzę przejmie ktoś z zamrożonych?

Dobre pytanie. Do tej pory nikt nie zastanawiał się, co zrobimy po lądowaniu – nawet ja nie zwracałem sobie tym głowy.

– Cóż... nie wiem. Wydaje mi się, że... że to będę ja. Ja stanę na czele kolonii.

Bartie uniósł brwi.

– Zarządzanie kolonią to coś zupełnie innego niż zarządzanie statkiem – stwierdził. –

Być może będzie nam potrzebny nowy przywódca.

Zatrzymałem się.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę, żebyś naprawdę dobrze się zastanowił – zaczął powoli Bartie, nie patrząc mi w oczy – czy się do tego nadajesz. Czy jesteś tym, kogo potrzebujemy.

– Oczywiście!

– Skąd ta pewność?

Chociaż pytanie było proste, nagle zrozumiałem, że nie umiem na nie odpowiedzieć. Przychodził mi do głowy tylko jeden argument – że urodziłem się, by zostać przywódcą. Ale to za mało. Amy pokazała mi wystarczająco wiele przykładów z historii, bym zrozumiał, że książęta, którzy rodzą się spadkobiercami królestw, nie zawsze są sprawnymi przywódcami.

Chciałbym móc powiedzieć, że tylko ja nadawałem się do tej roli, tyle że...

Tyle że to nieprawda. W końcu był jeszcze Bartie.

Zignorowałam globalny komunikat, w którym Starszy zapraszał wszystkich na Poziom Strażnika. Nie mógł mieć na myśli także mnie. Moje poparcie przyniosłoby mi więcej szkody niż pożytku, a poza tym nie potrafiłam sobie wyobrazić większego niebezpieczeństwa niż tłoczenie się w ciasnym pomieszczeniu ze wszystkimi pasażerami statku. Zamiast tego spędziłam ostatnią godzinę z twarzą przyciśniętą do okienka w drzwiach służby, myśląc o tym, że gdzieś tam, poza polem widzenia, czeka na mnie planeta.

Stałam tak, aż nagle usłyszałam kroki i dźwięk drzwi na drugim końcu poziomu kriogenicznego.

W pierwszym odruchu zamarłam, lecz potem przypomniałam sobie, jak niewiele osób ma dostęp do tego poziomu, dlatego przekradłam się do głównego pomieszczenia. Drzwi do laboratorium genetycznego były otwarte.

– Halo? – zawołałam.

Ze środka doleciało szuranie. Przystąpiłam przez próg. Przed komorą kriogeniczną Oriona klęczała Victria. Jej ciemne włosy lepiły się do karku, a dłonie drżały, gdy założyła kosmyk za ucho. Krzesło, które zwykle stało przed komorą, leżało na ziemi, jakby Victria zsunęła się z niego, żeby znaleźć się bliżej Oriona.

– Jak ty to robisz? – zapytała głuchym głosem.

– Co robię?

– Twoi rodzice są zamrożeni, prawda? Jak to możliwe, że jeszcze ich nie obudziłaś? Są tak blisko...

Nie odpowiedziałam. W jej głosie było coś dziwnego, przerażającego.

– Mogłabym to zrobić. Mogłabym to zrobić tu i teraz. Odmrożenie człowieka wcale nie musi być trudne. Ty zostałaś odmrożona.

Zastygłam.

– Zresztą jaka to różnica? Statek wkrótce wylądaje. Mogłabym go po prostu odmrozić.

A więc Starszy powiedział im o planecie.

– Ja go potrzebuję! – Victria podniosła głos o oktawę. – Potrzebuję!

– Dlaczego? – zapytałam łagodnie.

– Bo jestem gzyfowo wystraszona, rozumiesz? Przerażona! – krzyknęła. Dłonie wciąż jej drżały. Wyciągnęła z kieszeni kwadratowy bladozielony medplast.

– Doktorek mówił, że są niebezpieczne – zauważyłam.

– Wszyscy je mają, wszyscy ich używają. – Głos Victrii brzmiał jak monotonna recytacja. – Nie więcej niż jeden, tylko jeden.

– Skąd go masz? – zapytałam nieufnie. Kit mówiła, że ktoś je ukradł.

Victria wzruszyła ramionami, usiłując otworzyć medplast, ale opakowanie zmięło się, zamiast rozedrzeć. Odrzuciła je i usiadła na podłodze, a z jej kieszeni wysypały się kolejne plastry, co najmniej tuzin. Uniosłam brwi. Chciałam wiedzieć, skąd je wszystkie wzięła, ale na razie wolałam o nic nie pytać. Oplotła nogi rękami i opuściła głowę na kolana, zapominając o medplastach.

– Czego tak bardzo się boisz? – zapytałam, zgarniając medplasty i chowając je do kieszeni, jak najdalej od niej

– Była taka... w i e l k a.

– Co takiego?

– Planeta.

Poczułam ukłucie w sercu. Starszy pokazał wszystkim planetę? Dlaczego nie wspomniał,

że ma taki zamiar? Może warto byłoby zaryzykować, żeby wreszcie zobaczyć ją na własne oczy. Albo... mógł mi ją pokazać wcześniej.

– Była ładna – dodała Victria. Jej wzrok przesunął się po mnie, zatrzymując na moich rudych włosach. – Ale inna. Dziwna.

– Spodoba ci się.

– Skąd wiesz?

– Cóż... nie będzie na niej ścian.

– Ale ja lubię ściany – wyszeptała.

I wtedy zrozumiałam, że dla niej metal nie był włączającą w klaustrofobiczną egzystencję klatką. Nie – dla niej te ściany były ścianami wygodnego domu. To świat zewnętrzny – ogromny, nieskończony świat – budził jej przerażenie.

– Orion mówił, że nie mamy pojęcia, co tam zastaniemy. Że to może być cokolwiek.

– Próbkę i skany dowodzą, że planeta nadaje się do za... – zaczęłam, ale ona nie dała mi dokończyć. Padła na kolana i pochyliła się, patrząc mi w oczy spanikowanym wzrokiem.

– Orion pokazywał mi różne rzeczy, zakazane nagrania. Na Sol-Ziemi były dinozaury. Potwory, które mogły cię pożreć, zwierzęta większe od ludzi. Przepaście, wulkany, tornada i trzęsienia ziemi...

– Lwy, tygrysy i niedźwiedzie, ojej – powiedziałam łagodnie, lecz Victria nie odebrała tego jak żartu – skinęła potakująco głową. Dla niej to też były potwory.

Pocierała żołądek tak mocno, że przypominała mi Buddę o lśniącym brzuchu w chińskiej restauracji, do której Jason zabrał mnie na pierwszą randkę, jeszcze zanim dowiedziałam się o istnieniu „Błogosławionego”.

– Nie mogę oddychać. Nie mogę oddychać – powtarzała, zaciskając konwulsyjnie dłoń na klatce piersiowej.

– Usiądź na krześle. – Podałam jej rękę, żeby pomóc jej wstać. Victria pokręciła głową tak gwałtownie, że poruszyła całym tułowiem. Odsunęła się. Ręce jej drżały, dostrzegłam też krople potu perlące się na twarzy i spływające po szyi. Kołysała się w przód i w tył, przyciskając nogi coraz mocniej do piersi, walcząc o oddech.

– Ja umieram, umieram! – wykrztusiła.

– Nie umierasz – powiedziałam stanowczo, z całych sił panując nad głosem. – Masz atak paniki. Victria, musisz się uspokoić. Twoje dziecko...

– Och, na gwiazdy, dziecko! – zawyla, kołysząc się jeszcze mocniej. – Nie mogę urodzić dziecka! Nie tam! Nie tam! – Zaczęła rzeźić, próbując nabrać powietrza.

– Victria. Victria! Uspokój się, proszę, uspokój się. Powiedz mi, co się dzieje – rzuciłam w desperacji. – Co cię tak przeraziło?

Zdołałam z niej wydusić jedynie: „śmierć”, „Orion”, „planeta” i „nie”.

Sięgnęłam do kieszeni po ten sam medplast, który Victria próbowała wcześniej otworzyć. Pod opakowaniem poczułam osobliwie miękką i cienki plaster; aż trudno było uwierzyć, że ten kwadracik mógłby powalić człowieka, że trzy takie kwadraciki zabijają. Przylepiłam go Victrii do dłoni.

Przestała się kołysać. Jej ręce rozluźniły się, nogi wyciągnęły na podłogę.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam cicho.

Zamrugnęła.

– Chodź. – Wstałam i podałam jej rękę, a ona podciągnęła się na nogi. Ramiona miała jednak pochylone, a wzrok nieobecny. Włosy, mokre od potu i brudne, kleiły jej się do twarzy. Odgarnęłam je z czoła i założyłam jej za lewe ucho, tuż obok wi-komu. Nie cofnęła się przed moim dotykiem. Nawet go nie zauważyła.



– Victria? V i c t r i a? – powtórzyłam głośniejsze.

Mrugnęła.

Zaprowadziłam ją do windy.

Gdy dotarliśmy do szpitalnego holu, panował w nim największy tłok, jaki kiedykolwiek widziałam. Dwie udręczone pielęgniarki próbowały zapanować nad grupą ludzi, którzy próbowali przepchnąć się dalej, praktykanci biegali od pacjenta do pacjenta. Tuż obok mnie jakiś mężczyzna ścisnął poręcz krzesła tak mocno, że zgiął metal.

– Co się im wszystkim stało? – zaczęłam przechodzącą Kit. – Był jakiś wypadek?

Pokręciła głową.

Z drugiego końca holu dojrzał mnie Doktorek. Przedarł się do nas, rozdając po zielonym medplacie każdemu pacjentowi, który go dopadł z błagalnie wyciągniętymi rękami.

– Co się dzieje? – zapytałam. – Czy to z powodu dzisiejszych zamieszek?

Doktorek potrząsnął głową.

– Starszy w ogóle nie myśli. Najpierw trzeba pomyśleć, a dopiero później działać. Nie można im od razu wszystkiego mówić. Ludzie nie wiedzą, jak sobie z tym poradzić. – Skupił uwagę na mężczyźnie kurczowo ściskającym poręcz krzesła. Wyjął z kieszeni kitla bładozieloną paczuszkę, oderwał podklejkę i nalepił plaster na rękę mężczyzny. Uścisk na poręczach zelżał, a na mężczyznę spłynął pusty, beznamietny spokój.

– Zaprowadzę ją do pokoju – zaproponowała Kit i chwyciła Victrię za ramię.

Zaczęłam się zastanawiać, czy nie wrócić do siebie, lecz w końcu ruszyłam w przeciwną stronę. Potrzebowałam świeżego powietrza, nawet jeśli był to tylko tlen z recyklingu. Choć na zewnątrz panowała smolista ciemność, nie potrzebowałam światła wzdłuż ścieżki do Sali Nagrań. Po rześmistym deszczu wszystko tonęło w błocie, ale i tak znałam tę ścieżkę lepiej niż jakikolwiek szlak, po którym biegałam w domu. Znałam jej dotyk pod stopami – grubsza ściółka w okolicach szpitalnego wejścia, dalej kwiaty, gdy wiła się przez ogród, chłodny zapach wody, gdy skręcała przy stawie, delikatny spadek terenu, gdy zbliżała się do Sali Nagrań.

Zaczynałam rozumieć, dlaczego ci ludzie w Szpitalu odchodzili od zmysłów. Ja sama byłam przytłoczona zdumieniem, że istnieje coś więcej oprócz tego. Nawet ja, choć oddychałam powietrzem na szczycie Gór Skalistych i pływałam w Oceanie Atlantyckim, przyzwyczaiłam się do myśli, że za tymi ścianami niczego nie ma.

Zapomniałam o Ziemi.

## STARSZY

Nie chciałem zapadać w głęboki sen, chciałem się tylko zdrzemnąć, a potem przyprowadzić Amy na Mostek, żebyśmy mogli sami spojrzeć na planetę. Jednak obudziłem się następnego ranka z uśmiechem na twarzy i nieprzyjemnym posmakiem w ustach.

To już ten dzień.

Nareszcie ten dzień.

Ubrałem się szybko, ale stanąwszy w drzwiach kwatery, spojrzałem jeszcze za siebie.

Mieszkałem w tym pokoju od trzech lat, odkąd Najstarszy zabrał mnie z Poziomu Żywiciela i zaczął szkolić na swojego następcę. Czasem nienawidziłem tego miejsca – gdy zamykał mnie w środku po tym, jak coś przeszkrobałem, i po jego śmierci, gdy nieustannie przypominało mi, jaki byłem samotny. Ale czasem też je kochałem. Na moich ustach pojawił się uśmiech. Odtworzyłem w głowie scenę, jak Amy obudziła mnie i klapnęła na moje łóżko. Już nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie oddam jej to, czego zawsze pragnęła, chociaż jeszcze niedawno byłem pewien, że pozbawiłem jej tego na zawsze.

I choć czułem się gotów, żeby wreszcie ruszyć naprzód, nie mogłem tak po prostu zapomnieć o wszystkim, co za sobą zostawiałem.

Pamiętałem...

...pierwszą noc, kiedy leżałem w tym pokoju, przytomny i przestraszony. Najstarszy przyszedł do mnie, usiadł na krawędzi łóżka, właśnie tutaj, i powiedział, że czuł się tak samo podczas pierwszej nocy swojego szkolenia.

Pamiętałem...

...jak pokłóciłem się z Najstarszym – na samym początku, kiedy byłem na niego zły, ale jeszcze się go nie bałem. On krzyczał na mnie, ja na niego, aż w końcu podniósł rękę i uderzył mnie w twarz. Uciekłem z Centrum Edukacyjnego do swojej kwatery – miałem wrażenie, że te dwa miejsca dzieliły długie mile – a potem przez ponad godzinę biłem pięścią w łóżko i szafkę nocną, dopóki do moich nozdrzy nie dotarł zapach pieczonego kurczaka i grzybów. Gdy w końcu wypełzłem z pokoju, Najstarszy pozwolił mi zjeść kolację w Wielkiej Sali. Puszczal mi stare filmy z Sol-Ziemi.

Pamiętałem...

...jak miałem cztery lata – a może pięć lub sześć? – i mieszkałem z rodziną pracującą w fabryce konserw. Postanowili zorganizować dla mnie przyjęcie – pożegnalne, ponieważ następnego dnia miałem się przenieść do innego domu. Byłem wtedy jeszcze zbyt mały, aby rozumieć, co to oznaczało.

Moja przybrana matka, Evie, chyba nie przyjmowała fidusa, bo była zabawną, czarującą kobietą, która zawsze wiedziała, co powiedzieć i co zrobić, by uszczęśliwić innych. Tak bardzo różniła się od obecnej Evie, funkcjonującej wyłącznie dzięki bladozielonemu plastrowi przyklejonemu do ramienia.

W przeddzień mojego odejścia zorganizowała ucztę – była jagnięcina z galaretką miętową, pieczona kukurydza, herbatniki z miodem, zapiekane słodkie ziemniaki z brązowym cukrem i posypane cukrem jagody. A na koniec ciasto.

Gigantyczne, zbite ciasto – Evie musiała oburącz trzymać nóż, by je pokroić. Całe było pokryte grubą warstwą kruchego lukru, a na górze widniał napis: „Kochamy cię, Starszy!”. Płakała, kiedy podawała mi kawałek z moim imieniem.

Właśnie miałem wziąć do ust pierwszy kęs, kiedy do kuchni wszedł starszy mężczyzna. Nie wiedziałem wówczas, kim był, ale wszyscy inni zachowywali się tak, jakby go znali. Powoli odłożyli widelczyki i wstali od stołu. Zrobiłem to samo, choć nie rozumiałem dlaczego.

– Och, nie chciałem wam przerywać! – rzucił nieznajomy ze śmiechem, a napięcie pękło jak mydlana bańka.

Evie ukroiła mu kawałek ciasta, ten z fragmentem słowa „Kochamy”. Mężczyzna przysunął sobie krzesło do stołu i usiadł obok mnie. Wydawał mi się zabawny – udawał, że nie umie posługiwać się widelczykiem, i poprosił, żebym go nauczył. Ciągłe go upuszczał, trzymał za niewłaściwy koniec albo balansował kawałkiem ciasta na rączce zamiast na ząbkach.

Wszyscy wybuchnęli szczerym, głośnym, niekontrolowanym śmiechem, gdy w końcu mężczyzna dał za wygraną i zaczął jeść ciasto palcami.

Szturchnął mnie łokciem, a ja wyszczerzyłem się od ucha do ucha. Miał na nosie lukier, więc chwyciłem w palce spory kawałek ciasta i wepchnąłem go sobie do ust.

Wkrótce wszyscy jedliśmy rękami, nawet nie zwracając sobie głowy talerzami, gdy sięgaliśmy po dokładkę. Okruszki i lukier były dosłownie wszędzie – rozsmarowane na obrusie, we włosach, pod paznokciami – ale nikt się tym nie przejmował.

To był najszcześniejszy dzień mojego życia.

Następnego ranka Evie obudziła mnie i pomogła mi spakować torbę. Kolejny rok miałem spędzić w domu rzeźników, w którym nigdy nie jedliśmy ciasta.

– Co to za pan przyszedł do nas wczoraj? – zapytałem.

Z oczu Evie ciekły łzy, gdy składała moje ubrania, ale wybuchnęła śmiechem.

– Głuptasie, to był przecież Najstarszy.

Zamknąwszy oczy, próbowałem sobie przypomnieć, jak gruba warstwa lukru łamała się i trzeszczała pod moimi zębami i jak ciasto wypełniało całe moje usta, gdy przeżuwałem.

Spojrzałem na łóżko – na wytarty koc z dzieciństwa, który przechował dla mnie Najstarszy. A może dla siebie? Podniosłem koc i przycisnąłem do twarzy, wspominając, jakim człowiekiem był Najstarszy i jakim nigdy nie był. Jaki był ten statek i jaki nigdy nie mógł być.

Na chwilę zapomniałem, że dzisiaj nadszedł dzień, gdy w końcu zejść z pokładu, zamknę oczy i wciągnę w nozdrza zapach tysiaca snów.

Zanim ruszyłem na Poziom Sternika, ponownie uruchomiłem system wi-komów. Po chwili odebrałem sygnał od Shelby.

– Jesteśmy gotowi, by rozpocząć procedurę lądowania, *sir* – usłyszałem jej głos.

Uśmiechnąłem się, wychodząc z pokoju.

– Lecimy do domu.

Obudziłam się wcześniej rano. Ubrałam się i zaczęłam zastanawiać, czy nie zakomować do Starszego, a może nawet pójść na Poziom Strażnika. Chciałam zobaczyć się ze Starszym, tylko że... Starszy miał na głowie łądowanie.

Łądowanie na nowej planecie. Wypuściłam z płuc drżący oddech. Byłam przepełniona ulgą i radością. Nic więcej się nie liczyło, ani głupie wskazówki Oriona, ani idiotyczna rewolucja Bartiego. Dotarliśmy do p l a n e t y.

Zeszłam prosto na poziom kriogeniczny. Czułam się dziwnie, chociaż robiłam to codziennie przez ostatnie trzy miesiące. Wtedy wierzyłam, że nigdy więcej nie zobaczę rodziców żywych. Teraz, kiedy stałam plecami do rzędu komór kriogenicznych i twarzą do zamrożonych ciał, czułam się dziwnie.

Może dlatego, że wiedziałam, jak niewiele czasu zostało do ich obudzenia.

Miałam im tak wiele do powiedzenia – że byłam silniejsza niż wcześniej. O Harleyu, o Luthorze i o Starszym. Chciałam wylać z siebie każde wspomnienie, każdą troskę i każdą myśl.

Wiedziałam jednak, że wcale nie musiałam. Dotarliśmy na miejsce.

Z daleka dobiegł mnie wyraźny odgłos zatrzasekujących się z hukiem ciężkich drzwi. Nie w laboratorium genetycznym tuż za mną. To były jedne z drzwi na drugim końcu poziomu kriogenicznego... jedne z z a m k n i ę t y c h drzwi.

To było to. Ktoś, kto majstrował przy wskazówkach. Na pewno.

Popędziłam korytarzem, chcąc dorwać tego człowieka.

Lecz nikogo tam nie było.

Wtedy zauważyłam światło padające przez szczelinę pod drzwiami arsenału.

Wstrzymałam oddech. Drzwi arsenału – ten, kto był w środku, miał pod ręką całą broń. Ja z kolei nie miałam żadnej... chyba że wziąć pod uwagę kieszeń pełną medplastów z fidusem, które zabrałam Victrii.

Podkraśćłam się bliżej. Ucieczka wydawała się najrozsądniejszym rozwiązaniem, ale gdybym wreszcie odkryła, kto sobie z nami pogrywał...

Drzwi głośno zaskrzypiały. Jasne, do cholery, po prostu musiały głośno zaskrzypieć.

W środku nikogo nie było. Na wszelki wypadek podeszłam do najbliższego stojaka, gdzie przechowywano najmniejszą broń. Nie żartowałam, strasząc Luthora. Ojciec nauczył mnie, czym jest broń i jak się nią posłużyć. Podniosłam jeden z zabezpieczonych woreczków i palcem zerwałam plombę. W powietrzu rozszedł się zapach smaru, kiedy otworzyłam woreczek i na mojej dłoni wylądował rewolwer. Miał niewielki korpus i krótką lufę, strzelał pociskami kaliber .38. Naboje spoczywały w osobnym, zaplombowanym pudełku. Ładując rewolwer, przycisnęłam do rękojeści dłoń, zbyt drobną, żeby dobrze w niej leżał. Miał jednak spust dwuoporowy, a ja musiałam tylko do niego dosięgnąć.

Zajrzałam za regały, trzymając pewnie broń. Nikogo tam jednak nie było.

Wtedy sobie przypomniałam – przybiegłam tu, bo usłyszałam, jak drzwi się z a m k n ę ł y. Ktokolwiek się tu kręcił, mógł zacząć od arsenału, ale zatrzasnął inne drzwi – w korytarzu było ich pełno, choć wszystkie powinny być zamknięte.

Wyszłam z arsenału i sprawdzwszy służę przez okienko, otworzyłam pomieszczenie ze skafandrami. Nic. Przycisnęłam ucho do wielkich drzwi na końcu korytarza, których nigdy nie udało nam się otworzyć, były jednak zbyt grube, żebym mogła cokolwiek usłyszeć.

A tak w ogóle co się za nimi kryło? Szybko rozważyłam możliwość, by zostać na straży. Jeśli ktoś wszedł do środka, musiał w końcu wyjść. Nikt mnie nie mijał, gdy

biegłam korytarzem, a tylko te drzwi zatrzaśkiwały się, zamiast zasuwac. Intruz był w środku.

Chyba że... Jeśli ta osoba wiedziała, jak otworzyć drzwi, prawdopodobnie wiedziała też o schodach, które znalazłam za ścianą Poziomu Żywiciela. A one biegły w dół... Musiały prowadzić aż na poziom kriogeniczny. Na zewnątrz nie było żadnych schodów, więc pewnie kończyły się za tymi drzwiami. Gdybym wróciła na górę i zbiegła po schodach, może dopadłabym tego, kto majstrował przy wskazówkach, i przy okazji sprawdziła, co znajdowało się w ostatnim pomieszczeniu. Gdyby tylko Starszy był tu ze mną...

W połowie drogi przez korytarz przypominałam sobie, że nie zamknęłam arsenału, a nawet z bronią nie byłam tu bezpieczna. Zawróciłam i już miałam zamknąć drzwi, gdy nagle coś zwróciło moją uwagę – plastplej pobłyskujący obok półki z materiałami wybuchowymi. Podniosłam go, odłożywszy rewolwer.

Wyświetlacz wypełniała twarz Oriona.

<<OTWIERAM KANAŁ WIDEO>>

Tego filmu nie nakręcono na schodach. Orion siedział na krześle przyśrubowanym do podłogi przy długim, wygiętym panelu sterowania. W pomieszczeniu panowała ciemność, widziałam jednak z tyłu coś lśniącego.

To musiał być Mostek, choć spodziewałam się, że będzie większy.

AMY, DOTARŁAŚ PRAWIE DO SAMEGO KOŃCA, JUŻ WKRÓTCE CZEKA CIĘ WYBÓR. WIDZIAŁAŚ JĄ? PLANETĘ?

Nie, jeszcze nie. Ale wiedziałam, że tam była.

CZY TERAZ ROZUMIESZ, DLACZEGO TO TY MUSISZ PODJĄĆ DECYZJĘ? DLATEGO ŻE ZNASZ ŻYCIE NA PLANECIE, DLATEGO ŻE JAKO JEDYNA Z CAŁEGO „BŁOGOSŁAWIONEGO” BYŁAŚ NA PLANECIE. A ZATEM TYLKO TY BĘDZIESZ W STANIE OCENIĆ, CZY GRA JEST WARTA ŚWIECZKI.

Orion dotknął szyi, przesuując palcami po nierównej bliźnie w miejscu, w którym kiedyś znajdował się jego wi-kom.

JESZCZE PRZED... NAJSTARSZYM I PRZED CAŁĄ RESZTĄ, JESZCZE PRZED TYM – WSKAZAŁ NA BLIŻNĘ – SĄDZIŁEM, ŻE PRAWDA JEST BARDZO WAŻNA. TERAZ NIE MAM JUŻ TAKIEJ PEWNOŚCI. MOŻE LEPIEJ ŻYĆ W BŁOGIEJ NIEWIEDZY? JESTEM PEWIEN, ŻE BYŁBYM SZCZĘŚLIWSZY, GDYBYM O NICZYM NIE WIEDZIAŁ.

I pomyśleć, że w obliczu odkrycia Starszego prawie pozwoliłam sobie zapomnieć o wskazówkach Oriona. Planeta wydawała się o wiele ważniejsza od tej tajemnicy. Płonęłam z ciekawości.

BYĆ MOŻE JEDNAK ISTNIEJĄ POWODY, DLA KTÓRYCH POWINNAŚ POZNAĆ PRAWDE. STATEK JEST STARY. NAJSTARSZY WYŚLAŁ MNIE NA ZEWNĄTRZ, ŻEBYM POMÓGŁ PRZY NAPRAWACH, I WIEM, ŻE „BŁOGOSŁAWIONY” MA JUŻ SWOJE LATA. WIĘC... MOŻE TO JUŻ CZAS. CZAS OPUŚCIĆ STATEK.

Orion pochylił się i podniósł kamerę. Obraz zakołysał się, ukazując ciasne pomieszczenie i metalową podłogę, zanim znów objął panel sterowania.

Kamera skupiła się na oknie. Obraz, rozmazany i jasny, zyskał ostrość. Za mozaikową przezroczystą szybą, ponad horyzontem statku, unosiła się tocząca się po łuku, lśniąca kula zieleni i błękitu.

Przytknęłam palec do małego ekranu, sprawiając, że zieleń i błękit przez moment wyglądały jak rozkołysana fala oceanu.

KIEDY ODKRYŁEM, ŻE „BŁOGOSŁAWIONY” KRAŻY PO ORBICIE CENTAURI-ZIEMI, CHCIAŁEM, ŻEBY CAŁY STATEK POZNAŁ PRAWDE.

PRÓBOWAŁEM IM POWIEDZIEĆ. PRÓBOWAŁEM IM WSZYSTKO POWIEDZIEĆ.  
I DLATEGO NAJSTARSZY USIŁOWAŁ MNIE ZABIĆ.

Orion odwrócił się w stronę okna i wbił wzrok w planetę. Jego blizna była wyraźnie widoczna.

NIE UDAŁO MU SIĘ. UCIEKŁEM. UKRYWAŁEM SIĘ PRZEZ... DŁUGI CZAS,  
A POTEM ZAKRADŁEM DO SALI NAGRAŃ. NA POWRÓT ZINTEGROWAŁEM SIĘ ZE  
STATKIEM. ALE TO W SALI NAGRAŃ ZNALAZŁEM JESZCZE WIĘCEJ TAJEMNIC  
I KŁAMSTW. I Z TEGO POWODU POSTANOWIŁEM UKRYĆ PRAWDĘ, TAK JAK  
NAJSTARSZY.

Jego twarz znów pojawiła się na ekranie.

JEST JESZCZE REZERWA, WCIAŻ MOŻEMY JĄ WYKORZYSTAĆ. GDYBY  
STATEK MUSIAŁ WYLĄDOWAĆ, TO TECHNICZNIE NIC NIE STOI NA PRZESZKODZIE.  
A JEŚLI SAMA NIE ZDAŻYŁAŚ SIĘ DOMYŚLIĆ, OSTATNIĄ RZECZ ZNAJDZIESZ  
W „BŁOGOSŁAWIONYM”.

Orion urwał, spoglądając prosto w ekran, jakby właśnie podsunął mi ogromną  
wskazówkę. Ale „Błogosławiony” był wielki, a wszyscy szykowali się do zejścia z pokładu.  
Jak niby miałam znaleźć na całym statku jedną maleńką wskazówkę?

JEŚLI JEDNAK NIE JEST TO KONIECZNE... JEŚLI ISTNIEJE JAKIKOLWIEK  
SPOSÓB, BY PRZETRWAĆ BEZ LĄDOWANIA, TO WYKORZYSTAJ GO. KONIECZNIE.  
NIE MOGĘ WIECZNIE UKRYWAĆ PRAWDY, ALE TY MUSISZ. JEŚLI JAKIMŚ  
SPOSOBEM STATEK MOŻE PRZETRWAĆ, ZRÓB WSZYSTKO, BY NIE DOPUŚCIĆ DO  
LĄDOWANIA.

O czym on gadał? Sądziłam, że wszystkie te nagrania miały mnie doprowadzić  
do punktu, w którym będę musiała dokonać ważnego wyboru. A teraz mówił coś dokładnie  
odwrotnego.

BEZ WZGLĘDU NA TO, JAK ŹLE SIĘ DZIEJE, JEŚLI NIE WYMIERACIE, JEŚLI  
LAMPY SOLARNE WCIAŻ DZIAŁA... ZOSTAŃCIE NA POKŁADZIE. ZRÓB WSZYSTKO,  
BY STATEK NIE ZSZEDŁ Z ORBITY. AMY, JESTEŚ MOJĄ MAŁĄ REZERWĄ... ALE TO  
JUŻ WSZYSTKO. MOŻESZ WYLĄDOWAĆ NA PLANECIE WYŁĄCZNIE W OSTAT...

Orion nie zdążył dokończyć ostatniego słowa, bo jego twarz znikła wśród ziarna  
i głośnych szumów. Tak mnie to zaskoczyło, że prawie upuściłam plastplej. Od tego nagłego  
zakończenia żołądek skręcił mi się z przerażenia, a kiedy ziarno przeszło w czerń, wcale nie  
poczułam się lepiej. Po ciemnym tle przesunęły się duże białe litery, tworząc zdanie, którego się  
bałam:

**BĄDŹ POSŁUSZNY WŁADZY.**

Koniec nagrania.

To zdanie – bądź posłuszny władzy... I szumy, i fakt, że nagranie znajdowało się  
na plastpleju, nie na karcie pamięci... Przy tej wskazówce też ktoś majstrował. Nie wiedziałam,  
czy wiadomość od Oriona miała ciąg dalszy – może zamierzał podać mi kod do zamkniętych  
drzwi? – byłam jednak pewna, że to nie on zostawił te słowa.

Podniosłam wzrok, rozglądając się uważnie po arsenale. Wcześniej wpadłam tu  
w poszukiwaniu kogoś. Teraz szukałam czegoś... i znalazłam. Pusta półka, rząd brakujących  
materiałów wybuchowych.

– O Boże – wyszeptałam, podświadomie przesuwając dłonią po szyi.

Wybiegłam z arsenału prosto do windy.

Musiałam dotrzeć na Poziom Sternika. Natychmiast. Musiałam znaleźć Starszego. Jeśli  
byłam czegoś pewna, to właśnie tego, że ktokolwiek nakazywał nam posłuszeństwo wobec

władzy, nie miał na myśli Starszego – a te materiały wybuchowe zabiją każdego, kto spróbuje sprowadzić statek do lądowania.

## STARSZY

Choć lampa solarna miała się zapalić dopiero za chwilę, na Poziomie Sternika panował tłok. Rozejrzałem się w nadziei, że zobaczę rude włosy Amy odznaczające się na tle tłumu sterników, ale nie, nie było jej tutaj. Oczywiście, że nie było. Nawet jeśli to właśnie z nią najbardziej chciałbym się podzielić tym doświadczeniem, myślenie o niej właśnie w tej chwili, kiedy powinienem być skupiony wyłącznie na lądowaniu, zakrawało na szaleństwo. Nie widziałem jej, odkąd prawie umarłem – a przez ten czas tak wiele się zmieniło... To właśnie jej jako pierwszej powiedziałem o Centauri-Ziemi, a wiele wskazywało na to, że będzie ostatnią osobą, którą zobaczę po lądowaniu.

Potrząsnąłem głową, by oczyścić umysł. To nie była dobra pora na sentymenty; teraz musiałem posadzić ten statek na planecie.

Sternicy wiwatowali, gdy szedłem korytarzem w stronę Mostka, stukając butami o metalową podłogę. Wyciągali do mnie ręce, żeby uścisnąć mi dłoń, poklepać po plecach albo tylko dotknąć w zachwycie i podziękować, a gdy przeszedłem z siłowni do maszynowni, naukowcy i sternicy zgotowali mi owację na stojąco.

Uśmiechałem się do nich promiennie.

Wszystko działo się dokładnie tak, jak to sobie wymarzyłem.

Pierwsza Sterniczka Shelby i pozostali członkowie kadry stali w szeregu przed wielkimi udekorowanymi drzwiami prowadzącymi na Mostek. Zasalutowali, gdy się zbliżyłem.

– Chciałem wam... eee... – zacząłem niewyraźnie i dopiero gdy się zaciąłem, dotarło do mnie, że w pomieszczeniu panuje absolutna cisza. Wszyscy czekali na moją przemowę – na taką, która składałaby się z czegoś więcej niż wymamrotanego „eee”.

Niech to gzyf.

– Ja... chciałem powiedzieć... – Zamknąłem oczy i przełknąłem ciężko ślinę.

– To nie jest nasz dom – w końcu wykrztusiłem z siebie. – Mieszkaliśmy na „Błogosławionym” przez całe nasze życie, ale to nie jest nasz dom. Nie urodziliśmy się na statku z wyboru, uwięzieni między metalowymi ścianami, które zapewniają nam bezpieczeństwo, ale to my podejmujemy dziś decyzję o lądowaniu. Świadomie wybieramy ryzyko, aby wyjść poza tę skorupę i zobaczyć, co jeszcze wszechświat ma do zaoferowania. Wybieramy przyszłość. A więc lećmy do domu.

– Do domu! – zagrzmiała Shelby, a wszyscy inni podchwycili jej słowa i wznieśli okrzyk.

Nadszedł czas.

Shelby otworzyła masywne drzwi i stanęła z boku, pozwalając, żeby jej podwładni – sternicy pierwszego szczebla – weszli do środka. Całej scenie towarzyszyła niemal namacalna złowroźna aura; tworzyliśmy historię i wszyscy byliśmy tego świadomi.

Patrzyłem, jak maszerowali uroczyście na Mostek, i wydawało mi się nie w porządku, że nie było wśród nich Amy. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, zamrożoną w lodzie, od razu zrozumiałem, że zmieni mnie na zawsze. Ale przy okazji zmieniła także cały statek i los wszystkich ludzi, którzy lecieli na jego pokładzie.

Kiedy ostatni ze sterników znalazł się na Mostku, Shelby spojrzała na mnie z uśmiechem, a ja przekroczyłem próg.

– *Sir!*

Odwrociłem się. Biegł do mnie jeden ze sterników.

– *Sir* – wydyszał – ta dziewczyna, ta ruda... Ona tu jest.

– Amy?



Kiwnął głową.

- Wali pięścią w drzwi siłowni i woła, że chce się z tobą widzieć.
- Starszy? – zwróciła się do mnie Shelby, trzymając rękę na uchwycie drzwi. Cofnąłem się, by wrócić do siłowni.

I wtedy...

...statkiem wstrząsnęła potężna eksplozja.

W pierwszej chwili miałem wrażenie, że popękały mi bębenki. Straciłem grunt pod nogami i upadłem na ziemię. Uderzyłem głową o twardą, metalową podłogę, ale wciąż się poruszałem – ześlizgiwałem w stronę tego, co zostało z Mostka. Ktoś krzyknął, lecz zaraz potem głos umilkł. Odwróciłem głowę. Przelatujące przez pomieszczenie krzesło zahaczyło o moje ramię, rozrywając tunikę i skórę pod spodem. Zewsząd dolatywały wrzaski, jednak w jednej chwili zagłuszył je metaliczny huk, kiedy stoły i biurka podskoczyły w powietrze. Wzdłuż mojej nogi przebiegł nieznośny ból – w mojej łydce tkwił śrubokręt. Złapałem go za uchwyt i wyrwałem, wciąż jednak sunąłem po podłodze.

Uniosłem głowę najwyżej, jak potrafiłem...

Okno Mostka znikło.

Metalowe rusztowanie, które spajało mozaikę szkła, było wygięte, porozrywane i poszarpane na końcówkach jak dziwaczne martwe drzewa w zimie z sol-ziemskich obrazów. Próżnia wysysała powietrze z Mostka i maszynowni tak gwałtownie, że nagle wszystko znalazło się w samym oku cyklonu – krzesła, biurka, stoły, narzędzia i... ludzie.

Najbardziej ucierpiał zespół Shelby – niektórzy zdążyli się uchwycić stołów z panelami sterowania i przyśrubowanych do podłogi krzeseł, ale brakowało wśród nich paru osób. Widziałem za to mnóstwo krwi, kości i narządów z przodu, w pobliżu otworu. Wybuch, który zniszczył okno, rozerwał także na strzępy wszystkich siedzących w pobliżu.

Jeden ze Sterników, Prestyn, próbował wstać, ale potknął się, przewrócił i przeleciał przez drzwi. Jego ciało zahaczyło o metalowe szpony powyginanego rusztowania, które przebiły go na wylot. W powietrze uniosły się wielkie karmazynowe kule krwi.

Uderzyłem w ścianę tuż obok wejścia na Mostek z taką siłą, że aż zagrzechotały mi kości, ale przynajmniej nie pomknąłem w stronę okna. Wstałem, dla lepszej równowagi zapierając się o nią plecami. Próbowałem złapać oddech w świszczącym przeciągu. Wiedziałem, że nie minie zbyt wiele czasu – może kilka minut – a próżnia kosmosu wysysie całe powietrze z obydwu pomieszczeń.

Trzymając się metalowych podpór, obróciłem głowę, by spojrzeć na Mostek.

Było już jednak za późno – ziejąca paszcza, która jeszcze przed chwilą była oknem, zniszczyła Mostek. Shelby trzymała się kurczowo jednego z przyśrubowanych krzeseł. Włosy miała przyklejone do głowy, a oczy przekrwione i załzawione.

– Nie rób tego! – wrzasnęła. – Nie!

Chodziło jej o przycisk, ten obok mojej ręki.

Przycisk, który odciałby Mostek.

Przycisk, który mógł zabezpieczyć nas przed próżnią – i zamknąć Shelby w środku.

Wyciągnęła do mnie rękę i spięła się w sobie, ale była za daleko – tuż poza zasięgiem, lecz wciąż za daleko. Nic nie dało się zrobić. Za późno, za późno...

– Nie, nie, nie, nie, nie – błagała.

Jej palce znajdowały się tak blisko... Gdybym po nie sięgnął, może zdołałbym wciągnąć Shelby do bezpiecznej maszynowni przed odcięciem Mostka.

Ale nie mogłem ryzykować. Nie mogłem kłaść na szali bezpieczeństwa całego statku, by uratować jedną osobę.

– Nie – wyszeptła.

Wdusiłem przycisk.

Drzwi Mostka zatrzasnęły się, gwałtowny przeciąg zamarł.

Minęła długa chwila, zanim wszyscy pozbiali się z podłogi. Niektórzy krwawili od zderzeń z latającym wyposażeniem maszynowni, było parę złamań, przemieszczone ramiona i niedowład w nodze. To jednak nie fizyczne obrażenia pierwsze rzucały się w oczy, a przerażenie wykrzywające twarze ludzi – pusty wyraz szoku, który, jak mi się wydawało, musiał pozostawić w nich trwałe ślady.

Wokół panowała cisza, ale w żaden sposób nie dało się jej porównać z absolutną martwością, która zapadła po drugiej stronie drzwi Mostka.

Gnałam ze Szpitala do grawiszybu. Nigdy dotąd nie biegłam tak szybko, z takim zapamiętaniem, a mimo to wiedziałam, że nie zdążę.

I nie zdążyłam.

Gdy w końcu dotarłam do maszynowni, usłyszałam eksplozję za drzwiami.

I wrzaski.

Na Poziomie Sternika, zatłoczonym z powodu wydarzeń, jakie miały miejsce tego dnia, panowało milczące przerażenie. Ludzie zgromadzili się wokół mnie w siłowni. Drzwi maszynowni wgniotły się do środka, jakby próbował je wyrwać jakiś potwór, lecz stalowe wzmocnienia wytrzymały. Mimo to cofnęliśmy się pod przeciwległą ścianę, a parę osób wybiegło w poszukiwaniu kryjówki – chyba sądzili, że „Błogosławiony” nadal będzie ich osłaniał, nawet kiedy eksplozje rozerwą go na strzępy.

Wszyscy gapiliśmy się na drzwi, ale one nie chciały nam dać żadnej odpowiedzi.

Wzdłuż krawędzi podłogi i sufitu migwały czerwone światła. Komputer pokładowy miłym, radosnym głosem oznajmił: „Wyrwa w kadłubie: Mostek”.

Czekaliśmy. Jakaś kobieta otworzyła usta, by coś powiedzieć. Powstrzymało ją dopiero moje spojrzenie. Nasłuchiwalismy w ciszy, zastanawiając się, czy po drugiej stronie drzwi ktoś przeżył.

Czy Starszy przeżył.

Coś uderzyło w drzwi. Stojąca obok mnie kobieta wrzasnęła, a mężczyzna w pobliżu korytarza zaklął. Drzwi znowu się poruszyły – ale nie z siłą tornada, jak wcześniej, tylko ze stukotem i drżeniem.

Przy krawędzi wysunęły się palce.

– Oni żyją! – zawołała ta sama kobieta i wszyscy razem popędziliśmy do drzwi, wciskając dłonie w szczelinę. Wspólnymi siłami zaczęliśmy walczyć z oporem mechanizmu, żeby je otworzyć. Przesunęły się o cal. Pchaliśmy mocniej i mocniej, aż w końcu ustąpiły z metalicznym zgrzytem.

Najpierw zobaczyłam kapiącą z rany ciętej na jego ramieniu krew, która plamiła ciemną skórę czerwienią. Spocone włosy były przyklejone do czoła. Z trudem odrzucił pozostałości drzwi i chwiejnym krokiem przekroczył próg.

– Starszy – szepnęłam. Głos mi się lamał. Poczułam w oczach piekące łzy, ale nie pozwoliłam im spłynąć. Prawie go straciłam – znowu. Dopiero wczoraj, widząc jego ciało na podłodze śluzy, zdałam sobie sprawę, jak bardzo mi na nim zależało, jednak nawet wtedy nie potrafiłam nazwać swoich uczuć.

Jakaś część mnie unikała go, odkąd zaczęłam dostrzegać, jak bardzo jest mi oddany. Wplatała w moją duszę takie słowa jak *zwątpienie*, *nie mogę zaufać*, *pożądanie* i *nie warto*. I wszystkie te słowa zerwały się na raz, niczym nici z rozdartej tkaniny.

Ale teraz, patrząc na jego pogrążoną w bólu twarz, w ogóle o nich nie myślałam.

Za jego plecami sternicy pomagali wstawać sobie nawzajem. Płakali ze szczęścia nad ocalałymi i zaczęli oplakiwać tych, którzy zginęli za zamkniętymi drzwiami Mostka.

Ale ja patrzyłam tylko na Starszego, a Starszy tylko na mnie – wszystko inne zniknęło.

Ręce mi drżały. Nogi też... Prawdę mówiąc, cała się trzęsłam. Chciałam do niego pobiec, lecz nie mogłam. To Starszy wykonał pierwszy ruch. Wybiegł przez zniszczone drzwi – kulał, dlaczego on kulał? – i chwycił mnie w ramiona. Opadłam na niego, on jednak podtrzymał mnie siłą, której sama już nie miałam.

– Och, Boże, Starszy... – wymamrotałam w jego pierś. Tylko trzy słowa, a zarazem

najlepsza modlitwa, jaka przychodziła mi do głowy.

Uspokajająco pogładził mnie po włosach. Świat wokół nas wciąż się kręcił – ludzie wbiegali i wybiegali z maszynowni, kolejne okrzyki i kolejni odnalezieni – ale my byliśmy ostoją ciszy pośród morza chaosu.

– Skąd wiedziałaś? – odezwał się z nosem w moich włosach. To pytanie stało w takiej sprzeczności z tym, co teraz czułam – logiczne słowa połączone w logiczną całość – że początkowo sprawiło mnie w zakłopotanie. Odchyliłam się i podniosłam na niego wzrok. Starszy poprowadził mnie przez zdezelowane drzwi i tłum do cichego kąta w pobliskim pomieszczeniu. Ponad jego ramieniem wciąż widziałam chaos eksplozji – zjawiała się Kit z zastępem pielęgniarek i przejęła dowodzenie, zbierając rannych w jednym miejscu i odsyłając resztę. Grupa inżynierów oglądała szczerlnie zamknięte drzwi na Mostek, by się upewnić, że niebezpieczeństwo ekspozycji już nam nie zagrażało.

– Wybuch – powiedział Starszy, z powrotem przyciągając moją uwagę. – Wiedziałaś wcześniej, prawda? Przysłaś mnie ostrzec.

– Znalazłam następne nagranie Oriona. W arsenale.

– Orion? To jego sprawka? – Patrzył zdeorientowanym wzrokiem, wciąż się chwiejąc.

– Nie, nie jego. Ale... ktoś jeszcze ma nagrania. Ktoś jeszcze zna kody do zamkniętych drzwi. Sądzę, że Orion przez cały czas próbował nam powiedzieć, jak się wydostać ze statku, lecz ktoś odkrył jego tajemnicę przed nami i teraz próbuje nas powstrzymać.

Wręczyłam Starszemu plastylej z nagraniem Oriona. Na pierwszym filmie, który znalazłam, Orion wydawał się przekonany, że staniemy przed wyborem i że to ja będę musiała go dokonać. Lecz na ostatnim był taki sam jak na tym, który nagrał tuż przed ucieczką od Najstarszego – wystraszony i niepewny. Ktokolwiek znalazł te wiadomości, najwyraźniej zgadzał się, że nie warto starać się o planetę, i zamierzał zamordować każdego, kto spróbuje wylądować. Udowodnił to eksplozją na Mostku – upewnił się, że nawet będąc tak blisko Centauri-Ziemi, nigdy na staniemy na jej powierzchni.

Nie potrafiłam odczytać emocji malujących się na twarzy Starszego, kiedy oglądał nagranie – żal, gniew, zwątpienie, coś jeszcze, coś pustego i bolesnego. Ale gdy na mnie spojrzał, w jego oczach została jedynie pustka.

– To nie ma żadnego znaczenia – rzekł. – Bez Mostka nigdzie się nie wybieramy.

Dopiero gdy powiedział to głośno, dotarła do niego cała prawda. Zobaczyłam szesnaście lat życia w pułapce i dekady przyszłości, które spadły na niego niczym ciężar – dosłownie ugiął się pod świadomością, że „Błogosławiony” nie zdoła wylądować. Teraz wszystko spoczywało na jego barkach – statek, ludzie, zgony, rozczarowanie... I nagle zdałam sobie sprawę – tak było zawsze. Zawsze.

Starszy spojrzał za siebie, na maszynownię i dalej, na zamknięte drzwi.

– Shelby tam była. Na Mostku.

Przerażenie powróciło. Odepchnęłam je, zatopiłam w głębinach duszy, przytrzymując obiema rękami i patrząc, jak umiera.

– Dlaczego? – Starszy spojrzał mi w oczy. Nie pytał, dlaczego ktoś wysadził Mostek. Pytał, dlaczego ktoś pozwolił, by Shelby za to zginęła.

## STARSZY

– Nie, nie, nie, nie, nie – mówiła Shelby.

To jedno słowo krążyło w mojej głowie, a ja wiedziałem, że zostanie tam na zawsze. Amy pocałowała mnie.

*Nie, nie, nie, nie, nie...*

Powiedziała, że ktoś to zrobił z powodu głupiego nagrania Oriona. Podobno ten ktoś chciał mieć pewność, że nigdy, przenigdy nie zejdziemy z pokładu statku. Nigdy.

*Nie, nie, nie, nie, nie...*

Zaprowadziła mnie do grawiszybu i zabrała na Poziom Żywiciela, a później pokazała ukryte drzwi i schowane za nimi schody.

*Nie, nie, nie, nie, nie...*

Pchnęła drzwi, a światło wypełniło znajdującą się za nimi przestrzeń. Zawiasy skrzypiały, ale ja słyszałem tylko...

*Nie, nie, nie...*

BUM!

Kolejna eksplozja, tym razem gdzieś głębiej niż pierwsza. Wstrząsnęła ziemią i fundamentami Szpitala. Z dachu poodpadały dachówki, z hukiem rozbijając się o ziemię z obu stron budynku. Drzwi otworzyły się gwałtownie i ze środka wypadł strumień ludzi, a za nimi trysnął pióropusz szarobrazowego dymu. Uwięzieni na wyższych piętrach wystawiali przez okna drabiny ratunkowe. Zeskakiwali z nich już kilka stóp nad ziemią, aby rzucić się pędem w stronę Sali Nagrań, gdzie wszyscy szukali schronienia.

– Co jest, do gzyfa... – zacząłem, gdy Amy złapała mnie za rękę. Nawet z tego miejsca czuliśmy drżenie gruntu pod stopami.

– Dlaczego ktoś chciałby wysadzić Szpital? – zapytała. Jej słowa brzmiały bezbarwnie, ale oczy były wypełnione strachem.

Dym wydobywał się wyłącznie z głównego wejścia na parterze. Nigdzie nie mogłem się doszukać śladów ognia ani zniszczeń.

Nagle z twarzy Amy odpłynęła krew. Jeszcze nigdy nie była tak blada.

– O mój Boże, to wcale nie w Szpitalu...

– Tylko na poziomie kriogenicznym – dokończyłem za nią.

– Moi rodzice – wyszeptła. Kąciki jej ust opadły, wzrok zaczął błędzić. – Tam są schody, które prowadzą na poziom kriogeniczny. Mogę nas zaprowadzić...

– Idź sama – rzuciłem, łapiąc ją za ramię, żeby się zatrzymała. – Idź sama, ale uważaj na siebie. Ten, kto to zrobił, wciąż może tam być.

Przełknęła ślinę.

– Ten wybuch był raczej za słaby, żeby zniszczyć poziom kriogeniczny – stwierdziłem, kręcąc głową. – Na pewno był za słaby. Nic im się nie stało. Nie mogło im się nic stać.

Czułem, że Amy chciała się wyrwać, ale wciąż zaciskała palce na moim rękawie.

– Idź – powtórzyłem łagodnym głosem. – Poradzę sobie. Zajmę się statkiem, a ty idź sprawdzić, co z rodzicami. Ale... – urwałem. – Gdybyś kogoś zauważyła, gdybyś zauważyła na dole coś niebezpiecznego... Wróć do mnie. Natychmiast.

Skinęła lekko głową, po czym bez słowa pobiegła w stronę schodów.

Odwrociłem się do statku.

Czułam uderzenia serca w gardle, aż miałam ochotę zwymiotować. Byłam tak skupiona na innych sprawach – na Starszym, morderstwach i tajemnicy – że zupełnie zapomniałam o najważniejszym.

O rodzicach.

Uwięzionych w lodzie na poziomie kriogenicznym. Pograżonych we śnie.

Bezbronnych.

Gnałam w dół i w dół, przytrzymując się poręczy i pokonując po dwa stopnie na raz – a im głębiej schodziłam, tym więcej otaczało mnie dymu.

Miał gryzącą woń, jak rozżarzony metal – tak ostrą, że przecinała mój język niczym nóż. Popiół o żółtawej barwie smarków osiadał na mojej skórze. Był gęsty jak zasypka dla niemowląt i piekł jak użądlenia mrówek ognistych, więc strzepywałam go z siebie rękawami. Podciągnęłam tunikę na twarz, zasłaniając nos i usta, i rozpuściłam włosy w nadziei, że choć trochę ochronią kark.

Poślizgnęłam się i – szczęśliwie – złapałam za poręcz. W samą porę. Przedemną były jeszcze dwa stopnie – a dalej nic.

Spojrzałam w dół, trzymając się poręczy. Bomba znajdowała się w szybie windy, który sięgał od Szpitala aż do poziomu kriogenicznego, tak jak podejrzewałam. Odłamki i siła wybuchu wyrwały metalowe schody, jakby były z papieru.

Odcinając nas od poziomu kriogenicznego.

Przez jeden szalony moment zastanawiałam się, czy nie skoczyć. Jaka odległość mogła mnie dzielić od dna? Stopnie nie prowadziły bezpośrednio na poziom kriogeniczny. Znajdowałam się kilka stóp nad twardą metalową powierzchnią. Musiał istnieć jakiś właz lub coś w tym rodzaju, który prowadził w dół, na poziom kriogeniczny. Między schodami a windą stał słup – może wbudowano w niego drzwi? Ale żółty dym był gęsty i nieprzenikniony, a sądząc po poszarpanych brzegach metalowych schodów, na dole zalegało mnóstwo złomu, o który bym się zabiła. Chociaż skupiałam wzrok tak intensywnie, jak tylko pozwalały mi na łzawiące oczy, widziałam jedynie zniekształconą płataninę metalu, wygiętych dźwigarów i wybrzuszonych nitów.

Gardło paliło mnie żywym ogniem, aż krztusiłam się kaszlem. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób oddziaływał na mnie ten żółty pył. Zadrzałam. Nigdzie na statku nie było tak zimno jak tutaj. Wspięłam się z powrotem na górę. W uszach dudniły mi uderzenia własnego serca, zimny pot spływał po skórze strumieniami. Kurczowo chwytałam powietrze. Przypomniałam sobie, jak Victria sądziła, że umiera, przytłoczona myślą o życiu poza statkiem. Czułam, jak wzbierało we mnie to samo przerażenie, tyle że byłam przytłoczona myślą, że już zawsze pozostanę więźniem ścian.

Dotarwszy na górę, odszukałam Starszego w tłumie zgromadzonym w Sali Nagrań, żeby powiedzieć mu o swoim odkryciu. Otaczali go ludzie, ale ja nie traciłam czasu na uprzejmości – odepchnęłam ich na bok, ignorując gniewne okrzyki, i pociągnęłam Starszego za ramię. Znaleźliśmy się na tyle daleko, że nikt inny nie mógł nas podsłuchać.

– Nie mogę się dostać na poziom kriogeniczny – powiedziałam. Opisałam, co zobaczyłam między poziomami.

Skinął głową, jakby właśnie tego się spodziewał. Jego oczy były martwe i puste. Starszy stracił nadzieję na Mostku, ale ja straciłam swoją dopiero wówczas, gdy zobaczyłam, że nie miał jej już w sobie ani odrobiny.

Szpital chwilowo nie był bezpieczny, więc zorganizowaliśmy tymczasowy punkt pielęgniarski w Sali Nagrań. Doktor, który w momencie eksplozji znajdował się w pobliżu windy, miał lewą rękę na temblaku, a na policzku pod okiem głębokie rozcięcie. Mimo to biegał od pacjenta do pacjenta, rozdając tabletki, medplasty i bandaże. W większości przypadków uciekał się do stosowania białozielonych medplastów, ale udawałem, że niczego nie widzę.

Szczerze mówiąc, sam chętnie bym z nich skorzystał.

Kit i pielęgniarki zaczęły znosić sterników, którzy przeżyli wybuch na Mostku, i przez Salę Nagrań przetoczyła się kolejna fala nerwowej krzątaniny – tu trzeba było zabandażować, tam założyć szwy, a na koniec opakować wszystkich w zielone plasterki.

Na szczęście urazów nie było zbyt wiele – a przynajmniej nie tych fizycznych. Widziałem w oczach ludzi blask desperacji, kiedy powoli zaczynało do nich docierać, że nie straciliśmy tylko dziewięciu sterników – straciliśmy też jakąkolwiek nadzieję na lądowanie.

Późnym popołudniem ekipy techniczne sprawdziły Szpital. Zgodnie z tym, czego dowiedziałem się od Amy, winda – ta, która zjeżdżała na poziom kriogeniczny – była zniszczona. Liny nośne pozrywały się, a kabina leżała roztrzaskana na dnie szybu. Technicy nie stwierdzili jednak żadnych innych strat.

Gdy tylko napięcie opadło, nadałem globalny komunikat, prosząc wszystkich o przybycie do przyszpitalnego ogrodu. Najstarszy zarządziłby pewnie kolejną zbiórkę na Poziomie Strażnika, ale ja wiedziałem, że ludzie woleliby nie opuszczać znajomego otoczenia Poziomu Żywiciela, a już w szczególności nie chcieliby się pojawiać w pomieszczeniu znajdującego się w pobliżu zniszczonego Mostka. Poza tym posąg Najstarszego Plagi często wykorzystywano podczas ceremonii mianowania Starszego na Najstarszego i jego symbolika wydawała mi się stosowna, biorąc pod uwagę to, co chciałem powiedzieć.

– Hej, zaczekaj! – zawołał za mną Bartie, kiedy wychodziłem z Sali Nagrań, kierując się do ogrodu. Nie odpowiedziałem, ale zwolniłem kroku.

– Czy to prawda? – zapytał, dogoniwszy mnie. – Sternicy w Sali Nagrań twierdzą, że z Mostka nic nie zostało.

– To prawda – warknąłem.

– Zamierzasz wszystko im powiedzieć? – ciągnął, starając się nadażyć. – Moim zdaniem ludzie powinni wiedzieć o Mostku. O tym, że już się stąd nie wydostaniemy.

– Niech mnie gzyf, Bartie, naprawdę? – Nawet nie próbowałem powstrzymać się od sarkazmu. – A ja właśnie myślałem, czy nie zrobić sobie przerwy. Chętnie bym coś przekąsił. Na gwiazdy, równie dobrze mogę wrócić do Sali Nagrań i obejrzeć jakiś film.

Uniósł ręce w pojednawczym geście, ale na jego twarzy malował się gniew.

– Nigdy nie potrafisz niczego zrobić sam, za każdym razem trzeba cię pouczać – powiedział. – Skąd miałem wiedzieć, że w tym przypadku jest inaczej?

– Ty gzyfowy hipokryto – syknąłem. – Tak się martwisz wszystkim, co robię źle, ale nawet nie masz pojęcia, co robię dobrze.

Parsknął, a ja usłyszałem w tym dźwięku całą pogardę i drwinę, jakie musiałem znosić z jego strony, a także od wszystkich innych osób, które próbowały mnie oceniać po śmierci Najstarszego. Miałem tego serdecznie dość.

– Chcesz być Najstarszym? – rzuciłem głośno. – Świetnie. Będiesz Najstarszym. W końcu zrozumiesz, jak to jest patrzeć, gdy umierają twoi przyjaciele. Wiesz, co robiłem,

podczas gdy ty objąłeś się tu na dole? Byłem na Mostku. Stałem w drzwiach, gdy doszło do wybuchu. Widziałem, jak Prestyna, Hailee, Brittne i pozostałych wyszło w próżnię. Widziałem, jak Shelby trzymała się kurczowo krzesła, a w jej oczach lśniły łzy. Wyciągała do mnie rękę, ale pozwoliłem jej umrzeć, żeby uratować maszynownię. I całą resztę tego gzyfowego statku.

Rozejrzałem się po Poziomie Żywiciela, odwrócony do Bartiego plecami.

– Pozwoliłeś Shelby umrzeć?

– Patrzyłem, jak błagała o życie, ale i tak zabezpieczyłem drzwi.

*Nie, nie, nie, nie, nie...*

Bartie na chwilę przystanął, lustrując mnie wzrokiem. Nie zatrzymywałem się i znów musiał mnie gonić.

– Może jest w tobie więcej z przywódcy, niż mi się z początku wydawało.

– Idź się wygzyfuj.

– Próbuję cię przeprosić.

– Za co? I dlaczego? Nagle stałem się lepszym przywódcą, bo pozwoliłem umrzeć kilku sternikom? Szlag, to jest sposób myślenia Najstarszego, a nie mój.

Tym razem przyspieszyłem tak bardzo, żeby mnie już nie dogonił.

Stałem pod posągami Najstarszego Plagi. Unosił betonowe ręce w geście fałszywej wielkoduszności, ale teraz, patrząc na jego zniszczoną przez pogodę twarz, zacząłem się zastanawiać, czy coś nas łączyło. Byliśmy rzekomo identyczni pod względem genetycznym, ale... czy podjęlibyśmy takie same decyzje? Czy zrobiłby to, co ja właśnie chciałem zrobić?

Jakoś w to wątpiłem.

Ludzie schodzili się powoli. Większość już wiedziała, o czym będę mówić – wyczytałem to z rozpaczy na ich twarzach, z ich gniewu i strachu. Część z nich – rodzina i przyjaciele sterników pierwszego szczebla – znalazła się wśród tych, którzy stanęli blisko mnie.

Kiedy już całą przestrzeń wokół posągu zapełnili ludzie, wskoczyłem na cokół, żeby być od nich nieco wyżej. Wypatrzyłem kilka znajomych postaci, mimo że ogród był zatłoczony. Bartie stał niemalże w samym środku tłumu, Doktorek i Kit bliżej Szpitala. Amy nieopodal stawu, nieco na uboczu. Miała na sobie kurtkę i kaptur naciągnięty na głowę, ale od razu ją rozpoznałem. Spojrzała w górę w samą porę, by uchwycić mój wzrok, a duma lśniąca w jej oczach dodała mi sił przed przemową.

– Witajcie – powiedziałem, bo nie miałem pojęcia, jak inaczej zacząć. – Mam dla was bardzo złe wiadomości – dodałem głośniejszym głosem, widząc, że niektórzy nadstawiają uszu. W końcu włączyłem wi-kom, zamiast się wydzierać, dzięki czemu mogłem mówić normalnym głosem.

– Mam dla was bardzo złe wiadomości – powtórzyłem bezpośrednio do wi-komów – choć podejrzewam, że już słyszeliście o dzisiejszych tragicznych wydarzeniach, które chcę z wami omówić. – Wziąłem głęboki oddech, zbierając się w sobie. Zamiast patrzeć na tłum, znów odszukałem wzrokiem Amy. Było mi łatwiej udawać, że mówię tylko do niej. – Mostek został wysadzony w powietrze. Jeszcze nie wiemy... nie wiem, kto za tym stoi, ale atak przeprowadzono celowo. Życie straciło dziewięciu sterników, między innymi Pierwsza Sterniczka Shelby. – Odwróciłem wzrok od Amy. – Z powodu tego ataku nie będziemy mogli także wylądować na nowej planecie.

Nikt nic nie mówił, a ja pozwoliłem, by cisza wypełniła statek aż po brzegi.

– W chwili gdy przejąłem rolę przywódcy, zniósłem praktykę wpuszczania fidusa do systemu wodociągowego. Staraliśmy się z wami współpracować, znaleźć sposób, abyście mogli kontynuować życie na pokładzie statku bez tego leku, a gdy odkryłem, że Centauri-Ziemia znajduje się w naszym zasięgu, próbowałem dokończyć misję



„Błogosławionego” i wylądować na powierzchni planety.

Przełknąłem ciężko, zmuszając się do spojrzenia na tłum.

– Niestety, zawiodłem – i to nie tylko jeśli chodzi o naszą misję, ale także we wszystkich innych aspektach rządów.

Mojemu wyznaniu towarzyszyły zdumione jęki, wściekłe i zagubione spojrzenia, szeptane wątpliwości. Jednak gdy tylko otworzyłem usta, znów zapadła cisza.

– Będę z wami szczerzy. Myślałem, że moje rządy okażą się równie silne, jak fidus. Jak widać, byłem w błędzie. Odkąd przejąłem funkcję Najstarszego, statek pogrążył się w chaosie. Ludzie umierali – i to nie tylko podczas dzisiejszego zamachu, w którym zginęło dziewięć osób. Ktoś zabijał w moim imieniu, wzywając was do posłuszeństwa, a jeszcze wcześniej dochodziło do okaleczeń i samobójstw, którym nie umiałem zapobiec.

Coraz więcej ludzi w tłumie płakało. Spojrzałem mimowolnie na Amy. Stała dumnie wyprostowana, w jej wzroku nie było niepewności. Ja też wyprężyłem się jak struna i uniosłem ramiona.

– Właśnie dlatego – odetchnąłem głęboko – chciałem zaproponować, że ustąpię z funkcji przywódcy „Błogosławionego”.

Tym razem moje słowa przyjęto z całkowitym osłupieniem. Ludzie mrugali i stali z rozdziawionymi ustami, nie mając pojęcia, jak zareagować. Pozwoliłem, by cisza narastała. Powoli, jeden po drugim, odwracali się, chcąc sprawdzić, na kim zatrzymał się mój wzrok.

Na Bartiem.

On jednak gapił się na mnie oniemiały.

– Skoro nikt inny nie czuje się na siłach, żeby poprowadzić „Błogosławionego” – powiedziałem po kolejnej chwili ciszy i bezruchu – będę nadal robić wszystko, co w mojej mocy, by jak najlepiej służyć temu statkowi. To wszystko.

Wyłączyłem wi-kom i odszedłem.

Tłum rozchodził się powoli. Byłam pewna, że to jeszcze nie koniec. Może tego wieczoru Bartie nie przejął władzy, ale chyba zyskał na powszechnym szoku więcej niż ktokolwiek inny. Albo to, albo miał inny powód, by czekać. Nie ufałam mu. Jeśli szybko nie wydostaniemy się ze statku, Bartie go przejmie – lub zniszczy, próbując to zrobić.

Kiedy wszyscy odeszli, powędrowałam ścieżką w stronę posągu. Z początku sądziłam, że Starszy w niczym nie przypominał poznaczonej przez strugi deszczu betonowej podobizny Najstarszego Plagi, ale teraz nie byłam już tego taka pewna.

Starszy wyłonił się z cienia i dołączył do mnie.

– Skąd wiedziałeś?

– O czym?

– Że Bartie nie każe ci ustąpić? Że nie przejmie przywództwa na statku, kiedy mu to zaproponowałeś?

Starszy spojrzał mi prosto w oczy.

– Nie wiedziałem.

Próbowałam nie dać po sobie poznać, jak bardzo zaskoczyły mnie jego słowa.

Mimo że Szpital był już otwarty dla pacjentów, pokierowałam Starszego w przeciwną stronę, do Sali Nagrań.

– Tak sobie myślałam... – zaczęłam, gdy wlekliśmy się ścieżką.

– O czym? – Głos Starszego był zmęczony i słaby.

– Jak bardzo różnisz się od Oriona.

Starszy prychnął.

– Nie, serio – obstawałam przy swoim. – Orion miał plan awaryjny dla planu awaryjnego. Ty nie. Po prostu robisz to, co twoim zdaniem jest w danym momencie słuszne, i czekasz, co się stanie dalej.

– Może powinienem mieć plan. Może wtedy sprawy lepiej by się potoczyły.

– Nie zdołasz zaplanować wszystkiego. Orion nie mógł wiedzieć, że jakiś czub wysadzi Mostek w powietrze. – Rzuciłam okiem na Starszego i zobaczyłam, że zmarszczył czoło. – Ty też nie mogłeś – dodałam, lecz chyba nie do końca mi uwierzył.

W milczeniu wspieiliśmy się po schodach do Sali Nagrań. W środku panowała cisza. Zgromadzone tu artefakty jedynie przypominały o tym wszystkim, czego nie mogliśmy mieć, a nikt nie lubi o tym pamiętać.

– Przepraszam – wymamrotał Starszy. Światło wlało się do Sali Nagrań przez otwarte drzwi, a potem pierzchnęło, gdy zamknęliśmy je cicho za sobą.

– Za co?

– Straciłaś ostatnią szansę na to, by opuścić statek, obudzić rodziców... Na wszystko.

Mogę ich obudzić, pomyślałam. Nie powiedziałam tego głośno, wiedziałam jednak, że to prawda. Jeśli naprawdę nie mieliśmy już szans na lądowanie, zamierzałam ich obudzić bez względu na wszystko.

– Nadal mam ciebie, prawda? – odparłam, sięgając po jego dłoń. Starszy natychmiast ją wyrwał. Nie chciał, żebym go pocieszała.

– To wszystko moja wina. Nie sądziłem, że do tego dojdzie...

– To nie twoja wina – powiedziałam natychmiast. – Nikt nie mógł przewidzieć...

Mój głos zamarł. Ktoś jednak przewidział. Ktoś się domyślił. Orion. Naprawdę miał plan awaryjny na każdą ewentualność. Nazwał mnie swoją r e z e r w ą...

Wskazałam jeden ze ściennych plastplejów.

– Mógłbyś pokazać mi plany statku?  
– Po co? – Starszy błagał mnie wzrokiem, żebym przestała, nie podsuwała mu myśli, że została jeszcze jakaś nadzieja.

Ale nie wszystko było stracone.

Popchnęłam go do plastpleja i nie odstępowałam na krok, dopóki nie zaczął stukać w ekran, by dotrzeć do planów. Gdy już je znalazł, pobiegłam na drugi koniec holu i chwyciłam krzesło stojące pod ścianą. Ustawiłam je pod glinianymi modelami planet i małą repliką „Błogosławionego”.

– Na ostatnim nagraniu, tym, które znalazłam w arsenale, gdy zniknęły materiały wybuchowe – wyjaśniłam, wchodząc na krzesło – Orion powiedział, że ostatnią rzecz znajduję w „Błogosławionym”.

– „Błogosławiony” jest wielki – stwierdził Starszy. Na plastpleju za jego plecami wyświetlał się olbrzymi schemat. Widząc go na ścianie, uświadomiłam sobie rozmiary statku.

– Wiem, ale czy to nie dziwne? Ten dobór słów... Nie powiedział na „Błogosławionym”, powiedział w „Błogosławionym”.

– No i? – zapytał bezbarwnym głosem. Choć fizycznie przebywał razem ze mną w Sali Nagrań, tak naprawdę duchem wciąż był w ogrodzie, gdzie musiał się poddać, i na Mostku, gdzie patrzył, jak giną jego ludzie. Wskazówki Oriona już go nie obchodziły.

Wspięłam się na palce, sięgając po maleńkiego „Błogosławionego”, który wisiał pomiędzy dwoma glinianymi modelami planet.

– W „Błogosławionym” – powtórzyłam. – W środku. – Krzesło zachwiało się, kiedy musnęłam model statku. Już wcześniej zauważyłam, że wisiał na haczyku, jakby dało się go zdjąć i obejrzeć. Wystarczyło pchnąć go od dołu, żeby ześlizgnął się z haczyka. Złapałam go jedną dłonią. Krzesło przewróciło się, ale zdążyłam zeskoczyć, zanim uderzyło o podłogę. Starszy złapał mnie w talii, aż sapnęłam zaskoczona. Delikatnie postawił mnie na podłodze.

Model był wielkości mojej głowy. Dmuchiłam i wielkie kłęby kurzu pofrunęły w górę, po czym opadły, zbyt ciężkie, aby unosić się w powietrzu. Na szczycie statku było go jeszcze więcej, w rowkach maleńkiego okna na Mostku. Odwróciłam model na bok. Przypominał ptaka o złamanych skrzydłach z silnikiem zamiast piór ogona.

Wręczyłam model Starszemu.

Zważył go w dłoni, jakby było to coś obcego, a nie kopia jedyne go domu, jaki kiedykolwiek znał. Na twarzy Starszego malowało się napięcie – zmarszczył czoło tak mocno, że cienie wyglądały na nim jak czarne smugi. Żyły wyszły mu na dłoniach, zgiął palce. Z rozmysłem przycisnął kciuk do okna Mostka, aż mała szybka pękła. Dostrzegłam kroplę krwi na jego kciuku, ale Starszy nie dał po sobie poznać, że coś go boli.

– Teraz się zgadza – stwierdził, oddając mi model.

Spojrzałam mu w oczy. Ziała z nich pustka.

– Tu jest więcej szkła – wskazałam dolną część statku.

Wzruszył niedbale ramionami.

– Widziałem je, kiedy byłem na zewnątrz. To obserwatorium czy coś w tym rodzaju.

– Za ostatnimi zamkniętymi drzwiami. Tylko po co zamykać obserwatorium?

Podeszłam do ściennego plastpleja. Starszy został przy krześle, ale podążał za mną wzrokiem. Położyłam popsuty model na podłodze i powiększyłam plany na ekranie. Manipulowałam nimi oburącz, przesuwając schemat poziomego kriogenicznego, aż dotarłam do części ukazującej zamknięte drzwi. Nie wszystkie miały oznaczenia – nie miał ich na przykład arsenał – ale za ostatnimi zamkniętymi drzwiami na tym poziomie widniało jedno słowo:

## Rezerwa

– Ciągłe nazywał mnie swoją... rezerwą – stwierdziłam półgłosem. Odwróciwszy się, dostrzegłam w oczach Starszego iskierkę nadziei. – Ta szyba tutaj. – Podniosłam model „Błogosławionego” i przesunęłam palcem od zniszczonego Mostka do najniższego poziomu. Znajdował się tam taki sam kształt wystającego dziobu, tyle że dziób poziomu kriogenicznego był mniejszy.

Na modelu małeńka metalowa kreska biegła wzdłuż dna, zataczając koło.

– To nie jest rezerwa Oriona – powiedziałam wolno, obracając model w dłoni – tylko „Błogosławionego”. Czemu wcześniej na to nie wpadliśmy! Jaki statek nie ma kapsuły ratunkowej? To takie oczywiste, przez cały czas mieliśmy odpowiedź tuż przed nosem!

Ostrożnie pociągnęłam wzdłuż metalowej linii, odrywając dolną część modelu.

Starszy wybałuszył oczy.

– Poziom kriogeniczny – cały gzyfowy poziom kriogeniczny! – może się oderwać od statku? Cały ten poziom to jedna wielka kapsuła ratunkowa?

Rzuciłam mu odłączony fragment modelu. Pomknął przez powietrze wdzięcznym łukiem, wolny od reszty statku. Wolny, by znaleźć dom na nowej planecie.

## STARSZY

Złapałem jedną ręką replikę kapsuły ratunkowej.

- To niemożliwe... – wymamrotałem, oglądając ją ze wszystkich stron.
- Ale dlaczego? – zaśmiała się Amy. – Pomyśl, jak skonstruowany jest ten statek.

Na dole znajdują się wszystkie najważniejsze zasoby. A te schody, którymi próbowałam dzisiaj zbiec? One nie kończą się na poziomie kriogenicznym, tylko na jego dachu. Żeby dostać się na sam poziom, trzeba tam zejść przez właz. Zresztą, skoro już o tym mowa – dodała – mogłam zobaczyć pozostałości szybu windy za jednym z filarów. Tam też był właz próżniowy. Po co ktokolwiek montowałby taki właz w tym miejscu? Konstruktorzy „Błogosławionego” raczej nie marnowali miejsca na zbędne wyposażenie.

Dostrzegłszy wątpliwości w moich oczach, Amy zawyla z frustracją.

– Starszy, pomyśl! Przecież wiesz, że mam rację – całą dolną część statku da się odłączyć. Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? Że wciąż możemy dotrzeć na planetę, nawet bez Mostka. Zostawimy „Błogosławionego” na orbicie i zabierzemy na dół poziom kriogeniczny!

Nowe możliwości kłębiły się w mojej głowie. Amy uśmiechnęła się, już wiedząc, że mnie przekonała.

– Poziom kriogeniczny jest wielki, większy niż to konieczne, jeśli pełniłby jedynie funkcję magazynu – tłumaczyła. – Jest też wysoko sklepiony, dzięki czemu ma większą pojemność tlenu. Na pewno zmieszczą się tam wszyscy ludzie...

Zgarbiłem się.

– Tylko jak się tam dostaniemy, skoro i winda, i schody są zniszczone?

Uśmiech Amy był tak szeroki, że mogłbym policzyć wszystkie jej zęby.

– Chodźmy popływać – powiedziała.

Ledwo za nią nadążałem, gdy szła energicznym krokiem ścieżką z powrotem w stronę Szpitala. Nie, nie Szpitala – w stronę stawu w ogrodzie za Szpitalem.

– To ryby wszystko mi zdradziły. Po prostu nie mogłam zrozumieć, dlaczego w stawie nie ma żadnych ryb – wyjaśniła. Teraz prawie już biegła i musiałem gonić ją truchtem.

– Ryby?

– Karpie koi. Harley je malował, zgadza się? Malował je, kiedy go pierwszy raz spotkałam, i namalował je dla mnie na swoim ostatnim obrazie. Cały jego pokój jest pełen ryb.

– No i? – nie rozumiałem.

Zatrzymała się tak gwałtownie, że na nią wpadłem.

– Harley znał te ryby, widział je. Przecież obrazy nie wzięły się znikąd. A ty sam mi powiedziałeś – ty sam! – że kiedyś tu były. To znaczy, że już ich nie ma, czyli kiedyś były.

– Zgadza się – odparłem – kiedyś były.

– No dobrze, to gdzie się podziały? Ryby nie znikają tak po prostu.

Przystanąłem, żeby się nad tym zastanowić. Kiedy Kayleigh zginęła, zupełnie mi odbiło. Nie pamiętałem niczego oprócz jej ciała w wodzie. Ale później... Harley nie wracał nad staw przez wiele, wiele dni, a gdy wreszcie wrócił, ryby... wyparowały.

– Na dzień tego stawu coś jest – stwierdziła Amy. – Przypomnij sobie schemat.

Przypomnij sobie, co się znajduje dokładnie nad tym obszarem „rezerwy”.

– Staw? – Czulem, jak wypełnia mnie nadzieja. Na gwiazdy, wciąż mieliśmy szansę wylądować! Choć będzie to oznaczało konieczność porzucenia „Błogosławionego”...

– Staw.

Nagle wszystko miało sens – teraz, gdy Amy o tym mówiła, dostrzegałem w jej słowach prawdę. Jeśli Kayleigh osuszyła staw, ryby musiały umrzeć. Zanim jednak zdążyła cokolwiek zrobić, znalazł ją Najstarszy. Nafaszerował ją lekami, żeby nie mogła się nawet ruszać, po czym z powrotem napełnił staw. Wszyscy sądzili, że Kayleigh z własnej woli weszła do wody i się utopiła, a tymczasem...

Amy znów mnie wyprzedziła, gnając do stawu. Orion twierdził, że Kayleigh nie popełniła samobójstwa, lecz została zamordowana. Gdy znaleźliśmy z Harleyem ciało, całe było obklejone medplastami. Przypomniałem sobie, jak łatwo Doktor uspokoił Evie, przyklejając jej plaster z fidusem. Kayleigh nie miała plastrów z fidusem, ale stosowano także inne, na przykład usypiające. Wystarczyło kilka, by Kayleigh nawet nie drgnęła, podczas gdy Najstarszy patrzył z brzegu, jak tonęła razem z jego sekretem.

Dotarłszy nad staw, Amy zrzuciła mokasyny i cisnęła kurtkę na ziemię. Odwinęła z głowy pasmo materiału, które przytrzymało jej włosy.

– Odwróć się – rzuciła, a ja dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że się gapię.

– Ale ja nic takiego... to znaczy... – zacząłem się jąkać. Czulem, że moja twarz płonie.

– Po prostu się odwróć – powtórzyła Amy z uśmiechem.

Zrobiłem w tył zwrot i wbiłem wzrok w ziemię, starając się ignorować szelest ubrań.

Zaraz potem usłyszałem plusk i spojrzałem z powrotem w stronę stawu. Spodnie i tunika Amy leżały zmięte na ziemi. Musiała mieć na sobie tylko majtki i krótki podkoszulek. Zrobiło mi się jeszcze goręcej i zacząłem się zastanawiać, czy głupio by wyglądało, gdybym włożył teraz głowę pod wodę, żeby oczyścić umysł.

– Czego tam szukasz? – zawołałem.

– Zejścia na dół – odkrzyknęła.

Woda była przejrzysta, choć z dna wokół stóp Amy wznosił się brązowy muł.

Zanurkowała. Nie było jej prawie minutę.

Wyskoczyła z wody, zaczerpnęła wielki haust powietrza i znów zniknęła.

Wielkie bańki rozpryskiwały się na powierzchni.

Przezesywałem wzrokiem głębinę. Od czasu do czasu udało mi się wypatrzeć błysk czerwieni albo fragment bladej skóry. Odliczałem kolejne sekundy.

W końcu Amy wynurzyła się ze stawu, wciągnęła głęboko w płuca powietrze i wypuściła je w jednym długim okrzyku triumfu.

– Co tam się dzieje? – zawołał ktoś ze ścieżki prowadzącej do ogrodu.

– Szlag, szlag, szlag – syknęła Amy, siłując się ze spodniami. Zaryzykowałem i spojrzałem do tyłu w chwili, gdy poprawiała tunikę. Chwilę później Bartie i Victria minęli krzaki hortensji, zmierzając w stronę stawu, a Amy wystąpiła naprzód.

Wilgoć mokrej bielizny przesiąkła przez suche ubrania. Materiał oblepiał ciało Amy w sposób, który utrudniał mi oderwanie wzroku.

– Hej! – zawołała Amy.

– Co wy tu robicie? – zapytała cicho Victria.

Spojrzałem jej w twarz. Victria zawsze była najspokojniejsza z całej naszej paczki, ale dopiero niedawno zdałem sobie sprawę, że po Godach stała się jeszcze cichsza niż zwykle – po tym, jak Amy uświadomiła mi, co zrobił jej Luthor.

Bezwiednie zacisnąłem pięści, myśląc o jej dramacie – i o tym, że nie potrafiłem mu zapobiec. Paznokcie wbiły mi się boleśnie w dłoń. Spotkało ją coś strasznego, a Amy ledwo uniknęła podobnego losu. To było...

– Och, miałam ochotę trochę popływać – odparła ze śmiechem Amy.

– Zauważyłam – stwierdziła Victria. Jak to dobrze, że przynajmniej Amy jej pomogła.

I może Bartie. Owszem, był bezczelnym zdrajcą, któremu należało skopać tyłek, ale był także jej przyjacielem. Ja nie mogłem tego o sobie powiedzieć.

– Co to? – zapytał Bartie, wskazując na ziemię.

– Ups. – Amy pochyliła się i podniosła dwa bladezielone medplasty. Wepchnęła je do kieszeni. Musiały wypaść, kiedy się przebierała.

– Po co ci medplasty z fidusem? – Zmarszczyłem brwi. W pierwszej chwili wezbrał we mnie gniew – to przecież ona tak stanowczo protestowała przeciwko fidusowi – ale zaraz potem złe emocje przerodziły się w troskę. Przypomniałem sobie Evie, jak drapała paznokciami o ścianę statku. Może Amy czuła się podobnie osaczona? A może fidus pozwalał jej przetrwać noce, kiedy nie byliśmy razem?

Amy zerknęła na Victrię, a ja miałem wrażenie, że wymieniają myśli bez słów.

– Wzięłam na wszelki wypadek. Myślałam, że gdybym potrzebowała... – Odwróciła się do mnie i dostrzegła mój wzrok. – One nie są dla mnie!

Ta odpowiedź tylko pogłębiła zmarszczki na moim czole. A zatem planowała wykorzystać medplasty jako broń, gdyby ktoś ją zaatakował. Na przykład Luthor.

– Co się stało, to się nie odstanie – rzuciła, lecz ton jej głosu sugerował, że wiedziała więcej, niż chciała mi powiedzieć. – No dobrze – zmieniła temat z całym swoim wdziękiem, by odwrócić moją uwagę. – Ktoś ma pomysł, jak osuszyć ten staw?

Uniosłem brew, a Amy dała mi sygnał, że zrozumiała niewypowiedziane pytanie: czy powinniśmy to omawiać przy Bartiem i Victrii? Wzruszyła lekko ramionami, jakby chciała powiedzieć: nie ma żadnego powodu, by ukrywać przed nimi prawdę. Zresztą wiedziałem, że jeśli nam się powiedzie, wkrótce i tak dowie się o tym cały statek.

– No, mówcie, o co chodzi – ponaglił nas Bartie, jednocześnie zniecierpliwiony i rozbawiony.

– Możemy wydostać się ze statku! – wypaliła radośnie Amy.

– Przez staw?

– Przez właz p o d stawem.

Victoria zmierzyła ją sceptycznym wzrokiem, jakby się zastanawiała, czy Amy przypadkiem nie postradała zmysłów.

– Wyjście ze statku znajduje się pod wodą?

– Tymczasowo – zaśmiała się Amy. – Właśnie dlatego musimy osuszyć staw.

Victoria spojrzała na mnie.

– Czy tylko ja mam wrażenie, że ktoś tu chyba zwariował?

– Jeżeli chcesz osuszyć staw – odezwał się Bartie – to tam jest pompa. – Wskazał na drugi brzeg, na czarną skrzynkę sprytnie ukrytą za krzakiem hortensji.

– Została tu zamontowana na wypadek pożaru – wyjaśniłem, przesuwając się, by stanąć przed Bartiem. – Gdyby ktoś zaprószył ogień w Szpitalu albo w Sali Nagrań, moglibyśmy wykorzystać wodę ze stawu do akcji ratowniczej.

– Umiesz ją obsługiwać? – zapytała Amy, patrząc lśnięcymi oczami.

Nie miałem pojęcia, nigdy wcześniej nie używałem tej pompy.

– Oczywiście, że umiem – odparłem.

Ruszyłem na drugą stronę stawu – a Bartie, niestety, za mną.

– Naprawdę wiesz, jak się tego używa? – zapytał z szerokim uśmiechem.

Zgromiłem go wzrokiem.

– Nawet nie próbuj.

– Czego?

– Udawać, że wciąż jesteśmy przyjaciółmi.

Skinął głową.

– Twój wybór.

– A jeśli chodzi o twoje pytanie... Nie. Nie mam pojęcia, co się z tym robi.

Znów się do mnie uśmiechnął, tym razem jednak swoim starym uśmiechem, jak wtedy, gdy urządzaliśmy wyścigi w bujanych fotelach. Przyklęknąłem obok pompy. Mechanizm nie wydawał się zbyt skomplikowany, ale Bartie powstrzymał mnie, gdy sięgałem po uchwyt.

– Nie rób tego – powiedział.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Rozlejesz tę wodę po całym poziomie. Jeżeli nie chcesz, żeby się zmarnowała, musisz ją przekierować.

Zbliżyłem dłoń do jednego z przycisków.

– Nie ten.

– Niech to gzyf, dobrze! – parsknąłem, wyrzucając ręce w powietrze. – Ty to zrób.

Pochyliwszy się, Bartie wcisnął dwa przełączniki i przekręcił jakąś gałkę, a następnie włączył pompę. Usłyszałem bulgoczący, szumiący dźwięk, ale chwilę trwało, zanim zauważyłem jakąkolwiek zmianę w poziomie wody w stawie. Kiedy już jednak woda zaczęła opadać, z każdą chwilą ubywało jej coraz więcej. Kwiaty lotosu wyginały się bezwolnie, płamiąc różowe płatki mułem. Długie pręciki przypominały włosy zaplątane w błoto... Przelknąłem ciężko, mając przed oczami włosy Kayleigh unoszące się na powierzchni stawu.

– Już prawie gotowe! – zawołała podekscytowanym głosem Victria. Nie widziałem na jej twarzy tak szczerego uśmiechu od... od wielu miesięcy. – Powinniśmy już coś widzieć?

Amy wskoczyła do błotnistej niecki, zanim woda całkiem opadła. Stopy ugrzęzły jej w mule, ubrudziła nim sobie nogawki spodni. Człapała w stronę środka stawu.

– Znalazłam! – Wyrwała korzenie lotosu spod okrągłego uchwytu przymocowanego do klapy wjazdu. – Jest, jest zejście! – zapiszczała podekscytowana.

– A niech mnie... – wymamrotała Victria.

– Co to jest? Kolejna sztuczka, żeby wymóc na nas posłuszeństwo? Kolejne wielkie przedstawienie, takie jak pokazanie wszystkim planety? – Bartie nie sprawiał wrażenia zadowolonego, a cała jego przychylność znikła bez śladu.

– Nie mam nic do ukrycia – oznajmiłem głośno. – Wszyscy zejdziemy na dół.

Amy przekręciła uchwyt. Ześlizgnąłem się do stawu i ruszyłem w jej stronę, walcząc z zasysającym błotem. Bartie i Victria byli tuż za mną. Martwiłem się nimi – czy powinniśmy im pozwolić, by zeszedli za nami w nieznane? Amy zauważyła moje spojrzenie i kiwnęła głową, jakby chciała powiedzieć: tak, oni też powinni iść. Unieśliśmy pokrywę wjazdu, chociaż pompa wciąż pracowała, i strugi wody spływały w czarną otchłań. Na dół prowadziła drabina.

– Chodźmy – rzuciła Amy, po czym wyszarpnęła nogę z błota i postawiła ją na szczeblu. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, już szła na dół.

Kiedy sam znalazłem się w środku, opuściłem pokrywę. Nie podobało mi się wrażenie, że jestem uwięziony jak w puszcze – było tu tak ciasno, że sięgałem obiema rękami do ścian – ale mimo to wołałem zatrzaskać wjazd. Jeśli komuś przyjdzie do głowy, by nas śledzić, przynajmniej usłyszymy, jak będzie się z nim siłować.

Schodziliśmy w pośpiechu, chcąc jak najszybciej wydostać się z zamkniętej przestrzeni. Gdy dotarliśmy do obszaru pomiędzy poziomami, temperatura spadła.

Sapałem ciężko, a mój ciepły oddech rozbijał się o ściany szybu. Chłodny pot spływał mi po karku, przyprawiając mnie o dreszcze.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytała Victria z niedowierzaniem.



– Na drabinie – odparł Bartie.  
– Tego zdążyłam się domyślić, ty dowcipnisiu. Chodziło mi o część statku...  
– Zaraz się dowiemy – powiedziała Amy, kiedy jej stopy uderzyły w coś twardego. – To już chyba koniec.

Zeskoczyliśmy na podłogę. Kolejny właz. Gdy przekręciłem jego uchwyt, na dół spadła krótka automatyczna drabinka. Amy schodziła pierwsza, ja tuż za nią.

Dotarliśmy na mostek.

Na wierną kopię Mostka z Poziomu Sternika, tyle że w miniaturze. Okno było mniejsze, ale także skierowane w stronę planety. Tylko Victria odwróciła się do niej plecami; Amy, Bartie i ja osłupieliliśmy na widok gigantycznego niebiesko-zielonego globu. Był tak boleśnie blisko... Pod oknem znajdował się łukowaty panel sterowania, a za nim rzędy biurka. Dobrze pamiętałem, co mówiła mi Shelby – jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, a te urządzenia zadziałają tak samo jak te z głównego Mostka, jedno przyciśnięcie guzika autopilota sprowadzi nas na powierzchnię planety.

Ktoś oparł o guzik autopilota plastplej z załadowaną kartą pamięci.

– Ostatnie nagranie – powiedziała Amy.

– Co to jest? – zapytał Bartie, podnosząc plastplej.

Wyrwałem mu go z ręki i spojrzałem pytająco na Amy. Czy to też im pokazać?

– Wszyscy za jednego – wyszeptala i mimo że nie znałem tego sformułowania, od razu zrozumiałem jego znaczenie.

Ścisnęli się przy mnie, gdy przeciągnąłem palcem po wyświetlaczu. Jeszcze raz zerknąłem na mozaikę szkła dzielącą nas od planety, ale zaraz potem rozbłysło nagranie.

<<OTWIERAM KANAŁ WIDEO>>

– Co to za film? – Bartie przysunął do mnie głowę.

Victria sapnęła ciężko. Amy otoczyła ją ramieniem i przytuliła, gdy na wyświetlaczu pojawiła się twarz Oriona.

Siedział na krześle pośrodku mostka. Podniosłem głowę, by zobaczyć to prawdziwe. Kiedy Orion nagrywał wiadomość, planeta wydawała się wznosić na jego ramieniu, tak jasna, że otaczała całe jego ciało świetlistym nimbem.

OCH, AMY. ŻAŁUJĘ, ŻE MUSZĘ CI TO POKAZYWAĆ. NAPRAWDĘ ŻAŁUJĘ, BO... BO TERAZ, KIEDY JUŻ WIDZIAŁAŚ PLANETĘ, NIE MAM SERCA CIĘ PROSIĆ, ŻEBYŚ ZAWRÓCIŁA.

Orion spojrzał na Centauri-Ziemę i westchnął. Victria zrobiła to samo.

A WŁAŚNIE TO MUSISZ ZROBIĆ. JEŻELI TYLKO MASZ TAKĄ MOŻLIWOŚĆ, ZAWRÓĆ, ZAMKNIJ WŁAZ PROWADZĄCY DO TEGO POMIESZCZENIA I NIGDY TU NIE WRACAJ.

Amy otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

MYŚLAŁAŚ, ŻE TĄ WIELKĄ TAJEMNICĄ BYŁO POŁOŻENIE „BŁOGOSŁAWIONEGO”? TO, ŻE PLANETA ZNAJDUJE SIĘ TUŻ-TUŻ, PO DRUGIEJ STRONIE TEGO OKNA?

Orion pokręcił głową. Victria, ze wzrokiem przyklejonym do jego twarzy, powtórzyła ten ruch, ale tak lekko, że ledwie go dostrzegłem.

TO ŻADNA TAJEMNICA.

Sięgnął do tyłu i wziął do ręki plik kartek.

– Chyba trzyma to – powiedział Bartie, podnosząc podobny plik z panelu sterowania. Strony były zakurzone i miały pozaginane rogi, ale poza tym wyglądały identycznie jak te na nagraniu.

Orion odchrząknął i zaczął czytać na głos, trzymając kartki wysoko, żeby było je widać w kadrze. Pochyliliśmy się nad plikiem w rękach Bartiego, śledząc tekst za ponurym głosem Oriona.

DATA: 328460

STATUS: PRZYBYCIE

WPIS: „BŁOGOSŁAWIONY” DOTARŁ NA ORBITĘ CENTAURI-ZIEMI 248 DNI PRZED PLANOWANYM LĄDOWANIEM. WSTĘPNE SKANY WYKAZUJĄ, ŻE PLANETA NADAJE SIĘ DO ZAMIESZKANIA: POSIADA ODPOWIEDNIĄ GRAWITACJĘ, MIESZANKĘ POWIETRZA, ZADOWALAJĄCY POZIOM TLENU ORAZ WODĘ W STANIE CIEKŁYM. JEDNAKŻE DODATKOWE SKANY POTWIERDZIŁY, ŻE JEST ZAMIESZKANA. O ILE WIEMY, NIE PRZEZ ISTOTY ROZUMNE, ALE OBECNE FORMY ŻYCIA WYKAZUJĄ ZACHOWANIA... AGRESYWNE.

DATA: 328464

STATUS: ORBITA

WPIS: PRZEPROWADZAMY KOLEJNE SKANY PLANETY. ISTNIENIE FORM ŻYCIA NA POWIERZCHNI ZOSTAŁO POTWIERDZONE. SONDY DO BADAŃ WIZUALNYCH WSKAZUJĄ, ŻE ŚRODOWISKO JEST ZDATNE DO ZAMIESZKANIA, ALE NIEPRZYJAZNE. NASZA BROŃ WYDAJE SIĘ NIEDOSTATECZNĄ OBRONĄ PRZECIWKO ISTOTOM ZAMIESZKUJĄCYM POWIERZCHNIĘ PLANETY.

DATA: 328467

STATUS: ORBITA

WPIS: WŚRÓD ZAŁOGI NARASTAJĄ NIEPOKOJE. ZGODNIE Z OPINIĄ NASZYCH NAJLEPSZYCH STATYSTYKÓW I NAUKOWCÓW NIE POWINIŚMY PRZEPROWADZAĆ PROCEDURY LĄDOWANIA. NA PLANECIE JEST ZBYT NIEBEZPIECZNIE, A KOMUNIKACJA Z ZIEMIĄ ZOSTAŁA ZERWANA. NIE MOŻEMY TEŻ OCZEKIWAĆ POMOCY Z INNYCH ŹRÓDEŁ I NIE ZDOŁAMY OBRONIĆ SIĘ SAMI POZA STATKIEM. WYTŁUMACZĘ NASZĄ SYTUACJĘ ZAŁODZE, A NASTĘPNIE PRZEPROWADZĘ GŁOSOWANIE. OSOBIŚCIE BĘDĘ ZALECAĆ, ABY ZAŁOGA POZOSTAŁA NA POKŁADZIE, GDZIE JESTEŚMY BEZPIECZNI. NA RAZIE STATEK ZASPOKAJA WSZYSTKIE NASZE POTRZEBY, A MOC SILNIKÓW MOŻNA PRZEKIEROWAĆ DO WEWNĘTRZNYCH FUNKCJI.

DATA: 328518

STATUS: ORBITA

WPIS: BUNT. POMIMO MOICH OSTRZEŻEŃ ZAŁOGA NIE WIDZIAŁA SENSU W POZOSTAWANIU NA POKŁADZIE. ZANOTOWANO ZNACZNE STRATY W LUDZIACH. JEDNAKŻE MOI NAUKOWCY WYMYŚLILI METODĘ, KTÓRA POZWOLI NAM SKŁONIĆ ZAŁOGĘ DO POSŁUSZEŃSTWA.

Spojrzeliliśmy po sobie z Amy.

– To była właśnie Plaga, zgadza się? – zapytała. – To wtedy ludzie zaczęli przyjmować fidusa. Ten... kapitan musiał być pierwszym Najstarszym.

Kiwnąłem głową.

– Ciii – syknął Bartie.

DATA: 328603

STATUS: ORBITA

WPIS: ŻYCIE NA POKŁADZIE STOPNIOWO WRACA DO RÓWNOWAGI. ZAŁOGA ZNÓW JEST ULEGŁA. PODEJMIEMY WSZELKIE WYSIŁKI, ABY ODZYSKAĆ DAWNĄ LICZEBNOŚĆ. JEŻELI UDA SIĘ NAM PONOWNIE NAWIĄZAĆ ŁĄCZNOŚĆ

Z ZIEMIĄ LUB OTRZYMAĆ POMOC Z INNYCH ŹRÓDEŁ, BĘDIEMY MOGLI PRZEPROWADZIĆ PROCEDURĘ LĄDOWANIA. JEDNAK DOPÓKI TO NIE NASTĄPI, OSZCZĘDNE GOSPODAROWANIE I MĄDRA PRODUKCJA POWINNY ZAPEWNIĆ PRZETRWANIE NIEZLICZONYM POKOLENIOM.

Orion odłożył plik kartek na panel sterowania pośrodku mostka, w to samo miejsce, z którego podniósł je Bartie.

A ZATEM WIESZ JUŻ, DLACZEGO NIE MOŻEMY WYLĄDOWAĆ. NIE JESTEM ŻADNYM GZYFOWYM HUCPIARZEM, DOBRZE WIEM, CO SIĘ TUTAJ DZIEJE. NAJSTARSZY PLAGI MIAŁ RACJĘ, PODEJMUJĄC DECYZJĘ O POZOSTANIU NA POKŁADZIE. WIDZIAŁEM ARSENAŁ, TY TEŻ GO WIDZIAŁAŚ. SĄ TAM BRONIE, KTÓRE...

Z niedowierzaniem pokręcił głową, a ja spojrzałem na Victrię.

AMY, NA PEWNO ZDAJESZ SOBIE SPRAWĘ, ŻE TO NIE JEST ZWYKŁA BRONĀ. JEŚLI NAJSTARSZY PLAGI UWAŻAŁ, ŻE NA CENTAURI-ZIEMI ŻYJĄ STWORZENIA, Z KTÓRYMI NAWET TA BRONĀ SOBIE NIE PORADZI...

Znów pokręcił głową.

A POZA TYM DOBRZE SIĘ ZASTANÓW. POMYŚL O TYM ARSENALE.

Zbliżył głowę do kamery, a my wszyscy nachyliliśmy się do wyświetlacza.

JAK SĄDZISZ, CZY CI WSZYSCY ZAMROŻENI SAMI BĘDĄ UŻYWAĆ TEJ BRONI? NIECH MNIE GZYF, OCZYWIŚCIE, ŻE NIE. OD TEGO MAJĄ NAS.

Orion wstał i podszedł do okna. Przez jakąś minutę wpatrywał się w planetę, po czym wrócił do krzesła.

WIDZISZ TO?

Podniósł kamerę i skierował ją na puste wydrążenia w podłodze. Wszyscy czworo w tej samej chwili podnieśliśmy głowy, spoglądając w stronę dziesięciu otworów znajdujących się przy odległej ścianie.

TAM ZNAJDOWAŁY SIĘ SONDY. PO TYCH WSZYSTKICH SONDACH, KTÓRE WYŚLAŁ NA PLANETĘ NAJSTARSZY PLAGI, KAŻDY JEGO NASTĘPCA WYŚLAŁ KOLEJNĄ. WSZYSTKIE WRACAŁY Z OSTRZEŻENIEM, ŻE NIE ZAMIESZKAMY NA CENTAURI-ZIEMI BEZ WALKI. WALKI, KTÓRĄ PRAWDOPODOBNIIE PRZEGRAMY. WALKI, DO KTÓREJ ZAMROŻENI ZMUSZĄ URODZONYCH NA STATKU.

– To właśnie wtedy musiał podjąć decyzję, że ich zabije – stwierdziła Amy. – Wszystkich zamrożonych, już po tym, jak się obudziłam – to dlatego ich odłączał. Byłeś coraz bliżej prawdy, nawet jeśli nie zdawałeś sobie z tego sprawy, a on się bał, co ludzie z Sol-Ziemi zrobią po przebudzeniu.

Spojrzałem jej w oczy.

– Próbował nam to powiedzieć, mówił to od samego początku. Orion nie kłamał.

Amy nachmurzyła się.

– Nie we wszystkim był z nami szczery. A poza tym nie obchodzi mnie, co sobie ubzdurał, mój ojciec nigdy by...

– Cicho! – Bartie zgromił nas wzrokiem.

OSTATNIE SONDY ZUŻYLIŚMY KILKA POKOLEŃ TEMU. NIE MAM POJĘCIA, JAK DŁUGO WYTRZYMAJĄ JESZCZE NASZE SILNIKI, JAK DŁUGO MOŻEMY POZOSTAĆ TU, NA „BŁOGOSŁAWIONYM”. ALE TO JEST NASZA REZERWA.

Uniósł ręce, wskazując mostek poziomemu kriogenicznego.

JEŚLI SILNIKI ZAWIODĄ, JEŚLI SYSTEMY PODTRZYMYWANIA ŻYCIA ODMÓWIĄ POSŁUSZEŃSTWA, JEŚLI „BŁOGOSŁAWIONY” NIE BĘDZIE W STANIE

ZAPEWNIĆ NAM BEZPIECZEŃSTWA, WTEDY – I TYLKO WTEDY! – BĘDZIEMY MOGLI ZEJŚĆ Z POKŁADU.

Jego wzrok zabłądził gdzieś poza kadr.

AMY, OD POCZĄTKU ZDAWAŁEM SOBIE SPRAWĘ Z JEDNEGO – DLA CIEBIE NAJWAŻNIEJSZA BYŁA PRAWDA. KIEDY SPOTKAŁEM CIĘ PO RAZ PIERWSZY, PŁAKAŁAŚ PRZY ŚCIANIE, PAMIĘTASZ? POWIEDZIAŁEM CI WTEDY, ŻE WSZYSTKO BĘDZIE DOBRZE, ALE BYŁEM PEWIEN, ŻE NIE PRZYJMIESZ MOICH SŁÓW BEZKRYTYCZNIE. MIAŁAŚ ODWAGĘ ZMIERZYĆ SIĘ Z PRAWDĄ, NAWET JEŚLI OZNACZAŁO TO BÓL.

Odwróciłem się do Amy. Wyglądała na jeszcze bledszą niż zwykle.

CÓŻ, WRESZCIE POZNAŁAŚ PRAWDĘ. CO Z NIĄ ZROBISZ, ZALEŻY TYLKO OD CIEBIE. NIE MAM POJĘCIA, JAKA DECYZJA BĘDZIE NAJLEPSZA. NAJSTARSZY UWAŻAŁ, ŻE WIEM ZA DUŻO, I BAŁ SIĘ TEGO, JAK WYKORZYSTAM TĘ WIEDZĘ. JA TEŻ SIĘ BAŁEM. CAŁY CZAS SIĘ BOJĘ. A WIĘC ZOSTAŁAŚ TYLKO TY. TERAZ, KIEDY JUŻ ZNASZ PRAWDĘ, MUSISZ DOKONAĆ WYBORU, AMY.

Orion westchnął głęboko, a Amy wstrzymała oddech.

CZY STATEK JEST W TAK TRAGICZNYM STANIE, ŻE MUSICIE STAWIĆ CZOŁA POTWOROM TAM, NA DOLE? CZY WARTO ZARYZYKOWAĆ WŁASNE ŻYCIE – I ŻYCIE WSZYSTKICH INNYCH LUDZI? JEŚLI ODPOWIEDZIAŁAŚ NA TE PYTANIA „TAK”, ROZPOCZNIJ PROCEDURĘ LĄDOWANIA. UŻYJ KAPSUŁY RATUNKOWEJ, SKORO NAPRAWDĘ MUSISZ. JEŚLI JEDNAK „BŁOGOSŁAWIONY” NADAL MOŻE ZAPEWNIĆ CI BEZPIECZNY DOM, JEŚLI MOŻECIE ZOSTAĆ NA POKŁADZIE – ZOSTAŃCIE.

Amy zadrzała i powoli wypuściła powietrze z płuc, a Orion opuścił wzrok, jakby ją usłyszał. Przygryzła wargę, w napięciu oczekując na kolejne słowa.

LĄDUJ WYŁĄCZNIE W OSTATECZNOŚCI.

Wyświetlacz zgasł.

<<ZAMYKAM KANAŁ WIDEO>>

Pozwoliłam, by plastplej wyslizgnął się z mojej dłoni, i patrzyłam, jak spada na podłogę.

– Czy to znaczy – zaczęła powoli Victria – że będziemy mogli zostać na statku? Na zawsze? – Zerknęła na okno za naszymi plecami i na planetę po drugiej stronie.

– Nie – pokręciłam głową. – Wykluczone.

– Zniszczeniu uległ tylko Mostek. Moglibyśmy zostać... – Starszy urwał na widok mojego piorunującego spojrzenia.

– Potwory? Martwicie się jakimiś potworami żyjącymi na planecie? – Przewróciłam oczami. – Słuchajcie, widziałam arsenał i wiem, że nie mamy się czego bać. Tamten kapitan? Po prostu był tchórzem. Albo nie chciał rezygnować z władzy. Spójrzcie na niego – uznał, że nie damy rady, a potem ukrył wszystkie informacje związane z planetą i obwołał się królem statku. Jakim trzeba być megalomanem, żeby tak postąpić? Nie obchodziło go lądowanie ani ucieczka, póki miał władzę. I przekonał do tego wszystkie osoby na pokładzie, łącznie z wami!

Byłam tak zmęczona, że zebrało mi się na wymioty, ale nie miałam zamiaru ustąpić.

– Zabieram się z tego przeklętego statku. Mam w nosie, czy wyskoczy na mnie jakaś cholerna maskara i pożre mnie żywcem, gdy otworzymy właz. Chcę stąd wyjść, choć raz!

– Nie! – warknął Starszy. – Przykro mi, ale nie. To niedorzeczne. Nie obchodzi mnie, jak bardzo się niecierpliwisz. W tej kwestii lepiej nie podejmować pochopnych decyzji. Trzeba się upewnić, czy wszyscy nie padniemy trupem, gdy tylko wysiądziemy z kapsuły!

Przestał krzyczeć i na mostku zapadła głucha cisza. Twarz mnie paliła. Niemal słyszałam, jak słowa Starszego odbijały się echem wewnątrz ich umysłów. Bartie gapił się na niego z głębokim, niemal szaleńczym zdumieniem. Tym razem to ja zachowywałam się jak rozwydrzona smarkuła w napadzie złości.

Ale nie mogli pokazać mi planety, a zaraz potem sprzątnąć jej sprzed nosa.

– Naprawdę będziecie mogli dalej żyć na „Błogosławionym” po tym, jak zobaczyliście to? – zapytałam niemal szeptem, machnąwszy ręką w stronę okna.

Starszy nie spojrzał na planetę. Nie odrywał wzroku od moich oczu.

– Nie – odparł. – Nie, ja bym nie mógł.

Bartie odchrząknął. Nie potrafiłam powiedzieć, czy był przestraszony, czy wściekły. Patrzył na Starszego, kręcąc się niespokojnie.

– Głosujmy. Jeśli ludzie nie będą chcieli odejść...

– To zostaną? – zapytałam z niedowierzaniem. – Naprawdę?

– Teraz i tak na planecie mamy większe szanse na przetrwanie – rzucił Starszy. Bartie odwrócił się w jego stronę. – Straciliśmy zapasy żywności.

– Możemy wyprodukować nowe... – zaczął Bartie, ale przerwało mu głośnie *hup!*

– Co to było? – zaniepokoiła się Victria.

Na pewno nie huk eksplozji. Zabrzmiało to jak uderzenie czegoś ciężkiego w podłogę. Ale przecież byliśmy na tym poziomie sami.

Powinniśmy być sami.

Podkradliśmy się do wyjścia – ostatnich zamkniętych drzwi na poziomie kriogenicznym. Otwierały się od środka, ale Starszy wpadł na sprytny pomysł zablokowania ich krzesłem, żeby nie zatrzasnęły się za nami.

Korytarz świecił pustkami, a pozostałe drzwi były pozamykane. Skręciło mnie w żołądku. A jeśli ktoś majstrował przy komorach kriogenicznych? Co z moimi rodzicami?

Zmusiłam się do myślenia pomimo narastającej paniki. Tętno huczało mi w uszach, skłaniając mnie, żebym pognąła korytarzem. Ale nie; odetchnęłam głęboko. Komory wydałyby dźwięk szkła zgrzytającego o metal, a nie ogłuszający huk metalu o metal.

Obszar kriogeniczny był pusty, jeśli nie liczyć czarnego kurzu i gruzu zalegającego po eksplozji pod przeciwległą ścianą. Drzwi zostały wysadzone – leżały na ziemi niczym poległy żołnierz – lecz szyb windy blokował z drugiej strony ciężki, szczelnie zamknięty właz.

– Ktoś otworzył laboratorium genetyczne – szepnął Starszy.

Skinęłam głową. Zaczęliśmy się ostrożnie podkładać, ale Starszy wyprzedził mnie tuż przed drzwiami. Miałam ochotę pociągnąć go do siebie – nie potrzebowałam, żeby zgrywał teraz bohatera – on jednak stanął w wejściu jak wryty. Wpadłam mu na plecy.

– Doktorze? – W jego głosie brzmiało zaskoczenie. Zauważyłam, jak mięśnie jego szyi napięły się, a pięści zacisnęły.

Doktorek odwrócił się powoli, gdy razem z Victrią i Bartiem weszliśmy do środka.

Za nim znajdowało się źródło huku – komora kriogeniczna Oriona. Doktorek otworzył ją i metalowa rama roztrzaskała się o podłogę.

– Co robisz? – zapytał Starszy. Próbowałam go obejść, żeby mieć lepszy widok, ale wyciągnął rękę, przytrzymując mnie za sobą.

– Wiedziałem, że tu jesteście – odparł Doktorek, rzucając Starszemu plastplej. Starszy obejrzał go i podał mnie. Victria i Bartie zerknęły mi przez ramię. Na ekranie wyświetlała się mapa lokalizacyjna wi-komów. Migające kropki wskazywały każdą osobę znajdującą się na tym poziomie – Doktorka, Bartiego, Victrię, Starszego i... Oriona.

Poczułam, jak zasycha mi w ustach. Orion i mój wi-kom... Doktorek dał mi go tylko po to, żeby mnie śledzić.

– Co robisz? – zapytał ponownie Starszy z nienaturalnym spokojem.

Doktorek odwrócił się z powrotem do komory. Szyba okienka była zamglona od kondensacji, wciąż jednak mogłam dostrzec czerwone żyłki w oczach Oriona. Wyobraziłam sobie własne odbicie w jego źrenicach. Przyciskał dłoń do szyby na wysokości twarzy. Ten rodzaj komory został wynaleziony już po szklanych pudełkach na buty, w których zamrożono moich rodziców i mnie. Była metalowa, izolowana jak termos i łatwiejsza w obsłudze. Jak prysznic zamiast wanny – zamiast spoczywać w szklanej trumnie, wystarczyło wejść do środka, zwolnić płyn kriogeniczny, a potem zainicjować proces zamrażania wielkim czerwonym guzikiem, który znajdował się z przodu. Przypomniałam sobie, jak Starszy go wcisnął.

– Doktorze. – Głos Starszego zabrzmiał jak ostrzeżenie.

Doktorek w końcu się odwrócił.

– Ten statek potrzebuje przywódcy. Został nam tylko Orion – stwierdził.

– Mamy już przywódcę – odezwałam się, występując naprzód.

Obdarzył mnie smutnym, ironicznym uśmiechem.

– Mogliśmy mieć przywódcę. Wystarczyło parę lat więcej i o wiele mniej ciebie... –

Prychnęłam ze złością, ale on tylko potrząsnął głową. – Musimy odzyskać kontrolę.

Potrzebujemy p r a w d z i w e g o przywódcy.

Parsknęłam śmiechem, a z mojego gardła wydobył się ostry, przenikliwy dźwięk, w którym nie poznałam samej siebie.

– Mamy już przywódcę, nie słyszałeś? A Starszy nigdy nie pozwoli ci wrócić do starego porządku rzeczy.

Teraz to Doktorek się zaśmiał – cichym, niskim śmiechem.

– Och, Amy, jesteś taka głupia. I tak bardzo się mylisz.

Odwróciłam się, chcąc powiedzieć Starszemu, by wybił Doktorkowi z głowy ten szalony pomysł, ale Starszy odpowiedział mi tępym, pustym spojrzeniem.

– Starszy? – Ze strachu załamał mi się głos.

Zza obu chłopaków wyszła Victria.

– Przepraszam – mruknęła, upuszczając na podłogę dwa bladezielone opakowania. – Ja chcę tylko odzyskać Oriona.

Trzymała w dłoniach broń, mały rewolwer na pociski dużego kalibru.

– Jak ty...?

– Doktor mi go dał. Wiedział... wiedział, że potrzebuję ochrony. A kiedy obiecał mi, że sprowadzi Oriona... musiałam zrobić wszystko, żeby mu pomóc.

Oniemiałam. Poznałam Victrię z wielu stron: zakochanej bez wzajemności dziewczyny, ofiary i zapomnianej przyjaciółki, ale nigdy nie sądziłam, że zobaczę w niej zdrajczynię.

Przesunęła się, stając pomiędzy Doktorkiem a komorą z zamrożonym ciałem Oriona. Nawet na chwilę nie opuściła broni.

Starszy i Bartie gapili się w przestrzeń. Na szyi każdego z nich widniał kwadratowy bladezielony medplast.

– Nie, nie, nie – szeptała Amy.

Te słowa przypominały mi o... czymś ważnym.

Ale wszystko działało się tak... powoli.

– Do tyłu – rzucił Doktorek.

Staralem się ogarnąć sytuację... zrozumieć...

– Wszystko w porządku? – zapytała mnie Amy.

A co miałoby być nie w porządku?

Doktorek. Trzymał coś, co wyglądało jak przecięta na pół pomarańcza.

W musztardowożółtym kolorze.

– Jeśli będę musiał, wysadzę nas wszystkich w powietrze – powiedział. – Byle tylko ochronić statek. A może po prostu każę Victrii cię zastrzelić. Tak, chyba tak zrobimy. Będzie mniej bałaganu.

– Ale... ja nie wiem jak – wymamrotała Victria.

– Och, to bardzo proste, kochanie – odparł Doktorek. – Wystarczy wycelować i nacisnąć spust. Z tej odległości na pewno nie chybisz.

Jego słowa coś oznaczały, byłem tego pewien.

Tylko... co?

Amy płakała. W kąciku jej oka zebrała się pojedyncza łza, ale i tak ją dostrzegłem.

Nie mogłem zareagować.

Słowa krążyły wokół mojej głowy. Donośne. Gniewne. Błagające.

– Jeśli on rzeczywiście robi tyle zamieszania, może powinniśmy zabić go od razu – stwierdził Doktorek.

– Tylko nie Starszego! – krzyknęła Amy, zasłaniając mnie własnym ciałem.

Czułem się... nijak.

Niewyraźnie.

– Starszy! – krzyknął Doktorek. – Pokaż, co masz w kieszeni!

Pokazałem.

Kable.

Kolorowe kable.

Czerwone.

Żółte.

Czarne.

Kable.

– Podłącz je z powrotem do pompy fidusa – rozkazał mi Doktorek. – Przecież wiesz, że chcesz to zrobić.

Chciałem.

Naprawdę chciałem.

Ruszyłem do pompy, powłóczę nogami.

Coś mnie zatrzymywało.

Coś mnie ciągnęło.

Mimo to próbowałem iść dalej.

Ale nigdzie nie szedłem.

– Amy – odezwał się Doktorek – nie próbuj go zatrzymać.

– Starszy – usłyszałem tuż przy uchu szept Amy. – Starszy, walcz z tym. Walcz. Nie chcesz znowu uruchomić pompy. Nie musisz rządzić dzięki środkom odurzającym, sam dasz



sobie radę. Walcz z tym. Bądź sobą.

– Amy – znów ostrzegł ją Doktorek – wiesz, że cię zabiję. Albo jego. Zrobię to.  
Moje nogi unosiły się i opadały, a ja znów szedłem przed siebie.

Do pompy fidusa.

Żeby podłączyć wyrwane kable.

Zawsze wiedziałem, że będę musiał to zrobić.

Starszy stał obok pompy z przewodami w dłoni, ale najwyraźniej nie mógł ich podłączyć. Gapił się w bezruchu na konsolę. Zastanawiałam się, jak długo nosił przy sobie te kable. Musiał je wkładać do kieszeni każdego dnia, kiedy się ubierał, tak samo jak ja zawieszałam łańcuszek na szyi albo owijałam włosy. Czy nosił je, by pamiętać, jak wyglądały rządy z fidusem i dlaczego nigdy nie powinny wrócić, czy raczej chciał w ten sposób przypominać sobie, że wystarczyło ich użyć, by zyskać taką samą władzę nad ludźmi jak Najstarszy?

Doktorek spoglądał przez szybę na Oriona.

– Powierzył mi wszystko. Pozwoliłem mu żyć. Pomogłem mu uciec. Przez długi czas ukrywał się przede mną – nie wiedziałem, że był Nagrywaczem, że przez wszystkie te lata żył tuż obok. Ale zanim go zamroziliśmy, powierzył mi swoje tajemnice. A ja nie zdradzę zaufania, którym mnie obdarzył, tak jak wy zdradziliście jego.

Doktorek podszedł do Starszego. Już miałam się na niego rzucić, ale Victria zastąpiła mi drogę. Ręka jej drżała. Nie była przyzwyczajona do ciężaru broni, rękojeść nie leżała w jej dłoni zbyt dobrze. Nie żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Wystarczyło, by raz pociągnęła za spust, i gra skończona.

Obserwowałam ją czujnie i dostrzegłam strach na jej twarzy, pot spływający po szyi. Nie chciała tego robić, nie chciała mnie skrzywdzić, ale była jak zwierzę w klatce, a zwierzę w klatce w obliczu zagrożenia zrobi wszystko. Nie ruszałam się.

– Och, Starszy, próbowałem cię ostrzec, naprawdę próbowałem – powiedział Doktor, delikatnie wyciągając przewody spomiędzy palców Starszego. – Mówiłem to tyle razy – bądź posłuszny władzy.

– Jesteś szalony! – krzyknęłam. – To Starszy jest przywódcą!

Doktorek zmierzył mnie wzrokiem z góry na dół, jakby oceniał moją wartość i doszedł do wniosku, że trochę mi brakuje, by spełnić jego standardy.

– Naprawdę liczyłem, że zostanie Najstarszym. Dałem mu na to trzy miesiące, ale coraz więcej osób kwestionowało jego pozycję i stało się jasne, że to beznadziejna sprawa. No i był jeszcze Bartie – zdrwił.

Zerknęłam na Bartiego, na bladozielony medplast przyklejony do jego szyi.

– Bartie sądził, że zdoła wywołać r e w o l u c j ę. – Doktor przewrócił oczami. – Miał kilka dobrych pomysłów – włamania do sieci plastplejów i wi-komów były mądrymi posunięciami – ale tak naprawdę jest słabym człowiekiem. Nigdy nie miał tego, co potrzeba, żeby poprowadzić porządną rewolucję. A poza tym – dodał – nie zamierzałem pozwolić, by różnica zdań przerodziła się w prawdziwy bunt. Gdy znów będziemy mieli prawdziwego przywódcę, temat rewolucji zniknie.

Nie podobała mi się ostateczność, z jaką wypowiedział słowo „zniknie”.

Jego wzrok zatrzymał się na mnie.

– Próbowałem mu pomóc. Wyprodukowałem nowe medplasty, ale Starszy nie chciał ich używać, więc zrobiłem to sam. Mógł wykorzystać te zgony, żeby wzbudzić w ludziach strach niezbędny do wymuszenia posłuszeństwa. I co, wykorzystałeś je? – Spojrzał w odartą z emocji twarz Starszego. – Nie. – Pchnął go. Starszy nie stawiał oporu i upadł obok pompy. – Z biegiem czasu stawało się coraz bardziej oczywiste, że potrzebna nam będzie jego rezygnacja. To on miał być posłuszny władzy, to do niego kierowałem wszystkie ostrzeżenia. – Wbił palec w pierś Starszego. Starszy patrzył przed siebie, zupełnie bezwolny.

– A Marae? – zapytałam.

– Próbowałem z nią rozmawiać. Ze wszystkich osób na statku to właśnie M a r a e powinna stać po stronie Oriona. Ale nie, popierała Starszego.

Doktorek położył przewody na pompie fidusa. Narkotyk nie był teraz jego głównym zmartwieniem. Przeszedł przez pomieszczenie, z powrotem do komory kriogenicznej Oriona.

– Zresztą i tak nie ma już o czym mówić, Amy. – Westchnął z rozczarowaniem. – W tej chwili Orion jest przywódcą, którym Bartie tylko chciał, a Starszy mógł zostać. Jego jedyny błąd polegał na tym, że powierzył decyzję w sprawie kapsuły tobie. Pozwoliłem ci odnaleźć jego nagrania, choć powinienem był je zniszczyć.

Myśli kłębiły się w mojej głowie.

– To po co w ogóle dawałeś mi jego wi-kom? Musiałeś zdawać sobie sprawę, że doprowadzi nas do wskazówek, które dla mnie zostawił.

Doktorek podniósł na mnie wzrok.

– Dałem ci go, bo Orion mnie o to poprosił – wyjaśnił.

I naprawdę nie chodziło o nic więcej. Cokolwiek by o nim mówić, Doktorek był lojalny. Nie wobec Najstarszego, nie wobec Oriona i z pewnością nie wobec Starszego; był lojalny wobec s y s t e m u. Według systemu następnym przywódcą – a zatem osobą, której należało się ślepe posłuszeństwo, nawet gdy nie miała racji – powinien zostać Orion.

Tylko że to nie miało sensu.

– Skoro to ty dałeś mi pierwszą wskazówkę, kto majstrował przy tomiku sonetów i przy wskazówce w arsenale?

– Ja. – Doktorek sprawdził pokrętło na komorze kriogenicznej Oriona.

– Ty? Ale... dlaczego?

Spojrzał na mnie, jakby nie potrafił uwierzyć, że ktoś może być aż tak głupi.

– Nie zrobiłem tego dla siebie. Ten statek, my wszyscy na pokładzie mogliśmy zginąć, gdybyśmy wylądowali na Centauri-Ziemi. Zginąć! Ale – dodał – nie jestem nierozsądny. Pozwolę, aby Starszy dokonał wyboru. Jeśli uzna, że należy odpalić kapsułę, ustąpię. Po prostu uważam, że nie miał racji, zostawiając decyzję tobie.

Wreszcie zrozumiałam – zmienił wskazówkę w arsenale i wyciął stronę z tomiku sonetów, ponieważ nie chciał, żeby mi się udało. Zostawił jednak książkę na półce. Nie chciał, żebym odnalazła wskazówkę, ale nie mógł całkowicie sprzeciwić się woli Oriona.

– Majstrowałeś przy skafandrach kosmicznych?

– Doszedłem do wniosku, że jeśli je znajdziecie, jedno z was ich użyje.

– I było ci wszystko jedno, które z nas umrze?

– Jeżeli dzięki temu poczujesz się lepiej – Doktorek odwrócił się do panelu komory kriogenicznej – miałem nadzieję, że to będziesz ty.

Prawdę mówiąc, nie pocieszyły mnie zbytnio te słowa.

– Nigdy nie udało ci się zrozumieć tego, co chciałem ci przekazać – ciągnął Doktorek, regulując kolejne pokrętło. – Byłaś tak opętana tym, co pokazywał ci Orion, że nigdy nie dostrzegłaś tego, co pokazywałem ci ja.

– Tak? Niby czego?

– Że opuszczenie statku nie jest najważniejsze. Nie możemy go opuścić, Amy, po prostu nie możemy. Orion miał nadzieję, że pewnego dnia, w odległej przyszłości, stanie się to możliwe, ale nie. Arsenał, sondy... Za duże ryzyko. Musimy tu zostać i utrzymać ten sam porządek, który wprowadził Najstarszy Plagi.

Nie mogłam się powstrzymać – prychnęłam z obrzydzeniem.

– Wiem, że jesteś innego zdania, Amy – stwierdził niepotrzebnie Doktorek, jakbyśmy ucinali sobie swobodną pogawędkę w gronie przyjaciół – ale system

Najstarszych d z i a ł a.

– Najstarszy był szurniętym, chorym człowiekiem. Widziałeś go pod koniec. Za bardzo pragnął władzy.

– Tak, tak – lekceważąco odparł Doktorek. – U każdego Starszego i Najstarszego występują dobrze udokumentowane odchylenia, a Najstarszy powinien był ustąpić, kiedy Orion osiągnął odpowiedni wiek. To Orion, a nie Starszy miał dziś sprawować władzę.

– Orion to świr! – krzyknęłam. Zrobiłam krok przed siebie, potrącając ramię Bartiego. Gapił się tępo w przestrzeń.

Błąd. Victria zacisnęła mocniej dłoń na rękojeści rewolweru – w końcu kochała Oriona – a Doktorek przysunął się do komory.

– Nie jest ani świrem, ani Orionem – odparł, przekręcając pokrętło na drzwiach. – Jest Najstarszym. – Spojrzał na Starszego, wciąż tkwiącego w bezruchu przy pompie fidusa. – Ty nigdy nie chciałeś zostać Najstarszym, prawda? Chciałeś być tylko Starszym. Dlatego nawet nie zmieniłeś imienia. Wiedziałeś, że nie nadajesz się do tej roli. Wciąż jesteś dzieciakiem, bardziej pochłoniętym swoimi naiwnymi miłośkami niż odpowiedzialnością.

Starszy – milczący i otumaniony plastrem – potakująco kiwnął głową.

– Nie mów tak o nim! – syknęłam. – A Orion był tchórzem, który mordował bezbronnych ludzi.

Doktorek spojrzał na mnie.

– Nie zapominaj, że to Orion dał ci tę twoją drogocenną planetę, a nie Starszy. Nawet kiedy był tylko bryłą lodu, wciąż miał nad tobą kontrolę, gdy przetrząsałaś statek w poszukiwaniu jego wskazówek. Tak wygląda władza p r a w d z i w e g o przywódcy.

Był taki spokojny, taki stonowany i wyważony – jak zawsze. We wszystkim, w mordowaniu ludzi w imieniu Oriona, w organizowaniu zamachu stanu, żeby obalić Starszego... Nawet teraz w oczach Doktorka nie dostrzegałam śladu ognia. Cicho, konsekwentnie zmierzał do tego, co w jego mniemaniu było bez wątpienia słuszne. Ustawiał nas wszystkich na odpowiednich miejscach. Oriona na miejscu Najstarszego. Starszego na miejscu Starszego. Tylko mnie jak zwykle nie potrafił nigdzie przyporządkować. Właśnie dlatego kazał Victrii mierzyć do mnie z broni.

W głębi duszy wiedziałam, że nie wyjdę z tego cało. Nie pasowałam do planów Doktorka, bo nie pasowałam do „Błogosławionego”, a Doktorek nie znosił, gdy ktoś odstawał od reszty. Wszyscy musieli być identyczni – idealnie spokojni i idealnie podporządkowani właściwemu Najstarszemu. A ja wiedziałam, że nigdy taka nie będę.

Byłam pewna, że Doktorek nie wypuści mnie stąd żywej, i po części oczekiwałam, aż Victria wreszcie pociągnie za spust i wszystko zakończy. Zamiast tego jednak Doktorek wbił kod do komory kriogenicznej Oriona.

Odwrócił się do mnie.

– Amy, żaden ze mnie przywódca. Dobrze o tym wiem. Chcę tylko robić to, co usiłowałam przekazać innym.

– Być posłusznym władzy – powiedziałam łagodnie.

– Właśnie. Nie ma już nadziei. Nie możemy wylądować na nowej planecie i nie zdołamy tu przetrwać bez Oriona. Nie rozumiesz?

Potrzebujemy p r a w d z i w e g o przywódcy. Nie Bartiego czy Starszego.

Potrzebujemy Najstarszego, to nasza jedyna nadzieja.

Victria spojrzała na Doktorka, ale on nie patrzył na nią, tylko na mnie.

– Chcę tylko odzyskać Oriona – odezwała się, on jednak nie zwracał na nią uwagi.

– Tu nie chodzi o nadzieję – odparłam, nie odrywając oczu od Victrii. – Tu chodzi o wiarę. Wiarę, że nowy świat będzie lepszy niż to. I że nawet jeśli nie będzie, to warto zaryzykować i przekonać się o tym na własnej skórze.

Komora kriogeniczna Oriona zapiszczała. Głośny dźwięk odbił się echem od ścian.

– Proszę bardzo – rzekł Doktorek. – Proces regeneracji już się rozpoczyna.

– Co? – warknęłam.

– Naprawdę? – zapytała Victria, odwracając się.

To była moja szansa. Nie tylko Starszy nosił coś w kieszeni – wciąż miałam przy sobie medplasty z fidusem. Szybkim ruchem wyrwałam jeden z opakowania, przyklepiłam Victrii do ramienia i wyrwałam broń z jej bezwładnych palców.

Doktorek otaksował mnie wzrokiem, zastanawiając się, czy go zastrzelę.

– Za późno – stwierdził niemal swobodnym tonem. – Zainicjowałam proces regeneracji.

– Lampka nad głową Oriona mrugała na zielono. – Obudzi się, nawet jeśli mnie zabijesz.

Powoli przesunęłam się w prawo, bliżej Bartiego, lecz nawet gdybym zerwała z niego plaster, fidus i tak pozostałby w organizmie. Znikąd pomocy.

– Amy, zachowujesz się niedorzecznie – oznajmił Doktorek takim samym głosem jak wtedy, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy – gdy zagroził, że będę odurzona do końca moich dni. – Nie myślisz rozsądnie.

– Myślę – odparłam. – Nie chcę, żeby Orion rządził tym statkiem.

– Istnieje szansa, że Starszy nie użyje kapsuły ratunkowej, przecież wiesz.

Miał rację, wiedziałam. Ujrzałam niechęć w jego oczach, niechęć i sprzeciw, gdy zaproponowałam, by lądować od razu.

– Wierzę w niego – powiedziałam. I nie tylko, dodałam w myślach.

Doktorek potrząsnął głową, jakbym była uczennicą, która nie potrafi sobie poradzić z zadaniem domowym.

– Nie sądzisz chyba, że uzależniłam cały swój plan od Victrii? – zapytał szyderczo.

I wyciągnął broń. Dziwnie leżała w jego dłoni. Tak jak Victria nie był pewien, jak ją trzymać. Tyle że nietrudno rozgryźć, jak działa broń palna. Śmiercionośny koniec był skierowany w moją stronę i to w zupełności wystarczyło.

Stałam szerzej, rozsuwając stopy równolegle do ramion. Dorastałam z bronią, jak na dziecko armii przystało. Mój ojciec zadbał, żebym umiała się obronić, posługiwać bronią jak narzędziem, a nie zabawką. Nigdy dotąd nie byłam tak wdzięczna za te soboty na strzelnicy. Wypuściłam powietrze z płuc i poczułam pod palcem chłodny metal spustu.

– Nie możesz mnie zabić – powiedział Doktorek.

– Masz rację, nie mogę – odparłam i pociągnęłam za spust.

Wszystko działo się w zwolnionym tempie, a rzeczywistość była dziwnie rozmazana na krawędziach. Huk strzału rozerwał powietrze; chmura gryzącego dymu szybko rozproszyła się w powietrzu, pozostawiając po sobie zapach miedzi i spalenizny. Grymas bólu wykrzywił twarz Doktorka, a z jego nogi trysnęła krew. Amy odbiła się z obu nóg, wyskoczyła w powietrze i przylepiła mu do ramienia bladezielony medplast.

Kolejny strzał, tym razem z innej broni. Z broni Doktorka.

Kolejna chmura dymu, kolejna struga krwi.

Amy spadła na podłogę, trzymając się za rękę. Jej palce były lepkie i czerwone.

Podniosła rękę, by wcisnąć guzik wi-komu. Krzyknęła.

Pokuśtykała w stronę Victrii, po czym opadła przy jej ciele na kolana.

Obserwowałem tę scenę, ale nie mogłem zareagować. Wszystko wydawało mi się zbyt ciężkie, zbyt ślamazarne. Patrzyłem tylko, jak Amy krzyczała, dławiąc się własnym szlochem. Przycisnęła obie dłonie do czerwonej plamy rozkwitającej pośrodku tuniki Victrii. Krew wyciekała też z jej własnego rękawa, ale nie zwracała na nią uwagi, skupiona wyłącznie na uciskaniu rany na piersi Victrii.

Obróciłem głowę w stronę Doktorka. Leżał na podłodze i wpatrywał się we mnie otępiąłym wzrokiem, jakby nawet nie zauważył, że został postrzelony w nogę. Wszystko dzięki medplastowi z fidusem.

Spojrzałem z powrotem na Amy i Victrię.

– Nie! – krzyczała Amy.

Victria wyciągnęła ręce do Doktorka. Nie, do Oriona.

– Nie!!! – zawyła Amy jeszcze głośniejsze.

Naparła na pierś Victrii całym ciężarem ciała, ale krew wyciekała jej spomiędzy palców, formując się w ciemnoczerwone banieczki.

– Nie... – wyszeptała.

Ręka Victrii opadła bezwładnie.

Poczułem wilgoć na twarzy. Uniosłem rękę i dotknąłem policzka. Łzy spływały mi z palców jak krople krwi skapujące z dłoni Amy.

Moje dłonie były całe we krwi. Wciąż cieplej, jak ciało Victrii. Podeszłam, żeby zamknąć jej niewidzące oczy, i kilka kropel krwi – Victrii albo mojej, nie umiałam stwierdzić – kapnęło na jej twarz i spłynęło po policzku. Nie zamknęłam jej powiek. Niech patrzy na Oriona.

Wstałam, wycierając ręce w spodnie. Zsunęłam górną część tuniki, by obejrzyć krwawiącą ranę na lewym ramieniu, tuż poniżej barku. Upadając, Doktorek strzelił. Kula drasnęła mnie – i zabiła Victrię.

Zamknęłam oczy, usiłując odepchnąć ten obraz, ale czułam zapach prochu i krwi. Ponownie włączyłam wi-kom. Kit odpowiedziała natychmiast.

– Znalazłam właz – wydyszała. – Zaraz tam będę.

Zdarłam medplast z Bartiego, który stał bliżej, nie czekałam jednak, aż w jego oczach pojawi się blask. Omijając ciało Victrii, przeszłam przez laboratorium do Starszego. Zerwałam z jego szyi medplast, zostawiając na skórze czerwony ślad.

Schowałam twarz w miękkim zagłębieniu między piersią a ramieniem Starszego. Moja krew przesiąkła przez jego koszulę, ale miałam to gdzieś. Stałam tak, pragnąc przestać cokolwiek czuć, tak jak on, nawet jeśli sprawiały to śladowe resztki fidusa w jego organizmie.

Gdy poczułam, jak ręce Starszego uniosły się i zamknęły wokół mnie, pękłam. Łkałam w jego pierś szaleńczo, niepohamowanie, aż straciłam dech, ale to nie wystarczyło.

– Do gzyfa, co tu się stało?! – krzyknęła od progu wstrząśnięta Kit. Jej szeroko rozwarte oczy przesunęły się od Bartiego do nas, a potem do Doktora i w końcu do Victrii.

Opadła przy niej na kolana, ignorując krew, która wsiąkała w jej spodnie.

– Już za późno – powiedziałam.

Kit błędziła wzrokiem po pomieszczeniu i w pierwszej chwili zaniepokoiłam się, że jest zbyt zszokowana, by na cokolwiek się przydać. Zdałam sobie jednak sprawę, że oceniała, co się stało i co trzeba zrobić. Zamknęła Victrii oczy. Słyszałam, jak ludzie mówili, że martwi wyglądają tak, jakby spali. Ale nie Victria. Spokój ogarniał ją, gdy patrzyła na Oriona, lecz teraz, z zamkniętymi oczami, wyglądała na ostatecznie i nieodwołalnie martwą.

Kit sięgnęła do kieszeni i rzuciła mi dwa jasnożółte medplasty.

– Antidotum przeciw fidusowi – wyjaśniła, podchodząc natychmiast do Doktora.

– Nie dawaj mu go.

Otworzyła usta, by zaprotestować, ale gdy zobaczyła mój wyraz twarzy, zgodziła się.

– Może będzie lepiej, jeśli pozostanie pod wpływem fidusa – powiedziała zmartwiona. – Ta rana musi bardzo boleć, a fidus pomaga stłumić ból.

– Wszystko jedno – odparłam zimnym, twardym głosem. – Po prostu nie zdejmuj mu tego medplastu.

Zatrzymała dłoń nad raną Doktora i spojrzała mi w oczy. W końcu powoli skinęła głową, jakby rozumiała, co mam na myśli. Odcięła nogawkę spodni Doktora i pochyliła się, by zbadać ranę – dokładnie tam, gdzie celowałam, tuż nad kolanem. Z dziury po kuli tryskała krew.

Rozerwałam paczuszkę z żółtym plastrem i pocierałam nim o skórę Starszego tak długo, aż zobaczyłam, że skrzywił się z bólu. Zamrugał, odzyskując jasne spojrzenie.

– Wróciłeś? – szepnęłam.

Skinął głową z ponurym wyrazem twarzy. Jego wzrok zatrzymał się na ciele Victrii.

Zastanawiałam się, ile widział i zrozumiał, będąc pod wpływem fidusa.

– Postrzeliłaś go – stwierdził, spoglądając to na Doktorka, to na mnie.

Postrzeliłam. Gdybym tego nie zrobiła, może i on nie pociągnąłby za spust. Może Victria wciąż by żyła.

– Musiałam – odparłam w nadziei, że przekonam również samą siebie.

Znów skinął głową. Nie potrafiłam ocenić, czy mi uwierzył. A jeśli uznał, że ponoszę odpowiedzialność za śmierć Victrii?

– Mocno oberwałaś? – zapytał w końcu, pochylając się w stronę mojego ramienia.

– Ty też jesteś ranna? – Kit rozpyliła na nodze Doktorka środek dezynfekujący, który zapienił się i zaróżowił. Zaczęła owijać ranę dużym bandażem.

– Nic mi nie będzie.

– Została postrzelona – powiedział Starszy. – W ramię.

Zabrał mi drugi żółty medplast i podszedł do Bartiego. Powracając do przytomności, Bartie nie potrafił oderwać wzroku od ciała Victrii. Gdy fidus wreszcie zniknął z jego organizmu, usiłował coś powiedzieć, ale nie potrafił nic z siebie wykrztusić. Runął w stronę Victrii. Starszy złapał go i stali tak we dwóch, obejmując się, a ich rywalizacja przestała mieć znaczenie w obliczu śmierci jednej z ich ostatnich towarzyszek z dzieciństwa.

– Daj – odezwała się Kit.

Podskoczyłam przestraszona – nie zauważyłam, że skończyła opatrywać Doktorka.

Odcięła rękaw mojej tuniki i oczyściła ranę pianką dezynfekującą.

– Jest źle? – zapytał Starszy, gdy on i Bartie odsunęli się od siebie.

Kit otworzyła jasnofioletowy medplast.

– Nie – uspokoiła go. – To przeciwbólowe.

– Żadnych medplastów.

Wzruszyła ramionami i wzięła się za bandażowanie rany. Krwawienie nie ustało całkowicie, ale zmniejszyło się – szwy chyba nie były konieczne. To Victrię dosięgła pełna moc kuli.

– Chodź – zwrócił się Starszy do Bartiego.

– Dokąd idziecie? – zapytałam.

– Poślemy Victrię do gwiazd.

– Pomogę wam – odezwałam się. Kit zacisnęła bandaż na moim ramieniu, aż syknęłam z bólu.

Bartie chwycił ciało Victrii za rękę, a Starszy pochylił się i podniósł je za nogi.

– Poradzimy sobie sami, Amy. – Głos Starszego był uprzejmy, ale wzrok błagał, żebym zrozumiała. Bartie i Starszy musieli pożegnać się sami. Musieli zapamiętać Victrię taką, jaka była, zanim zamrożono Oriona, a ona utonęła w swojej miłości. Zanim ja zostałam obudzona.

W milczeniu ponieśli ciało przyjaciółki do śluzu, zostawiając za sobą plamę krwi.



## STARSZY

Bartie zatrzasnął drzwi śluzy spustowej, a ja wstukałem kod na klawiaturze. Staliśmy przy okienku, wysyłając naszą ostatnią przyjaciółkę z dzieciństwa do gwiazd.

Zobaczyliśmy przez szybę ze szkła bąbelkowego, jak ciało Victrii oderwało się od metalowej podłogi. Ciąg próżni sprawił, że uniosło się i wyleciało ze śluzy tyłem, z twarzą zasłoniętą czarnymi włosami i z rękami wyciągniętymi w moją stronę, choć z każdą chwilą była coraz dalej i dalej...

A zaraz potem nie było jej już w ogóle.

Kit podeszła do nas, gdy zamykaliśmy śluzę. Przy jej boku utykał Doktor – na ramieniu wciąż miał przyklejony bladezielony medplast. Starła się wykorzystać ciężar swojego ciała, by go podparć, ale była znacznie mniejsza od Doktora.

– Pomogę ci – zaoferował się Bartie i zajął miejsce Kit pod jego ramieniem. Jego głos był ponury i pełen tłumionych łez. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, od razu zrozumiałem – wydarzenia poprzednich trzech miesięcy nie mogły przyćmić tego, co stało się w ciągu ostatnich trzydziestu minut. Znowu byliśmy przyjaciółmi.

– Tylko uważaj, żeby medplast się nie odkleił – powiedziałem, a Bartie przytaknął.

Poprowadzili Doktora w stronę włazu. Zastanawiałem się, czy im nie pomóc – wejście ze zranioną nogą po drabinie zapowiadało się na mordęgę – ale nie chciałem pomagać Doktorowi. Nie chciałem go nigdy więcej widzieć.

Wróciłem do laboratorium genetycznego. Amy stała przed komorą kriogeniczną, patrząc w zamrożoną twarz Oriona. Ramię miała owinięte bandażem.

Migawki wydarzeń z okresu, gdy znajdowałem się pod wpływem fidusa, mieszały się w mojej głowie. Nie umiałem ich poukładać – różnica była taka, jak przy pływaniu w wodzie i w syropie. Jedno nie ulegało wątpliwości – Doktor zabił Marae i pozostałych, bo uważał, że Orion znacznie lepiej sprawdziłby się w roli przywódcy.

Amy stwierdziła, że Orion miał plan na każdą ewentualność, i zaczynałem dochodzić do wniosku, że ja też powinienem mieć. Chwilowo nie wiedziałem, co dalej.

– Zatrzymałeś te kable – powiedziała Amy, gdy stanąłem obok niej. – Kable z pompy fidusa. Miałeś je przy sobie przez cały czas. Podszedłeś prosto do pompy...

– Doktor przykleił mi medplast – odparłem. – Nic nie mogłem na to poradzić.

– Ale przez cały czas nosiłeś je przy sobie.

To prawda.

– Tak, nosiłem – przyznałem niechętnie – ale chyba należy mi się jakiś szacunek za to, że nigdy z nich nie skorzystałem?

– Jakiś ci się należy – zgodziła się Amy z niewyraźnym uśmiechem.

Wpatrywaliśmy się w komorę kriogeniczną Oriona.

– Co to za liczby? – Amy wskazała na wyświetlacz LCD w przedniej części komory. Wartość co chwilę pomniejszała się o jeden.

– Zegar odliczający czas do zakończenia procedury.

– To mnie właśnie martwi.

Pochyliłem się, by obejrzeć elektronikę z bliska. Najwyraźniej Doktor zainicjował proces regeneracji. Do rozmrożenia Oriona pozostały dwadzieścia trzy godziny i czterdzieści dwie minuty. Chciałem zatrzymać zegar, lecz nic się nie działo, gdy przestawiałem pokrętko.

– Nie da się odłączyć? – zapytała Amy, zaglądając mi przez ramię.

– Nie możemy tego tak po prostu odłączyć – odparłem. Nauczyłem się tego na własnych błędach.

– No to zrób cokolwiek, żeby zatrzymać procedurę.  
– Nie umiem. – Bezskutecznie kręciłem jakimiś gałkami. Zauważyłem obok wyświetlacz i klawiaturę. – Doktorek zablokował system.

– Zresetuj.

Zawahałem się.

– Nie wiem, czy to jest bezpieczne. Jeśli proces regeneracji już trwa, możemy doprowadzić do nieodwracalnych obrażeń.

– Zaczął się dopiero dwadzieścia minut temu – przypomniała mi Amy. – W tak krótkim czasie na pewno nic wielkiego się nie stało.

Ale ja przypomniałem sobie, jak zamroziłem Oriona, nie przygotowawszy wcześniej jego ciała. Niewykluczone, że już wtedy zrobiłem mu krzywdę, a grzebanie przy sterowaniu komory mogło go teraz zabić.

– Nic mnie nie obchodzi, czy to jest bezpieczne. Nie wolno nam go rozmrozić.

– Amy, to nie takie proste. Ja po prostu nie mogę. Komory kriogeniczne programuje się tylko w jedną stronę...

– Ale ja nie chcę, żeby on się obudził – wyszeptwała bardzo cicho.

Spojrzałem na nią i przygryzłem wargę. Bo ja chciałem.

Nie byłem pewien, czy wynikało to z naszego wspólnego DNA, czy może raczej ze zrozumienia jego wyborów. Może z powodu broni w arsenale albo dziennika pokładowego z mostka na poziomie kriogenicznym. A może po prostu zaczynałem myśleć, że Doktorek miał rację i Orion lepiej sprawdziłby się jako przywódca? Tak czy inaczej, nagle przestał mi się wydawać takim wariatem.

Amy położyła mi dłoń na ramieniu, odwracając moją uwagę od zegara.

– Nie potrafiłam go zabić.

Zamrugalem, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Doktorka. Celował do mnie z broni. I do ciebie. Nie wiedziałam, do kogo strzeli.

Dotknąłem bandażu na jej ręce – delikatnie, żeby nie urazić rany.

– To tylko draśnięcie. Ale kiedy wycelował w naszą stronę, pomyślałam: albo on, albo my. I nie potrafiłam strzelić. Nie mogłam.

– Dobrze, ale dlaczego...

– Starszy – przerwała mi – w głębi ducha wierzę, że Orion nie zasługuje na to, by żyć. Istnieją wśród nas pewni ludzie – dodała, kładąc nacisk na to słowo – którym nie należy się druga szansa. Wciąż pamiętam, jak tonęłam w komorze kriogenicznej. Nie ma dnia, żebym o tym nie myślała.

Tylko że to ja ją odłączyłem, a nie Orion. Ja.

– Dwoje ludzi nie żyje – zginęli tą samą śmiercią, której ja ledwo uniknęłam. I to on im to zrobił.

– Amy, nie zatrzymam procesu regeneracji.

– Orion nie zasługuje na to, by żyć – powtórzyła.

– Potrafiłabyś go zabić?

Jej rozbiegane oczy przesuwwały się w lewo i w prawo. Nie umiała zabić Doktorka, ale nienawiść do Oriona sięgała znacznie głębiej.

– Masz rację, pewnym ludziom nie należy się druga szansa, ale Orion... – Urwałem, zastanawiając się, jak jej to wytłumaczyć. – Orion zrobił coś złego, zgoda. Ale przecież nie chciał tu urządzić masakry. Miał powód, działał pod wpływem strachu.

Amy przygryzła w zamyśleniu wargę. Domyślałem się, że porównywała Oriona, który uważał, że robi dobrze, do Luthora, który wiedział, że postępuje źle.

Chciałem ją objąć i zmasać troskę wyrytą na jej twarzy, ale to nie było takie proste.

– Co prawda nie przerwiemy już procesu regeneracji – zacząłem, odwracając się do komory kriogenicznej – ale może uda nam się go spowolnić...

Amy odsunęła się na bok, żebym mógł w spokoju rozgryźć panel sterowania. Czułem na sobie wzrok dwóch par oczu: Amy błagającej, żebym nie odmrażał Orioną, i Orioną błagającego, żebym przywrócił go do życia.

– Tak, chyba się uda – powiedziałem w końcu. – Mogę spowolnić proces.

– Więc to zrób – rzuciła.

Wprowadziłem odpowiednie liczby, przestawiłem pokrętło i czas na zegarze zwiększył się z dwudziestu trzech godzin do siedemdziesięciu dwóch.

– Możemy to powtarzać? – zapytała Amy. – Dodawać czas za każdym razem, gdy odliczanie będzie się zbliżać do końca?

Kiwnąłem powoli głową.

– W takim razie postanowione – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Będziemy cofać zegar. Orion nie musi się obudzić. Nigdy.

Spojrzała w jego wytrzeszczone oczy z chorobliwą intensywnością, a ja popatrzyłem na nią i nagle doszedłem do wniosku, że nie miałem pojęcia, kim jest ta dziewczyna z wielką nienawiścią w sercu.

Gdy razem ze Starszym wyłoniliśmy się z włazu, czekało już na nas mnóstwo ludzi.

– Czy to prawda? – zawołał ktoś z tłumu.

– Co? – zapytał Starszy.

– Że nadal możemy opuścić statek?

Bartie podał mi rękę, podciągając mnie z ostatnich szczebli drabiny.

– Musiałem im powiedzieć – wyjaśnił. – Nie mogli nie zauważyć olbrzymiego włazu pośrodku stawu...

– To prawda! – ogłosił Starszy.

– Ale czy wszyscy musimy zejść z pokładu? – zawołał ktoś inny. Obróciłam się, chcąc sprawdzić, kto zadał to pytanie. Tłum wyglądał na podzielony. Ci, którzy stali bliżej błotnistej niecki, jeszcze do niedawna będącej stawem, wybuchali radością. Padali sobie w ramiona, a łzy szczęścia spływały im po twarzach, kiedy cieszyli się ze słów Starszego.

Część ludzi trzymała się jednak z tyłu. Marszczyli czoła, podejrzliwi i zaniepokojeni, podczas rozmowy zasłaniając usta dłońmi. Nawet z tej odległości dostrzegłam kilka bładozielonych medplastów. Niektórzy trzymali opakowania w dłoniach, ale jeszcze ich nie otwierali, inni zdążyli już to zrobić, a ich oczy były szkliste.

– Musimy zwołać kolejne spotkanie! – krzyknął Starszy. – Zaraz roześlę wiadomość. – Wcisnęła wi-kom i nadała globalny komunikat, nakazując wszystkim dwóm tysiącom dwustu dziewięćdziesięciu sześciu pasażerom natychmiast stawić się w ogrodzie.

Nie. Nie dwóm tysiącom dwustu dziewięćdziesięciu sześciu pasażerom. Już nie. Odjęłam w myślach: Victria, Luthor, sternicy pierwszego szczebla. Ludzie, którzy zginęli w zamieszkach. Ci, których Doktorek zamordował medplastami. Populacja „Błogosławionego”, choć dotąd wydawała mi się nienaruszalna, teraz sprawiała wrażenie bardzo kruchej.

Bartie z ociąganiem podszedł do Starszego.

– Czy mógłbym... czy miałbyś coś przeciwko, gdybym też coś powiedział?

Starszy rzucił mu drwiący uśmiech.

– Będiesz próbował wywołać kolejne zamieszki?

– Nie – odparł Bartie z powagą.

Starszy spojrział na mnie. Zrozumiałam aluzję i zostawiłam ich samych. Odeszli, rozmawiając cicho. Widziałam napięcie na twarzy Starszego, a gdy Bartie skończył mówić, uściśniły sobie dłonie ze stanowczością, która wzbudziła mój niepokój.

Minęły wieki, zanim wszyscy zgromadzili się wokół stawu. Ludzie nie spieszyli się – widziałam, jak zmierzali przez pola w naszym kierunku. Dotknęłam swoich włosów – nie miałam na sobie szala ani nawet kurtki, ale nic mnie to nie obchodziło. Już się ich nie bałam. Tego dnia postrzeliłam mężczyznę i patrzyłam, jak umiera kobieta. U moich stóp znajdowała się kapsuła, która miała mnie zabrać daleko stąd. Nieważne, co myśleli na mój temat.

Stałam na brzegu stawu, od strony ściany Poziomu Żywiciela. Gdy wokół mulistej niecki zrobiło się tłoczno, niektórzy zaczęli przesuwac się w moją stronę. Wielu wciąż wołało zachować dystans; uśmiechali się szyderczo, ale większość po prostu ignorowała moje istnienie. Jakaś dziewczyna przypadkiem musnęła moje ramię.

– Przepraszam – rzuciła.

Gapiałam się na nią w oszołomieniu, nie mogłam nic na to poradzić. Nie wzdrygnęła się ani nie wyglądała na zniesmaczoną. Nie cofnęła gwałtownie ręki, jakby została skażona.

Starszy wszedł do dziury po stawie i zatrzymał się obok włazu. Victria mówiła kiedyś,

że nie możemy wybierać, kogo kochamy. Wciąż nie wiedziałam, czy to prawda, ale to już nie miało znaczenia. Z wyboru czy nie, moje serce należało do niego.

Wszyscy skupiliśmy wzrok na Starszym, górując nad nim na brzegu stawu. Stał po kostki w błocie i przestępował z nogi na nogę, jakby ze zdenerwowania. Nawet z tej odległości widziałam blade, fioletowozielone siniaki na jego twarzy, jednak nigdy nie sprawiał wrażenia silniejszego i szlachetniejszego.

– Przez setki lat podróży na pokładzie „Błogosławionego” wiele osiągnęliśmy, ale też wiele utraciliśmy i zapomnieliśmy. Na przykład to. – Starszy wskazał włąz. – Sądziłem, że pod naszymi stopami znajduje się kolejny poziom. Byliśmy w błędzie. To nie poziom, ale kapsuła ratunkowa. Na końcu tego szybu znajduje się drugi mostek. Cały poziom może oderwać się od „Błogosławionego” i zabrać nas do nowego domu na Centauri-Ziemi.

Rozejrzałam się – spojrzenia wszystkich zgromadzonych spoczywały na Starszym.

Odchrząknął i wyjaśnił, na czym polega działanie kapsuły ratunkowej. Wahając się, opowiedział również o możliwym niebezpieczeństwie i o ostrzeżeniach Oriona.

– To nie jest idealne rozwiązanie – stwierdził, a ja gwałtownie podniosłam głowę. – Gdy wystrzelimy kapsułę, porzucimy statek. Wiem, że był waszym domem. Tak jak i moim. Ale „Błogosławiony” zaczyna się rozpadać. Nie został zaprojektowany, by służyć nam wiecznie. Poziom kriogeniczny jest duży, zapakujemy tam wszystko, co się uda. Zabierzcie ze sobą tylko to, co najważniejsze. Niektóre rzeczy musicie zostawić.

Starszy skinął na Bartiego i cofnął się. Wszyscy skupili wzrok na Bartiem.

– Ja też chciałbym coś powiedzieć – rzekł, posługując się wi-komem. – Starszy nie kłamie. Byłem dzisiaj w kapsule, widziałem ją na własne oczy. To, co powiedział o pozostawieniu niektórych rzeczy, to też prawda, i... – Przełknął ślinę. – I jedną z tych rzeczy jestem ja. „Błogosławiony” to mój dom. Nie chcę innego. Zostaję na pokładzie. Każdy, kto chciałby do mnie dołączyć, będzie mile widziany.

Szczęka opadła mi w oniemieniu. Odwróciłam się przekonana, że zobaczę na twarzach ludzi szok i niedowierzanie, że uznają Bartiego za niespełna rozumu... ale wielu z nich... przytakiwało. Zgadzało się z nim.

Pragnęli ścian.

– Możemy? – krzyknął ktoś z tłumu.

– Czy to bezpieczne?

– To samobójstwo – wymamrotałam, nie czułam się jednak na tyle bezpiecznie, żeby powiedzieć to głośno.

Starszy przeszedł przez staw i skinął na młodą kobietę, prosząc ją o rozmowę. Chwilę szeptali, zerkając na Bartiego i na tłum za jej plecami.

Wreszcie Starszy przemówił:

– Naukowcy są zgodni, że wewnętrzne systemy statku zachowają sprawność co najmniej przez pokolenie, ale może uda im się wydłużyć ten czas, jeśli biosfera będzie podtrzymywana, a energia oszczędzana.

Tłum pograżył się w dyskusjach. Starszy podniósł rękę – i natychmiast wszyscy ucichli.

– To ważna decyzja. Bez względu na to, co wybierzeć, nie będzie odwrotu. Jeśli zostanieie, to na zawsze, a jeśli opuścicie statek, to już nigdy na niego nie wrócicie.

Odetchnął głęboko.

– Ale wybór należy do was.

## STARSZY

Amy przyparła mnie do muru pod koniec dnia na Poziomie Strażnika.

- Chyba nie mówiłeś tego poważnie – sarknęła.
- Nie zmuszę ludzi, żeby ze mną polecieeli. – Poruszałem ramionami, próbując pozbyć się z nich dokuczliwego napięcia mięśni.
- Ale przecież to jest zbiorowe samobójstwo! „Błogosławiony” nie przetrwa wiecznie – za kilka pokoleń ci ludzie umrą!
- Już rozmawiałem na ten temat z Bartiem. – Opadłem na jedno z niebieskich plastikowych krzeseł, które przeniosłem z Centrum Edukacyjnego do Wielkiej Sali. – Gdy tylko wewnętrzne procesy statku utracą sprawność...
- Co wtedy? – wściekała się Amy. – Ludzie popełnią zbiorowe *seppuku*? Nie miałem bladego pojęcia, o czym ona mówiła.
- Doktorek przechowuje wiele rodzajów medplastów. Są też czarne, które...
- Z a b i j a j ą? – zapytała z oburzeniem.
- W najbardziej humanitarny sposób, jak to tylko możliwe. Machnęła rękami i zaczęła krążyć po Wielkiej Sali.
- Co za idiotyzm! Nie możesz pozwolić im zostać. Zmusz ich, żeby z nami polecieeli! Przecież oni wszyscy zginą...
- Omawialiśmy to z naukowcami – wszedłem jej w słowo. – Statek nie rozpadnie się z dnia na dzień. Energii powinno wystarczyć na co najmniej kilka pokoleń...
- A później? – nie dawała za wygraną.
- A później zostaną im tylko czarne medplasty.
- Oni nie chcą lecieć.
- Jesteś przywódcą! Zmusz ich, żeby polecieeli!
- Czekałem, aż wreszcie przestanie chodzić tam i z powrotem i spojrz mi w twarz.
- Amy, nie mogę się opierać wyłącznie na twoim zdaniu. Zacisnęła szczęki, jakby próbowała przełknąć słowa cisnące się jej na usta, i usiadła naprzeciwko mnie.
- Ilu chce zostać?
- Ośmiuset.
- Ośmiuset?! – Zerwała się z krzesła.
- Mniej więcej.
- Przecież to...
- Ponad jedna trzecia całej populacji statku – dokończyłem za nią.
- Wolą umrzeć w klatce, niż żyć na planecie?
- Ta klatka to dla nich dom, Amy – odparłem. – Wiem, że nie potrafisz zrozumieć, jak ktoś może uważać „Błogosławionego” za dom, ale tak po prostu jest. Usiadła, tym razem powoli.
- Powinieneś ich zmusić – powtórzyła. – Ale – dodała, gdy tylko otworzyłem usta – rozumiem, dlaczego tak im zależy, żeby zostać. Jeśli nigdy nie widzieli nic innego...
- Amy, oni powinni wybrać sami. – Dotknąłem jej kolana, by przyciągnąć jej wzrok. – Ale my lecimy.
- Uśmiechnęła się niepewnie i pochyliła, opierając łokcie na moich kolanach.
- Och, Starszy... – słowa opuściły jej usta w pośpiechu, jak westchnienie ulgi. – Zobaczysz, będzie ci się podobać. Życie w świecie pozbawionym ścian. Odkryjesz tyle nowych rzeczy... Drzewa – wielkie, strzeliste drzewa. A ten staw za Szpitalem? Jest taki malutki,

na planecie będą oceany. I niebo, niebo! Zobacysz ptaki, widziałeś kiedyś ptaki?

– No pewnie – zaśmiałem się. – Mamy tu przecież kury.

– No coś ty. – W jej głosie brzmiała radość. – To nawet nie są prawdziwe kury. A ja mówię o ptakach, najprawdziwszych ptakach! O ptakach, które ćwierkają tak głośno, że ich śpiew budzi cię jeszcze przed sygnałem budzika. O ptakach, które machają skrzydłami, wzbijają się w powietrze i przecinają niebo!

Podskoczyła, wirując z uniesionymi rękami, a gdy zatrzymała się przede mną, jej zielone oczy rozświetlał blask.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak tam będzie pięknie!

Ona już widziała te ptaki, wolność i oceany.

A ja widziałem arsenał i sterty materiałów wybuchowych. Słyszałem słowa Oriona: *Jeśli jednak „Błogosławiony” nadal może zapewnić ci bezpieczny dom, jeśli możecie zostać na pokładzie – zostańcie.*

– No – mruknąłem, próbując się zdobyć na jak najszerzy uśmiech. – Będzie cudnie.

Kłapnęła na krzesło, patrząc na mnie tym wzrokiem z rodzaju: „nawet nie masz pojęcia”, a ja pomyślałem dokładnie to samo. Centauri-Ziemia nie była planetą, na której urodziła się Amy. Nikt nie wiedział, co nas czeka na dole – może oprócz Oriona, który wydawał się tą wiedzą gzyfowo przerażony.

– A jeśli on ma rację? – Nie chciałem powiedzieć tego głośno, ale Amy od razu zrozumiała, o kogo mi chodzi.

– Warto spróbować – zapewniła mnie bez zastanowienia.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale, naprawdę warto. Bez względu na to, co tam spotkamy. Może jest tam niebezpiecznie, może nawet nie przeżyjemy... ale ja tu nie zostanę. Nie umrę na pokładzie tego statku. Nie mogę żyć otoczona ścianami. Już nie.

Nie po tym, jak wyjrzała przez mozaikowe okno. Nie po tym, jak zrozumiała, że planeta znajduje się w jej zasięgu.

– Może to nawet dobrze, że niektórzy chcą zostać – stwierdziła poważnym tonem. – Będzie mniej problemów...

Nasze spojrzenia się spotkały.

Zmrużyła oczy.

– A czy Orion... czy on tu zostanie? Nie zabieramy go chyba na planetę?

– Nie mogę go zostawić.

– Co?!

– Orion leci z nami.

– Jeśli go zostawimy, będzie można go rozmrozić. Niech żyje z innymi na statku.

Wyprostowałem się.

– Orion się rozmrozi tak czy inaczej. Nie zatrzymam zegara, mogę go tylko opóźnić.

Kopnęła krzesło i znów zaczęła chodzić po Wielkiej Sali. Przy każdym zakręceniu jej włosy cięły wściekle powietrze niczym czerwone ostrze.

– Przedyskutowałem to z Bartiem. Doktorek zostaje na pokładzie. Odbędzie swoją karę, ale Bartie chce mu zapewnić uczciwy prousses.

– Proces – poprawiła mnie odruchowo.

Nie zapytałem Bartiego, jaką karę przewidział dla Doktora. Na pewno nie śmierć – potrzebowali lekarza, a Kit leciała z nami na Centauri-Ziemię. Ale Bartie przyjaźnił się z Victrią bliżej niż ja i wiedziałem, że kara będzie surowa.

– A więc wszystko jest już postanowione? Podzielcie się zbrodniarzami – Bartie

dostanie Doktorka, a ty Oriona?

– Mniej więcej – odparłem. Bartie p o t r z e b o w a ł Doktorka, ale nie wiedzieliśmy, co zrobić z Orionem. Zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli obudzi się na statku, Doktor poprze go, by podkopać autorytet Bartiego. Z drugiej strony, jeśli polecą z nami na planetę, będzie sprawiać kłopoty... Żaden z nas nie chciał go jednak odłączyć ani wyrzucić przez służbę spustową. Koniec końców zgłosiłem się na ochotnika.

– To nieuczciwie – stwierdziła Amy. – Dlaczego on ma lecieć? Ten człowiek jest źródłem chaosu, naprawdę tego nie widzisz? Ludzie w jego imieniu zabijają i podkładają bomby, mimo że jest zamrożony! Wyobraź sobie, co będzie, kiedy się obudzi.

Pokręciłem głową.

– Od początku taki był plan – że obudzi się razem z pozostałymi zamrożonymi, a oni osądzą go za wszystkie przestępstwa.

– Nie musisz ich tym obarczać. Możesz go po prostu zostawić.

Mogłem. Wiedziałem, że mogłem. Tak byłoby znacznie prościej. Ale wiedziałem też – bo choćbym próbował się tego wypierać, wiele nas łączyło – wiedziałem, byłem pewien, że Orion chciał się stąd wydostać. Zostawił Amy wskazówki i ostateczną decyzję, lecz sam fakt, że nie zniszczył naszych nadziei na lądowanie, świadczył o tym bardzo dobitnie. Tak jak ja pragnął uciec z „Błogosławionego”.

Nie potrafiłem skazać go na życie między ścianami, nawet jeżeli na to zasłużył.

– Pozwolę zamrożonym go osądzić i podporządkuję się ich decyzji – oświadczyłem.

Amy zacisnęła usta tak mocno, że aż pobielaly.

– To nie będzie takie proste, wiesz o tym.

– Orion leci z nami na planetę.

Zatrzymała się w pół kroku.

– Jeśli go weźmiesz, między nami wszystko się zmieni. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle bierzesz pod uwagę taką możliwość.

– A ja nie mogę uwierzyć, że potrafiłabyś odebrać komuś planetę. Nawet Orionowi.

Spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakbym ją uderzył, po czym bez słowa uciekła do grawiszybu.

Wróciłem do kwatery Najstarszego. Sam. Toga strażnika leżała zmięta na podłodze.

Niech leży.



Ostatniego dnia na pokładzie „Błogosławionego” spakowałam cały swój dobytek do niewielkiej torby. Ubrania niegdyś należące do Kayleigh, która umarła, bo Orion nie zachował tajemnicy. Notes, w którym pisałam listy do rodziców, gdy sądziłam, że już nigdy ich nie zobaczę. Mojego pluszowego misia.

Zostawiłam kasztanowy szal. Na nowej planecie nie musiałam już chować włosów. Złożywszy materiał i rzuciwszy go na biurko, rozejrzałam się po pokoju, który należał do mnie przez ostatnie trzy miesiące. Sądziłam, że spędzę w nim resztę życia. Albo – że pewnego dnia zamieszkać na Poziomie Strażnika razem ze Starszym.

Przełknęłam gulę tkwiącą w gardle. Może Starszy miał rację i Orion nie zasłużył na utonięcie we własnej komorze kriogenicznej. Ale nie zasłużył też na nową planetę. Usiłowałam sobie przypomnieć, co – jak mi się wydawało – kochałam w Starszym, lecz teraz przychodził mi na myśl jedynie upór w jego oczach, jego ton, kiedy odmówił pozostawienia Oriona na statku.

Wzięłam do jednej ręki torbę, a do drugiej ostatni obraz Harleya. W kapsule ratunkowej nie było zbyt wiele miejsca na sztukę, lecz dla tego wyjątku zamierzałam je znaleźć.

Lampa solarna włączyła się w chwili, gdy dotarłam na brzeg stawu. Jego dno pokrywała teraz wyschnięta ziemia, splekana od żaru lampy, a kwiaty lotosu zmieniły się w zwędnięte pasma martwej zieleni i różu.

Zeszłam jako pierwsza. Upchnęłam torbę i obraz Harleya w ustronnym kącie mostka, po czym usiadłam na krześle na wprost okna. Za mostkiem kapsuła była załadowana niemal po brzegi. Wszystkie pomieszczenia pootwierano, wykorzystano każdy cal kwadratowy powierzchni. Z wyjątkiem arsenału – Starszy postanowił nie otwierać tych drzwi, nawet gdyby potrzebne nam było miejsce. Nie miałam pewności, czy bał się, że ktoś spróbuje ukraść broń, czy chciał jak na razie zachować w tajemnicy rozmiary arsenału. W każdym razie uważałam, że postąpił słusznie.

Pozostałe pomieszczenia były jednak wypełnione skrzyniami z żywnością – powinna wystarczyć nam na miesiąc. Dzbany świeżej wody. Leki. Odzież. Narzędzia. Półki pełne maleńkich sadzonek ze Szklarni. Starszy i Bartie podzielili żywy inwentarz. Kilka większych zwierząt ubito, mięso uwędzono i zasolono. Część mniejszych – króliki i kurczęta – zamknięto w klatkach. Obok komór kriogenicznych mieściła się teraz minizagroda.

Zostali jeszcze ludzie.

Przychodzili dwójkami, trójkami. Zabierali ze sobą tylko to, co byli w stanie udźwignąć. Przychodzili z ręcznie robionymi meblami, starą kołyską, bujanym fotelem, wrzecionem. Przychodzili z torbami pełnymi ubrań, rzeźnickich noży albo sprzętu do badań naukowych. Przychodzili z pustymi rękami, spoglądali przez okno na planetę i płakali. Szli prosto do komór kriogenicznych, gdzie już czekali pozostali, nie odwracając głowy nawet o ułamek cala, by zobaczyć, czemu będą musieli stawić czoła.

Na mój widok uśmiechali się, ściskali mnie, w zdumieniu dotykali mojej bladej skóry i rudych włosów. Na mój widok krzywili się z niezadowoleniem, klęli, mówili, że postanowili polecieć, bo leciał ich przyjaciel, bo ich ukochana, bo ich matka, a oni byli gotowi zaryzykować życie, byle się z nimi nie rozstawać.

Pędzili w dół po drabinie, zeskakiwali na podłogę, wspinali się na mostek, podchodzili do okna i dotykali szyby. Wzdychali, dotarwszy do podłogi, z ramionami uginającymi się pod ciężarem myśli, skórą zarumienioną i pomarszczoną ze zmartwienia, z żalu, ze strachu.

Lecz najważniejsze, że po prostu – przyszli.

Jako ostatni zjawił się Starszy.

– To by było na tyle – oznajmił. – To już wszyscy.

Wszyscy, którzy chcieli lecieć.

Zawahał się. Podbiegłam do niego, zarzucając mu ręce na szyję. Przez tę jedną chwilę miałam w nosie nasze różnice zdań, naszą kłótnię. Starszy wziął mnie w ramiona, podnosząc nad ziemią, a potem delikatnie postawił.

– Mam cholernego stracha – wyszeptał w moje włosy.

– Ja też – odszepnęłam.

Popatrzył mi w oczy.

– Co się stało?

Milczałam, a on po chwili odwrócił wzrok. Wiedział, co się stało.

– Muszę go zabrać.

– Nie musisz.

Zamiast odpowiedzieć, Starszy wcisnął guzik wi-komu.

– Za kilka minut rozpoczniemy procedurę startową – zaczął. – Będziemy polegać na autopilocie. Odbyłem szkolenie ze sterowania kapsułą, ale...

Nie dodał, że w ramach tego szkolenia Shelby pokazała mu tylko panel sterowania. Mimo to dysponował większą wiedzą niż ktokolwiek inny. Jedyne sternicy pierwszego szczebla, którzy zginęli w eksplozji na Mostku, mieli w tej kwestii prawdziwe doświadczenie.

– Zabezpieczcie swoje rzeczy i znajdźcie sobie bezpieczne miejsce na czas startu – dodał, zanim się rozłączył.

Dobiegło nas szuranie. Starszy zamknął właz prowadzący na mostek.

Jego twarz była stanowcza, plecy wyprostowane.

Wyglądał niczym generał szykujący się do bitwy, bez zbroi i broni.

Dał mi znak, żebym poszła za nim – ruszyliśmy do panelu sterowania pod oknem.

– Naprawdę jest tego warta? – zapytał, patrząc na planetę.

Pochyliłam się nad panelem, usiłując zobaczyć jak najwięcej. Planeta była jasna, niebiesko-zielona, z poskręcanyimi smugami białych chmur. Widziałam jeziora i góry, żółto-brązowy pas, który musiał być pustynią, wstęgę zielonych kropek, czyli wysp. Nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego.

Lecz potem spojrzałam na twarz Starszego.

Udzielił mi się jego strach i teraz patrzyłam na powierzchnię Centauri-Ziemi, zastanawiając się, co się tam kryje.

Przypomniał mi się wyraz pustych oczu Victrii.

Śmierć jest łatwa, nagła i nie do powstrzymania. Może Centauri-Ziemia dopiero rozpoczyna ewolucję i zmiążdżą nas dinozaury? A może wyprzedziła o całe lata świetlne Ziemię – moją Ziemię – i kosmici roześmieją się na widok naszej broni, a potem nas zabiją? Na planecie z pewnością istniała bogata roślinność – pośród błękitu dało się dostrzec mnóstwo zieleni. A co jeśli wszystkie rośliny są trujące? A jeśli niebieska woda jest słona?

– Jest tego warta. – Chciałam dotknąć Starszego, ale pierwszy chwycił moją dłoń, ścisnął, po czym puścił.

– Co takiego powiedziałaś wtedy Doktorkowi? O wierze?

– Nie pamiętam – odparłam ze śmiechem. – Za bardzo skupiałam się na próbie przeżycia.

– Cóż, cokolwiek to było, miałaś rację. – Jego dłoń spoczęła na przycisku autopilota.

– Gotowa? – zapytał.

– Gotowa.

## P o d z i ę k o w a n i a

Ta książka w ogóle by nie istniała, gdyby nie moja wspaiała agentka Marrilee Heifetz która zmobilizowała mnie do poszukiwań pomysłu lepszego niż pierwotny. Będę jej za to dozgonnie wdzięczna.

Książka to jednak coś więcej niż pomysł i dlatego chciałabym podziękować Benowi Schrankowi i Gillian Levinson za to, że pomogli mi ubrać ten pomysł w najwłaściwsze słowa. Wiedziałam, że trafiłam w ręce dobrych redaktorów, gdy przeczytałam jedną z uwag: „Nie bój się zabijać swoich bohaterów!”.

Jeśli chodzi zaś o proces produkcji tej książki, to chyba nie mogłabym życzyć sobie lepszego zespołu niż ten z Razorbilla. Dziękuję Natalii Sousie i Emily Osborne za wspaiałe projekty okładek; Emily Romero, Courtney Wood, Erin Dempsey, Erin Gallagher i Annie Jarzab za cudowną promocję i akcje internetowe; Caseyowi McIntyre za organizację zapierającej dech w piersi trasy promocyjnej i ciężką pracę na rzecz reklamy; i pozostałym członkom zespołu Razorbilla za to, że są po prostu fantastyczni.

Specjalne podziękowania kieruję do Cecylli de la Campa z Writers House za wsparcie w rozpropagowaniu mojego cyklu na świecie oraz Chelsey Heller za to, że pomagała mi się poruszać na gruncie zagranicznych umów.

Ta książka miała więcej szkiców, niż jestem gotowa przyznać, ale dziękuję Heather Zundel, Erin Anderson i Christy Farley za przeczytanie najwcześniejszej wersji. I radę, żebym wyrzuciła ją do kosza. Tricii Hoover, Christine Marciniak, Jodi Meadows i Jillian Boehme podziękowania należą się za ocenę drugiej wersji... która także skończyła w koszu. Corinne Duyvis i Casey McCormick czytali pierwsze rozdziały do upadłego – dzięki! Dziękuję także Elanie Johnson, Lisie Roecker, Laurze Roecker, Shannon Messenger, Lauren DeStefano, Michelle Hodkin, Stephanie Perkins, Sandrze Mitchell, Victorii Schwab, Myrze McEntire, wszystkim członkom grup Bookanistas i League – za to, że znosili moje gładzenie na temat książek i pisania.

Kiersten White, Melissa Marr i Carrie Ryan wierzyły we mnie nawet wtedy, gdy tekst *W otchłani* nie był jeszcze książką, i jestem im za to bardzo wdzięczna. Carrie, dziękuję także za czytanie moich długich, zupełnie chaotycznych e-maili i dobre rady w każdej sytuacji!

Jennifer Randolph – dziękuję, że zostałam jedną z moich pierwszych fanek. Lauro Parker – dziękuję za twoją bezinteresowność i za to, że potrafisz cieszyć się moją radością. Melisso Spence – dziękuję, że jeździłaś przez cały stan tylko po to, żeby ze mną świętować. Wasza przyjaźń jest dla mnie wszystkim.

Chciałabym także podziękować uczniom Burns High School, którzy użyczyli mi swoich imion do tej historii, a w szczególności tym, którym marzył się jak najkrwawszy koniec. Mam nadzieję, że podobało się Wam, gdy Was zabijałam!

Dziękuję Village Coffee za to, że nie zasypiałam przy pisaniu, i Fireside Books & Gifts za to, że zawsze mam co czytać.

No i oczywiście wyrazy największej miłości i najgorętszych podziękowań dla moich rodziców, Teda i JoAnne Grahamów, którzy są nie mniej podekscytowani tym całym zamieszaniem niż ja, oraz męża, Corwina Revisa, który czytał wszystkie szkice – nawet te najgorsze – a mimo to nie przestał mnie kochać.

Jeszcze raz dziękuję Wam wszystkim.

W t e k ś c i e w y k o r z y s t a n o c y t a t y  
z n a s t ę p u j ą c y c h d z i e ł:

Dante Alighieri, *Boska komedia*, przeł. Edward Porębowicz, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2003.

Lewis Carroll, *Alicja w Krainie Czarów. Po drugiej stronie lustra*, przeł. Robert Stiller, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1990.

Antoine de Saint-Exupéry, *Mały Księżę*, przeł. Jan Szwykowski, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1992.

William Shakespeare, *Romeo i Julia*, przeł. Stanisław Barańczak, Wydawnictwo Znak, Kraków 2000.

William Shakespeare, *Sonety. Wybór*, przeł. Maciej Słomczyński, Wydawnictwo Cassiopeia, Kraków 1992.

## Przypisy

[1] gzyf, gzyfowy – słowa utworzone od skrótu GZF (Giełda Zasobów Finansowych to organizacja, która finansowała misję „Błogosławionego”) (przyp. red.). [2] Piniata (hiszp. *piñata*) – wywodząca się z krajów latynoskich zabawa, która polega na strąceniu kijem specjalnej kuli wypełnionej słodyczami (przyp. tłum.). [3] hucpiarz – bezczelny oszust, kłamca (przyp. red.).

